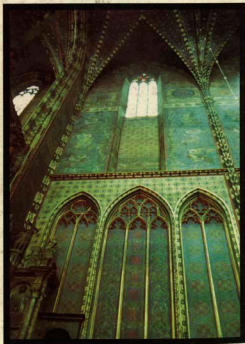


Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 3,50 PLN (35 000 zł)

a

4

4 (66) 1996

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



R. Kapuściński: Ziemia polska — Nałęczów
Poetki, poetki... (U. Koziol, E. Ostrowska,
M. Jankowska, U. Jaros, B. Krzew)
D. Mazurek o Wisławie Szymborskiej
M. Olewińska o Ignacym Gogolewskim
István Kovács o Legionie Polskim w 1848 r.
Indyjski renesans w USA

AKCENT nr 4 (66) 1996

akcent VII

nr 4 (66) 1996

akcent

literatura i sztuka

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

Wojciech Młynarski: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię" (1996)

kwartalnik

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
LECHOSŁAW LAMEŃSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
KRZYSZTOF PACZUSKI
PAWEŁ PRZYWARA
TADEUSZ SZKOŁUT
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Kierownik
Janina Duda

Selekcjoner i korektor
Zuzanna Kuczerowska

Konsultacja techniczna
Anna Jolacki

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie
oraz
Ministerstwa Kultury i Sztuki

PL ISSN 0208-6220
NR INDEKSU 352071

© Copyright 1996 by "Akcent"

ARTYST

SPIS TREŚCI

- Ryszard Kapuściński: *Ziemia polska (Naleczone)* / 7
Eda Ostrowska: *wiersze* / 11
Dorota Mazurek: *Flirt z tajemnicą bytu – czyli Sycmborska* / 14
Urszula Kozioł: *wiersze* / 22
Alina Witko-Łuska: *„Przyszłam na świat w dzikim skansenie”*
O poezji Urszuli Kozioł / 25
Magdalena Jankowska: *wiersze* / 29
Stanisław Rogala: *Stratniczka* / 31
Urszula Jaros: *wiersze* / 41
Piotr Kobielski-Grauman: *Zombi* / 45
Egon Bondy: *wiersze* / 59
Dla mojego pokolenia maoizm znaczył bardzo dużo – rozmowa
z Egonem Bondym / 66
Bogumiła Krzew: *wiersze* / 71

Indiański renesans

- Joanna Durczak: *Rezerwat, kasyna i kojoty w tramplach albo indiański*
odrodzenie / 73
Louise Erdrich: *Komunikacja* / 93
W. S. Penn: *Nieobecność antiołwie* / 104
William Lang: *wiersze* / 117

PRZEKROJE

Józef Fert: *To ładnie, że jesteście (nad wierszami Wacława Osajczy)*; Tadeusz Szkobut: *Dojrzała poezja o dojrzewaniu*; Waldemar Michałski: *Człowiek i góry*; Paweł Przywara: *Talk show magic*; Tazsaka; Anna Zeidler-Janiszewska: *Secesja w perspektywie estetyczno-filozoficznej*; Maria Kunowska-Porebna: *Między dwiema a nowymi laty, czyli „Most z aksami”*; Lesław Hostyński: *Między kulturą a naturą*; Paweł Przywara: *Manuskrypt pod mikroskopem*; Marek Danielkiewicz: *Ślady tych, którzy zamierzają powrócić...*; Zygmunt Zieliński: *Obcyzna czy ziemia obiecana?*; Jerzy Doroszewski: *Żyć w Lublinie*; Paweł Gembal: *Cokolwiek to znaczy i jakkolwiek będzie to wyglądać*; Grzegorz Kociuba: *Zraniony mój*; Tadeusz Szkobut: *„Ethos” postmodernistyczny* / 120

PLASTYKA

- Andrzej Buracki: *Kilka uwag o polichromiach kościelnych w latach 1889-1939* / 149
Lechosław Lameński: *Wschodni Salon Sztuki po raz czwarty* / 155
Małgorzata Kitowska-Lysiak: *Wolff – symbolista?* / 158

TEATR

Małgorzata Olewińska: *Gogolewski* / 161

Janusz Jasieński: *W szubie Melpomeny. Marek Okopński 1929-1992* / 164

Jan Wolski: *Materiały do dziejów teatru i dramatu emigracyjnego* / 171

MUZYKA

Jadwiga Jasieńska: *Marian Ochalski – muzyk i pedagog (1911-1995)* / 173

HISTORIA

István Kovács: „*Ja byłem pod Barcą*” / 176

ARCHIWUM

Antoni Adolf Kurcowski: *Pamiętnik z Powstania styczniowego (od 21 marca do 7 maja 1863)* / 188

NOTY

Józef Fert: *Odszedł profesor Czesław Zgorzelski (1908 – 1996)* / 199

Marcin Olińkowicz: *Świadeństwo godnego życia* / 204

Kazimierz Przybytko: *Jubileusz chóru akademickiego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (zospominanie)* / 206

Tomasz Majeran: *Derridium tremens* / 209

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Ziemia polska (Nałęczów)

Jest pocałunek lata i Nałęczów tonie w zieleni. Właśnie – tonie, ma się wrażenie, zielonego potopu, który nas pochłonią.

Rzuca się w oczy jedno: ileż odciemi ma zieleni! Zieleni kłonu i zieleni jodły to są barwy zupełnie różne! A jeszcze te zielenie zmieniają się w zależności od pory dnia. I od tego, gdzie jest słońce, pod jakim kątem padają jego promienie, z jakim nasileniem. Zieleni przedwiośnia i wiosny są zupełnie inne. Zieleni dojrzałego gorącego lata – znowu inna. A po niej zieleni jesieni, gasnąca. I jej zniknięcie na końcu roku. Właściwie – gdzie się podziwiał? Co się z nią dzieje przez całą zimą? Wiednie, rozpyływa się, znika. Na kilka miesięcy zapada w zimowy, biały sen.

W niedziele chciałem dojść z Nałęczowa do wsi Rogoław. Ale zabłądziłem. W pewnej chwili spotkałem kobietę i spytałem o drogę.

– A to pójdziesz tam tamteją (wskazała ręką), tam będzie taka przekładka, a dalej już prosto.

Przekładka – pierwszy raz zetknąłem się z tym słowem, jak się okazało, znaczy tyle co kładka (kładka leżała nad wyschniętym strumieniem, na łące).

Gdy się idzie przez pola z Nałęczowa do Wąwolnicy słychać jak ziemia śpiewa. I nie jest to tak, że gdzieś rozlegnie się jakiś samotny głos, a gdzieś później, w innym miejscu – inny. Śpiew słychać zewsząd – z pól, ze wzgórz, z mijanych zagajników. Ziemia śpiewa głosami ptaków, ale ptaków nie widać, bo świeci słońce, jest upał i kryją się one w cieniu miedzi, moszczy w bruzdach, buszują w wysokich zbożach.

Ten śpiew nie milknie ani na sekundę. Z obu stron drogi dobiegają nas świergoty i trele, soprały i altys, nęcenia, szczebiotania. Przez cały czas z ziemi unosi się donośna muzyka – wielostrunna, wielogłosowa kantata na płaci chór i orkiestra, która uprzyjemnia nam wędrówkę.

Otwarta przestrzeń – oto za czym tęskni okno. Żeby nie go nie zatrzymywało, nie ograniczało, nie więziło. Żeby nie musiało rejestrować, oceniać, wybierać, decydować, żeby było wolne i żeby bez przeszkód, swobodnie biegło przed siebie do granic horyzontu, tam, gdzie niewyraźny, przysłonięty mgiełką ścieg łączy ziemię z niebem na najdalszym krańcu świata.

Ale przede wszystkim otwarta przestrzeń – wyzwała i pomnaża nas samych. Uwolnieni ze ścisłu tłumu ulicznego, z korków samochodowych, z autobusów i metra, z ciasnoty urzędów i poczekalni, z trybów

miasta-maszyny, które zmello nas na spocenie, umęzione anonimowe cząsteczki wielkiej ruchliwej masy ludzkiej – odrzyskany oddech, swobodę, kształt, tożsamość.

Nie nam nie zagraża. Niczyj kłóćcie, przekleństwo, obelga, strzał w plecy. Nikt nas nie próbuje wykiwać, okłamać, nacisnąć, okraść. Możemy się odprężyć. Odpocząć. I mimo że sięgamy sobą daleko – do granic horyzontu i szczytu nieba, widzimy jak ciągle jest wiele wolnej przestrzeni i że możemy ją wypełnić sobą tyle, ile pomyślimy, ile zapragniemy, ile zdołamy.

Idąc przez ziemię pięknie rzeźbioną, różnorodną, bogatą w pagórki, doliny, drzewa i wodę, człowiek, w grzgnięciach, mimowolnie zawiąsana jest drobna istota, sąsiadka odludzia, dzikie zakątki. O tu – mówisz sobie – chciałbym postawić dom. Znużona byłym potok, a dalej na kępe drzew w szczytnych polach. A dalej? Nie. Dalej już nie byłoby nie.

Alte za chwilę nowy zakamarek bierze górę nad poprzednim. O tu – myślisz ucieczkę – tu miałbym dom, w tam otwartą polanie. Tylko trawa, polne kwiaty, wałki i świerczące, czasem może zabłąkana sarna. A wszystko w ciemnej ramie lasu, tak kłój, że nikt tu nie przejdzie.

Tak powstawały miasta świata – Ur i Mahendro-Daro, Boston i Sydney, Paryż i Florencja; z pragnienia, żeby tu pozostać. Z nastroju, jaki ogarniał wędrownica czy zeglarza, kiedy przysiadł na skrawku ziemi i rozejrzawszy się wokół mówił do siebie: ładnie tu, a ja już nie mam siły dalej iść. Zostaję!

Jeżeli pójdziemy z Zarzeki na wschód w stronę Kolonii Drzewce i Piotrowie, ale pójdziemy nie szosa, tylko polnymi drogami, na skróty, zaraz znajdziemy się w miejscach bez śladu człowieka. Jak okiem sięgnąć nie ma nikogo. Nie słychać żadnych szumów i pisów, nie nie warczy, nie grzyczy, nie wyje. Mimowolnie rozejmą się za śladami życia. Jeżeli jest to pustynia, patrzymy, czy coś się w piasku nie ruszy – a to zrzuci, a to jaszczurka. Jeżeli pejzaz arktyczny – całkami, czy aby nie nadciął wydryk, nie pojawi się foka. Człowiek może widzieć, że coś się porusza, jeżeli nie się dzieje, zaraz wymyśli sobie latające talerze, fatamorgany, czarownice, którym każę jeździć na miotłach.

A tu? W polach między Zarzeka, która została osiedla, a Kolonią Drzewce, która jest hen przed nami? W tym zielonym, rozświetlonym pustkowiu? Wystarczy zatrzymać się i rozejrzeć. Iść tu wszystkiego! Ono w zbożu kołyszą się fioletowe chabry. Oto dołem wiją się różowe powoje. A nad nim chwieją się białe rumianki. I dmuchawce puszyste, i osty kolące. I pokrzywy złośliwe, i lebiody pozysne, i szczyawy, szarłat, dzianowie i żółcienie. A najwięcej traw wszelkich, gęsto rozrzuconych po ziemi, rosnących na polanach, na stokach wąwozów, na zacienionych odcinkach drogi.

Właśnie – drogi. Dawniej drogę polną znaczyły dwie głębokie koleiny wyłożone w ziemi metalowymi obręczami chłopskich wozów. Spód tych kolein wypełniał piach wymielony na pył przez drewniane sprzeczki kół. Pomiędzy koleinami ciągnął się trop wybity kopytami zaprzęgniętych do wozów koni.

Takich dróg już tu nie ma. Ich miejsca zajęły szerokie trakty wyjeżdżone grubymi oponami traktorów. Traktor jest w każdym gospodarstwie, w każdej zagrodzie. W tych stronach koń zniknął z pejzażu wsi.

Człowiek traci kontakt z przyrodą, coraz bardziej się od niej oddala (już nawet nie mówi się – przyroda, mówi się – ekologia). Kontakt z przyrodą mają albo profesjonalści (biolodzy, ornitologowie, leśnicy) albo hobbisi – ludzie uważani za nieszkodliwych dzikawców.

Razem z przyrodą znika ta literatura, której przyroda była tematem i bohaterem. Kto dziś czyta *Zajęca* Dygasińskiego, *Z martwej rozkosi* – Orkana, *Polesie* Ossendowskiego? Kto Orzeszkową, Kasprzowską, Tetmajera? Kto pamięta wierszyk Asnyka *Gdy jabłoni kwiat opada, kalina zakwita...*, Lenartowicza *Nad modrą powierzchnią stawa dęby stały...*, Syrokomli *Niech się brzęczą szczęśliwie zboża na naszej niwie...* i *Tę Kto czyta Żeromskiego* *Wiatr od morza*, *Puszcze jodłową*, *Mogile?* Jego *Dzienniki*, gdzie tyleż o przyrodzie, co i romansach: *24 VIII 1989 (sobota) Przez cały dzień balamuciliśmy z Lusią. Początki nasze stają się coraz otwartziej i coraz namiękniejsze. Jest ich bez liku. Lusiu nigdy nie broni się, pozwaliby na wszystko, tylko mniej ma od Heli odchodzić. Cobyś też sama tylko na prośbę. Mam tedy dwie prześliczne goląbki; jedna ma szesnaście, druga osiemnaście lat, obidwie ujadają miłość dla mnie, a ja tak często na dzień myślę o śmierci i rozkoszy niechęty.*

Fotografie Naleczowa z końca XIX, początku XX wieku. Jakież piękne te domy, wille, altany, ale jakże ich mało i jakie są skromne! Tymczasem zamożność i bogactwo, dostatek i obfitość wyrażają się rozmia-rem, rozmachem, ilością, kubaturą materii przerobionej – drewna, cegły, betonu, szkła. To pejzaż, w którym widoczna jest czynna, pracowita obecność człowieka, utrwalony jego konstruktywizm wyświeł. Weźmy – z tamtego czasu – widokówki St. Morritz, Sorrento, Alicante – toż to setki, tysiące domów, willi, pałaców. Na ich tle – jak skromnie wygląda Naleczów! Nasze historyczne ubóstwo, nasz marazm i ospałość, równie i tu znajdują swój wyraz.

W ostatnich miesiącach byłem w kilku sanatoriach. Pobyt w takich miejscach pozwala przyrzeć się ludziom, posłuchać jak i o czym mówią, popatrzeć na ich zachowanie, sposób bycia. Przyszedzają tu na ogół ludzie starsi. Od razu zwraca uwagę powszechna wśród nich zgorzkniałość, rozdrażnienie, opryskliwość. Próbowałem się uśmiechać. Na próżno. Uśmiech pogarsza sytuację – wywołuje podejrzenie: uśmiecha się nie do mnie, ale ze mnie. W odpowiedzi na uśmiech – on/ona – jeża się jeszcze bardziej. Brak zyczliwości, brak ciepła dla innych. Wiem, to wynik jakichś fatalnych doświadczeń – wrednych stosunków w pracy, chamsstwa i wrogości, wszelkiej trucizny życia, która niszczyła tym ludziom codzienność.

Tak, staram się ich zrozumieć. Że mieli szare, ubogie, fatalne życie. Że niczego się nie dorobili. Że nie mogą już liczyć na wiele. Rozumiem, ale nie umiem usprawiedliwić. Bo wydają mi, jakby się czuli w tej zapiekłej niechęci dobrze, jakby ten brak zyczliwości i ciepła wobec innych zaspokajał jakąś potrzebę i nawet był im przyjemny. Toteż nie widać, aby chcieli się zmienić, rozchmurzyć, udobroczać.

* * *

Plynie taki pałacyk oświecony
jak sala balowa urzekający
i delikatny warto zapatrzeć się
zapomnieć

Książę trochę grubożyj choć
bez brzośki a po lewej mojej ręce
stoją statki na rodzim drżące

Światyniście, 4 marca R.P. 1995, noc

* * *

Dzień jak brzytwy
słońce kosą błyska
wszystkie ptaszki duże
i małe polowaniem zajęte
muzyka gęśli kokoak kokoak
siadła wrona na wiatracu
chce zrakować towarzystwo
woda siwoka liże stopy
muszelek przepyszny chrząst
Co za dzień płótna pogody
wysoko hen

Światyniście, 10 marca R.P. 1995, przed południem

* * *

Głębie w kalesonkach spacerują
po plaży pracowite i zawsze
taktowne gdy się wzbijają falsetem
w powietrze kapie srebro na beret
i z nausznik ścieka Dzień zimny
wietrzny horyzont bar mleczny
otwiera Zawijają do portu duże
i małe światła

Światyniście, 11 marca R.P. 1995, po południu

* * *

Słoneczko wstało rano
zrobiło myju myju pucu pucu
złote loki rozrzuca
rosę strzępije z rzęs

baranki na wodzie strzyże
wiatr Ptasznik przechadza się
pośród kukielek papierowych kulek
i baryłek żywe perełki

Światyniście, 17 marca R.P. 1995

* * *

Książę jak pomarańcza
szaradczą w lokalach nocnych
ja i Cyran idziemy tyłem
do frontu Plaża gore domatorom
zatkocza wody w szklance
i pletwonuręk

Światyniście, 18 marca R.P. 1995, noc

Eda Ostrowska

Książki nadesłane

Poezja

Tomasz Hrynac: *Wycięcie z getta, przedmowa Zdzisław Orzechowski*, Świdnica 1996, ss. 48.

Roman Honet: *Alteja, Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego*, Łódź 1996; seria poetycka 49, ss. 48.

Dariusz Struk: *Kochamy nam nieznane...* Wyd. „Cycero”, Lublin 1996, ss. 68.

Eugeniusz Szalborski: *W godzinie niepewności*, Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 1996, ss. 72.

Janina Soszyńska: *Sekundę na półno*, Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 1996, ss. 44.

Leszek Długosz: *Po głowach, po śladach...* Wydawnictwo „Arana”, Kraków 1996, ss. 71.

Ariana Nagelska: *Impersada wakacyjna*, Wydawnictwo „Maiznes”, Gdańsk 1996, ss. 32.

Zbigniew Jókwić: *Spotkania ze Spitzbergenem*, Agencja Wydawniczo-Handlowa Antoni Dudek, Lublin 1996, ss. 34.

Grzegorz Maria Pozniak: *Isa*, Wydawnictwo „Ministura”, Kraków 1996, ss. 62.

Krzysztof Kuczkowski (wiersze), Głasiński (linoscopy): *Aniol i góra*, Galeria Autorska, Bydgoszcz 1996, ss. srb.

Światłana Owczarska: *Na poddaszu piekła Cię mam*, Klub Arkona, Bydgoszcz 1995, ss. 32.

alne Szyborskiej polega na tym, że żartując i wywołując wielkie filozoficzne pytania, poetka odejmuje im w pewien sposób powagę, ale nie umniejsza przecież ich intelektualnego potencjału. Jak choćby w tym, charakterystycznym dla jej stylu filozofowania, wierszu o jakże zmiennym tytule *Zdumienie*:

Czemu w zanadto jednej osobie?
Tej a nie innej? I co tu robię?
W dzień co jest wstarkiem? W domu nie gnieździe?
W skórze nie busze? Z twarzą nie lśniesz?
Dlaczego tylko raz osobicie?
Właśnie na ziemi? Przy małej gwiazdce?

Zdumienie Szyborskiej ma charakter egzystencjalny. Jak klasycy tego kierunku filozoficznego, poetka postępuje jak badacz jako rodzaj przypadkowego wrzucenia w byt. Fakt, że jest się człowiekiem – to przypadek w łańcuchu ewolucyjnym, tak zdaje się widzieć autorka *Wszelkiego wypadku* sens kondycji ludzkiej. Przypadek jest w jej poezji kategorią bardzo ważną. Czy zatem Szyborska jest skłonna uznać istnienie za rodzaj absurdu? Raczej nie. Albowiem przypadek to także konieczność. Igrając opozycję: przypadek – konieczność, Szyborska zbliża się do egzystencjalizmu i jednocześnie oddala się od niego powiadając:

Przepraszam przypadek, że nazywam go koniecznością
Przepraszam konieczność, jeśli jednak się mylę

(*Pod jedną gwiazdką*)

To właśnie swoisty styl filozofowania Szyborskiej. Próbuje ona opisać fenomen istnienia poprzez czytelne aluzje do różnorodnych systemów filozoficznych i jednocześnie każdorazowo przy próbie opisu uruchamia dystans wobec przywołanych kontekstów filozoficznych. Tak, jakby chciała zasygnalizować, że prawda nie jest uchwytana i zawsze zawiera się w antynomii, w możliwym przeciwstawnieści, że jeśli nawet prawda jest, to funkcjonuje ona „pomiedzy” i w związku z tym prawie nie sposób ją wyartykułować.

Szyborska to autorka, która ociera się o obszar metafizyki. Jednakże „jej” metafizyka, jak każdy temat Szyborskiej umyka w stronę żartu, w stronę paradoksu. Szyborska nie analizuje „tajemnicy bytu”. Ma to postać takiej oto wyliczanki z wiersza *Pod jedną gwiazdką*.

Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi.
Prawdo, nie zwracaj na mnie zbyt bacznej uwagi.
Prawo, okat mi wspaniałomyślność.
Ścierp, tajemnico bytu, że wykubuję nitki z twego trenu.

Poetyka żartu stała się dla Szyborskiej zasadniczym sposobem wypowiadania dopiero po roku 1956, po przełomie październikowym. Wydany wtedy tom wierszy *Wolanie do Yeti* nosił wszelkie znamiona buntu wobec panującej do niedawna konwencji socjalistycznej. Bunt ten był widoczny właśnie przede wszystkim na poziomie języka, choć odnosił się

także oczywiście do sfery ideologii i polityki¹. To, co najbardziej dzisiaj zwraca uwagę w owym buncie, to fakt, że Szyborska wykreowała wówczas w swoich tekstach poetyckich specyficzny sposób mówienia i specyficzny język. Określić można ten rodzaj języka i mowy – jako „mowę blazna”.

W kontekście roku 1957 ów „blazeński” język wydawał się głównie opozycją stylistyczną w stosunku do propagandowo jednoznaczności języka poezji agitacyjnej. Blazen po swojemu „odkładał” rzeczywistość z „pompy” językowej, z propagandowego sztafetu i politycznego fałszerstwa. Jednocześnie blazen mówił po swojemu o zjawiskach znacznie szerszych, bardziej uniwersalnych, o kryzysie cywilizacji (Z nie wybrany wyprawy w Himalaje), o kryzysie komunikacji międzyludzkiej (*Atlantydzie*), o kryzysie polityki stojącej się historią (*Dwie mały Bruegela*).

Dzisiaj sądzić wypada, że niezaletnie od wymiaru doraźnej krytycy antysocrealistycznej, blazen Szyborskiej był już wtedy sygnałem charakterystycznej dla jej poezji postawy niepokoju filozoficznego, niepokoju, który verbalizuje się w języku antynomii, paradoksu, żartu, ironii – w mowie blazna.

„Język blazna” pozwala zachować Szyborskiej specyficzną ogłąd świata, na który składa się umiejętność dostrzegania w tym co powszednie i banalne wielkich filozoficznych problemów. *Zdumienie*, niepokój poznawczy objawia się jako umiejętność dostrzegania opozycji, antynomii, sprzeczności na poziomie zjawisk rzeczywistych, z którymi obcujemy na co dzień, które przynależą do sfery doświadczeń powszechnych. „Język blazna” pozwala także budować dystans wobec konkretnych koncepcji filozoficznych prawd, z których każda Szyborska opatrjuje swym samym znakiem zapytania.

Zachowanie dystansu jest obroną wartości podstawowej i niezmienniej w jej poezji, jest to wartość będąca aksjologiczną hybrydą, a można określić ją jako wrażliwość. Wrażliwość etyczna, estetyczna, filozoficzna, wrażliwość... ludzką. Jej ostateczną miarą i jej podłożem jest zjawisko ułomne i kruche, równie abstrakcyjne co konkretne: *conditio humana*. Szyborska zdaje się wierzyć w jedno jedyne prawo, jakie chciałaby uchronić i ocalić w wieku powszechnego zgwałcenia: w uniwersalne i powszechne prawo ludzkiej wrażliwości, niezależne od wiar, filozofii, kultury, czasu, historii, polityki, zwątpień i mód. Szyborska wierzy w naturalną wrażliwość istoty ludzkiej. To bardzo trudna wiara. W jednym z esejów o poezji dwadzieścioletniego Miłosza, analizując wiersz Szyborskiej *Autonomia* uznaje ten tekst za świadectwo szczególnej aury duchowej literatury współczesnej². Poeta wieku dwadzieścioletniego potrafił się wedle Miłosza w świecie, który utracił jawną zarysowaną reguły podzielił na prawdę i fałsz, na dobro i zło. Nauka przywróciła się do wprowadzenia pierwotną relatywizacji i unatnił tym samym drzewicęj wiary w jasne i klarowne podziały aksjologiczne. W tej sytuacji poezja podejmuję taktyki obronne, próby organizowania subiektywnego przestrzeni, bez wspierania o zaplecze stabilnego systemu światopoglądowego. Diagnoza Miłosza w odniesieniu do Szyborskiej wydaje się trafna.

Autorka *Snu* pocieszył widzi świat jako spłót wzajemnie znoszących się antynomii, a jej subiektywna przestrzeń to ułomna i krucha wiara w *conditio humana*, w uniwersalny i powszechny pierwiastek „ludski” w człowieku. Jest to wiara nie odwołująca się do żadnego systemu filozoficznego.

¹ O językowym aspekcie polemiki z socrealizmem w twórczości Szyborskiej pisałam obszerniej w szkicu *Poezja Witalny Szyborskiej a socrealizm* w: „Annuaire UMCS”, Lublin 1978/79, Sectio F, vol. XXXIII/XXXIV.

² Zob. Czesław Miłosz: *Świadectwo poezji. Szczęść wykładów o doświadczeniach naszego wieku*, Warszawa 1987, ss. 41–59.

go hub religijnego, wiara najzupełniej prywatna. Sens tej wiary najpełniej wyraża poetka w wierszu *Odkrycie*:

Wierzę w wielkie odkrycie.
Wierzę w człowieka, który dokona odkrycia.
Wierzę w przestrach człowieka, który dokona odkrycia.
Wierzę w bladeś jego twarzy,
w młodości, w zimny pot na wardze.
(...)
Wierzę w nieprzylązioną rękę,
wierzę w złamaną karierę,
wierzę w zaprzepieczoną pracę wielu lat.
Wierzę w sekret zabrany do grobu.
Szybują mi te słowa ponad reguły.
Nie szukają oparcia w jakichkolwiek przykładach.
Moja wiara jest silna, ślepa i bez podstaw.

Trudna wiara Szyborskiej jest rodzajem afirmacji antropologicznej. Szyborską interesuje zawsze człowiek. Całość jej twórczości sprowadza się właściwie do jednego tematu: człowiek. Człowiek w ogóle i człowiek konkretny, ukazany przez swoją epokę, przez swój czas, przez określoną kulturę. Jej wiersze często są portretami, portretami różnych ludzi, z różnych epok, z różnych kultur. Ludzi, z którymi obcuje bezpośrednio (np. *Hania, W przynalgu*) lub ludzi reprezentujących właśnie *conditio humana* – człowieka w ogóle (*Sio pociech, Spis ludności, Urodzony*) albo kobietę w ogóle (*Portret kobiety*).

Osobny temat to galeria portretów ludzi z portretów: ze starych płócien, z rysunków w grotach epoki paleolitu, ze starych fotografii, z fotografii współczesnych – ludzi uwiecznionych na zawsze w bezczułu, w pozie, w konwencji. Szyborska próbuje odebrać ich postaciom statyczność, nasyć ich zatrzymanym w bezczułu świat – klimatem działania się.

Ten zgoła paradoksalny zabieg jest pretekstem do rozważenia kolejnego paradoksu, jaki fascynuje Szyborską, paradoksu przemijania. O obrazie *Ludzie na moście* „jakiegoś Hiroshige Utagawy” powiada się następująco:

To nie jest wcale obrazek niewiny.
Zatrzymano tu czas.
Przeszłam liczyć się z prawami jego.
Pozbawiono go wpływu na rozwój wypadków
Zlekceważono go i znieważono.⁴

Sztuka jest panaceum na upływ czasu, jest według słynnej definicji poetki „zestawą ręki śmiertelnej”. Lecz zamilowanie Szyborską do opisów postaci z malowideł i fotografii wynika z innej jeszcze przesłanki. Malowidło, fotografia – sytuacja dla człowieka statyczna, z jednej strony oddająca jego całą konwencjonalność, z drugiej strony w jakiś tajemny sposób świadczą o trwaniu świata minionego. W wierszu *Znieważenie* nieartowitliwy opis tancerki poży Miss Duncan przekształca się w opis świata, który, pomimo iż minął, przecież trwa. Ta metafizyczna koiny-

dencja trwania i przemijania ma postać zabawnej anegdoty, ale gdzieś „w drugim planie” jest zupełnie serio postawionym problemem filozoficznym.

Miss Duncan, tancerka,
(...)
Grube ramiona wzniesione nad głowę,
węzeł kolana spod krótkiej tuniki,
lewa noga do przodu, naga stopa, palec
(...)
Jeden krok z wiecznej sztuki w sztuczną wieczność
(...)
Za parawanem różowy gorset, torebka,
w torebeczce bilety na statek parowcy,
odjazd nazajutrz, czyli sześćdziesiąt lat temu;
już nigdy, ale za to punki dzielwiąta rano.

Szyborska odtwarzając postaci z malowideł i fotografii chce wydożyć spoza gorsetu konwencji ślady tego, co nie poddaje się przemianom, co w jakis dziwny sposób unieważnia czas.

Świadomość wpływu konwencji na ludzkie zachowania sprzyja w twórczości Szyborskiej nastawieniu na „cudze słowo”. Wiele jej tekstów, mówią po bachtinowsku, ma cechy dwugłosowości, podrzytych jest „cudzym słowem”, sygnalizuje myśl innego człowieka, cudzą pozycję myślową (*W przynalgu, Siary śpiwalek, Pogrzeb Terrorysty, on patrzy*). Tradycyjne pojęcie liryki roli tu zdaje się zawodzić i nie oddaje całej komplikacji i złożoności tekstu poetyckiego. Choćby wiersz *Terrorysta, on patrzy*.

Bomba wybuchnie w barze trzynasta dwadzieścia.
Teraz mamy dopiero trzynastą szesnastą.
Niekiedy zdążyła jeszcze wejść,
Niekiedy wyjść.

Terrorysta już przeszedł na drugą stronę ulicy.
To odległość go chroni od wszelkiego złego
no i widok jak w kinie:

Kobieta w różowej kurtce, ona wchodzi.
Mężczyzna w ciemnych okularach, on wychodzi.
Chłopaki w dżinsach, oni rozmawiają.
(...)

Trzynasta siedemnaście i czterdzieści sekund.
Dziewczyna, ona idzie z zieloną wstążką we włosach.
Tylko, że ten autobus nagle ją zastania.

Trzynasta osiemnaście.
Czy nie ma dziewczyny,
Już była taka głupia i wesoła, czy nie,
to się zobaczy, jak będą wyminąć.

Vox humana z wiersza *Terrorysta* jest tragicznie groteskowym cytatem z myślenia prymitywnego, redukującego człowieka do roli przedmiotu, swoistej „karty przetargowej” w sferze przemocy politycznej. Szyborska bacznie śledzi tego rodzaju zagrożenia cywilizacji, zagrożenia będące

⁴ Cyt. za Wisława Szyborską: *Ludzie na moście*. Warszawa 1988.

świadcstwem degradacji istoty ludzkiej. Poetka wyrazić się piętnuje, nie bojąc się swoistej, publicystycznej dozażności. Może jest tak dlatego, że refleksja o człowieku łączy w poezji Szyborskiej aspekt publicystyczny z wymiarem uniwersalnym, antropologiczno-filozoficznym.

Paradoxy cywilizacji analizowane są w tak znanych tekstach jak *Utopia* czy *Koniec i początek* mają właśnie aspekt uniwersalnych formuł antropologicznych. *Utopia* to wiersz będący rodzajem mistycznej wyliczanki kompromitującej jawowy idealizm myślenia czysto pojęciowego, właściwego systemom utopijnym.

Wyipa, na której wszystko się wyjaśnia.

(...)

Rosnie tu drzewo Słusznego Domyślu
o rozwikłanych odwiecznie gołęciach

(...)

W prawo jaskinia, w której leży sen.
W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.
Z dnia odrywa się prawda i lekko na wierzek wypływa.

(...)

Mimo powabów wyipa jest bezładna,
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.

Jak gdyby tylko odchłodono stąd
i bezpowrotnie zamurzano się w topiel.
W życiu nie do pojęcia.

Chyba bardziej publicystyczny jest *Koniec i początek*, który mówi o paradokсах i okrucieństwach współczesnych wojen, akcentując szczególnie nowy, dwudziestowieczny aspekt wojny, fakt że jest ona tematem newsa, filmu reportażowego:

Po każdej wojnie
ktoś musi posprzątać.
Jaki taki porządek
sam się przecież nie zrobi.

(...)

Fotogeniczne to nie jest
i wymaga lat.
Wszystkie kamery wyjechały już
na inną wojnę.³

Taka już jest poezja Szyborskiej, powagę tematu łączy z żartobliwością formy – bywa publicystyczna, ale zawsze z perspektywą jakiegoś głębszego namysłu, zawsze zaskakująca pytaniami o kondycję człowieka – istoty niejasnej, paradoksalnej.

Wisława Szyborska, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1996, czyni z poezji medium filozoficznej wrażliwości,

³ Cyt. za Wisława Szyborska: *Koniec i początek*. Poznań 1993.

Maestria jej poetyckiego wywodu polega na zderzeniu wątpliwości natury filozoficznej z gotową materiają języka, na wypreparowaniu ze skostniałej tkanki mowy – na zasadzie żartu, gry językowej – fundamentalnych pytań i zdumień człowieka współczesnego, przede wszystkim samym sobą.

Przed nią nik tak nie pisał i to chyba miara jej poetyckiego kunsztu.

Dorota Mazurek

Mileńnikom porozi Wisława Szyborskiej polecamy także tekst Lidii Doleżalskiej. *Koniec i początek* był ostatni drukowany przed kilkoma miesiącami („Akcent” nr 1/1996) oraz omówienie tomu wierszy *Koniec i początek* („Akcent” nr 2/1995).

Wiersze

Wisława Szyborskiej
serdeczne gratulacje z okazji otrzymania
literackiej Nagrody Nobla 1996
składa „Akcent”

URSZULA KOZIOL

Z głodu zdziwienia

w twoim zagraconym domu
przestronne
sa (jedynie pokoje Vermeera
albo zderzenie na reprodukcjach)

tu można żyć
tu można napisać list
albo zamyslać się nad mapą

tu zawsze czyste
perłowe powietrze
i zawsze coś widnieje jeszcze za oknem
do popatrzenia

ponadto obok
czyjs doskonały profil
mysi
gotów za chwilę zwrócić się ku tobie

otwierasz album
tak jakbyś otwierała okno
żeby łapczywie zaczerpnąć tchu

pierwotny zamysł wiersza dogasa w tobie
czy może wtapia się w tamten
ostentacyjny blask
i wsiewa się w głąb samego siebie
jakby ten wiersz był gwiazdą
przejrzaną na wylot
kłóra spadła zanim zdążył kto
wzrętnie zyczenie

jej złotawy nałot unosi się w głodnych zdziwienia oczach.

Nad stawem, przed nocą

Deszcz
sitowity
i czasem odgłosy zab
jest jakby wielka cizna

przesiewała się do tej małej
i jakby mała
nabierała głębokiego wdechu
by móc odskoczyć znów
do tamtej wielkiej

opodal
na drutach telegraficznych
– jak na pięciolini –
czarne nutki
przeskakują tu to tam
zarysowując w ptasim locie początek
naszej wspólnej melodii

dzień posłaznie polyka ostatnią kapułę
światła

już wkrótce sen
granatowa gąbka zetrze tablicę dnia
z seledynowych zdarzeń.
VI 1993

Obrazek

Na podniebieniu światła
kluczem zarum otworzona jesień.

Kolory stają na głowie
wypryżują się z siebie

góra przepływa obok w spiczastym humorze
o białych nasionkach chłodu.
wnoszę w to pamięć

budzisz i
objaśniasz mi
moje „ja”

czy już staję się łoskotem twojej krwi
jak ty
mojej

brzózko
żłota biała smużko
w polu jesieni
gdzie
na zew cykad
cisze przechodzą ciarki

od teraz przestaję się o ciebie
bać
już mi więcej
– matko –
nie umrzesz.

Książki nadesłane

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej

Pojęcie ojczyzny we współczesnych językach europejskich, red. J. Bartmiński, Lublin 1993, ss. 318.

Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowo-wschodniej, red. J. Kłoczowski, P. Kras, Lublin 1993, ss. 86.

Ochrona praw mniejszości narodowych i religijnych, red. Z. Helda, Lublin 1993, ss. 120.

Polityka narodowościowa państw Europy Środkowo-wschodniej, red. J. Z. Pietraś, A. Czarnocki, Lublin 1993, ss. 240.

Jerzy Kłoczowski: *Europa Środkowo-wschodnia w historiografii krajów regionu*.
Lublin 1993, ss. 42.

Belarus, Lithuania, Poland, Ukraine. The Foundations of Historical and Cultural Traditions in East Central Europe, ed. J. Kłoczowski, J. Pełemski, M. Radwan, J. Skarbek, S. Wylętek, Lublin-Rzym 1994, ss. 590.

Oskar Halecki: *Historia Europy – jej granice i podział*, przeł. Jan M. Kłoczowski, Lublin 1994, ss. 228.

Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowo-Wschodniej w świetle statystyk XIX i XX wieku, red. Z. Sułowski, J. Skarbek. Lublin 1995, ss. 160.

Między Wschodem a Zachodem, red. H. Dylagowa, M. Filipowicz,
Lublin 1994, ss. 124.

Demokracja lokalna w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, red. A. Miszczuk, Lublin 1995, ss. 114.

Folklor – sacrum – religia, red. J. Bartmiński i M. Jasińska-Wojtkowska, Lublin 1995, ss. 294.

lenő Szűcs: *Trzy Europy*, przeł. z franc. J. M. Kłoczowski, Lublin 1995, ss. 134.

ALINA WITKO-DŁUSKA

„Przyszedł na świat w dzikim skansenie”
O poezji Urszuli Kozioł

ALINA WITKO-DŁUSKA

„Przyszedłam na świat w dzikim skansenie”
O poezji Urszuli Kozioł

U podstaw poetyckiego światopoglądu autorki *Zabłuka* leży regresyw-
na teoria kultury i poezji, co zbliża ją do twórczości antytenistów (S. Czern-
iak, J.B. Obłąk; idzie tu głównie o sięganie po symbole o rodowódzie
folklorystycznym i biblijnym). Jeśli chodzi natomiast o samą formę wy-
rażenia – poetka nie neguje sensu awangardowego nowoństwa, dła-
tego nie bez uzasadnienia sytuuje się ja obok wybitnych lingwistów – Ty-
moteusza Karpowicza i Mirona Białoszewskiego. Jest więc rewelatory-
czna forma: wzrosł pomost między dawnymi, tradycyjnymi światowidze-
niem a współczesną formą ekspresji poetyckiej. Buduje poetycką arkę przymi-
rzoną między dawnymi i nowymi światami.

U Urszuli Kozioł jesteśmy świadkami dramatycznego oddalania się od rodzinnego miejsca, stąd jej poczucie wyobcowania, wykorzenienia, choć (jak dowodzi Czesław Miłosz) każdy twórca doświadcza w sensie egzystencjalnym wygnania – to wymiar, w którym schodzą się drogi emigrantów i artystów krajowych. Wszyscy są „wyznawcami Ewy”. W omawianej poezji bolesne zerwanie więzów z Białgorajszczyzną wywołuje fale nostalgicznych obrazów:

stójcie przy mnie
bądźcie we mnie
nie odprowadźcie w świat mnie samej
na błędzenie nadaremne
w borykanie pyłne rdzawe
moje łite krajobrazy
moje chude talizmany

(Invokacija)

Ta poetycka tęsknota zawiera się w natrętnym powracaniu chłopskich zwrotów, zaklęć, kolokwializmów, w sięganiu do folkloru jako skarbnicy wiedzy odciecznych miast. Zainteresowanie nie tylko korzeniami kultury, ale i języka, słowa, podkreśla żywe związki z wsią, z kulturą i tradycją regionu, w którym się w „przemyśle z Ziemią”. Poetka żywe węgły par prostego człowieka, tkwi niejako wewnątrz egzystencji wiejskiej, pomimo, a może dlatego, że odeszła do życia miejskiego (Wrocław). Miejsca utracone objawiają swoją siłą magyczną właśnie dzięki odległości. W jednym ze swoich utworów przyrzuca jednak kłopot dramatycznie, że „poeta schnie z dala od źródła w jakowym betonie bloku”.

Jalowej i w gruncie rzeczy samotnej egzystencji w betonowych ścianach towarzyszy pamięć o jedności piemiennicy. Sądzę cztery motywy ognia, ogniska (wiersze *Smuga i promień*, *Znakiem ognia*) i wspólnoty zebranej wokół niego. Wyraża się w tym pamięć o harmonijnej więzi z grupą, pamięć o niepodważalnych wartościach, o szeroko rozumianej wspólnocie duchowej, braterskiej, miłości wszechogarniającej. Jednakże świadomość, iż ową „brachanowyty”, „drewnianijski świat” bezpownotnie zamienia się w skansen, nie pozwala się zatrzymać jedynie we wspomnieniach. Życie ucieka, powrót do zaprzestanych czasów nie jest możliwy, poetka próbuje więc zakorzenić się na nowo, poszukuje nowych więzi.

Przejdzie do życia w centrach kulturowych staje się dla poetki źródłem żywołowych powrotów w świat lat dzieciństwa, „świą pierwej nie rozpoznając światłość”. Ten rekonesans często łączy się z nostalgią:

*Czemu o mił tyśkale oddaliłam się od ciebie
malenka traszko z płytkiej kataluty*

(*Nostalgi*)

*jakże zszarzał ci świat
jakże ci zszarzał to świat od wtedy*

(*Lato w wieście*)

Zainteresowanie folklorem i kult ziemi, o czym wnikliwie pisał m.in. Jerzy Kwiatkowski, są wyrazem poszukiwań nie tylko chłopskiej, ale uniwersalnej natury bytu. Ucieczka, czy też zwrot w stronę wiejskich cnót wyraża potrzebę moralnego i duchowego odrodzenia. Wynika to nie z potrzeby oddania socjologicznej prawdy o życiu wsi i jej zjawiskach; jest to raczej poszukiwanie sacrum, sięganie w głąb korzeni, wiara w trudną harmonię bytu. Zwrot w kierunku wartości pierwotnych, do dziedzictwa kulturowego odwołując się również psychiczne potrzeby poetki, jest ocaleniem duchowej podmiotowości.

Z pełnym zachwytu spojrzeniem poetka studiuje otwartą Księgę Natury; w jej wierszach cmoją wieślowiki, „kani woła o deszcz”, człapią jeże, rzekł złością koryta, pachną akacje, głos piewika „talczy w upale”, dzika firleka śmiga przez trawę – dynamizm przyrody wyzwala z więzienia totalitarnej epoki. Ziemia – ontologiczne oparcie człowieka, esencja bytu – zadziwla pięknem i tajemnicą istnień. Jest w tym tyle sentymentalny zachwyt nad przyrodą, raczej panieństwiej niaza świata, w której Bóg przejawia się w każdym żywym stworzeniu, ale jest równocześnie transcendencja.

Człowiek wtapia się tutaj w przyrodę, przywiera do ziemi „czujnym uchem” (*Moment przed burzą*) i na odwrót, przyroda personifikuje się w nim:

*wymiana dopełnienia
drzewo w nas a my w drzewie
przekazani na trawie
liść przez liście mnożeni*

(*Pralini*)

Świadomość przenikania się różnych gatunkowo stworzeń (człowiek i roślina) świadczy o intensywnym odczuciu przyrody i jej praw, a tym

samym jest to odkrywanie prawdy o organicznej jedności świata, poszukiwanie wspólnego języka, docieranie do istoty natury. Skoncentrowanie się na najprostszych prawdach tkwiących w organicznych związkach człowieka, ziemi, natury, to także świadomy wybór światopoglądowy. Koziol rozumie prawdę, że ojczyzna poetki jest język i jak Miłosz, czy inni emigranci, odczuwa zagrożenie wszelką obcością; to zagrożenie dotyczy w szczególności własnie słowa: „Nie, nie wyjadę na zachód ktoś musi doglądać ojczyzny / zaglądać pod podszewkę literom życia i praw”.

Jej dialektyzm, stylizacja, a także jej pewna starożytność i zaangażowanie w sprawy społeczno-polityczne (*Czarn buntu*, *Legenda gołębia*, *W rytmie słonecznika*, *Nie spojrzysz prawdzie w oczy*) to akcentowanie autentycznych związków z rodzimą tradycją i kulturą, z konkretnymi wydarzeniami i przeżyciami. Poetka nie stroi się w obce piórka, zarliwie manifestuje poetycki etnocentryzm, zaznacza swoje przywiązanie do ziemi, obyczajów i do ludzi, którzy przeżywają swój los autentycznie, bez fałszowania. Zwrot do dawnej kultury to także próba ucieczki ze zdesakralizowanej przestrzeni współczesnego świata. W tym wymiarze zdaje się podzielać diagnozę Miłosza, iż bodaj największym zagrożeniem jest dzisiaj erozja wyobraźni religijnej. Stąd też dla Urszuli Koziol dialog z ziemią, z prostym człowiekiem i małą traszką – to także dialog z Bogiem, z kosmosem.

Oprawdazana przez bałkę po zawyżach ścieżkach niesamowitych opowieści i mrocznych baśni, stale doszukuje się w świecie czegoś fantastycznego, jakichś ukrytych sensów. Przy pomocy baśniowych rekwizytów (grzebień, lusterko), zaklęć i zamawian Koziol rozprasza nadciągające ciemności, egzorcyzmuje zagrożenia, usiłuje powstrzymać czas (inc. *Od pewnego czasu*, *Tysiąc i jedna noc*).

Szczególności sensu nabiera magiczne Słowo, za którego pośrednictwem dokonują się owe zaklęcia. Sakralno-modlitewny charakter tej poezji, „starodawna uroda”, archaizacja, aluzje do pieśni ludowych, litanijskie zawołania, oddają tajemniczość życia, jego urok, blask i cień. Słowo poszerza swoje przestrzenie, a tworzone obrazy oddają swoją głęboką sensy.

Dwa są więc źródła tej poezji: dotarcie do „pra”, „arche”, do wnętrza psychiki ludowej, a raczej uniwersalnej, bo odziedziczonej po przodkach, oraz dotarcie do prawzórów mowy, języka, tajemniczych szyfrów i symboli.

Telluryczne wyobraźni Koziol towarzyszy ambiwalentne poczucie zagrożenia ze strony natury. Rozrastający się świat grozi katastrofą (*Biocenoza*, *Co dojrzewa*), dlatego dotychczasowy zachwyt nad gęstością świata przetrada się w lęk przed okrutnymi prawami przyrody. W parze z potęgującą się niechęcią do natury, z poczuciem dwiowości tego, co nas otacza, idzie niechęć do naturalny porządek życia i umierania; nasila się posepna nuta egzystencjalna. Świadomość przemijania, obecna we wszystkich tomach poezji, nabiera dramatyzmu w *Zalutku*. Wciąż pobrzmiewa tu goetowskie echo „chwilo trwaj!”; coraz częściej jednak dominuje smutek, lament, żal i strach:

*spuszczona ze złotego kurechawa
ciemność*

miłkliwe
już ci skazce do gardła

(Twój chensury anioł)

Świadomość, że każde życie jest tylko „byciem w określonym czasie”, to także zrozumienie własnej bezsilności wobec odwiecznych praw natury. Poetka nie poprzestaje jednak na wyrażeniu swej beznadziei, lęku. Obrona przed rozpaczą jest humor. Biesiadny, plebejski w najskrajniejszych swych przejawach humor częstokroć łagodzi siłę pesymizmu: *Nadobiasz mię / a lata płyną / Imię jak kłódę / las pcha na wodę (...)* *Król na polowaniu / brzołowa przy nodzie / reszta nad wodą wielką / i czystą / różno rżnie w brzdzie (Lato w mieście)*. Pierwszy cytowany fragment, katarynkowa rymowana stylizowana na pięciogłoskowiec księdza Baki, stanowi część znakomitego poematu wyróżniającego się wyrafinowaną formą, poprzez którą Koziół tworzy własną sztukę poetycką.

Polifoniczność, stylistyczna różnorodność składają się na wielobarwną zabawę poetycką. Podział poematu na samodzielne części znaczeniowo oddaje wyraźnie fragmentaryczność widzenia świata, jest to wybór pewnej koncepcji sztuki oraz artystyczny światopogląd. Utwór łączy różne fragmenty, te zaś odsłaniający robią na „ocelinki” („wycinanki”) rzeczywistości. Urszula Koziół jest jednak poetką całości bytu, jej twórczość daje się sprowadzić do „folklorystycznego” wymiaru. Mozaikowość formy jest więc próbą zrekonstruowania Całości. Podparcie elementów rzeczywistości, które nas współtworzą i którymi sami jesteśmy, znajduje szczególny wyraz w afirmacji świata, w cudownym wprost zadziwieniu jego urocią. A także, a może przede wszystkim w miłości: *próbuję li tylko sobie zagarnąć cały blask / późnego września / który właśnie rozciąga mnie od brodołka mnie, rzekę i siebie (W jednej chwili)*. To miłość do każdego drobiny bytu, do każdego bliźniego, roślin, zwierzęcia.

W świetle rozbitych wartości, zdewastowanym przez przemoc i nienawiść, ta szczególna funkcja słowa poetyckiego nabiera ogromnego znaczenia. Autorka *Zabuka*, świadoma cywilizacyjnych zagrożeń, zadaje nurtujące pytanie: „Jak ocalić godność bycia człowiekiem, tu i teraz, podczas gdy świat zagrożony jest przez agresję, zniszczenie i zapaść, którym nie widać końca” (*Poezja i miłość w świecie* – wystąpienie wygłoszone na Międzynarodowym Biennale Poezji w Liège, „Odra” 1994 nr 10). Odpowiedź jest jednoznaczna: przez miłość. To zasada podstawowa etyki, wyrażająca respekt i czułość dla każdego istnienia („małe, wrażliwe byty”, j. w.) – to najistotniejsza forma egzystencji. Poetka zdaje się powtarzać za Norwidem: *Z rzeczy świata zostają tylko dźwię, Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nie...*

Alina Witko-Dłuska

MAGDALENA JANKOWSKA

Zrozumiała skąd ten przymus

Opowiadał wiele razy te same zdarzenia
Opisywał miejsca i ludzi – rzeczywistość
która już nie była jego Do końca dużo mówił

A ona stoi nad stłuczonym lustrem Lustru
w odłamkach powtarza obrazy

Wyciszenie

już we mgłę pościeli
giną ogniki papierosów

na niebie stygnie
nasienie gwiazd

Odszedł kilka miesięcy temu

Pijana bardziej od wszystkich
w tańcu ciągle kogoś głaszcząc
do kogoś się tuli

Mówi że sernik nieudany a tak
się starała Na twarzy rozmazany
uśmiech tuż i tży Mówi że jej
nic nigdy w życiu nie wychodzi
Ciągle rozstawia palce na stołiku
i powolnym ruchem zamyka w dłoni

Ta rozgwieżdża otwiera mnie
jak skorpuk mięczaka i trawi
trawi

Przysłówek już

Rachityczne drzewko naszego języka
podparte żerdzią zrucanego cienia
z innej strony przed z innej po południu

Sygnatura

w oknach wagonu japońskie drzeworyty
czarne nerwy tuszu na ognistym tle
rozlanym wzdłuż horyzontu
i odległe dachy jak wzburzone fale

a jeszcze rano był tu swojski konkret
przydrożne akacje pozabawione liści
i przestrzeń bez tęsknoty
z powidokiem w duszy

teraz nad należowym widmo
rozproszone po stożku nieba
siedem barw skupionych w tęczę
sztańdaru nad muzeum spółdzielczości

i już filozofia bytu zastawia pulapki
noc zmiata pejzaże
zostawiając tylko prostokąty światła
w szybie pociągu moje własne odbicie

Młodzi

fala życia leśko ich niesie
barwny wiek na wodzie spławik
znikający pod ciężarem zdobywczy

Nad ranem

w falach dnia nagich ciał
noc tonie
jak kotwica

Nadmorska plaża

ludzi tu jak kamieni
i jak wśród kamieni
pięknym światłem blyszczą te
których dosięgły fale
nocnego przypływu

Magdalena Jankowska

STANISŁAW ROGALA

Strażniczka

Jedyną rozrywką pensjonariuszy Domu były spacery, czyli przechadzanie się grupami po zdziczałym parku. Za posłuszeństwo i pokorę wobec administracji można było otrzymać pozwolenie na spacer *indywidualny*. Często nagrodę tę zdobywała Zenobia. Należała przecież do najbardziej posłusznych i wyróżniających się w pracy pensjonariuszy. Czyściła zabrudzone parkiety, kalfowała pięce, reperowała połamane poręczce foteli, cerowała porwaną tapicerkę. Nawet uzupełniała obłuczne gipsowe stuki na korytarzach. Prawdopodobnie gdyby jej tylko pozwolono, sama wyremontowałaby chyłką się ku ruinie dwór.

Pracowitość wyjednala jej szczególną pozycję. Była kimś pośrednim między pensjonariuszką a pracownikiem do *specjalnych poruczeń* i podlegała tylko dyrektorem. Nawet wszechwładny portier, Szymon, był pracownikiem NKWD, nie miał prawa zatrzymywać jej, gdy przechodziła obok *portierni* – śmierzącego pomieszczenia w kącie dolnego holu. W chustce na głowie, wywiązanej w sposób, w jaki żadna z miejscowych kobiet tego nie robiła, w roboczym fartuchu, o starannie ułożonych faldach, albo w spódnicy kłosowanej z przodu i z tyłu – pojawiała się często na drodze prowadzącej do wsi lub przez kamienną między drzewami parku. Zawsze schludna, niemal elegancka. Nie wchodziła do wsi, przysiadła na jednym z odzinków dawnych parkowych drzew i obserwowała zagrody. Ludzie mówili: – Stara stróżuje – i obchodzili ją z daleka. Nieraz przesiadłaś cały spacer. Jej oczy nieruchomieły, pierś poruszana oddechem zamierna, podobnie ręce – posągowo spoczywały na kolanach. Nieoczekiwanie uśmiechała się, odruchowo poprawiała niesforny kosmyk włosów wyłazających spod chustki i poruszała wargami, jakby szepiała. Tylko widok dziecka natychmiast przerywał jej stróżowanie – poprawiała się na odzinku, nuby szukając wygodniejszej pozycji, lub wstawiała i szła w kierunku brzoza. Dzieciaki unikały jej jednak. Była bowiem postrachem okolicy.

Również kiedy ruszyła w stronę Tomka, chłopak zaczął uciekać.

– Chłopce, poczekał! – pierwszy raz pokonała w sobie dumę i odezwała się do małego.

Tomek przybył tu z ojcem w kilka dni po tym, jak instruktor powiatowego komitetu przeżył tragicomiczną przygodę kolumny. Instruktor prowadził wykłady dla pensjonariuszy Domu na temat nowych zadań

i kierunków działania partii po Kongresie Zjednoczeniowym. W związku z tym namawiał on dyrektora Doma, by ten za jego pośrednictwem, jako zjednoczeniowy czyn, przekazał na rzecz komitetu powiatowego konsolowy zegar. Ostatnim razem nie zastał jednak dyrektora w jego gabinecie, więc ze swoją nieodłączną teczką w rękę walał się po parku. Gdy zawędrował w pobliże mylna, nagle nastąpił wybuch. W powietrze wzbily się obłoki kurzu i mąki. Instruktor z przerażenia padł na ziemię.

Na miejscu wypadku pierwsza pojawiła się Zenobia i ona też odnalazła najpierw teczkę, potem instruktora. Był ciężko wystraszony i nie chciał uwierzyć, że żyje. Domagał się natychmiastowego poinformowania swojego komitetu o *klaskającym zamachu na władzę*. Gdy jednak całkiem oprzytomniał, wsiadł na rower i odjechał.

W tym właśnie dniu, po tajemniczym wybuchu, przybyli Tomek z ojcem. Zakwaterowani zostali w *romantycznej oranżerii* – małym domku położonym w najbardziej zaniedbanej części parku. Tak zczyli sobie ojciec, choć dyrektor chciał dać im *górny apartament*. Odsobnienie i dzika okolica pozwalały dyskretnie obserwować dwór i jego pensjonariuszy, samemu nie będąc zauważanym.

Ojciec tłumaczył Tomkowi, że przyczyną nieobrotowego zła na świecie są *wariaty ze dwora*, ognisko szpiegów, pańskich niedobitków i slugusów, którzy ostatnimi czasy tak się rozbestwili, że nawet w biały dzień prowadzą ćwiczenia wojskowe, przystojniacząc się do zamachu na władzę ludową. Od kiedy tu się pojawili, tajemnicze detonacje w okolicy mylna ustają. Ale wiadomo, wróg ludu jest przebiegły, przycylił się, by uderzyć... Gdyby to zależało od niego, już dawno by... ach! Wymażę taki raport, że towarzysze z województwa nie będą się zastanawiać, wytroni każdą gnidę, wybebeszy.

Chłopak czynny nie zważając na wołania Zenobii. Lecz następnym razem już nie uciekł. Był przekonany, że gdyby chociaż wciągnął go do swojego szpiegowskiego szajki, przed południem miała ku temu najlepsza okazja. Po wielu próbach właśnie dzisiaj udało mu się wytrącić wiejskich chłopaków, którzy zakopywali coś na skraju parku, pewnie dowody ku-hackiej działalności ojców, może broni... Wcześniej siedzieli ich przez leśniczkę, a przed południem wreszcie dopadł na gorącym uczynku. Ale koczobachy nie przetrzasnęły się jego plastikowym pistoletem. Oderwali mu go i zaczęli okładać pięściami i kopytami. Z pewnością zaciąkali go jako *pesperowca i raskiego*, gdyby nie pojawiła się Zenobia. Przepędziła chłopaków, a Tomka, obmywszy w rzecce, odprowadziła do domu w parku.

Teraz stała na drugim brzegu rzeki i cicho prosiła, żeby nie uciekał. Chce tylko porozmawiać. Ma anżykowe cukierki.

Nie anżykowe cukierki skłoniły go do porostania. Słodczy miał, ile zapragnął. Ojciec kochał go i powołał na bakły. Ani nie wdzięczność za obronę przed chłopakami, W staruszce było coś, co przyciągało; coś, co nakazywało mu skradnąć się nad brzeg rzeki skoro tylko zauważył ją kroczącą od strony *Wariatkowni*. Zapłatał.

– Skąd, się tutaj, babko, widzicie?

Zenobia, wyglądająca na wickową osobę i choć starała się ubierać schludnie i elegancko, jak na to pozwalały paski odzieżowe przychodzące do Domu Opieki i humory pana dyrektora, sprawiała wrażenie osoby biednej. Pytanie małego zaskoczyło ją. Nie podejrzewała, że dziecko może

mieć tak donośny i dźwięczny głos. Strzepnęła ze spódnicy pył, który niewiadomo kiedy przyczepił się do niej, podwinęła obręb wystrzępanego rękawa i powiedziała nazbyt głośno:

– Ja stąd... z Domu Opieki.

Była wystraszona.

– Nie kręćcie! Tata mówi, że w *Wariatkowie* tylko gniebiące ludu mieszkają.

Och, czego ten chłopak został nauczony? Zenobia skuliła się, ukłucie w piensiach, które zwykle nachodziło ją w chwilach wzruszenia, usiłowała przyciszyć dotykem ręki. Kiedy bóg mijał, wyprostowała się i chciała powiedzieć chłopakowi, że nie powinien tak mówić, okejce okłamał go... Tomek, strącając wiklinowym kijkiem główki traw i kwiatów, głośno powgizdując, odchodził wzdłuż rzeki. Nie miała siły krzyknąć za nim, by powstrwał.

Ala przed wieczorem nieoczekiwanie stanął w drzwiach jej *piwniczki* i się rozglądał. Postanowiła zaprosić go do środka, choć to było wbrew regulaminowi. Postąpiła dwa kroki i dotknęła jego rękę. Wzrygnął się, lecz nie uciekł. Po chwili utmieszał się, więc poszła jej jeszcze dalej. Przygarbna jej kędzierszawa głowę do siebie, przytuliła do fartucha.

Fartuch nasaczony był dziwnym zapachem, jakby twarda na mowę, a może to była tylko zadniebiała starość. Wyrzucił wciągnęte twarz między jego faldy. Tak przytulała go babka, dopóki miała siłę i dopóki nie kazała się im wprowadzić z domu z powodu nieustannego inwigilowania przez ojca uczciwych ludzi. Spódnica babki pachniała podobnym spokojem i ciepłem. Mimo wrażenia zaduchu pozostałaby między faldami aż do uduszenia. Ciałem staruchy zaczęły wstrząsać skurcz. Oderwał więc twarz od jej brzoucha i spojrzał do góry. Plakała. Nie wiedział, dlaczego płacze, Obławy go fale gorąca i zimna. Musiał ją czymś urazić. Począł na twarzy płomienie. Przestraszył się i czynnywał do parku.

Zenobia stała nieruchomo. Nie dziwiła się ucieczce chłopaka. Nazbyt mocno przycisnęła go do siebie, więc spłoszył się. Dziśkac. Tak wycho... Czy mogła oczekiwać więcej? Patrzyła za nim z zachwytem. Ale koczobachy między krzakami jego jasna czupryna.

Jej Andrzej nie uciekałby. Byłby starszy. Urodził go na dalekiej północy w kilka miesięcy po *przejściu przez trumny*. Ona jemu dala życie, a on ją ocalał. W Jercewie ciężarne kobiety były zwalniane od pracy na trzy miesiące przed rozwiązaniem i na szkieło po urodzeniu dziecka dla odkarmienia go. Po tym okresie Andrzej został jej odebrany i wywieziony w niewiadomym kierunku. Ala przez te dziewięć miesięcy odżyła, nabrała sił do dalszej poniewierki... W myślach nazywała go Andrzejem. Miałby jędenaście lat i niebieskie oczy jak porucznik z Młodyczewa, który często spoglądał na nią przez ogrodzenie żony...

Zawstydzila się.

Wstrząsnęła głową i przetarła zmęczone oczy. Jasna czupryna Tomka jeszcze raz mignęła między krzakami.

Następnym razem Tomek o nic nie pytał, ani nie podejmował prób ucieczki. Prosił, żeby opowiadała mu bajki. Miejsce, w których przebywali, szczególnie temu sprzyjało – stara wieżba w północnej części parku, o gałęziach obwieszonych do ziemi, tworzących niby ściany. Zenobia nazywała je *altaną*. Miejsce nadawało się do tajemniczych opowieści, lecz

ona nie znała bajek, a te z dzieciństwa zatarły czas. Wspominając swojego Andrzejka, nigdy nie pomyślała o bajce dla niego. Wystarczała jej rozpac. Kiedy przyznała się do tego, Tomek powiedział:

— A niektórzy dorosli umieją wymyślać bajki.

Zapadło milczenie, które pierwszy przerwał chłopak.

— Babko, ktoś nas śledzi. O tam, za krzakami przykucnął jakiś cień.

— Niech śledzi. Ja nie mam czego ukrywać. Ty chyba też? — udawała, że lekceważyła te informacje. Śledzenie ich było całkowicie możliwe. Już nieraz zauważała cień przemykający między krzakami, kiedy pojawiała się w parku.

— Ojciec mówił, że byłoby lepiej, gdybyście stąd wychcieli. Inni też tak mówią. Ale ja tego nie chcę. Dla czego oni tak mówią?

— Nie wiem. Niech sobie mówią. — Ona nie może stąd wychcieć. Nie ma innego domu. Tu jest jej ciepło, syto, w porównaniu z Jercechem czy Koszajem — ludzka ziemia... Musi zostać tutaj i dbać o dwór. Czyścić jego wiecznIE ubrudzone posadzki, kaflowe piec, cerować snującą się tapicerkę, nawet uzupełniać gipsowe sztukki, żeby nie skuli dla wygod. Ratować, co się da... Podglądacze nie są straszni. Nawykła już. Mają takie sobacze zadanie. Jej stąd nie wolno...

Jednak zdenerwowała się. Mówiła coraz szybciej i chaotycznie. Rece zaczęły jej drżeć, słowa rozmywały się, a oczy niespokojnie biegały po krzakach.

Chłopak jednak żartował w tym cieniu. To tylko gałąź przcinająca smugę słońca. Przyznał się do żartu, lecz starucha nie chciała słuchać wyjaśnień. Wstała i zaczęła odchodzić. Wołał za nią, ale nie wracała, nawet nie obejrzała się. Poczuł się głupio.

Rano dyrektor zabrał ojca Tomka na polowanie. Ubek za dużo wgrzeszył, za często pytał o niego. Należało jakoś go czymś przemyślniejszym, pokazać uroki życia na wsi, pełnić uspokoić do siebie. Nie pora co prawda na polowanie, wszelkako zwierzyzna i pracowność pod ochroną, ale jego, w towarzyskie takie władzy, nikt nie będzie pytał o porę. Więc poszli na polowanie, a ona, Zenobia, posprzątała dawne salony, które teraz zajmował dyrektor na prywatne mieszkanie, podzyskowała ryby i ruszyła do ofenski. Może czeka tam Tomek? Chciał rozmawiać z nią po śniadaniu, lecz Szymon nie puścił go do pensjonatu. Przepędził pokrzykując: Niezjal! Niezjal!

Sprzątanie salonu nie zajęło wiele czasu. Z jego dawnego umeblowania nie zostało. Łóżko przeniesiono z *zaułkowego pokoiku*, czyli dawnej wypalanej pianek, stół służebny z kuchni pełnił rolę biurka, prócz tego trzy krzesła i fortepian. Nie było czego wycierać z kurzu, przestawiać. Przy patroszeniu ryb, mimo popiechu, zeszło jej najdłużej, niemal do południa. Później będzie mniej pracy. Spieszyła się, a jednak południe zastąpiła jej jeszcze w pensjonacie.

Tomek czekał w *salonie* trochę już zniecierpliwiony. Ledwie pojawiła się, natuś opryskiłwie.

— Gdzieżcie się, babko. Już miałam sobie pójść.

— Niepotrzebnie się irytuję. Stara jestem, pospieszyć mi się trudno, a roboty wiele. — Ona już *dochodziła*, taka co dochodzi swojego kresu. Chciałaby jeszcze pobyt tutaj, popatrzeć na pola, na park i czworaki, z których niedługo zostaną same piwnice. Postróżkę, jak mówią o niej lu-

dzie. Jakżeby bez niej to wszystko... Nie spieszą jej do obowozów towarzyszy, którzy zostali... niech ładnie mówią, co chcą.

— Tomku, chciałeś coś...

— Powiedzieć, babko, kto to jest ten dziadga, który nie pozwolił mi iść do was?

— Dozorca, portier, znaczy się. Taki nakaz dyrektora...

— Trzeba mu się przyznać. Powiem ojcu, żeby i jego...

— Tomku!

— A może i wy, babko, jesteście duchem zgniełego kapitalizmu? Ojciec słyszał, że wy tu strażniczkę...

— Nie, nie! Ludzie płota. — *Duch zgniełego kapitalizmu!* Gdzie się dzieciak nauczył takich słów? Co one znaczą? Nigdy nie mogła zrozumieć takiego języka. Ludzie płota. W innych dworach są białe damy, krwawe widma, potępione dusze, a w Zagajnikach perenajazuska, co stróżuje za życia...

— Skąd wy jesteście?

Dzielać już dwukrotnie zadawał jej to samo pytanie. Jakby przesłuchiwał. *Kada rodila? Otakda proischozhdite!* Pytania, po których zawsze następowało bicie albo na całą noc do kandelja — zimnego karceru.

— Ja stąd, z Durni Opieki, znaczy się... co innego mogła powiedzieć. Ze ją amnestia objęła dopiero po wojnie? Kiedy przybyła do kraju wszystko wyglądało inaczej niż kiedyś. Pobyt w Koszaju zmienił jej twarz, jej figurę. Z głodu, z zimna, pracy i śmierci grożącej w każdej chwili postarzala się o wiele lat. Najbardziej się wycieńczyło było znaleźć się w Zagajnikach, ukryć wśród umysłowo chorych. Tym bardziej że amnestia nie zwalniała od ciągłych podejrzeń, domosielce szaleń, a z nimi ludowa milicja. Dlaczego chłopak w to wątpi? Przesłuchuje ją?

— Jak wy nie jesteście *duchem* ani szpiegiem, to na pewno... Babą Jagą, Cha, cha, cha... Ale ja się nie boję i Baby Jagi — chłopak zmienił się nagle. Przesłał był śledczym, stał się dzieckiem. Biegł wokół niej i śmiał się. — Chciałbym spotkać prawdziwą Babę Jagę. Ooo!... Kraaa, kraaa!... — zwieczrzył włosy, udawał straszyle i coraz mocniej z niej żartował.

Przebaczyła mu natarczywe pytania, przederżanie głosu, dzięki taniec wokół jej osoby, a nawet próbę udowodnienia, że ze sposobu wiązania chustki, haczykowego nosa i zapadniętych policzków na pewno jest Babą Jagą... to wszystko wybaczyła. Lecz kiedy do jej ręki wcisnął obciążoną gałąź, a drugie ramię podniósł do góry, chustkę przywisał do gałęzi niby chorągiew i zaczął udawać pełnego stracha straszącego zaszewów, poczuła się dotknięta. Odrzuciła wierzbową patyk, zabrała chustkę i zdecydowanym krokiem odeszła od niego. Mężczyźni niedługo wrócą z polowania, będzie dużo roboty. Nawet się nie obejrzała. A chłopak długo śmiał się i tańczył wokół wyimaginowanej Baby Jagi.

Ledwie mężczyźni wrócili, zaczęło się krzątanie wokół hrabiowskiej kolacji. *Hrabiowską* określał dyrektor każdą wyzerkę połączoną z picciem śmierzącego samogona i wizytą *dam* z Chmielnika. Przynieśli z polowania dwa zające i hojną sarenkę, która jakoby złamała bieg i należała ją dobić. Zenobia mogłaby przygotować z niej smakowity comber w śmietanie, rzymską pieczeń czy nawet udziec w miodowym cieście, lecz czy to ktoś doceni, poza prawdziwy smak? Im wystarczają kawał ugostowane-

go i nieco podpieczonego mięsa, ociekającego tłuszczem, i szklanice. Również nad rybami nie będzie się rozczulać. Wczorajszego szczeniaka zapieczętował w warzywny, z kuchni przyniesie śledzie, które *dojrzejawia* w dębowej beczce. Mimo poproszenia dał roboty i tak będzie dużo. Kucharka przysłała do pomocy niewiele pomoże. Zna się tylko na *zalewajce* i *kapiuniaku*.

Gdy wniósła dymiące półmiski, mężczyźni mieli już mocno w czubach. Dyrektor polewał do szklanek i wznosił toasty za zdrowie kochanego Wodra, na pohybel kulakom. Dopytywał, dlaczego jeszcze nie ma kobiet z miasta, po które pojechał Szymon. Chciał zaimponować koleżdzi-towarzyszowi, że i tu nie jest tak źle. Może to wygnanie, zsyłka za party-ną opieszalskość, ale nie jest tak źle... i tu daje się żyć... kolega-towarzysz przekona się, nabierze chęci do pozostania, każda kobieta może być jego... no! za łaskawego Wodra...

Pojawienie się dam z Chmielnicy nie wnosiło nic nowego do zabawy. Przynajmniej w odczuciu Zenobia. Pojawiały się tu często, dobrze znała ich zachowanie, wiedziała, czego się spodziewać. Może tylko dla przyby-sza mogły stanowić atrakcję...

Ojciec Tomka pozwalał sobie dolewać, ale pil o ostrożnie. Musiał być trzeźwy, żeby analizować fakty, wysłuchiwać mowy z zachowania dyrektora. Na upicie się przyjdzie czas. O dyrektorze już co nieco ciekawego wiedział. Wczoraj, gdy spacerował po ogrodzie, usłyszał detonację. Później nie zwrócił na nią uwagi, choć znalazł starą kryję ukrytą w nadbrzeżnych chaszczach, a dzisiaj na stole pojawiły się ryby. To się ko-żarzą samo. Gdy patrzy na ryby, rośnie w nim oburzenie. Jemu i jego towarzyszom wystarcza marynowany śledź z szklanką gorzkiej. Kawał suszonej szoliny, podwójnego boczu. Tutaj szczeniak po grecku, sarska mięsa w sosie chrzanowym, jaj z szynką i... cholera wie. Jeszcze te ku-rewki, które *bardzo chętnie pożyczą towarzysza – sławnego obrońcę łodzi*, czyli jego. Tak nienawidzą kulaków, że gotowe iść z nim w łódź aż do puszczona z torbami. Prawdziwie cioty proletariatu, czy paskie wy-wolki? Musi je sprawdzić. Bo dyrektor wiejąc już całowicie stracił pro-letariacki wdech. Znow w luksusie się pławi, jak to było w Anielinie... Tylko że w Anielinie był sekretarzem, a tu... gównem.

Dyrektor był już pijany. Miał ochotę na miłość. Nakazał Zenobię się do fortepiana, który pozostawiał w salonie tylko dlatego, że nie mieścił się w drzwiach, a rozebrać go nie było kum. Lubił leżeć się przy dziewczęcych *zgniej* muzyki. Zenobia jednak nie chciała grać. Nigdy *zresztą* nie chciała grać, kiedy pijany dyrektor zalecał się do *dam*. Wolała obelżywe sło-wa, nawet kopniaki. Wiele i tym razem dopadł do niej, uderzył w twarz, a kiedy pochyliła się, chcąc uniknąć następnych ciosów, kopnął. Potoczyła się po schodach w dół. Nie słyszała jego przekleństw, nie czuła bólu. Z trudem powiodła się do swojej izdebki w suterenie.

Nie wierzyła oczom. Na jej sofie, cudem ociekającej z alkoohu, ktoś spał. Jasna czupryna wysuwała się spod kocy. Tomek! Na stole leżały poroz-kładane obrzydki: Matki Miłosiernej, Pocięzkiej, Bolesnej, Piotrowskiej. Na krześle dwa krucyfiksy, o ścianie stała oparta biskupa laska ofiarowa-na przez świątobliwego Augustyna Losifowicza, z kóra przywędrowa-ła pieszko do chmielnickiego kościoła w ramach piteńskiej wędrowności po parafach. Obok niej święty Trytyk, z którego zdarto kilim zastaniający przed niepożądanymi spojrzeniami. Na bocznym stoliku i na okienym

parapecie pastyki, ogryzki grmnie. W kątku między sofą a poszarpa-nym fotelem dziadka Florentyna figurka Pięknej Madonny Piotrowskiej. Któs wydosłast świętości że schowków za sofą i z kredensu i porozkładał je po izdebce.

Wszystko to pozostawiła Zenobia do swojej izdebki z górnych pokoi, kie-dy obecny dyrektor zaczął wprowadzać własne porządki następnego już dnia po pojawieniu się w Zagajnikach. W nagłej chęci udowodnienia ko-mitetowi, że jeszcze nie jest *ideologicznym trupem*, że ciagle można li-czyć na niego, nakazał natychmiast usunąć *symbole religijnosci*. Zada-nia tego podjęła się Zenobia ku zaskoczeniu Szymona i samego dyrektora. Ręce jej drżały, nogi uginwały się, z oczu płynęły łzy, gdy zdejmowała ze ścian, ze stolików i biur, z domowych otulaczy krucyfiksy, pastyki, figurki, obrzy i przenosiła do swojej izdebki. Ocalała znaczną część przedmiotów.

Pokonana zaskoczenie i zbliżyła się do sof. Chłopak oddychał spokoi-nie, spał w najlepsze. W prawej piastce, która wystawała spod okrycia, ścisłaski krzyżyk Florentyna, z którym dziadek wraz z powstającą partią przewędrował świętokrzyskie lasy, a potem przemierzzył pielgrzymi szlak Polaków na Drezno i Paryż, by powrócić z początkiem nowego wieku i dokonać żywota w Zagajnikach. Krzyżyk był rodzinnym talizmanem. Zenobia zwykle nosiła go na piersi, lecz w obawie przed profanacją pod-czas *hrabowskiej kolacji* schowała go głęboko w szufladzie. Dzieciak jednak znalazł. Mimo smu piastka była mocno zaciśnięta, delikatnie palu-szki nie chciały ustąpić i wypuścić krzyżyka, a bądz chłopca nie chiał-ła. Zaczęła głaskać jego jasną czuprynę. Tak na pewno syział jej Andrzej – spokojnie, z ufnością do świata.

Nagle drzwi izdebki uderzyły o ścianę z takim impetem, jakby ktoś chciał wyrwać je z obramowań i ukazać się w nich ojciec Tomka. Był pijany, dyszał nienawidzi.

– Ty imperialistyczna diwko!

Chwycił ją za włosy, rzucił na środek izdebki. Chłopaka szarpnięciem za wystającą spod kocy ręk postawił na nogi. Krzyżyk wysunął się z dziecięcej piastki i z brzękiem spadł na posadzkę.

– Ty dzwiko!...

Chciał kopnąć leżącą Zenobię, ale zachwiał się. Polecał na nią. Święte przedmioty zgromadzone na nim posypały się na podłogę. Depcząc po nich poszedł w stronę drzwi. Ciągnął za sobą przerażonego Tomka.

Zenobia z trudem dołwoliła się do sof. Była jeszcze ciepła i pachniała dzieckiem.

Zauważyła go, gdy przebiegał między pierwszymi krzakami parku a zabudowaniami dworu. To mignięcie przylżyła za złudzenie. Również słu-szanie stukotu w szybie nie potraktowała poważnie. Dopiero kiedy stu-koł stał się niecierpliwym, przerwała oglądanie rodzinnego talizmanu.

Po odpochnięciu na sofie przywróciła izdebce właściwy porządek, po-chowała przedmioty w swoich kryjówkach, oplakała skurpity potaczno-nych figurki i właśnie oglądała krzyżyk Florentyna.

Słyszając odgłosy skądinąd się kroków, mocno zaciśnięta dłoń, ukry-wając w nich dziadkowska pamiętka, skoczyła pod ścianę i przywarła do niej. Drżała. Kiedy stukot w szybie powrócił się, uniósł głowę i spoj-rzała przez okno. Tomek. Chłopiec dawał pośpiezane znaki, żeby otworzyła.

Strach jednak jej nie opuszczał. Do pensjonariuszy nikomu nie było wolno przychodzić pod najsurowszą karą. Dyrektor znowu ostrzegł ją, że dochodzą go słuchy, iż balałucci dzieci. Niech się strzeże, bo!... Wysłkiem woli podesza do okna. Lekko je uchyliła i wyszeptała, żeby zmykał.

— Poczekaj w parku. Zaraz tam przyjdę. — Nie mogła przepędzić chłopaka tylko dlatego, że chciała ratować własną skórę.

Tomek zeszkocił z gryzmu i śmiału między krzakami. Chyba nikt go nie zauważył? Strach opadł. Przysiadła na kulawym krześle głośno oddychając. Po chwili się zwała. Z pospiechem zaczęła uplatać warokoz i porządkować miedzą gderobów. Niezauważenie widać będzie trudno, ale przecież wszyscy wiedzą, że dyrektor często wybrósza ją przepustką. Szymona, tego psa, uida się ostrząk, byle i czym oblaśkawić. Ciemny jak tabaka w rogu i niewolniczo łasy na podarki. Gdzieś w kieszeni fartucha ma jeszcze amerykańskiego cakiera.

Chłopak był w altance. Stał przylutno do wierzb. Gdy zauważył Zenobię, skoczył. Nimi zorientowała się i zdążyła zaprotestować, pochwylił jej suchą dłoń i całował. Poczuła się bardzo zawstydzona. Już dawno, bardzo dawno nikt jej nie całował w rękę. Nawet dziecko. Raczej ona całowała... o kawalek glinianego cłbka...

— No, już. Daj spokój — protestowała cicho. W pierniach znowu zakłuto. Tym razem znacznie mocniej. Ale nie wolno jej było tego okazywać. — Tomek, dajże spokój. — Pierwszy raz zwróciła się do chłopaka po imieniu. — Co się stało? Powiedz.

Długo zbierał się, wycierał rzy napływające do oczu, pociągał nosem. — Tata... znalazł listy, co przysyłał mamę... porwał i spalił. Krzyczy, że nie wolno mi znać tej *imperialistycznej suki*... mojej mamy...

— O Boże! Tomek, dlaczego jesteś tylko z ojcem? Gdzie twoja mama?

— Mama odeszła z panem w mundurze, przed którym ojciec zawsze stawał wyprężony i potakiwał: *Tak jest! Rozumie się!* Wtedy, gdy pan sędzia powiedział... że nie będę... już jej — płacz stłumił słowa.

Mocno przyluliła go do siebie.

Już wszystko wiedział, mógł nawet zamknąć dochodzenie, aresztować, kogo należy. To dyrektor był szefem bandy, łatwo się udogodzi. Dla zagłuszenia odgłosów ćwiczeń w lesie i przygotowań do zamachu na władzę *banili się* granatami. Rzucił je do rzeki, niby dla ogłuszenia ryb, które smakowicie, co trzeba przyznać, przyrządzała stara wariatka. Sprytnie pomyślane. Dyrektora z samego rana zakula w kajdanki, pozostałych się wytapie, gdy otrzyma pomoc... Pełny sukces. Tylko chłopak się zawiaszył. Zniknął w parku, który jest okropnie długi. Dawne kaziaki, *zródek*, miejsca intymne — te wszystkie pańskie zbytki — zamienią się w niebezpieczne bagniska i chodzenie. Poszedł śladem syna. Chłopak w każdej chwili mógł wpaść do wody, przeziębienie się albo złamać nogę między głazami skarp. Trochę za mocno go poszarpał. Był wzburzony odkryciem listów matki. Sentymentalne bzdury. Już myślał, że chłopaka uodpornił na nie... Tomek zniknął od dawna, ale on, wiecznie zapracowany, nie mógł go lepiej dopinować. To nieprawda, że powierzono mu zadania w Zapiłnikach są karą za zadenuncjowanie żony, która miała powiązania z imperialistycznym wywiadem przez wujka z Anglii. Naczelnik wydziału nie chciał wierzyć, więc wyższej władzy przedstawił dowody na jej zdradę. To oczywiście, że naczelnik chciał ją mieć blisko siebie. Była jego ko-

chanek... Też trafił za kratki... Zdecydował odłożyć wszystko i pójść za synem. Od kiedy tu przybyli, wymyka się coraz częściej spod kontroli, chadza swoimi ścieżkami. Ostatni przypadek u Zenobii jest dostatecznym ostrzeżeniem. Byłaby tragedia. Gdyby nie zaufanie partii i przełożonym, którzy przysłali go tutaj ze specjalnym zadaniem rozpoznania szczególnie szkodliwej organizacji kulackiej, szykującej się do przejęcia władzy...

Miedzy krzakami mignęła jasna czupryna i znikła. Przyspieszył kroku. Kiedy wychylił się zza krzaka, chłopaka nigdzie nie było.

Siedzieli w cieniu sprchniałej wierzb. Cienkie gałęzie drzewa tworzyły ażurowe ściany. Mocno liść przesłaniały. Chłopak trzymał głowę na kolanach Zenobii. Ręka staruchy spoczywała na jego głowie. Palce pieszczotliwie przebiegały we włosach. Mówiła cichym, spokojnym głosem.

— Pytales, skąd jestem? Po co ci to wiedzieć? Nie wystarczy, że jestem? Mogłam nie być, ale jestem. Jak ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiał i nie przestraszyl się? Żebyś jednakowoż zrozumiał mnie, ale i ojca starał się zrozumieć. Twój ojciec zaprzedał się szatanowi...

Skoczył. Szarpnięciem za rękę odrzucił chłopaka na bok. Staruchę uderzył, aż spadła z korzenia. Zaczął ją kopać i wyzywał od obowoznych wywół, pańskich kurew, kapitalistycznych szmat. Przestał dopiero pod wpływem wrzasków Tomka. Podbiegł do dzieciaka, uniósł go na rękach i obcałował, poszedł w stronę służbowego domku.

Kiedy przechodziła obok werandy, przez otwarte okno gabinetu zauważyła dyrektora. Stał pod ścianą ze skutymi rękami. Ojciec Tomka kręcił korbką aparatu telefonicznego i krzyczał do słuchawki:

— Halo! Halo! Komenda?!... Halo!

Nagle rzucił słuchawką o ścianę i skoczył w stronę drzwi. Ledwie zdążyła czyniąc w winogrona obrastające werandę, Pobięł w stronę Ciemielnika. Przeczniwała, że niedługo jawni się policja. Zabiorą dyrektora, ale czy ją oszczędzą? Jej święte pamiątki? Przestraszyła się. Musi je zabezpieczyć, lepiej ukryć. Zaniesie je do kościoła, choćby ksiądz dziekan nie był temu rad. *Córko, tylko to ostatecznej konieczności. Bóg chciał, by mieszkać wszędzie, nie tylko w kościołach. Przemyśleć to ostatecznej konieczności.* Wtedy uznała radę kieżdza kanonika za słuszną. Dyrektor polecił symbole religijne usunąć, ale nie nakazał niszczyć. Sytuacja nie wydawała się ostateczna. Teraz jest znacznie, znacznie, gorzej. Ruszyła ku swojej izdebce.

Polna ścieżka, miedze, którymi szła, by skrócić drogę do kościoła, nie sprzyjały polchowcom. Co chwila ktoś z krzyczy albo jakiś obraz wyuważył się z rak. Podnosić je było trudno, wypadają następne. Ubolewała, że nie dała rady zabrać świętego Tryptyku. Był duży i ciężki. Z największym trudem ponownie ukryła go za szafą. Może tam nie znajda. Nie zauważyła, kiedy na miedzy pojawił się Tomek i zaczął jej pomagać. Nie protestowała przeciwko jego obecności. Posuwali się znacznie szybciej. Już docierali do miasta. Chęć dostać się do kościoła, musieli wyjść na drogę publiczną. Byli już bardzo blisko muru okalającego kościół, gdy zauważył ich ojciec Tomka. Szedł jakby od posterunku milicji. Zauważywszy go, z wrazenia upuścił obraz Matki Bolesnej. Jego złocista rama rozpadła się na dwie części. Nie miała czasu podnieść go, bo tamtem już

gnał w ich kierunku. Pierwsi dopadli kościelnej bramy, była jednak zamknięta. Została jedyna szansa – stara furta w narożniku muru, której książek kanonik używał tylko wtedy, gdy chciał wyjść poza plac kościelny bezpośrednio z ogrodu. Na szczęście furta była otwarta. Lecz ledwie przekroczył ją, dopadł ich goniący. Tomek, chcąc zasłonić się przed uderzeniem, potknął się i przewrócił. Krzyże rozleciały się po ziemi. O Boże! Z jej rąk też wysunęły się święte przedmioty. Uderzył dzieciaka raz i drugi. Chwylił za koszulę i powłókł za sobą. Została sama pośród porozżucanych krzyży i obrazów. Była sparaliżowana strachem.

Nie powinna wracać do dworu, a jednak uczyniła to. Krzyże i obrazy oddała księdzu kanonikowi i otrzymawszy błogosławieństwo, zawróciła do Zagajników. Musiała to uczynić. Na dziedzińcu, przed werandą, na którym niedługo kwitły róże, stał samochód o zakratowanych oknach. Ledwie wyszła z cienia drzew, zauważyli ją. Dyrektor, uwolniony z kajdanek, wskazał na nią ręką i skinął głową. Skoczyło do niej dwóch. Choć nie stawiała oporu, wykręcili jej ręce, założyli kajdanki. Ktoś kogoś poinformował:

– To ona, strażniczka. Córka dziedzica...
Gwałtownie popchnięta wpadła do środka samochodu. Trzasnęły drzwi. Ktoś krzychał. Samochód ruszył ostro.

Stanisław Rogala

Książki nadesłane

Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz

Jadwiga Tyrankiewicz: *Otwieranie drzwi*. Bydgoszcz 1993, ss. 56.

Maria Danuta Betto: *Czas zbliżenia*. Bydgoszcz 1993, ss. 68.

Miksylinian Bart-Kozłowski: *Łat brzytostowych psiałów*. Bydgoszcz 1993, ss. 44.

Federico Garcia Lorca: *Sonety ciemnej miłości*. Bydgoszcz 1994, ss. 112.

Lesław M. Barczak: *Śpiewnik warszawski. Wiersze 1944-1994*. Bydgoszcz 1996, ss. 92.

Stanisław Dąbrowski: *Przestęp serca i słowa*. Bydgoszcz 1994, ss. 52.

Alojzy Michalski: *Niebieski Mleczak*. Bydgoszcz 1994, ss. 68.

Małgorzata Szulczyńska: *Według Abelu...*. Bydgoszcz 1994, ss. 88.

Lesław Nowara: *Świat według Ładka*. Bydgoszcz 1995, ss. 68.

Krzysztof Siwek: *Drżcie dzieci*. Bydgoszcz 1995, ss. 36.

Alexandra Wojtkiewicz: *Londyńska*. Bydgoszcz 1995, ss. 52.

Krzysztof Śliwa: *Niepogoda dla kargara*. Bydgoszcz 1996, ss. 56.

...i inne powieści
i inne ich odpowiedzi
...i inne powieści

W imności

URSZULA JAROS

Impresja

upadły anioł prowadził mnie za rękę
po opuszczonych przez Ojca terytoriach miasta
popatrzył powiedział to są moi bracia

policejant z maską twarzy znajomą od lat
bada wnikiwie ślady jak odciski palców
i jakby przez pomyłkę zamiast dokumentów
żąda ode mnie wyników ostatnich badań krwi

w ponurych pokojach rosną statystyki
nędzarzy wtłoczonych pod paragraf prawa
złoczyńcy w cudownie skrojonych rękawiczkach
odjeżdżają w odległy od tych zdarzeń świat
dobrze że chociaż nikt już nie mówi o miłości

* * *

mówiłeś
może w innym kraju
może w innym mieście
a bałeś się wyjść za próg swojego domu

przyszli
zależeli ciebie i twój lek
zniszczyli jasny pobłask tego miejsca
zdjęcia rodziców pośród krwi i błota

gdybym miała stado tresowanych psów
gotowych zagryźć na każde skinienie
przyszłabym jeszcze tutaj
lecz nie mam
i nigdy nie wrócę

...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

...i inne powieści
...i inne powieści
...i inne powieści

Za późno

twoje kroki biegną ku celii umartwych
zapalają się znicze w oczach
ogromniejszą
odbite od luster fioletowych szkielec

ja wiem że ty z tej drogi
wciąż nie powrócisz

odwracam się i wołam
już tylko o pomoc
dla siebie

Gorączka

Na plaży z krwi i rosy
Anioł kaleczy stopy
morze ciągle odpływa

pragnęłabym go dotknąć
jedną kroplę na czoko
taka rzecz niemożliwa

objemij mnie mówię drzewu
podnieś mnie w słońce koronę
usta me wygaszone
skronie wielkie pochodnie

na dzień wiecznej czujności
rodzi się ostry kamień
Anioł wstrząsł swe kroki
kamień opada na mnie

Pytania

Dominice

naciskasz klawisz i widzisz teatr marionetek
kolorowe kolaże bzdur co tydzień w gazecie
jak żyć
pytasz masz nagłe tysiące odpowiedzi
zwalczających się rytmem reklamy najlepszych
twoje proste pytania
nokaufajują mózgi
pracują nieustannie by ci stworzyć szczęście
a ty masz zimne łapki

i zimne powietrze
i nikt ci nie odpowie
ile zimna jeszcze

W inności

wyjmuję pęki kluczy i zamykam bramy

bo tylko tak bywałoby pełną na tej ziemi
ci co doświadczyli w pogni ziemni słodkości
co słyszeli głosy zmartwychstałych cieni
hany bitew odległych płonęły w ich oczach

a jednak tobie mówię Wielki Budowniczo
kreatorze wszechświata i wszechwładco życia
nędza mego istnienia wtedy się zaczyna
gdy staram się być schłodna poprawna i zwykła

kiedy studiuję uśmiech dębom i gładkość twarzy
przyjemny zapach ciała modulację głosu
i staję się naprawdę obrzydliwie mała
kiedy w objęciach lustra
wkładam nową suknię

i do ciebie co zwiessz się przyjacielem mówię
pozwól zostać mej twarzy obojętnej w dniu objęciach
i pozwól że ci nie dam żadnego z tych kluczy
do mojego pozornie tragicznego szczęścia

Symptom

Moi mali słoneczni strażnicy
iskra przez was przyniesiona płonie
wasza śmierć wróciła mi życie
co mam zrobić
Jasny Panie powiedz
jak oddzielić śmierć od rozpacz

Kazanecki w majestacie nieba
już nie smaga słowem naszych sumień
że był moim przewodnikiem światła
oto jestem czuję i rozumiem
że był moim symptomem miłości
oto kocham i już się nie boję

Panie reguł tej najświętszej gry
niezbadane są wyroki Twoje

Rzeczy

przylegają do mnie
nabierając wieku
są żyją ze mną

przenikają przez skórę
wirują wokół oczu
zbierają ciągle zbierają
odciski palców
na dnie szuflady
kilka krawatów
zapis gestu ręki
którego nie było
dłatego odszedł

Gorczyca

Na piasku z krawa i rozprawy
Aniś kłaczę wroty
mowa wroty odprawy
przegadają w go do drzew
złoty kłaczę na cieniu
takie kłaczę wroty
wroty kłaczę wroty

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Władysław Panas: *Pismo i rana. Szkice o problematyce tyśkowskiej w literaturze polskiej*. Wydawnictwo „Daher”, Lublin 1996, s. 155.

Mironas Derecki: *Na studenckim zalezu*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995, ss. 179 + rzb. ilust.

Bogumiła Truchlifska: *Między afirmacją a sceptycyzmem*. Biblioteka Naukzyckiejskiego Ruchu Literackiego. Oficyna Wydawnicza „Ston 2”. Kielce 1995, ss. 128.

Formy dyskursu w powieści. Pod redakcją Marii Woźniakiewicz-Dziadosz. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1996, s. 140.

Ks. Jan Sochoń: *Słownik pojęć zmistyfikowanych*. Wydawnictwo „Luk”, Warszawa 1996, s. 120.

„Der letzte Ritter und erste Bürger im Osten Europas”. Pod redakcją Heiko Haumann i Jerożego Skowronka. Wydawnictwo Helbing & Lichtenhahn, Basel und Frankfurt am Main 1996, s. 377.

Andrzej Nowak: 1991 Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, Warszawa 1996, ss. 96.

Cezary K. Kępiński: *Antologia twórczości postmodernistycznej*. Kwartalnik Literacki „Fo-Art”, Bytom 1996, s. 230.

zdradziłam cię
zdradziłam cię
zdradziłam cię

zdradziłam cię

zdradziłam cię
zdradziłam cię
zdradziłam cię

zdradziłam cię
zdradziłam cię
zdradziłam cię

Urszula Jaros

zdradziłam cię
zdradziłam cię
zdradziłam cię

PIOTR KOBIELSKI-GRAUMAN

Zombi

Czyście namiętnie się wyznaczenie diabła
Albert Schweitzer

— No tak... Pisać, pisać... Ale o czym pisać? Czy pan ma w ogóle o czym pisać?

— Treści niesie wciąż życie. A reszta to już forma, styl... Jak to się mówi — styl to człowiek.

— Ale czy to pana naprawdę interesuje? To o czym pan pisze?

— Tak polowicznie. Czuję się pisarzem, niegdyś pisałem też wiersze, a dziś... Tak się składa, że piszę akurat o polityce, ekonomii, ale...

— A widzi pan!

— Ale takie mam po prostu zamówienie, propozycję...

— To pana przecież nie interesuje!

Ostatnie słowa Rypana wykrzyknął niemal z triumfem i Zombiemu wydało się, że profesor uśmiecha się przy tym drwiąco. Wypisał, wymaluj, Koszałek Opalek, świdrował go przenikliwym spojrzeniem spod krawczyastych brwi, a łysina połyskiwała sino nad zmarszczonym czołem. Siedząc naprzeciw Zombiego wpiął kostiste kolana w jego drzące kolana, tak że obu trudno im się było poruszyć na niewygodnych krzesłach. Przez chwilę Zombi znowu przestał widzieć wyraźnie i czuł, jak do szera podkłada mu się znajomy, pelzający ból, a strach ogarnia całe ciało wzbierającą gorącą falą. Miał wrażenie, że za moment runie głową naprzód, wprost na brzech profesora...

— Stabo panu? Może na kozetkę? — Rypana pochylił się ku niemu i blaskawicznie schwylił go za przegub, spojrzal na zegarek — Tachyarytmi... Często się to zdarza ostatnio?

— Nic, nie... Nie wykorkuję tak zaraz — Zombi również pochylił się, jakby widząc swój głupawy uśmiech przyklepiony do twarzy przy takich okazjach... Trzymać fason! Ale właściwie niby dlaczego? Czy nie jestem właśnie we właściwym miejscu, aby się zupełnie rozpierzchnąć? W końcu płacę za ten seans dużo drożej niż w kinie. W moim położeniu są prawdopodobnie miliony ludzi, bo gdyby każdy robił tylko to, co chce naprawdę — Zombi słyszał naraz swój głos jakby znie ściany, belkoczący bynajmniej nie przekonująco.

— Niech pan w nie wierz! To wszystko mrzonki — Rypana nagle zerwał się z krzesła i począł szybko chodzić po ciastym gabinecie.

— To przecież niemożliwe, żeby chorować tylko z tego powodu... — Zombi zabnął dalej, czując bezradność swojej kwestii i coraz większą słabość, jakby przemógł potrzebę zasnienia.

— Ano właśnie, właśnie... Wszyscy są zdrowi, a pan przecież nie jest zdrowy, prawda? Proszę pana, pan szuka usprawiedliwienia, bo pan nie chce przyjąć prawdy o sobie. Dlatego boi się pan psychoterapii, bo nie chce pan pokazać żadnych emocji...

— Nie boję się wcale, tylko... — Zombi poczuł, że dosiada swego ulubionego konika — tylko po prostu nie wierzę w żadną psychoterapię, psychoanalizę i wszelką inną -izę. Jakże ktoś, nie obrażając kompetencji czcigodnego pana profesora, jakże ktoś inny może lepiej ode mnie rozemnażać się w moich psychicznych bebecach? W końcu największymi ekspertami od nas samych jesteśmy my sami...

— A oczywiście, oczywiście. Ale tylko wtedy, gdy nie jesteście pogubieni. A pan się właśnie pogubił, tak ja to widzę. I pan zresztą jakby do tego przynajmniej się, pośrednio — bo pan przyszedł do mnie. Pan jest wielkim egotyzmem, więc pan się niby opiera, ale to tylko parafraza pycha. Niby pan wszystko wie lepiej, wie pan dużo o tej chorobie i co z tego? Pan przychodzi do mnie, żebyam to właśnie ja powiedział panu, co pan ma robić, nieprawdaż? A niby skąd ja mam to wiedzieć? Chcę panu właśnie uprzytomnić, że to pan ma się dowiedzieć, co zrobić ze sobą, żeby funkcjonować. Bo pan właśnie przestał funkcjonować, prawda? I jako mąż, i jako ojciec, i jako pracownik... A pan mnie tu pouczasz... To błędne koło! Upierzdam pana, że jeśli nadal pan będzie tak myślał, to w ogóle pan z tego nie wyjdzie...

— Co znaczy: nie wyjdę — Zombi poczuł naraz zimny dreszcz na plecach, mimo że było mu coraz goręcej.

— Ano... pan myśli, że jak pan zmieni to lub owo w swoim życiu, to już wszystko się w panu odmieni. A może przestanie palić, a może przestanie pić, a może się odseparuje od rodziny, a może się zakochoam — profesor zmienił teraz ton, jakby przedrzeźniając jakąś rozhisteryzowaną panią, zarazem chytrze zerkając na Zombiego.

— W to ostatnie akurat wierzę! To znaczy wierzę, że to by wszystko odmieniło...

— Tak, tak. Pan żyje żużleniami, niby się pan miota, chce pan coś zrobić z tą panią, która pana ogarnęła, ale nie jest pan w stanie wykonać żadnego prawdziwego gestu. A tymczasem widzi pan przecież, że wszystko wokół pana idzie naprzód, swoim torem, bez pana udziału. I to jeszcze wymaga pański strach, trwogę wobec tego, że tkwi pan sam jak patyk na polu. A wszystko, co się panu niby zdarza, dzieje się tylko tu — profesor zatoczył wznieślonemu palcem kółko nad głową — tylko i wyłącznie nie tu, i nie schodzi niżej. Dlatego, jak to się mówi: serce pana pęka! Z bólu! Tu, nie pod bunt, bo pan przecież chciałby wszystko kontrolować, a tu organizm odmawia posłuszeństwa. Pan mi tu nawet opowiada o sobie tak, jakby pan pisał opowiadanie, od kapitła do kapitła. A nawet pan nie powiedział, że się pan boi! I czego? I dlaczego? O tym niech pan mówi! I może wtedy do czegoś dojdziemy...

— Akurat wiem, czego się boję. Pan profesor kpi tu sobie ze mnie, a mówłem wyraźnie, że boję się zawalu, apopleksji... Mo wiążął bóg mnie serce, mam te zawroty głowy i...

— Czy pan jest chory na serce?

— Co znaczy: czy jestem chory na serce?

— Powtarzam. Czy pan jest chory na serce? Tak czy nie?

— A niby skąd mam to wiedzieć?

— No, jak to? Skąd pan ma wiedzieć? A kto ma wiedzieć? Co powie dzieli kardiologów?

— Mówili coś, że to nerwowe, a organiczne... Ale przecież pan wie, że samo ekg jeszcze o niczym nie świadczy, dopiero echosonda, próby holterowskie...

— Niechże pan da spokój, przecież to hipochondria! Pan sam sobie szkodzi, to beznadziejnie.

Rypman siadł za biurkiem i zaczął coś pisać w swym kąciku, a następnie na małej różowej karteczce. Zombi tego wpatrywał się w jego kocięciś dłoń, przykurzone starcze palce zacisnęły na wyciżnym piórze, które działo jako pedantycznie po papierze. Nagle w gabinecie zrobiło się tak cicho, że Zombi prawie usłyszał trzask skrzydeł granatowo-czerwonego motyla, który przysiadł na parapiecie otwartego okna. Który to mógł być? Przypominał sobie, jak Teo zajadł stwardniały nagłóg awadów. On z pewnością rozpoznaby na pierwszy rzut oka gatunek tego okaza. W górnych rogach skrzydeł miał rdzawe plamki w żółtej obwódce, w dolnych wzór powtarzał się, tyle że na odwrot. Pokrzywnik? Nastroż pawik? Dopiero teraz Zombi sportrzegli, że w oknie były kraty. Co też tu mogło mieć się w przeszłości, bo przecież nie wieżenie? Ale za oknem był ładny widok na ogród, pośrodku rósł stary szary świerk, którego gałęzie dotykały szczyby, i naraz Zombi odebrał cały groteskowy majestat tej chwili. Siedział jak sparaliżowany, patrząc na motyla i wyobrażając sobie, że ten, również zastąpił w bezruchu, być może tak samo dostrzegł teraz jego, Zombiego, siedzącego przed biurkiem psychiatry (doktora filozofii!), który właśnie skrobał receptę, która miała...

— No... Więc zapisuję panu znowu to samo — Rypman przestał pisać i wpatrywał się w Zombiego dobitnie. — Jest oczywiście mocniejszy lek, ale po nim serce mogłoby panu trochę szybciej pracować, a skoro i tak pan na to narzeka... Tylko niech pan spróbuj teraz brać podwójne dawki. I zobaczmy za miesiąc...

— Przecież mówiłem, że źle się po tych prochach czuję — Zombi ocknął się z odrętwienia.

— Niech pan się nie boi, nie umrze pan po tym. Widzi pan, z panem jest ciężka sprawa, bo pan i lekarstw się boi, kiedy pan się wszystkiego boi. Wierzy pan w biochemię własną, diety i takie tam... Niedługo będzie pan jadł cukierka i zastanawiał się, jak to u pana podział. Tak jak z tym paleniem... Które pan rzucił ze strachu, prawda?

— Przecież pan profesor też wiera. W lekarstwa.

— Oczywiście. Choć samo branie lekarstw nie pomoże. Ale czasem lek może zdziałać cuda, niech pan mi wierzy. Lecz przede wszystkim pan musi wierzyć, że chce pan wyzdrowieć, a nie tylko czekać na to, że znowu będzie pan mógł pisać...

— Ja czekam na pozytywny efekt terapii, a pan mi tu prawi morały i rozbił pan psychę. Znalazi pan ciekawy przypadek chorobowy? Negowanie, upokarzanie ego, znam te numery z modnych podręczników psychologii...

— Nie, proszę pana! — Rypman zaczął się, wyraźnie dotknięty. — Jestem tu po to, żeby leczyć. Tyłko, że panu mi nie pomoże, żeby sobie pomóc. Niech pan do mnie telefonuje, gdyby miał pan jakikolwiek sensacje, ma pan mój numer na wizytówce.

Jednak Rypman nie obraził się. Pewnie należało to do kanonu psychoterapeutycznego. A może po prostu szło o honorarium.

Ulica jakby pulsowała, wszystko pachniało i za moment kurczyło się, zapadało w siebie. Wszystko, na cokolwiek patrzył, chwila się przy tym niepewnie. Kontary drzew, domów, samochodów drżały niby niedostrzeżalnie, ale zyskiwały ostrość dopiero na drugim, trzecim planie, do którego – Zombi czuł to ze strachem – nie miał już wstępu. Co się naprawdę działo? Odcie podzielił się świat znany z widzenia, ze słyszenia? Był niby to przed nim, bo Zombi czuł na przykład zapach kwitnienia dobiegający z przyluczonych ogródków, a jednak... Ulica moźnolnie wibowała się swym tronuarem pod jego stopy, wpełzała pod nie niechętnie, nabijała przy tym jak ruchome schody. Było tak, jakby ciało musiało przebiegać się przez ciężkie dzwiny powietrze, a umysł nienaturalnie ciążył ku ziemi. Było tak, jakby ten świat odchodził gdzieś, w swoją stronę, zaś on, Zombi, szedł... dokąd właściwie? Uciekał? Tak by się zdawało, gdyby wierzył kołataniu serca, dławieniu w gardle, lekpiem potem. Ale jednocześnie niepokój, nieznośny ucisk pelzający pod czaszką ostrzegał, że nie ma stąd ucieczki... „Jesteś w swoim własnym, oddzielnym kosmosie, w którym nie potrafisz już wybić dziury na świat, nawet pośrodku własny, w pełnym słońcu, na które boisz się spojrzeć...”

Jak miał to wytłumaczyć profesorowi, że nie sposób już żyć bez światła? Że można żyć tylko w świecie, w którym się jest częścią całości i zarazem pełnią, gdyż świat jest wówczas sobą, To bycie czuje się bebochami, splotem słonecznym, jak zwierzę, i to jest ta tak zwana radość, czyli smak życia. Wtedy masz w sobie – w świecie – schronienie, a to przed koszmarami umysłu, które ten tak tuł produkowało, z racji swego przyrodzonego oddzielenia od bycia. Ale co, gdy zostales przez własny umysł wydzielony ze świata – z siebie? Gdzie możesz się schronić? Zagroza. Trwoga. W obliczu przecużnia, że już jakby umarłeś, choć jeszcze niby żyjesz, że już jakby nie żyjesz, choć niby jeszcze nie umarłeś. Jesteś jak zawieszony między dwoma światami: niedolny już do życia w ośmym niedgryżniejszym, pamiętamy, więc niby twom – i jeszcze bez nia do narodzenia się w jakimś przyszłym, nieznanym, nowym. Jakby pierwszy osercił cię, a drugi jeszcze nie chciał cię przyjąć, uaynowić.

Zombi wiedział, że profesor nie rozpoznał w nim właśnie tego; statusu złyjającego martwiaka. Dlatego tak delikatnie sondował jego dominującą manię samobójczą. Tymczasem martwiak nie ma sił nawet na takie spektakularne auto-da-fé. Rasowy samobójca – nie mając już żadnej nadziei, że może być tak, jak chciałby, żeby było – poprzez samozniszczenie jednak protestuje, upatrując w tym szansę jakiejś zmiany, a przynajmniej możliwości (?) wyjścia jej naprzeciw, liczy jakby na to, że się odmieni, gdyż zabije już w sobie zniechędzonego narcyza... A martwiak przecież sam jest samozniszczeniem, nawet nie jest w stanie czegoś pragnąć lub nie chcieć. Dlatego kurczowo czepia się wspomnień swych niby to światła i przeszłości i zarazem roi wciąż o niby niemożliwej przyszłości. Ale naprawdę boi się i jednej, i drugiej, i jest jak urzeczony ośmym rozpięciem, rozdarcim. A cierpi niewymownie, bo ów stan nieustannie wydaje mu się zagrożony właśnie zmianą, choćby poprzez śmierć, która mogłaby wypchnąć go do jakiegoś nowego życia. Zaś martwiak w istocie boi się żyć, więc boi się też umierać! Tako rzeczce C. G. Jung.

Zombi potknął się nagle i o mało nie wyśladował w przygródkowych chaszczach. W ostatniej chwili, chwytając się rozlatanymi rękami zarzde-

wiałego ogrodzenia, zdołał niby utrzymać fason niefrasobliwego spacerowicza, ale i tak mijający go przechodzień przyjrzał mu się uważnie i grzecznie ukłonił, przypisując jednakże krok... Tylko tego brakowało, żeby ktoś znający jego głębię, choćby ze szklanego ekranu, widział mniej teraz tarzającego się w przydrożnym rowie pod plotem? – Zombi pokręcił się, by otrzepać spodnie i dopiero teraz spostrzegł, że donie ma nockle i lepkie od potu. Najwyraźniej prochy Rypmana zaczęły działać, zaburzania równowagi, brak koordynacji ruchów i te rzeczy... „Niewskazane jest poddawać terapii prowadzenie pojazdów mechanicznych” Tyle, że samochód pana redaktora dawno już poszedł do Zyma, a sam redaktor przechodzi ostre leczenie dzwiny. – Odruchowo pomyślał kieszennie, jak dawniej, gdy chciał zapalić, ale przecież od tygodni już pragnowo nie kupował papierosów. Od jak dawna nie palił? Trzy, może pięć tygodni... A właściwie – dlaczego by nie? Nikotyna jako antidotum na prochy, dla równowagi biochemii, bo czy może być gorzej?

Wyprostował się i rozjeździł wokół po ulicy. Na rogu stał kiosk i Zombi ruszył ku niemu niepewnie. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo seans z Rypmanem zmęczył go fizycznie. Pod zębami uwiierał jakby jakiś wgniatający się aż po kregosłup pas, jakby wszystkie wznętności pod nim były boleśnie opuchnięte. Było też coraz goręcej, niezwykłym w maju upałem kleił każdy ruch z gestym, lekpiem powietrzem wiszącym nad asfaltem. Przy kiosku ogarnął już Zombiego znajomy niepokój – było zbyt ostentacyjnie, zbyt kolorowo, zbyt szczegółowo. Tyrana szczegółu... Drzeziaki ilustrowanych czasopiśmie kłuty w oczy okładkami, kilkadziesiąt paczek papierosów wabiło i odpychało jednocześnie lśniami, wielobarwnym błichtem, migoczącym całą powierzchnią wirny. Wiele nazw papierosowych marek nie mu już nie mówiło, wiele jednak pamiętał, a mimo to wybór zdawał się niewykonalny. Żadne ekstrakcyjne nie były tylko jakimiś ekstraktami, żadne caro tyłno caro, żadne marlborno... Każda z nazw natychmiast odysłała umysł do wspomnień, z przeszłości bliższej czy dalszej, i tak zaraz powracało poczucie lekkiej, nieodwrażliwości faktów, zaprzeczona szansa jakiegokolwiek korekty. Melancholia dokonana. I strach przed udziałem w tym, co się wydarzy, a co kiedyś trzeba będzie sobie znów przypomnieć...

Ekstrakcyjnego palił ostatni raz jakieś siedem lat temu, w maszynowni komputerowej. Tamci palacze, że świata techniki cyfrowej, bledni chłopczy nie znajdujący czasu nawet na to, żeby spokojnie odpryskać, koleży jego, Zombiego, z czasów niedożytnej kariery w elektronicznej obliczeniówce-waritawo, stali mu znów przed oczami, z niedopalkami ukrytymi dosłownie w rękawach, z błędnym okiem biegnącym od przewijania do przewijania... Co chciał sobie wtedy udowodnić, ugniatując się wraz z nimi za papierem umykającym z drukarek? Z nimi czy wśród nich? Niby być nie mogło, skoro znowu nie jest! A jednak porzucona skorupa tamtego dwuletniego życia... nadal uwiierała. Czy oni nadal ją drwilią, już siedmiolatnia? Czy też żyją dziś w jakichś innych pancerniach?

Caro ostatnio palił jakieś sześć lat temu, siedząc z Koświnem na schodach przed hotelem Zwycięstwo, gapiąc się na wybujały park i Komenuja masarkę na placu Tienanmen, dyskutując o Nalanda University, na który obaj wtedy mieli ochotę. Dłui profesor Koświn garbuje (Kształuje?) umysły dwudziestolatków, stawia im stopień z Arystotelesa i z Buddy, dawno już przestał palić i utoczył się na wegetariański diecie jak sam Pan Krishna lub też szlachetna błotna świnka...

Marlboro ostatni raz zdarzyło mu się palić u Jedynków, chyba jakieś cztery lata temu, bo świętej pamięci Jedynek jeszcze wtedy czuł się względnie. Rozmawiali o rybakach narodzinach beniaminka Zombiego, o strachu przed bezrobociem, o zylakach i padaczce, o Wittgensteinie i o wyższości tytoniu fajkowego nad papierosowym. Posażek Konfucjusza z politowaniem spoglądał na nich z reguła wypchanego bestsellerami sezonów, sandałowa trocizka tliła się sennie nad filizankami wina, z głosem kłótni melancholijnie wywnętrzał się Miles D. Czy Jedynek ma dziś jakiś posąg na swej grobowej płycie? Co słyszysz z planety Fantasmagorii, z podziemnej kawerno...

Zombi spostrzegł naraz, że kioskarkę przygląda mu się z zaciekawieniem, takując ją jakby niecierpdowanie. Szybko obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy nie ustawia się już za jego plecami kolejka. Ale był sam przy kiosku, na ulicy nie widać zresztą nikogo, najwidoczniej mieszkający willowiel dzielnicy zażyli sąsiady. „Wyminął problem” – pomyślał szybko. – Ma pan jakiejś cygara jawajskie?

– Jawajskie... niestety, są tylko takie... chyba hawana... może być?

Zombi poczuł nagłą radość, że ten wypłdzniony bezwzględnie kiosk nie jest w stanie zaspokoić jego zachcianki. Mała rzecz, a cieszy. Obejrzał dokładniej grube, niemal czarne cygaro zapakowane w szklaną tuleję. „Niech będzie” – pomyślał. – Niech będzie – powiedział głośno – dzisiaj Kula.

Japońska czarna sosna czuwała nad Zombim niewzruszenie, jej dumna korona ani drgnęła w podmuchach nachyłego wiatru i rozciągała kojący cień wokół ławki, na której leżał na wznak, wydmuchując co chwila pionową smutkę cygarowego dymu w nacięte kłopoty przed burzą powietrze. To drzewo było jednym z przyjaciół Zombiego, drzewiastych przyjaciół z parku, których odwiedzał tu w chwilach krytycznych, by pomyśleć bez słów, odrzyska właściwy wymiar umysłu. O ludzich jego umysł wiedział zawsze jakby zbyt wiele, wprowadzał go w bieżący ich historii, zamiarów, oczekiwań, perturbacji tyluż urojonych, co rzeczywistych. Przede wszystkim jednak wymuszał to na nim bolesny wgląd w ich cierpienie, bo to natychmiast porównywał się z jego własnym, nigdy nie łagodząc go, zawsze potęgując. Natomiast o drzewach Zombi wiedział tyle, co nic. Choć coś tam niby wiedział, nie potrzebował się nawet domyślać, czym (lub kim?) naprawdę są, jak to bywało zawsze z ludźmi, gdy strach wymuszał takie rozpoznanie.

Zombi pamiętał, że już w dzieciństwie nie mógł nigdy zrozumieć, dlaczego w rozmaitych baśniach dzieci zabłąkane w lesie, zwłaszcza w ciemnym lesie i nocy, zawsze bali się właśnie drzew, ich rzekomo spotworzających kształtów i niecznych zamiarów. Bo on sam, co do swych drzewiastych przyjaciół – Japońskiej Sosny, Kanadyjskiego Dębu, Syberyjskiego Wiazu i wielu, wielu innych, nie mówiąc już o Chińskiej Topoli – miał zawsze bezgranicznie wprost zaufanie. I było tak od dawna, od kiedy w ogóle pamiętał... Już będąc kilkuletnim maminsynkiem, gdy zgubił się pewnego dnia rodzicom na grzybobranu, błądząc po lesie odkrył, że właśnie jest u siebie, jakby trafił do swego prawdziwego domu, którego do tej pory nie znał. Miał wtedy ochotę ukryć się przed szukającymi go rodzicami, schować się właśnie wśród drzew, w gęszczu dzikich jejzym czy leszajnym. I właśnie było tak do dziś – zawsze można było ukryć się

u swych drzewiastych przyjaciół, ukryć nawet przed sobą, bo drapieżny, samobójczy i egocentryczny umysł ukazywał się głównie wśród ludzi. Nawet wśród przyjaciół-ludzi nie sposób było znaleźć schronienia całkowitego. Przed innymi, wrogimi ludziami – może tak, może przyjaciele zabłądzący go w porę przed ciemną, ale i wśród nich nie można było ukryć się przed sobą. Bo bronąć go – musieliby go najpierw zrozumieć, a więc naprawdę zobaczyć! Miałby się więc im przeciw pokazać, obrazić przed nimi... Przed drzewiastymi przyjaciółmi nie musiał tego robić – zadanej zasłony nie było naprawdę, a więc i żadnej odsłony. Sama swą obecnością drzewa uprzytomniały mu to, że odwieczną ludzką chorobą niedowidzenia czegośkolwiek wskutek tyranii tak zwanej świadomości, a z pominięciem wszelkich innych – ości umysłu...

Przed Syberyjskim Wiazem mógł więc obnażyć się nie odsłaniając niczego, bo czynne innym tryby jego bezwzględny tryb, gdy między korzeniami drzewa kopał dół dla Miailuka, a potem chował tam zniechęconego z jego ciałem, już tejczajacym, zastajającym w pozie jakiegos obcego spokoju. Powierzyl wiedzy obu spokój Miailuka spokojowi Syberyjskiego Wiazu, a sam na razie nie miał zacząć podobnego spokoju. Choć wierzył, że jego zwierzęcy przyjaciel znalazł najlepszą opiekę u jego drzewiastego przyjaciela, to nawet teraz, po roku z górą, gdy tylko pomyślał o tróciarowej płycie, znaczącej grób pod drzewem w drugim końcu parku – zaczął znów ten chłód drapieżny ciało od wewnątrz, że pustkę w sercu, która rozszadzała niekiedy zebra. Czy śmierć naszych przyjaciół jest częścią naszego umierania, że ich brak czyni wylot w nas samych, w każdym z osobna otwierając po trosze owa słynną pustką czechał, gdzie światło na otwarte jest zawsze powitaniem...

Zombi poczuł ogień w ustach i w tej samej chwili niedopałek cygara sparzył mu palec. Odrzuciwszy odruchowo zarzając się jeszcze tytoniową miazgą, poderwał się na ławce i usiłował uciec, ale zaraz chwycił się obracając za głowę. Pod stopami ujrzał rozsypane szare niebo, a z różelone nieboskłonu wyrosły nagle trawy i drzewa, związając się z zielenie niepewnie w dół i powiewając niczym poszarpana firana. W le tej rachmiej panoramy, gdzieś w głębi, wytrysnął jeszcze pęk srebrnych iskier, które rozlatując się tuż przed oczami i wirując otoczyle głowę, i Zombi opadł z powrotem na wznak, zaciskając ze wszystkich sił powieki, by uspokoić jakos rozpoznaną karuzelę majajka. Ale ten trwał nadal, obracając się coraz wolniej i wolniej na ciemnym, rozedganym łustrze powidoku. W oczach? Raczej na przerzonym ekranie umysłu, który (ktoż by inny?) wprowił to wszystko w ruch, by przez przestrzeń się własnego dzieła. Zombi leżał nieruchomo, bojąc się poruszyć, czekając aż lustro uspokoi się i opróżni, jak to bywało już wiele razy, i gdy wreszcie pod powiekami miał już pustą czerń, zaczął powoli je unosić. Każda wazyła tony, ale wysiłkiem opacił się, bo znów ujrzał nad sobą koronę Japońskiej Sosny, a wzrok powoli zyskiwał na ostrości i w końcu poczuł rozróżniał niemal każdą igłę na najniższej gałęzi, która przynajmniej zwiślała się ku niemu, jakby wyciągnąć dłoń pomocną dłoń...

Obled jeszcze widząc nie był mu sędzony. To, co było przed chwilą, to jeszcze nie było. Co najwyżej skutki działania hawany po długim okresie niepalenia, może jeszcze zaburzenia ciśnienia, krążenia, błędnika, plusa prochy od Rypmana. Zombi pamiętał jeszcze swego dziadka, zataczającego się na ulicach jak po pijanemu, cierpiącego pod koniec życia na

dziczną chorobę, objawiającą się właśnie okresowymi zakłóceniami po-
czucia równowagi. Czy też postrzegania, świadomości? Pewnie skłono-
ności są rodzinne dziedziczne, pewnie powielane wskutek podobnej bu-
dowy DNA, RNA i czego tam jeszcze... Zombi wydawał czysto dziedzika
właśnie w tym parku, z nieodłączną fajeczką w ustach, pochylonego wiec-
zenie nad postrzępionym już tomem *Zbrodni i kary*, której to powieści re-
szta właściwie już nie potrzebował czytać, bo znał ją prawie na pamięć.
Zbrodnia i kara... I *Idiot*! Odtąd to – każdy, kto próbował wyrwać się z
zakłętego kręgu zbrodni i kary – wcześniej czy później stawał się idiotą.
Zombi wiedział to aż za dobrze, zwłaszcza teraz, gdy leżał na ławce w
parku, za murem którego, na wysokości skarpie, stała pewna wysoka i rów-
nie stara kamienica, gdzie na ostatnim piętrze była zamknięta na głucho,
od dawna nie używana pewna pracownia. Pracownia Zombiego...

Od jak dawna nie pisał? Chyba jakieś pół roku temu wspiął się po
znajomych schodach, by upaść do pracowni przy trapiaku, pod pretek-
stem zabrania stamtąd jakiegos rocznika bibliografii. Ugrzązł tam
wtedy na cały dzień i całą noc, które przesiedział nad kilkoma stronami
czegoś, co nieuchronnie stawało się felietonem! epoka felietonu, gdy praw-
dziwie pisarstwo jest już niemożliwe... Kpina, profanacja słowa, zbrodnia
popelniana na co dzień w rozlicznych gazetach, magazynach dla gospo-
dy domowych i periodykach dla inteligencji artystycznej, prześcigają-
cych się w nuby-esajach, nuby-komentarzach, w konkurencji felietonu wła-
śnie, jedyniej rzeczą, w której naby-autorzy zdolni byli wymyślać się na
wyrwyki...

Na własne szczęście-nieszczęście, nagle, ni stąd, ni zowąd, Zombi utra-
cił tę właśnie zdolność medrkowania. I to była kara, kara za zbrodnię
zamierzania, za to, że nie używał już słów do celu jedynie ważnego. Bo
tylko powierzchwnia, sam blichz wydarzeń, pretendowała w epoce felieto-
nu do rangi świata godnego opisu, podczas gdy film rzeczywistości prze-
wijał się w trybie przyspieszonym, kłaka za kłaką podjętych szybkostre-
lni... Niby-pisarstwo czepiało się zaś za ledwie pojedynczy kadru, maula-
jąc coś o jego rzekomo uogólnionym sensie, podając się za mowę o
istocie rzeczy, jakby ta prawda przekazywała była w jakiejkolwiek bel-
kofilowej pigułce...

I ten oto sposób używania słów stał się dla Zombiego już wręcz nie-
możliwy, ale też wraz z nim rozpadał się począł cały jego sposób bycia,
zycja – bo przecież zonglowanie słowami, wznoszenie z nich iluzorycz-
nych budowli było od dawna przede wszystkim jego sposobem na siebie.
I tenże niency proceder zaczął na jego fizyczną zgubę obumierać, ale wraz
z nim obumierał on sam, tyle że wciąż jeszcze nie chciał się jakby do tego
przyznać, bo – strach pomyśleć! – zbawienia, już nawet nie zmartwychwsta-
nia, upatrywał właśnie w ponownych narodzinach poprzez słowo... To
ono miało być kolebką nowego życia, ionem narodzin przyslego bycia w
sensie – słowo, które trzeba było odnaleźć, tak jak topielec odnajduje
gorączkowo przyslawioną brzytwę nad powierzchnią wody...

Zombi sięgnął do kieszeni na piersi i wydobyl mały notes pięknie opraw-
iony w półskórę. Otworzył go na chybił trafił mniej więcej w połowie
i zaczął czytać. „Mozecie myśleć, że wasze życie zostało już zmarnowane
i że postawienie czynić lepiej dopiero w następnym odrodzeniu. To fałsz
wasz nadzieja. Musicie zrozumieć nieprawdopodobieństwa znalezienia
kiedykolwiek znowu tak dogodnych warunków...” – Geshe Rabten.

Poniżej widniał misterny rysunek piórkami, przedstawiający ni to zarys
ludzkiej czaszki, ni to mającąca na wierzchu koronę drzewa. Zombi zatrzą-
snął notes, zamknął też oczy i na oślep wybrał teraz inną stronę. Spojrzał
znowu na pierwszy z brzegu zapis: „Pomimo faktu, że nie możecie być pewny
przeżycia noy, czynicie przygotowania jak gdyby na wieczne życie. To jest
znak, że lęk i żal dopadają cię w chwili śmierci...” – Me Czang Po.

Najwyraźniej Jędynek wywiał go do działania. Bo to był właśnie
notes poety Jedyńka, który Zombi znalazł niedgdyś pod biurkiem w redak-
cji, po zakończeniu jakiejś literackiej libacji. Potoczył go wówczas, cią-
gle potem zamierzał oddać poecie, ale w końcu było już na to za późno.
Nie miał zresztą skrupułów, bo Jędynek nigdy nie notował na pamięć, a
swych wierszy, nigdy też nie nazkirował ani zwrotki, zawsze pisał na
maszynie i na czysto. Miał za to mańkę spisywania i gromadzenia rozma-
itych wypisów ze swych lektur. Teraz Zombi natrafił akurat na cytaty z
pism mistrzów buddyzmu Zen, który zawsze Jędynek magnesował, choć
sam przyznawał, że nie zeń nie rozumie.

Dobry omen – Zombi uświadomił sobie naraz, że poeta Jędynek nie był
wcale słowiarzem, był jak najdalej od przywiązania do słów, choć dzię-
ki nim osiągnął tak wiele. Ale w gruncie rzeczy używał ich jedynie czysto
instrumentalnie, a to do niego właśnie kwestia życia i śmierci. Para-
doksalnie – wyznawcy Zen świętnie tu pasowali ze swą determinacją w
dążeniu do nirwany, do wyrwania się z kołowrotu wiecznych odrodzeń,
piekielnego kręgu życia i śmierci... Czy to nie była także droga dla Zom-
biego, dla kogoś, kto aż tak bał się żyć, że panicznie bał się samego sie-
bie, najłżejszych symptomów własnego umierania?

Jedna, dwie, trzy rzęście kropki spadły na kartkę i zaczęły wsiąkać w
wypisy z mistrzów Zen, a po chwili deszcz zaszleścił już wyraźnie w
gałęziach. Zombi schował notes, ale nie chciało mu się podnieść z ławki.
Wciąż leżał na wznak, niezdołny poruszyć ręką ani nogą i nawet potem,
gdy już lunęło na dobre, zamknął tylko oczy i otworzył usta celowo po-
zwalając, by deszcz padał wprost na język. „Deszcz, który pada, kiedy się
żyje i kiedy się umiera! / W otwarte usta krzyczących, w otwarte usta
śpiących – pada deszcz” – przypomniał wiersz, którego autora aż nazbyt
dobrze pamiętał. – W otwarte usta umarłych pada deszcz...

Przeciągi, zawadający po zwierzchniej dźwięk skrzypiec nadpływał z
dalei i dala, niby z głębi pustej studni. Zombi, na wpol obudzony, budził
się móżolnie i zarazem nie chciał się obudzić. Nie wiedział jak zwykle,
gdzie się znajduje i pragnął przedłużyć tę niepewność. Ale muzyka sta-
wała się coraz głośniejsza, zyskiwała na przestrzenności, gdy do głosu
skrzypiec, skaczących się natarczywie, dołączyły kaskady szarpanych
pochodów drugiego instrumentu, którym mógł być... którym mógł być
tylko... Zombi otworzył oczy i jakby dopiero wtedy usłyszał naprawdę
rozdzielający akord sitaru. To musiał być sam dr Lebu Chaudharia, a to-
warzyszył mu skrzypek Balu Subramaniam.

Tuż przed nosem Zombi miał znajomą zieloną ścianę, pożyłkową i
spękaną jak dawno wyschły herbatnik. Zombi, że leży na swej starej
kanapie, a wylazące z obicia włosie drapie go niemiłosiernie w plecy.
Obudził się w swojej pracowni, a Nutek z trzeciego piętra, jak zawsze

kolo południa, odzwiercał swe nagrania muzyki klarycznej Indii. Koc, w który Zombi był szalenie zawiązany, śmierział kurczem i myszami, tak było, odkąd załaził do pracowni Miazka. Teraz Zombiema wydalo się, że jak dawniej czuje na swe wrozek zwierzaka, który zwykle przypatrywał mu się z naraupem czekając na jego przebudzenie, by jednym skokiem znaleźć się tuż przy kanapie i z miśsiacem omierzać się pyśkiem o jego bosc stopy wystające spod koca. Ostrożnie spróbował zwrócić głowę w stronę okna, ale zaraz powstrzymał go tępy ból w karku. Wypłatał z kółków lewą rękę i namacał nią źródło bólu, którym okazał się łepki guz u podstawy czczaki.

Zombi zaklął cicho i gorączkowo jął się zmuszać do przypomnienia sobie, jak też dotarł wczoraj wieczorem do pracowni. Ale pamięć asocjowała z trudem, wspomnienie było filmem pozrywany i dziurawym. Pamiętał przecież, że wyszedł z seansu u Rypmana i trafił do parku, gdzie po cygaro dopadły go hipnagody, a potem ulewa, a potem... Miał być już tylko pojedyncze kadry: napotykanie na oczekującej deszczem znajomej ulicy Artek, syn dozorczyny z jego kamienicy, który wciągnął go do bramy niby pod pretekstem, że nadal lato, a w gruncie rzeczy chciał koniecznie obalić flaszkę; więc wypad do pobliskiego sklepu, butelka jałowcówki wspólnie wypita na rozgrzewkę w drodze powrotnej, a potem wspanialka po znajomych schodach i jakiś szarpanina z kolegą Arteka, który... Zombiemu w sekundowej migawce wydalo się, że dostrzegł wreszcie siebie leżącego na zapłutych, drewnianych schodach, podczas gdy Artek porywał się ze swym kolegą: „Zostaw mi redaktorka, nie podchodź, bo zajebię”.

Musiasto się to tak odbyć, że widać solidnie wyrzniętą karkiem o schody, a potem nie dobity zdołał się jakoś dowieść do pracowni. Dobrze, że chociaż miał kluczy, który z przyzwyczajenia widać jeszcze nosił przy sobie. Czy ma go i teraz? Szybko sięgnął do kieszeni i z ulgą namakał znajomy kształt etui. Czyżyb miał też i portfel? O dzwio, był na miejscu... Tęgo tylko brakowało, żeby mienie zapakował go jeszcze troszkiew do łódeczki! Ale dlaczego właściwie zabłądził tu, do pracowni, zamiast po prostu pojechać do domu, do Emi i Tea? Czyżyb wyobrażał sobie, że czekała tam na niego, że wreszcie przyniesie im radony wydykt od Rypmana, że tatuuś i mają już jest zdrowy, że będzie znów „funkcjonować”? Jak to powiedziała ostatnio Emi: „Nie chcesz żyć, ale nie potrafisz nawet umrzeć...” A Teo, którego popołudnia chodzące wokół kanapy, na której Zombi przypsypiał: „Ojciec, ty tak leżysz i leżysz, i myślisz, że jesteś żywy, ale ty przecież nie jesteś...” Czyżyb więc niepokoiłli się o niego, że dotąd nie wraca? Nadal się niepokoją... Zombi szarpał się niespokojnie na kanapie, aż zatrzeszczały sfatygowane sprężyny, ale zdołał osiągnąć tylko tyle, że teraz przewrócił się na drugi bok i mógł patrzeć wciąż w okno.

Musiasto być już popołudnie, bo światło padało na ścianę po lewej, przy której musiasto stać to straszne, zwałone niezlicznymi papierami, z maszyną do pisania królującą pośrodku... biurko, BIURKO, BIURKO, BIURKO EKS-PISARZA ZOMBIEGO – a przynajmniej tak powinno być opatrzone nalepką. Zombi nie chciał spojrzeć na ów muzealny już obiekt, swój był warsztat pracy, który plody zalegały wszystkie szuflady starego mebla. Czuł się tam przecież trochę czterdziestyletni dziwień jego wierszy, w kilkunastu wierszach, brudnopisach i maszynopisach, a także ileś tam opowiadań, scenariuszy, esejów i wszelkich możliwych in-

nych-ejów, do przeczytania których za nie by się teraz nie zmusił... A jednak... Czuję, że mimo wszystko biuro, BIURKO Z PRACA – było jego jedyną szansą, i normalnie – to znaczy: gdyby było tak, jak to niegdyś bywało – zaczęłyby dzień właśnie od BIURKA, od monolnego przepisania na maszynę tego, co napisał w nocy, a co zwykle niedawno było rozsyfrowane... Tak to się zwykle odbywało, dopóki się jeszcze w ogóle odbywało. Ale najpierw należało się czymś pokrzepić, przede wszystkim trzeba by napić się mocnej czarnej kawy, co dopomogłoby usunąć z ust osad żółci i niby trującego jadu, reminiscencje pracy na trzecim zmiennym, i co pozwoliłoby językowi odkleić się od zdzierającego trzęs podniebienia. Tylko, że w tym celu musiałby wstać, rozciągnąć, zakrzęknąć, jednym słowem – stawic czoła pracowni...

Kiedys byłoby to odruch warunkowy, dziś Zombi na samą myśl o tym tylko szczerze zwinął się w koc. Ale było mu coraz zimniej, co zwykle zwiastowało słynną kawaćową trzęsającą, cale cialo od wewnątrz ogarniało rozderganie i niepokój, jakby jakaś obca siła próbowała zmusić je do działania, wyrwać i wypchnąć z bezwładu. Gdy wreszcie deszczesz stały się już nie do wytrzymania, jednym zdecydowanym ruchem zerwał z siebie koc i usiadł. Tylko trochę zakręciło mu się w głowie, a spojrzawszy po sobie uznał, że nie było aż tak źle, jak można się było spodziewać. Ubranie nie było nawet specjalnie porwane i utylane, tyle tylko, że wciąż jeszcze było wilgotne i pogmione, jakby je przed chwilą przepuszczono przez wyżymaczkę. Spojrzeliż też, że spał w butach, ale zważywszy okoliczności... „Jak ci żołnierze niepewni dnia ani godziny” – pomyślał i próbował rozemnieć się na głos. Własny śmiech zabrzmiiał mu jak skrzypienie łamanej właśnie spróchniałej deski. „Śmiech z trumny” – spuścił nogi na podłogę i niepewnie powstał. Rozzejrzał się – BIURKO było na swoim miejscu, konstataował to w mgnienu oka, ale wolal nie patrzeć w te strony. Teraz należało przede wszystkim sprawdzić czy... DRZWI były zamknięte, czy nie stały przypadkiem otworem dla niespożyczonych gości. Szybko, choć chwiejnym krokiem, przebiegł owe słynne osiem metrów długości pracowni, aż do przedpokoju-kuchni, by przekonać się, że zasawa na drzwiach była skrzętnie zaryglowana. Odetchnął i obrócił się w ciastnym przedpokoju, po czym zajrzał do kuchennej niszty. Wszystko pokryte było ową pilną kurzą, którą rodzi się w bezruchu nawet opuszczonożny wnetrz. Otworzył kilka słoików, w których spodziewał się znaleźć kawę, ale wszystkie były puste. W końcu znalazł kilka pakietów smaki, zatkniętych między torbę makaronu a puszkę chińskich suszonych lilii. Te ostatnie były chyba pracownianej kamienki Zombiego, bo zaaden z jego bywalców tu niegdyś przysiałoł nie mógł dojść, co też można było przyrządzić z takiego specyfiku. „Kompocik – mawiał na to Zombi – a dodaje się doń jeszcze kilka pigulek haszu.” Haszu... Hasz czuł teraz w głowie i bez haszu...

Chwycił zakurzoną jak wszystko czajnik i poszedł opukać go nad zlewem. Gdy tylko odkręcił kurek, trysnął przalonym strumieniem i Zombiemu wydalo się, że poczuł smak rdzy na języku. Oczekwał chwilę, aż woda oczyści się, napełnił czajnik i postawił go na gazowej kuchence. Na półce obok leżało otwarte pudełko z jedną jedyną zapalną. „Jaka ta dziwna samotność, od pana Andersena” – pomyślał i to porównanie wydalo mu się zaraz niesłychanie tandetne. Mechanicznie, działając jak automat, chwycił ją i niemalże połamal, ścisnąjąc drżącymi palcami. Zapalił wreszcie i

odkrecił gaz. Strzelił płomyk z razu czerwony, ale pomału błękitniemy. Zombi nie mógł jak zwykle nie wspomnieć Hedayat, z jego gazowym patentem na uwolnienie duszyczki... Zombi przysiadł teraz na krześle i począł wachławać się w szum czajnika. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie słychać już było muzyki z dołu... Widać sam ogłuchł od swego myślenia i nawet nie usłyszał, że nic nie słyszę – pomylił tak zdanie nawet spodobało mu się przez chwilę. Doświadczył z pokoju wyraźne tykanie zegara, widocznie baterie jeszcze się nie wyczerpały, ale czy można było wierzyć, że wakanie właściciela godzinę. Ale jaka właściciel godzinia była właściwa? Tego Zombi właśnie nie wiedział, tak jak nie wiedział, co odpowiedzieć sobie na pytanie jedynie interesujące: Czy życie warte jest przeżywania?

Pokładane nadzieje... (?)! Cała pracownia wyczyna była nadziejami pokładanymi w Zombim głównie przez niego samego! Chociaż... Gdys spotykał czasem swych szkolnych kolegów, dawnych hippisów i domostrosłych gitarzystów, dziś klimatyków narzekających na wszystko, i gdy pytał go z nągłym błyskiem w oczach: „A ty co? Pewnie piszesz, jak kiedyś...”. Podrząk mi jakąś swoją kłopotkę...”. Zombi czuł niejasno, że nie może ich zawiązać zupełnie i opowiadać o tym, że dla chleba pisze głównie gazetowe pierdury, teksty sponsorowane i tym podobne brzdęty. Czł, że winien im jest jednak jakąś odpowiedź na ich zdumienie sprzed lat, gdy tuż przed maturą zracił szkołę i począł publikować swe kolejne sonety o śmierci. To wtedy właśnie zaciął makabryczną ksywę, która przylgnęła doń jak ulal i z którą się milczaco pogodził, bo wiedział przecież, że jego licealni kumple wyrzucili w nim jakąś nieznana cechę, dziewczyna dla nich, ale godną estymy umiędności, o której on sam niewiele wówczas jeszcze wiedział... Oni jednak, może i nieświadomi do końca – liczyli na niego, jakby wierzyli, że jego wierszowane egocentryzm prowadzi do czegoś ważnego, że odosłania kiedys coś, co jest nie do pojęcia dla nich, ale też jest wam wokoło realne... Skąd mogli wiedzieć wówczas, że – jak na ironię – ich kolega Zombi w ćwierć wieku później stanie się żywym trupem...

Czajnik zagwizdał i Zombi odruchowo przykrył gaz, wyspał neskąd do kubka i załal wodą. Kawa miała zapach suszonych grzybów i jak zwykle sparzył sobie gardło piętynowym tykiem. Wstał i z kubkiem w ręce począł obchodzić pracownię, czując się przy tym jak w muzeum. Na stole nie opróżniona fajka leżała w popielnicę. Czegoś takiego nie sposób już odrobić, tak jak całego życia nie można już odwrócić... Można tylko iść naprzód, nie oglądając się wstecz, za siebie, ale – jeśli nie wiesz, gdzie naprawdę jesteś, nie wiesz też, gdzie jesteś przed a gdzie ty!... Możesz tylko błąd w swe nieznanie przemienienie.

Walcząc z poczuciem beznadziei Zombi podszedł w końcu do biurka i spostrzegł, że w maszynce tkwi kartka z wystukanim napiskami jednym tylko zdaniem. Nie pamiętał, żeby je napisał. Pochylił się i odczytał: TO JUŻ JEST KONIEC. Począł zimną strużkę potu spływającą po plecach, cofnął się i zapadł w głęboki fotel. Ale fotel zaczął naraz wirować i Zombi siedział w nim jak na karuzeli... „Wszystko, co kiedyś zostało podziwiane – musi się spełnić”. Usiłował zatrzymać wzrok na czymś, co było nieruchome, ale ściany i sufit obracały się wokół fotela, który tkwił teraz jakby pośrodku jakiegoś magnetycznego lejca. Nad nim wyrosło się nagle stado świstliwych os, które z brzękiem jęły pikować wprost w oczy

Zombiego, by w ostatniej chwili, tuż przed uderzeniem, podrywać się raptownie, dołączając na powrót do olśniewającego korowodu i pozwalając upiorna zabawę od początku.

Skurcz serca zmroził nogi strachem i całe ciało zeszytniało jak sprężyna, aż Zombi podkoczył w miejscu, obracając chwycił garść papierów z biurka i cisnął z rozmachem pod sufit. W tej samej chwili pokój zamiał w bezzachu, a przetrzaszono gołąb z furkotem umknął z parapetu otwartego okna. W nagłej ciszy, bardziej niż z furkotem umknął z parapetu otwartego okna, do pokoju wypadł podmuch wiosennego wiatru i zamiast papierami pod nogami Zombiego. Z reguła, przed którym stał teraz jak sparalizowany, spoglądał na grzybioty rozmazanych i nawisłymi... A w niektórych, a w niektórych – BYŁY TYLKO SAME DZURY... WSZYSTKO BYŁO NIEMOŻLIWE – zrozumiał to niemal dziesięć lat już od niezrozumiałego leku. Cóż sobie rozi, wyobrażał, szukając schronienia w pracowni, gdzie niegdyś dodawał słowa do słowa? Gdy nie miał już dostępu do świata, nie miał też dostępu do słów! A przynajmniej tego słowa, o którym powiedział: „A słowo stało się ciałem...”

Pozasłowne. Bezimiennie. To stał właśnie płynięc lek, który gna przerażony umysł przez oszukańcze makiet światła słów, zwinność dekoracje tylko tego, co rzeczywiste. Cóż z tego, że niby chceś wrócić jeszcze do słów, gdy już marnieujesz się tu tęsknota za bezimiennym. Gdy nie umiesz już jeść, cóż ci po gadaniu o chlebie – gdy nie jesteś udruc świata, cóż ci po wierszach choćby najpiękniejszych? To dlatego poeta Tychura napisał dwa tomy w podziwie nad Pozasłownym, a potem wszedł na torę pod lokomotywę. Bezimienna – o sygnaturę XXXXX.

„A ja mam swojego przypada... I kocham go, gdy dobrze mi pobas...” – Zombi podszedł do okna i wychylił się jak mógł najdalej, trzymając się jednak ze wszystkich sił parapetu. Spojrzał w dół, szukając wzrokiem autorki piosenki, artystki o głosie tak rzewnym i czaprawym, że mogła niby tylko Mamusia Eleonora. Dostrzegł ją na dnie studni pomiędzy ścianami kamienie, pośrodku klepką podwórka odosłonego zaledwie jedna uschła akacja. W rozchylanym na zwiedłych pierzaskach strątku, z flagką w jednej ręce, drugą wspierając się na trzepaku, wykonywała właśnie taneczne pas w piąckim, zwolnionym tempie. Przypatrzyło się temu dwóch równie zalanych meneli, zaś trzeci odlewał się pod śmietnikiem. Nagle odwrócił się ku tancerce i nie zapinając nagle spodni, klepiąc się po podbrzuszu zawołał: „Ejże, Norka, chodź do Florka!”

Szczeknięcie otwieranie okna sąsiadek z kamienicy i Zombi wycofał się do pokoju. Dośłyszał pomstowania, groźenie policji, poleciała w kryjcie okno ciśnięta z dołu butelka, z brzękiem wypadła szybą. Zombi zamknął okno. Tak był przecież poza tym, był sam, po cóż miał tego słuchać. Stał pośrodku pracowni nie mając nawet siły obrócić się na sztywnych drzwiach niegach. Pocił się coraz bardziej i coś pulsowało nieznośnie pod czapką, tak że obrazy rozsypany się przed oczami i wszystko widział jak przez jakąś nieostrzęgalną szybę. Przypomnił sobie wskazówki Rypmana: „Stanać z wyciągniętymi przed siebie rękami, unieść jedną stopę, zamknąć na moment oczy...” – ale zaledwie spróbował to wykonać, coś powstrzymało go wół ruchu i zastępył w jarkaturalnej bociącej porze, z pelerzywną głową, która jęła naraz nadstuchiwać odgłosów zwa drzew.

Ktoś szedł po schodach, słychać była stapanie dwa piętra niżej, czyjeś lekkie, długie kroki i jeszcze lżejsze, drobniejsze. Poczuł nagle igłę w sercu, która zaczęła się obracać jak wskazówka obłędnie przyspieszającego zegarka i wydawało mu się, że słyszy wyraźnie krok Emi i Teo... Czyżby?... Czemu mu to robili?... Czy nie wiedzieli, że jest już osaczony, że władzy mocy, która jest nie do pojęcia dla kogoś, kto nigdy jej nie doświadczył? Czemu osaczali go jeszcze i oni swoją, ach – jakże absurdalną! – troską, na którą nigdy nie zasłużył... Czy dlatego, że tamta siła, która zrobiła zeń kalekę, spalizowane strachem dłało, w którym kółkato ledwie mgnienie przytomności, czy dlatego, że ta nieznana moc była właśnie nienawista, złem?... Czy dlatego, że mimo wszystko pozostały w nim jeszcze te gorączkowe pytania?

Kotolwiek wchodził po schodach, był już na podęcie pod drzwiami i podejrzliwie Zombiego zmieniły się w pewność, gdy usłyszał znajome pukanie. Wstrzymał oddech i policzył do pięciu, po czym pukanie powtórzyło się, nieco głośniejsze. Naraz wszystko zaczęło się odbywać w przyspieszonym tempie. Zombi jakby uwolnił się od siebie i ujrzał się tak, jakby widział jakiegoś zwierzę poruszające się w klatce. Zwierzę to działało zdecydowanie, jego ruchy były zwinnie i szybko. Staralo się zachowywać cicho, gdy wyciągało grubą pas ze spodni i czyniło zeń pętle, którą założyło na szyję. Ustawiło stół pod tyranolem, wspięło się i zaczęło okuty koniec pasa na haku w suficie. Teraz zamiast pukania rozlegało się już bębnienie w drzwi, odgłos natarczywych uderzeń drobnych pięści. Czy oni mogli mieć klucze? Usłyszał brzęk, a potem zgrzyt klucza w zamku. Chwycił oburącz naprężony ramię nad głową, podciągnął się nieco i stanął na palcach. "Tęcza żegna burzę. I wita ją w czyskich oczach." W tej samej chwili skrzytnęły drzwi, a on kopnął stół i rozprostał ramiona, i usłyszał jeszcze chrzęst sufitu, gdy obrywał się i wraz z nim leciał w dół.

Piotr Kobielski-Grauman

EGON BONDY

* * *

Chciałem przypomnieć sobie Marię
ale nie mogę
chciałem przypomnieć sobie miłość
ale nie mogę
chciałem przypomnieć sobie egzekucję towarzysza
ale za oknem już świta
a ja beznadziejnie zamarowałem noc
tymczasem tego wszystkiego już nie ma
i właściwie skoro nie chcemy umrzeć
musimy zacząć od nowa

Musimy zacząć od nowa
skoro właściwie nie chcemy umrzeć
tymczasem tego wszystkiego już nie ma
beznadziejnie zamarowałem noc
za oknem już świta
chciałem przypomnieć sobie egzekucję towarzysza
ale nie mogę
chciałem przypomnieć sobie miłość
ale nie mogę
chciałem przypomnieć sobie Marię

A my musimy zacząć od nowa
tymczasem tego wszystkiego już nie ma
za oknem już świta
a ja beznadziejnie zamarowałem noc
chciałem przypomnieć sobie miłość
skoro właściwie nie chcę umrzeć
ale nie mogę

(z cyklu *Realizm totalny*, 1950)

* * *

Dagmara siedząc w wygodnym fotelu
czyta „Opowiadania ze starej Pragi” Nerudy
Wpada w trans
i śpi całą godzinę

Nasza Dagmara walczy o pokój

Telegram protestacyjny
posłała Dagmara rządowi francuskiemu
w imieniu czterech milionów naszych spółdzielców

Dagmara i Bondy

Dagmara nie lubi dzieł Bondego
Albowiem Bondy pisze o Dagmarze

Ale w kółku literackim się zapomniała:
Bondy – mówi – to nasz najlepszy poeta

* * *

Dagmara znowu jest zbита z tropu
bo przeczytała że dzieci da się wytworzyć chemicznie
Wola Iwana
i mieszka w kuchni białka
Po chwili
z próbówki wyskakują
niemowlęta
Dzieci Dagmary

(z cyklu *Dagmara, czyli Nadmorskość*, 1951)

Przebrany za kobietę

Przebrany za kobietę
wszedłem najpierw do damskiego
potem do męskiego szcraza

(z cyklu *Blades Leben*, 1951)

Autoportret

Jestem letargiczny jak rosyjski proletariats
Widzę jak słońce
zachodzi – i mówię:
Słońce zachodzi
A rano
jest jasno

siadam na łóżku
i mówię
Fiat lux

Czerwony księżyc

Już wszystkie okna
zgasły
Na niebie świeci
czerwony księżyc

Czarne słońce

Po drugiej stronie Ziemi
jest czarne słońce

(z cyklu *Fir Bondy's Imbekant* Gelitser, 1951)

Noc i dzień

Noc i dzień na drzewie wiszą
jak wisielcy się kołyszą
– Która to godzina, miła?
– Pierwsza przed chwilą biła
Noc i dzień na drzewie wiszą
jak wisielcy się kołyszą
Jest rano i jeszcze ciemno
a ty już nie jesteś ze mną

(z cyklu *Die Sonnenwende*, 1951)

Spleen

I

Znowu siedzę w pierdlu

II

Gdy w oknie na puźonie grają cudnie
ptaki odlatują na południe

III

Na pustych zboczach pod zimę
sieją zboże ozime

IV *Wiosna Dagmara walczy o pokój*

Wiosna wyprowia harce
ładniejsza jest od zimy

Dagmarce

dam swoje rymy

(z cyklu *Z imyennego dziennika Egoa Bondego*, 1951)

Ach ten zapach, to pachnie me ciało –
jakby się rozpylnąć chciało

Pogłaskała mnie pokrzywa!

Zbieram sporysz i sypię go dzieciom do piwa

(z cyklu *Dziennik dziewczyny, która szuka Egoa Bondego*, 1971)

Piękne nasze państwo
Ach jakże tu ładnie –
jak gdy nonorożec
prosto w dupę wpadnie

24 XI 1974

Siedzę na cmentarzu
placząc na swym grobie

Julie niosą martwe ptaki

Pójdziemy na wycieczkę kochanie

Wźmiemy parasole i pójdziemy na wycieczkę do nieznanych knajów
skład raczej nikt nie wraca
Pójdziemy na wycieczkę cały czas po płaskim
zeby nie bolało cię serce
Mam już nawet wymyśloną taką wycieczkę
na której przez cały czas jest z górki

(z cyklu *Mnie*, 1974)

Nie jestem entuzjastą tego kraju
ani tym bardziej tego narodu

lubię tylko Pragę

Nie jest to wesołe miasto
może oprócz Małej Strany
ale zdaje się że jest to miasto Ducha

Jeśli kiedyś zastąpi

to właśnie tutaj

na tych smutnych ludzi

Przyjdzie do Starej Skrzóły i Żydowskiego Ratuza

przejdzie koło knajpy „Pod Malmazją” i dalej przez Most Karola

i wstąpi znów na niebiosa na Nowym Świecie

W oszaki będzie szła Mirka niosąca palmę

i Niesmiertelna Dziewczyna

i Jirous niosący pochodnię

1976

Co teraz robię?

Chleję

i palę mocne cygara

podarowane mi kiedyś przez pana Vondruszke

który teraz w pierdlu skręca trawę z materaca

Slucham Czwartej Mahlera

za najpiękniejszą muzykę uważa ją Szajbus

który teraz cienko śpiewa w pudle

Czytam Ewangelie

które pieśnią głosił Karasek i Zajceek

obaj jęczą w marmrze

Przyszła zima

znowu palę w piecykach naftowych

które naprawił Kukal

też trzęsie się teraz z zimna w lochu

Nucę sobie piosenki

które śpiewał Majla

teraz jest za kratkami

A przy tym dobrze mi się śpi

liszka lapeczka mała

na zym boku leżuchna

muszę ją przewrócić

1978

Po cóż komentować ogłoszenia

Wygrasz sto tysięcy posławszy pięćsetkę

Pełnoletnie dziewczęta zatrudnia za granicą

Nie przepaguj swojej szansy – kup browar

za trzysta milionów Nie przepagaj!

A to wszystko tylko w „Rudym Pravie” –
gazecie niezależnej dawniej organie KZ KPCz.

24 I 1991

* * *

Z mgły rodził się w południe drugi brzeg
jak przy stworzeniu świata
Było cicho i nade mną trwał wielki męt
bez ruchu leżał śnieg i lód
nigdzie płaka ani człowieka
ani dymu gdzieś tam z kominia
ani warkotu niewiedzącego auta
jeszcze nie stworzonego

26 II 1991

* * *

Najgorzej jest rano i wieczorem
i w dzień
Kiedy śpić można wytrzymać

lata 1992

przełożył Leszek Engelking

Kim jest EGON BONDY? Naprawdę nazywa się Zbyněk Fiser, urodził się w 1910 roku w Pradze. Ze stolicą Czech związany był niemal przez całe życie. Dopiero niedawno przeniósł się na Słowację, do Bratisławy, gdzie wykłada na Uniwersytecie J. A. Mosa Komenského. Ten wybitny filozof, historyk filozofii, teoretyk smaku i prozator uważa się przede wszystkim za poetę. Nieraz, pytany, składał taką deklarację:

Zawsze bliższa mi była polityczna lewica, już jednak przed lutym 1948 roku, kiedy komunizm przejął w jego ojczyźnie władzę, uznał, że socjalizm w wydaniu Komunistycznej Partii Czechosłowacji (i w wydaniu KPZR) stanowiło mi nie odpowiedź. Pajonował się ideami Trockiego, potem Mao Tse-tunga. Do dziś nie wyżył się swoich lewicowych przekonań i chciałby, żeby na świecie badawano socjalizm – „prawdziwy socjalizm”.

Mógł przetrwać, że przez całe życie skazany będzie na bytowanie na marginesie. Przypuszczenia te właściwie ucale nie były mym. Wprawdzie korzystając z niekiedy „odwylty” po śmiertelnej i słynnym referacie Chruszczowa, „odwylty” w Czechosłowacji zresztą zdecydowanie słabszej niż w Polsce, zdołał zapisać się na Uniwersytecie Karola, ukończył tam studia filozoficzne i został kandydatem nauk, ale – choć dopiero do poznania było jego największe pasją – o normalnej karierze akademickiej ze swoimi poglądami marzył nie mógł. Pod własnym nazwiskiem ogłosił drukiem filozoficzne prace *Úvaha z ontologie* (1967, *Počtená z ontologie*), *Ostavky byti a existence* (1967, *Problemy byti i egzystencji*) i *Buddha* (1968, *Buddha*), ale po interwencji państwa Układu Warszawskiego publikował już wyłącznie w samizdacie (gdzie zresztą ogłaszał swoje utwory wcześniej), od końca lat czterdziestych. W samizdacie właśnie wyfołd wielomowa historycznej filozofii (po „akusmidnej rewolucji” zaczęto ją obcyć oficjalną).

Początki jego twórczości literackiej to efekt fascynacji praską grupą surrealistyczną, zępnikami napiewer przez literatów, a potem przez komunistów do podzi-

mia. Wkrótce jednak poeta uznał, że za pomocą metod surrealizmu nie sposób mówić o współczesnym świecie, bardziej przypominającym serię koszar niż jakikolwiek teksty Bretona czy obrazy Dalíego.

W latach pięćdziesiątych zaczyna się kształtować krąg, który stanowiłby później „praskim undergroundem”. To wokół Bondogo i jego koncepcji „realizmu totalnego” (*totalni realizmus*) zaczęli się gromadzić pierwsi jego przedstawiciele. A byli nimi Ivo Vodňáček (ur. 1931), który wystąpił z własnym manifestem (obecnie zaginionym) i własną koncepcją „depresyjnego poezji” (*travní poezie*), przyjaciółka Bondogo, odtąd stryjka Mileny Jesenská, korespondentki i milośki Frana Kafka, autorka niezwykle filialnych wierszy emigracyjnych, Jana Kojčarov (1928-1981) i Bohumil Hrabal (ur. 1914), który w latach 1949-1952 (potem część tekstów z tego okresu przeobraził, zmieniając swoją poetykę) może być niewątpliwie uważany za twórcę z tego kręgu. Nawiasem mówiąc, w kilku późniejszych książkach Hrabala, Bondogo pojawił się jako jeden z postaci i początkowo właśnie jako poeta literacka znany był szerszej publiczności. Jak sam mówi, nawet służba bezpieczeństwa nie zorientowała się początkowo, że istnieje naprzeciwko J. A. Mosa Bondogo i że jest tożsamy z Zbyněkem Fiserem. Również w latach pięćdziesiątych zawiązała się prajda Bondogo z wybitnym plastykiem Vladimírem Boudníkem, inną z postaci znanych z prozy Hrabala. Koncepcje teoretyczne Bondogo („realizm totalny”) i Vodňáčka („depresyjna poezja”) wpływały na praktykę twórczą ich obu, a także pozostałych autorów kręgu undergroundu. W dziele Bondogo znajdujemy nawet cały tom wierszy zatykujących właśnie *Depresyjnego poezja*, powstały w latach 1950-1951.

Z czasem dochodzi do głosu kolejne pokolenie przedstawicieli undergroundu, m.in. Petr Lampi (1930-1978), Naděžda Pilíková (ur. 1934), Milan Křížák (ur. 1930), Svatopluk Karáček (ur. 1942), Andrej Stankovič (ur. 1940), Vratislav Brabec (ur. 1943), Ivan Jirous (ur. 1944), Milan Koc (1948-1974), František Pánek (ur. 1949), Quido (ur. 1950, właśc. Vratislav Machulica), Pavel Zajíček (ur. 1951), Josef Vodňáček (ur. 1952), Karel Soukup (ur. 1951), Anna Wagnerová (ur. 1960), Jiří Kerchovej (ur. 1960, właśc. Jiří Hasek), Jáchym Topol (ur. 1962), Vít Krutlík (ur. 1962), Ladislav Marks (ur. 1963), czy Petr Placák (ur. 1964). Znaczenie Bondogo jednak nie maleje, jest on „guru” całego ruchu, wszystkich jego pokoleń. Wiele młodych twórców „przeżyło” w latach siedemdziesiątych przez jego wskazanie na ulicy Nerudy pod numerem 51 mogą być na poważnie potraktowane ewangelie tekstów, uczynią dyskusję o nim i porcie w ich samizdatowej publikacji. Ze znanymi potem twórcami Milosław Koschem i z Brozmem (zwanym Sjalizmem) widywał się bardzo często i prawdziwie się z nimi przyjaźnił.

Słowacki poeta, Oleg Pastier, napisał wiersz pod tytułem *Mala Strana*, w którym ewokuje atmosferę spotkań przedstawicieli undergroundu; jedynym nazwiskiem, jakie się tu pojawia, jest właśnie nazwisko Bondogo (Julu to nieczytają już dziś towarzyszyka jego życia; „Pod Dwoma Słońcami” to piewierała przy ulicy Nerudy 47):

Julu Bondogo
nalewa herbatę
czarna jak cęła arestu Mladzkiego

Za obnem męgl
Budda –
Pod Dwoma Słońcami”
obrabia dzieł
podziemna piewiera

Pierwszy dojrzał tom wierszy Bondogo, tom programowo realizujący jego własne koncepcje estetyczne, „ukazał się” w maszynopisie w roku 1950 (wówczas jeszcze są obecnie uznawane przez poetę za „grzechy młodości” samizdatowe tomiki surrealistyczne); nosił tytuł *Totalni realizmus* (*Realizm totalny*). Poeta starał się w nim opisywać świat, odchodząc od literackich i poetyckich, od artystycznych zobowiązań, od regularnego rytmu i od rymu, od metaforyki, od pointy, ale także od prezentowania własnej oceny wyrażonej, od moralizatorstwa, od „interpretacji”. Z całą siłą przemawiał miły opisywane bezamiętnie fakty. Przyjmował to trochę postawę Tadeusza Różewicza mniej więcej z tego samego obozu. Później poezja Bondogo wró-

dyktatura proletariatu. A w Chinach po raz pierwszy powiedziano, że w Związku Radzieckim mamy do czynienia z państwem w kapitalizmem i że drogą radziecką kroczyć nie należy.

L.E.: Jak pan przyjmie powrót kapitalizmu w naszych krajach?

E.B.: To jest coś szalonego. Naturalnie byłoby to, czego wszyscy chcielibyśmy: likwidacja przedprodukcji i nieładu gospodarki, przedprodukcji w gospodarce i nieładu tego we wszystkich sferach przejawach, odwrócenie tej politycznej nadbudowy i dalsze budowanie społeczeństwa, które nie tylko byłoby sprawiedliwe pod względem ekonomicznym, ale przestrzegające wolności praw człowieka. Tak to sobie na ogół wyobrażali ludzie, którzy działali w „Solidarności”, i którzy działali w ruchu dyktando w Czechosłowacji. Ani w „Solidarności”, ani w czechosłowackim podziemiu nikomu nie przychodziło do głowy, że naszym celem jest odbudowa kapitalizmu. Tak więc jest to rzeczywiście coś szalonego. I z tego punktu widzenia jest to zarówno pod względem filozoficznym, jak i pod względem historycznym śmieszny i krótki epizod. Niesie trybunał będnie za niego drogie zapłaty, zyciem przynajmniej jednego pokolenia.

L.E.: Chciałbym teraz przejść do owego tematu i spytać o początek uderzeniowego, a jego pierwszy etap: *„Wiodedolnik przez góry, że miłłicie wiedeń do dyspozycji i jego metody: „metoda paranoiczno-krytyczna” Dulego, „realizm totalny”, „deparymująca poezja”*. Ciekawi mnie, czy tworzyliście swoje teorie autorskie, czy też są one do pewnego stopnia dziełami kolektywnymi?

E.B.: Dziś już trudno powiedzieć, co jest czyje. Wydawali się wtedy oddzielne, niezależne stały kontakty. Podzieta do stworzenia „Jedynego realizmu” wyszła od mnie, podzieta do stworzenia „deparymującej poezji” od Viodedolnika, a metoda paranoiczno-krytyczna znalazła wyraz, eksperymentowała z nią głównie ja, by w końcu stwierdzić, że w swoich warunkach nie nadaje się do użycia. Ostry podział na „realizm totalny” i „deparymującą poezję” zataił się właściwie już przed 1954 rokiem. Viodedolnik przeszedł, można powiedzieć, do metody „realizmu totalnego”, ja zaś zostałam niekiedy młoda, zostaję jej wiernej niż ja. „Jedynemu totalnemu” przekroczyłem już w pierwszym pokoleniu lat pięćdziesiątych, bo na przykład *Rezerwa oporu* [początek datowany „zima 1954-55” - L.E.] mają wyraźnie wyznaczyć „totalnealeistyczny”, ale w istocie jest to już coś innego. Pod czysto formalnym względem odejściem od „realizmu totalnego” jest choćby fakt, że zaczęliśmy niekiedy swojej poezji stworzać regularne rytmy i rymy. Inna sprawa, że w moich wierszach politycznych można znaleźć elementy zarówno „realizmu totalnego”, jak i „deparymującej poezji”. Skoro raz opowiadano, że możemy, to potem mogliśmy ich użyć do niemierniejszego niż do tego potępienia.

L.E.: Czy wobec tego zgadza się pan z tym podziałem punktualnej poezji, którego dokonał Martin Machovec, podziałem na wiersze inspirowane „realizmem totalnym”, wiersze inspirowane teorią „deparymującej poezji” i wiersze „pamiętającą profetyczną”?

E.B.: Do pewnego stopnia jest to podział słuszny. Dodaliśmy jednak do tego jedną istotną rzecz: mniej więcej od samego początku, a z pewnością od połowy lat pięćdziesiątych pisze swoją poezją jako nieprerwanym dziennikiem. Jak pan wie, większość moich tomów ułożono jest chronologicznie, według dat powstania poszczególnej wierszy, więc takiej poezji nie da się w tym kierunku komplementować, choć niektórzy oczywiście wyjdą od jej reguły. Piszę o tym, co mi akurat przychodzi do głowy, raz o pogodzie, a raz o tym, jak wkurwiam się ci komunikacji, no, teraz raczej ci kapitalizmu. Jest to taki monolog wewnętrzny, nieustanny monolog wewnętrzny. I jeszcze jedno: żadnych prawdziwie profetycznych ciągów nigdy nie miałem, pamiętam... owszem, dążyłem się to tak określić, jeśli można nazwać „pamiętnik” ciąg przekleństw, słów przekleństw, wierszy do walki przeciw establishmentowi. To taka poezja walcząca. Ale im dalej, tym więcej jest w niej twórczości pierwotna, czysto liryczna, osobista. Określenie „deparymująca poezja” już i mnie raczej krótko, chociaż oczywiście, ktoś, kto czyta moje wiersze, może to najbardziej retoryczne kawałki, szybko może się zorientować, że autor ma poczucie humoru i nie jest mu obca ironia ani autoironia. Gdybyśmy traktowali wiersze absolutnie poważnie, byłaby ironiczna rzadko, prawda? Myślę, że ironia, niekiedy można po-

wiedzieć ironia pokrzyżowana, jest niezwykle potrzebnym elementem dzieła sztuki, zwłaszcza dzieła literackiego. Długość więc Pana Boga, że jestem do niej zdolny.

L.E.: *Uważaj się Pan za utępiła, ale czegoś mówi Pan, jak na przykład przed chwilą o Pana Bogu, zaprawdę w cudzoziemcu, a w punktualnej poezji pojawiają się mowy, han, powiedzmy religijne czy spirytualne. Jest na przykład taki Pana wiersz o Pradze, która jest miastem Ducha (z dużej litery), miastem, gdzie Duch ten był może pewnego dnia zziłni na ziemię. Skąd się to właściwie w Pana bierze?*

E.B.: Jako filozof koncentruję się, jak pan wie, na ontologii, a nie na marksizmie czy naauce o społeczeństwie, polityka nie interesuje mnie w ogóle, politykę przez całe życie unikam, nie mam telewizora, nie słucham radia, nie czytam gazet... Jestem więc ontologiem, czyż zajmuję się teorią bytu. Od samego początku ta problematyka pociągła mnie bardzo mocno. Ponieważ pochodzę z rodziny ateistycznej, naturalną kolej rzeczy zmieniłem się do materializmu naukowego i zaczęłam studiować marksizm. Bardzo szybko przekonałem się, że marksizm w ujęciu Engelsa stoi na bardzo niepewnym gruncie, że jest to model nie do utrzymania, i właściwie przez całe lata pięćdziesiąte zastanawiałem się, dlaczego ów materializm jest nie do utrzymania. Z drugiej strony rozwiązanie teistyczne było mi absolutnie obce. W ten sposób doszedłem do teorii materializmu nieustającego, która ostatnio spotyka się z coraz większym zainteresowaniem i u nas, i na granicy. Nie twierdząc, że jest to znalezienie nowego paradigmatu, ale z pewnością teoria ta leży na drodze do niego.

W dziesięciolecie 1950-1960, kiedy uświadomienie sobie niemożliwości obronienia teorii materialistycznej, szukałem oczywiście jakiegoś punktu oparcia i znalazłem go w filozofii indyjskiej i chińskiej. Tak, umiuję rzecz chronologicznie, najpierw znalazłem go tam. Tak mając dwadzieścia lat i zaczęłam zajmować się buddyzmem. Sporo mi to dało. Potem to szło dalej. Przez całe lata sześćdziesiąte zdawało mi się, że model nieustającego jest wystarczającym rozwinięciem. A potem stała się czterdziestka, ten wiek przynosił pewne doświadczenia, a jeśli człowiek poważnie zajmie się przez cały czas jakimś problemem, to bada i podstawy swojej własnej myśli, stąd pojawiają się i poddaje krytyce, więc coraz głębiej osiąga w końcu punkt, w którym cały ten podział na materializm i idealizm zaczynać się mu wydawać „śmieszny” i dochodzi do wniosku, że mało istotnie powoływanych różnic między teizmem i ateizmem są to błędnie. Niezależnie od tego, co mi wtedy wierz, przetrzymać, czasami oceniano to porównanie. Porównanie to stało się wspaniałym jacyłiem. Pośród chrześcijańskich zawołał mi bardzo wiele błyskich przyjaciół. Jeśli materializm przeżyje to miasto, to w takim sensie, jaki ma ono Słonicy, w którego chodzi o „amor intellectualis Dei”. Nie jest to więc sprawa uczuć ani emocjonalnej egzaltacji, ani nawet wiary czy miłości, jest to pokora wobec tego, co Erich Fromm nazwał „X”, co jest niemożliwe do zwerbalizowania i świadomości, że ten fenomen „X” istnieje i w jakiej szczególnej sposób, który oczywiście nie jest na razie jasny, naprawdę oddziałują. I że, umiuję rzecz ontologicznie, w wypadku tego fenomen „X” chodzi o wielkość maksymalnie aktywną, która ma zdumiewającą zdolność potęgowania całej swojej uwagi, zarówno włączając ją jako całość, jak i każdej jego drobnie, dajmy na to każdemu z nas. Subiektywnie czuję wobec tego fenomenu pokorę, brakuje mi tylko miłości, no, ale to już jest kwestia mojej natury. Tak więc wychodzę z ontologii marksistowskiej dochodząc do wniosków, które mogą mnie zadowolić na porównanie tradycyjnego stanowiska niemyślnego nie zaskakująco niepojawionej filozofii. To mi jednak w żaden sposób nie przeszkadza w pracy ani w myśleniu. Przypuszczam duże znaczenie ironii, ale tak naprawdę jestem racjonalista, przede wszystkim jestem racjonalista.

L.E.: *Mieszka Pan w Brukseli w Bratysławie. Czy nie brakuje Panu Paryż?*

E.B.: Nie. Praga bardzo się zmieniła, nabrała charakteru miasta dla turystów, takiego jak na przykład Paryż. A ponieważ jest jestem do tego przyzwyczajony, jest to dla mnie nieprzyjemne. Jeszcze gdybym mieszkał gdzieś na przedmieściach, na jakimś osiedlu, to może nie odczuwałbym tego w ten sposób. Ale my mieszkaliśmy na ulicy Nerudy, czyli pod naszymi Hradczanami. Tu, w Bratysławie mam po prostu spokój. Inaczej zapewne wygięła to z punktu widzenia młodego, zaczynającego karierę artysty, który mieszkał w Bratysławie rozczuliłaby nie ma zbyt wielu możliwości rozwoju. Nie dlatego, że Bratysława jest mała, ale dlatego, że jest bied-

więc nie ma to być krytyka ważnych wytworów, jakichś wystaw sprowadzonych z zagranicy. Kiedy Czechosłowacy byli jednym państwem, każda duża wystawa automatycznie pokazywana była w Pradze, Brnie i Bratisławie. A teraz nie ma takiego przykladu na ubezpieczenie eksportatorów, no i nie pokazuje się tu nic. Pierwszą wielką artystyczną miłą i ciepłą dla oka wystawą Co więcej! w takich warunkach można się spodziewać, że w końcu nie będzie to żadną przeszkodą dla artystów, no bo co tu dużo mówić, w katolicy i artysty musi coś być i potrzebują jakiegosi odzwrotu. Tak więc z tego punktu widzenia wygląda to gorzej niż w Pradze. Ale dla mnie miły jest ten austro-węgierski spójnik. Nie specjalnego nie da się tu osiągnąć, nie specjalnego nie da się odzyskać, wobec tego niczego specjalnego nie odzyskać nie wymaga, wygląda to trochę jak gabinet w Ameryce Południowej. Na polu sztuki nie ma tu niczego, co by było nie do zaakceptowania, nie ma tu żadnych historii. Słowny nigdy nie był samodzielnym i nie studium sprowadzania ich ze roli obywateli drugiej kategorii myśli samodzielnego swój świat.

L.F.: Bardzo dziękuję za rozmowę

Bratislava, 14. srpna 1995 r.

roznowę prowadził Leszek Engelking

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Norbertinum”

Jerzy R. Krzyżanowski „Szpic”: *U Szarugi. Partyzancka opowieść*. Lublin 1996. ss. 326.

Marek Gódek: *Pierwsze cztery lata... Z doświadczeń samorządu terytorialnego na Lubelszczyźnie 1990-1994*, Lublin 1996, ss. 106.

Piotr Dobak: *Wigry/ młc. Poezja*, Lublin 1996, ss. 64.

Eda Ostrowska: *Parzywe nazwisko Abrahama*. Poezja. Lublin 1996, ss. 48.

Józef Zięba: *Wspaniały dar króla i inne labełskie opowiadki*. Lublin 1996, ss. 284

Ryszard Winiarski: *Uczta marnotrawnych*. Poezja. Lublin 1996, ss. 84.

Marek Stokowski: *Dzień nad ciemną rzeką*. Poezja. Lublin 1996, ss. 74

Piotr Linek: *W brzachu wielkiej ryby*. Poezja. Lublin 1996, ss. 48.

Bohdan Królikowski: *Na ułańskich drogach. Spotkania przedziwne*. Lublin 1996, ss. 178.

BOGUMIŁA KRZEW

* * *

zawieszona we mgle
pomiedzy
próbuje odnaleźć
kontury przedmiotów
przyjazny kształt zegara
kamień
dla oparcia stóp

Stale punkty odniesienia
gdzieś są
na pewno

tylko teraz
ta miota

Na pograniczu snu
bliskość
twoich ramion i ud
na karku ciepły oddech

echo powietrza
gwałtowne trzepotanie
skrzydeł gołębia

w oczekiwaniu
drzą
nabrzmiąle wilgocią
poranka
płatki sasanki

tylko cisza
i chłód
puchowej kołdry

中 北 南

Na mapie
twoich dłoni
gęszcz niepokoju
sieć ożywczych potoków
ciepło dojrzalego słońca

zawieszona we mgle
pomiędzy
nihilu i odrodzenia

przyjazny kształt zegara
kamień
dla oparcia stóp

Stale punkty odniesienia
gdzieś są
na pewno

tylko teraz
ta męła

Na pograniczu snu
bliskość
twoich ramion i ud
na karciu ciepły oddech

echo powietrza
gwałtowne trzepotanie
skrzydeł gołębia

w oczekiwaniu
drzą
nabrzmiacie wilgocią
poranka
plątki sasaniki

tylko cisza
i chłód
puchowej koldry

※ 注意

Na mapie
twoich dni
Bądźcie niepokoju
sieć ożywczych potoków
ciepło dojrzałego słońca

Na mapie
twoich dłoni
obietnica spokojnego snu
i podniebnego lotu
na uwięzi

Nieziemnie
umykam do ciebie
boleśnie
zmęczone szarym dniami
do twoich oczu przymkniętych
i rak
w sposób nie znoszący sprzeciwu
łagodnych

uwodzą mnie
wczoraj i jutro
dziwi nieobecne dziś

a czas
zakłopotany
rozkłada ręce
i uparcie trwa
przy swoim

Najpiękniejszy jesteś
przed rozziarnieniem
kiedy ciągnę tracę
kolejny raz

z sekundy na sekundę
ogromnie jęczy
ogromnie smutek
ogromnie strach

potem już tylko
drżenie rąk
piekąca suchota oczu

i twój profil
za szybą samochodu
obok nadzieja
odwacza ode mnie
twarz

Bogumiła Krzew

JOANNA DURCZAK

Rezerwy, kasyna i kojoty w trampkach albo indiańskie odrodzenie

Był taki moment w historii Indian północnoamerykańskich, kiedy wydawało się, że zmierzch ich świata jest nieuchronny. Po blisko czterystu latach (licząc od pierwszych hiszpańskich wypraw na Florydę) znaczących porywów, walkami, rzeżaniami i większymi i mniejszymi wojnami, pod koniec dziewiętnastego wieku kapitulowali, zostali pokonani albo schwytani i zamordowani ostatni wielcy indiańscy wodzowie. W 1873 roku, po czterech miesiącach morderczego, prawie 3000-kilometrowego marszu w ucieczce przed zamknięciem w rezerwacie, poddał się wraz z całym plemieniem Nez Perce wódz Joseph. W roku 1886 złożył broń ściganemu od lat przez parutysięczną armię Geronimo i jego ostatnich 24 wojowników. W 1890 nie żył już ani Crazy Horse, ani Sitting Bull, obaj wsławieni jako wodzowie zjednoczonych wojsk indiańskich, które kilka lat wcześniej rozgromiły wojska Castera nad rzeką Little Big Horn. Podobaj indiańskie Ameryki Północnej praktycznie dobiegli końca.

Przez 400 lat zrobiono wszystko, by Amerykę z Indian oczyścić. Dla kolejnych generacji pionierów i osadników, religijnych przywódców, poszukiwaczy złota, srebra i miedzi, dla górników i hodowców bydła, Indianie byli tylko nieprzewidywaną i niebezpieczną przeszkodą na drodze do sukcesu. Oczyszczanie prowadzono kilkoma metodami. Wbrew doświadczeniom powszechnemu przekonaniu, największe sukcesy w tej dziedzinie osiągnięto bynajmniej nie metodą militarnego podboju. Ekspansjonizmowi europejskiemu w sukurs przyszła niespodziewanie sama natura. Indianie okazali się nieodporni na większość europejskich chorób zakaźnych. Ospa, odra, gruźlica, cholera, syfilis, szkarlatyna, a nawet zwykła grypa były dla nich najczęstszymi śmiertelnymi. Jeden chory hiszpański żołnierz pozostawiony na przemarszu ekspedycji w indiańskiej wsi, jeden cierpiący na gruźlicę misjonarz, czy przegarnięty na noc do wigwamu traper potrafił uśmiercić więcej ludzi niż zorganizowana akcja militarna. Szacuje się, że na każdych 20 Indian, którzy zginęli w wyniku kontaktu z białymi, dziesięciu zmarło nie od ran zadanych mieczem, nożem, bagnietem czy kulą, ale w wyniku infekcji bakteryjnej albo wirusowej. Kiedy biali zorientowali się jak straszliwą i skuteczną bronią dysponują, wojnę bakteriologiczną włączono do arsenału środków bojowych; i tak na przykład w XVIII wieku znana była praktyka świadomego sprzedawania Indianom kocyk zarazonych wirusami ospy.

Drugą co do efektywności była metoda militarna. Wojny z Indianami prowadzono z nieprawdopodobną bezwzględnością, w czym odznaczyli się przede wszystkim we wcześniejszych fazach podboju Hiszpanie, a w późniejszych Amerykanie. Francuzi i Anglicy byli zdecydowanie bardziej powściągliwi. Wojna na ogół nie ograniczała się do starć dwóch wrogich armii. Jej celem była eksterminacja całych narodów i celu tego często nie próbowano nawet tuszować szlachetnie brzmiącą retoryką. Przed atakami

– jednym z dziesiątków podobnych w XIX wieku – na duży obóz Szeje-nów, akurat w tym momencie nie znajdujących się w stanie wojny z Amerykanami, dowodzący wojskiem pułkownik armii amerykańskiej, John Chivington wydał takie polecenie swoim żołnierzom: *Zabijcie i skalpować wszystkich, starych i młodych. Żadnych jeńców. Nawet kobiet i dzieci. Zgniat wystrąglą wszystkich!*¹ W ostatniej wielkiej masakrze wojny indyjskiej nad rzeką Wounded Knee, w przeddzień nowego roku 1891 z rak żołnierzy zginęło 350 Szuksów – wojowników, kobiet, dzieci i starców – znajdujących się akurat w drodze do rezerwatu. Wymordowano prawie wszystkich. Tych, którzy próbowali się ratować uciekając, tropiono i ścigano kilometrami. Ofiary rzeki znajdowano później nawet w odległości 7 kilometrów od obozu. W drugiej połowie XIX wieku na Wielkich Preriach i na Południowym Zachodzie zabijanie Indian tak spowszedniało, że stało się zajęciem cywilnych półprofesjonalistów. Był taki okres, kiedy za świątę skalpów Alaska, nawet dziesięć, płacono w Arizonie 250 dolarów. Ale polowania urządzano nie tylko na groźnych dla kolonizatorów, bo wojowniczych i bezwzględnych, Apaczy. Na jedno z najbardziej płożliwych i zdecydowanie unikające białych plemię Paiutów polowano wręcz dla sportu.²

Tych, których nie pobiło, nekano ściganiami i głodem. Indian Nez Perce tropiono przez cztery miesiące na dystansie 2900 kilometrów. Navajów zmuszono do kapitulacji, a później do pięćsetkilometrowego marszu do rezerwatu we wschodnim Nowym Meksyku metodą wypróbowaną wcześniej na Irokezach – niszcząc im pola i pałac plony, wydając im wyrznięte konie i owce oraz wycinając brzośkowinowe skóry. Plemionom na Wielkich Preriach podcięto korzenie egzystencji wybijając liczące miliony sztuk stada bizonów. Ale nawet ostateczne osiedlenie się w rezerwach na ogół nie oznaczało końca gehenny. Głódowi i nielegalnie dostarczanym żywnościowo, chorobę, poczuć klęski i upokorzenie, wreszcie demoralizująca bezczynność wyniszczały ludność indyjską w zastraszającym tempie.

Próbowano Indian także asymilować. Najskuteczniejszy proces ten przebiegał na południowym wschodzie wśród narodów Cherokee, Choctaw, Chickasaw, Creek i Seminole. Ale i te tzw. pięć cywilizowanych plemion w trzydziestych latach XIX wieku wyśledzone z terenów dzisiejszej Georgii, Florydy i Alabamy, mimo że nie stanowiły żadnego militarnego zagrożenia, a jedynie konkurencję dla rządzących ziem białych. (Wyśledzenie było oczywiście jeszcze jedną formą eksterminacji). W trakcie 1300-kilometrowego marszu z Georgii do Oklahomy, pamiętanego do dzisiaj jako „Szlak łez”, cztery z osiemnastu tysięcy przemieszanych Indian Cherokee zmarło z głodu i wycieńczenia.) Zabiegom asymilacyjnym systematycznie poddawano, szczególnie w drugiej połowie XIX wieku, indyjskie dzieci. Często robiono to wywołując je z rezerwatów do odległych szkół z internatami – z Nowego Meksyku do Kalifornii albo z Oklahomy do Pensylwanii – gdzie pozbawione kontaktu z rodziną, językiem i rodzimą kulturą, w straszny, półwojskowy reżimie latami były „cywilizowane” w poczuciu pogardy dla własnego dziedzictwa.

Choć może się to wydawać nieprawdopodobne, najbardziej zdumiewającą acz prostą metodą „oczyszczenia” Ameryki z Indian wymyślono nie dalej jak 60 lat temu. Była to metoda biurokratyczna acz z pogranicza myślenia magicznego. Nazywała się „polityką rozwiązania” (*termination policy*). W latach czterdziestych i pięćdziesiątych amerykańskie rządowe Biuro do Spraw Indian (BIA) zaczęło wypłacać spore pieniądze tym plemionom indyjskim, które zgodziły się na skreślenie z listy tego podopiecznych. W ten sposób przestało oficjalnie istnieć ponad tuzin plemion. Ich członkowie, nie ujęci w wykazach BIA, z punktu widzenia prawa przestawali być Indianami.

Od mniej więcej połowy osiemnastego wieku zaczęto o Indianach mówić jako o „ginącej rasie”. Na początku wieku dziewiętnastego amerykańscy romantycy pisali już dla nich elegie. Najśmieszniejszą z nich pozostało do dzisiaj *Ostatni Mohikanin* J.F. Coopera, powieść, która zapowiadała nieuniknienie indyjskiego skłapa światła i całej indyjskiej narodu. Pisarz swą indyjską pięćdziesiątą z bezpiecznego dystansu przynajmniej kilkuset kilometrów od centrum konfliktów oraz będąc pod wpływem romantycznej ideologii, Cooper wyrażał żal z powodu wymierania kultur, dla których żywił szacunek i podziw. Ale tym jego uczucie nie podzielała większość Amerykanów mających z Indianami bezpośrednie kontakty. Autorzy współczesnych wojenskich raportów donosili raczej w tonie triumfalnym o wytrzebieniu tegoż ich imię plemienia. Fakt, że jakiś nowy obszar stawał się wreszcie bezpieczny dla białych osadników, postrzegano jednoznacznie jako sukces. W końcu XIX i na początku XX wieku, do raportów wojenskich o „rozwiązaniu kwestii indyjskiej” dołączano coraz liczniejsze, chociaż już beznamietne, doniesienia demografów, etnografów i językoznawców o wymieraniu bądź całkowitym wyginieciu ikeronich plemion w Kalifornii, na Florydzie czy w Maine. Na początku XX wieku zaczęto o Indianach mówić prawie wyłącznie w kontekście historycznym. W świadomości większości białych Amerykanów przestali praktycznie istnieć jako element współczesnej rzeczywistości. Jeżeli się pojawiali to najwyżej sporadycznie jako marginalny, zlokalizowany w rezerwach, problem społeczny.

Poczucie schyłkowości udzieliło się także i samym Indianom. W obliczu porażających faktów zaczęli sami o sobie mówić jako o „ginącym ludzie”. Wspominając w 1913 roku masakrę nad Wounded Knee, jeden z jej świadków, święty mąż Szuksów, Black Elk, tak podsumował indyjskie losy w Ameryce Północnej: *I tak się wszystko skończyło. Wiedzę jeszcze nie wiedziałem, jak wiele się skończyło. Dzisiaj, gdy patrzę w dal z wysokiego wzgórza moich starych łaz, wciąż widzę te zmasakrowane ciała kobiet i dzieci leżące w stosach lub rozlewające wzdłuż brzegów krętego jaru – widzę wyraźnie, tak jak je widziałem, oczyma wciąż młodymi. I widzę też, że wtedy, w krwawym błocie umarło, a potem zostało pogrzebane przez śnieg coś jeszcze. Na tym polu umarła nadzieja narodu. To była piękna nadzieja... Okrag został przerywany i rozszpal się. Dzisiaj nie ma już bródka, a światło drzewo leży martwe.*³

Ale nuta klęski pobrzmiwała w przemówieniach indyjskich wodzów już grubo wcześniej; na Wybrzeżu Wschodnim słysząc ją było

¹ John Chivington cytowany w *Native America*, ed. John Gutso, wyd. APA Publications, 1992, s. 46.

² Alvin Josephy, Jr.: *Now That the Buffalo's Gone: A Study of Today's American Indians*, wyd. Knopf, New York 1982, s. 74.

³ John G. Neihardt: *Black Elk Speaks*, wyd. Simon and Schuster, New York 1972, s. 230.

już w XVII wieku. Najeźdźców zawsze ostrzegano, że nigdy nie zaszają spokoju, jednak nękać mieli ich nie tyle żyły co duchy. W roku 1854 wódz Seattle z plemienia Squamish tak przemawiał zwracając się do gubernatora terytorium Waszyngtonu:

Kiedy odejdziesz już ostatni czerwony człowiek i pamięć o moim plemienu zachowa się tylko w opowieściach powtarzanych przez białych, brzegi rzeki zaroją się od niewiedziących zmarłych z mojego plemienia. I kiedy dzieciom waszym będzie się wydawać, że są same na polu, w sklepie, w warsztacie, na drodze, czy w ciemnych bezdrożach, to same nie będą. Nocami, kiedy ulice waszym miast uściną i będą wyglądać na puste, wysłuchaj na nie powracające zastygły tryk, który kiedyś tu żył i który wciąż kochał ten piękny kraj. Białe człowiek nigdy nie będzie tu sam. Niech więc traktuje mój lud dobrze i sprawiedliwie, bo zmarli nie są bezsilni.⁴

Musiałby upłynąć dziesięciolecie, zanim narody indiańskie zaczęły pozwolić dźwięczać się z demograficznego, gospodarczego i kulturalnego szoku, w jakim pozostawił je europejski podbój. Dla niektórych plemion okres ten trwał jeszcze dłużej – dwa, a nawet trzy stulecia. Pierwsze wiarygodne odrodzenia pojawiły się w późnych latach sześćdziesiątych. Bodźcem stała się nie tyle nowa polityka Waszyngtonu wobec Indian (za prezydentury Nixona zrezygnowano z „polityki rozwiązania” na rzecz znacznie bardziej Indianom przyjaznej „polityki samostanowienia”), ile przykład przy padającej na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte murzynskiej walki o emancypację i obalenie rasistowskich praw. Sukcesy jednej grupy obywateli gorszej kategorii zainspirowały drugą grupę. W roku 1968 Indianie pojawili się nagle w mediach, gdy zajęli i rozpoczęli okupację wyspy Alcatraz, by w ten sposób zwrócić uwagę Ameryki na swoją tragiczną sytuację. W roku 1973 Amerykanie ponownie usłyszeli o Wounded Knee. Grupa młodych ludzi z radykalnego, stworzonego na wzór murzyńskiego Czarnych Panter, Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) rozpoczęła okupację miasteczka, domagając się gruntownej rewizji rządowej polityki wobec Indian oraz likwidacji rasistowskich przepisów i praktyk. Okupacja zakończyła się regularną bitwą z siłami FBI i wielomiesięcznym procesem – uniewinnionych w końcu – przywódców AIM, Russella Meansa i Dennisa Banksa. Głównym osiągnięciem protestujących było nagłośnienie i upublicznienie Indiankiej desperacji. Obrazy z Wounded Knee zaskoczyły Amerykę. Młodzi, zwyciężący z amerykańską wygładzającą ludźmi, bynajmniej nie pomalowani w wojenne barwy ani wystrój w pióropusze, inteligentnie, składnie, ale z gniewem i gorzkością uświadomili telewidzom, w jak upokarzających często warunkach egzystowała milionowa wówczas rzesza rdzennych Amerykanów.

Właśnie wtedy, w latach siedemdziesiątych, nagle zaczęło się coś zmieniać. Gwałtownie, skokowo, w tempie znanym tylko z Trzeciego Świata,

zaczęła wzrastać liczba ludności indiańskiej. W roku 1960 żyło w USA około 550 tysięcy Indian, w 1980 już prawie półtora miliona, a w 1990 blisko dwa miliony. Gwałtownemu przyrostowi ludności towarzyszyło powolne rozbudzenie świadomości etnicznej i wzrost wszelkiego rodzaju aspiracji, od politycznych i ekonomicznych po kulturalne. Ewolucji tej sprzyjała niewątpliwie atmosfera lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, dla których tak charakterystyczne było zainteresowanie wszelkimi uciśkanymi i wyzyskiwanymi grupami – Murzynami, kobietami, mniejszościami etnicznymi i seksualnymi. Dzięki tej atmosferze, domagającej się praw Indianie znaleźli się w kręgu zainteresowań prawników, polityków, socjologów, ale też dziennikarzy, filmowców, komentatorów telewizyjnych i zwykłych obserwatorów amerykańskiego życia. Rezerwy indiańskie zaczęły odzwierciedlać coraz liczniejsi turyści. Literatura pisana przez amerykańskich twórców zaczęła pojawiać się na listach czytelników bestsellerów, a indiańska sztuka w najlepszych galeriach i to nie tylko w tradycyjnie indiańskich ośrodkach, takich jak Santa Fe czy Phoenix, ale w Nowym Jorku i Waszyngtonie. W chwili obecnej można wręcz mówić, że Stany Zjednoczone ogarnęła moda na Indian, zaś narody indiańskie doczekały się swojego odrodzenia.

Jakie zjawiska są najbardziej charakterystyczne dla tego indiańskiego renesansu? Na pierwszym miejscu należy tu wymienić całą grupę zabiegów prawniczych, które mają na celu zmianę lub uporządkowanie prawnej sytuacji indiańskich plemion. Na ogół zmudne, trwające latami i niezrozumiałe dla laika, działania te zazwyczaj pozostają mało znane, do momentu kiedy zostały uwiecznione jakimś spektakularnym sukcesem. Najogólniej rzecz ujmując, mają one na celu doprowadzenie do uznania i przestrzegania wszelkich prawnych konsekwencji traktatów i umów zawartych w przeszłości pomiędzy poszczególnymi plemionami a rządem amerykańskim. Niezwykle podpisywane jeszcze w XIX a nawet XVIII wieku, traktaty te, często w miarę uczciwe i korzystne dla Indian, nigdy nie zostały anulowane, mimo że przez dziesięciolecia nagminnie je lamano lub ignorowano. Na tym prawniczym zaniedbaniu odbiadowsze dzisiaj teraźniejszość i przyszłość wiele indiańskich rezerwatów. Indian się w wyjątku przed Indian prawami od 25 lat przeprowadzają prawną rewindykację, która doprowadziła już do zwiększenia uprawnień samorządowych władz plemiennych, przywróciła status prawny narodom skreślonym w latach pięćdziesiątych z rejestrów Biura do Spraw Indian i wprowadziła do tego rejestru nowe plemiona. Indianom został zagwarantowany uczciwszy dostęp do wody na terenach, gdzie jej brakuje, oraz uczciwszy udział w dochodach z eksploatacji na terenie rezerwatów bogactw naturalnych. Zabezpieczenie zostały, wreszcie, ich prawa łowieckie tam, gdzie myślistwo, łowiectwo czy rybactwo jest podstawą ich egzystencji.

Spektakularnym przykładem takiej uwiecznionej sukcesem akcji prawnej z początku lat siedemdziesiątych był proces wytoczony przez Indian Passamaquoddy i Penobscot rządowi stanu Maine, o zwrot 5 milionów hektarów ziemi i przyznanie 25 milionów dolarów odszkodowania. Podstawą żądań było złamanie prawa z 1790 roku, tzw. Traktatu o Handlu i Wzajemnych Stosunkach, zabraniającego nabywania ziemi będącej własnością Indian bez pozwolenia rządu federalnego. Proces zbudził wiersował Amerykę najpierw rozmiarem indiańskich żądań, a później,

⁴ Wódz Seattle (Sealth) cytowany przez T.C. McLusana w *Touch the Earth: a Self Portrait of Indian Existence*, wyd. Simon and Schuster, New York 1972, s. 30. Należy tu jednak zaznaczyć, że Indianie dopiero powstępują o autentyczności słowa sformułowanego w cytowanej wypowiedzi, zapisanej nie w rodzimym języku Seattle'a, a po angielsku i przez lata dowolnie zmiekszanej w kolejnych jej wersjach w zależności od ideologicznych potrzeb cytującego.

Patrz: Dennis Low: *Contemporary Reorientation of Chief Seattle*, „American Indian Quarterly”, vol.19, nr. 3 (Summer 1995), ss. 407-419.

jeszcze bardziej, ich częściową wygraną. Nie zwrócono im wprawdzie ziemi, ale otrzymali 85,5 miliona dolarów reparacji. Konsekwencją wezdu były oczywiście następne procesy. Indianie Pequot zażądali zwrotu 320 hektarów, Narragansett – 1300, Havasupai – 74 000 i chociaż wiele uboższych czy słabiej zorganizowanych plemion nie miało ani środków, ani możliwości upomnieć się o swoje prawa, sukces osiągnięty w Maine stał się dla całej indyjskiej Ameryki czymś w rodzaju symbolu nowych indyjskich możliwości.

Sposób, w jaki Passamaquoddy i Penobscot spożytkowali przyznanie im pieniędzy, także wart jest opisanja, jako że stanowi ilustrację kolejnego, choć raczej mało znanego aspektu indyjskiego odrodzenia. Reparaacje przyznano Indianom stosunkowo lekką ręką nie tyle z poczucia historycznej winy i aby uczynić zadatek sprawiedliwości, ile w przekonaniu, że w bardzo szybkim czasie te spore sumy, rozdzielone pomiędzy członków plemienia, zostaną wydane poza rezerwat na cele konsumpcyjne. Dając pieniądze Indianom – rozmawiano – pośrednio rozkręca się lokalną koniunkturę gospodarczą. Tymczasem stało się coś nieprzewidzianego. Indianie pieniądze zainwestowali i to tak, by przyniosły długofalowe zyski przede wszystkim dla rezerwatu – zmniejszyły bezrobocie, stały się źródłem trwałego dochodu i podniosły prestiż plemienia. W tym celu zakupili 120 000 ha lasu, jedną z największych w Maine plantacji jagód, wreszcie w 1983 roku lokalną, podupadającą cementownię. W nowych rękach cementownia zaczęła przynosić znaczne zyski i po niedługim czasie została sprzedana za cenę trzykrotnie wyższą od ceny zakupu. Ten sukces Indian z Maine do dziś uważany jest za niezwykle ważny, dlatego że tak wymownie podważył wszelkie wyobrażenia o indyjskiej niegospodarności, nieumiejętności funkcjonowania we współczesnej gospodarce i paralizującej frakcyjności w polityce plemiennej.

Alie większość plemion prosperujących dzisiaj ekonomicznie zarabia pieniądze inaczej. Wykorzystując swój status tzw. suwerennych narodów nie podlegających prawom (z wyjątkiem tych niektórych) obowiązującym w danym stanie, Indianie nagminnie inwestują w hazard. Stanowe zakłady prowadzenia kasyn gier hazardowych nie dotyczą rezerwatów. Zatem buduje się tam kasyna. Istnieje wprawdzie spora rozbieżność ocen co do faktycznej efektywności tych przedsięwzięć. Głosy kwestionujące przekonanie, że otwarcie saloni gier rozwiązuje wszystkie indyjskie problemy ekonomiczne, nie są odosobnione. Ale mit, że kasyno jest drogą do prosperity, zakorzeniony jest już głęboko i wiele plemion liczy na to, że uda im się powtórzyć niebawem sukces ekonomiczny, jaki stał się udziałem na przykład Pequotów z Connecticut. Otwarte przez to, liczące zaledwie 350 członków, plemię kasyno Foxwood Resort w Leyard jest jednym z największych w USA. O jego wielkości niech świadczy fakt, że bezpośrednio i pośrednio obsługuje je 10 000 ludzi, co plasuje jego indyjskich właścicieli w grupie dziesięciu największych pracodawców w Connecticut. Dochody osiągane przez Pequotów pozwoliły praktycznie skłonić ich z listy podopiecznych Biura do Spraw Indian. Mało tego; kiedy w 1993 roku budżet stanu Connecticut wykazał deficyt, Indianie, w bezprecedensowym geście, podkarłowili stanowi 15 milionów dolarów. Wieksość ogromnych sum, jakimi dysponuje dziś plemię, jest inwestowana w biznes lub w zakup ziemi (albo jak widzą to niektórzy w jej wykup z rąk innych rąk), co znowu ma niezmiennie istotne znaczenie symboliczne.

Ponadto Pequoci finansują muzeum swojej historii, oferując stypendia dla jej badaczy, a także sponsorują wszelkiego rodzaju działalność artystyczną członków swojego plemienia. Wiele mówiącym przykładem dalekowzroczności, z jaką gospodarują nie tylko swoimi pieniędzmi, ale i ludźmi, może być następująca praktyka. Ponieważ niewykształcony, szeregowy pracownik kasyna ma szansę zarobić więcej niż pracujący poza rezerwatem Pequot z dyplomem matrymalnym czy uniwersyteckim, będzie zapobiec demoralizującemu efektowi takiej sytuacji, dla plemienia wyplaca wykształconym członkom plemienia rekompensatę finansową będącą wyrazem uznania dla ich ambicji i osiągnięć.

Indianin-biznesmen, Indianin-inwestor, Indianin-pracodawca, naukowiec czy mecenas – wszystko to są nowe role, w których rdzenni Amerykanie występowali dotąd sporadycznie i które zadają kłam wyjątkowo mocno zakorzenionym stereotypom rządzącym amerykańską i europejską wyobraźnią. Kim jest Indianin według tego stereotypowego wyobrażenia? Jest przede wszystkim postacią wyłącznie z przeszłości, a nie z teraźniejszości, albo szlachetnym dzikusem z powieści Coopera i Karola Maya, albo mściwym, bezwzględnie morderczym z tradycyjnego, hollywoodzkiego westernu. Chociaż wśród północnoamerykańskich Indian byli i rycerze, i rybacy, i zbieracze, chociaż wiele narodów prowadziło osiadły albo kupiecki tryb życia, dzisiaj pamięta się właściwie tylko o wojowniczych plemionach z Wielkich Prerii. Ich konie i pióropusze z orlich piór, tomahawki i naszyjniki z niedźwiedźnich pazurów, egzotykiem i widowiskowe obyczaje stały się synonimami indyjskości w ogóle. Równocześnie z tymi dwoma wyobrażeniami funkcjonuje, szczególnie w Ameryce, jeszcze jeden stereotyp Indianina – bezrobotnego pijaka z rezerwatu, pozabawionego ambicji i całkowicie nieprzystosowanego do życia w nowoczesnym społeczeństwie. Wszystkie te wyobrażenia odbierane są przez dzisiejszych Indian jako absurdalne, fałszywe i krzywdzące. Dlatego też, bynajmniej nie negując faktów takich jak bieda, alkoholizm, analfabetyzm czy przestępczość wciąż charakterystycznych dla rezerwatów, Indianie prowadzą dzisiaj bardzo intensywną działalność na rzecz zmiany swojego wizerunku w społecznej wyobraźni. Jej efekty widać coraz wyraźniej w mediach, w muzeach, w podręcznikach szkolnych, w akademickich pismach, a nawet w codziennym języku.

Działania te są skierowane w pierwszym rzędzie na samą społeczność indyjską, bynajmniej nie wolną od nawyków myślenia o sobie w kategoriach tych właśnie nieporęcznych wyobrażeń. Celem ludzi w nie zaangażowanych jest dotarcie zarówno do tych, którzy mieszkają w rezerwach, poza rezerwatami (2/3 wszystkich Indian) i często podlegają, albo wręcz świadomie wybierają wywarowanie, jak i do mieszkających indyjskich enklaw, którzy za własność plemienną tradycją i przywiązaniem do rodzinnej ziemi placą biedą i brakiem perspektyw. Dopiero w dalszej kolejności chodzi o dotarcie do świata pozaindyskiego.

Najważniejszym, podstawowym przesłaniem tej działalności jest artykułowana triumfalnie dumą z faktu przetrwania. To, że narody indyjskie przetrwały wbrew niewyobrażalnym przeciwnościom, na przekór wszelkim prognozom i neorokom, jakie dla nich napisano, jest podkreślone bezustannie i przy każdej okazji. Odbijające w Sztokholmie przyznanej w 1992 roku pokojową Nagrodę Nobla, Indianka z plemienia Majów, Rigoberta Menchu K'iche', tak mówiła w imieniu wszystkich Indian z obu Ameryk:

Są tacy, co twierdzą, że tubylcze narody są mitem z przeszłości, że są jak ruiny, które obumarły. Ale różna społeczność [indiańska] nie jest ani reliktem przeszłości, ani legendą. Jest pełną vitalności, zdążyła do celu i ma przed sobą przyszłość. Nie zniszczono nas i już zniszczeni nie zostaniemy. Działajmy występujemy krok do przodu, żeby wszystkim okazać mi: „Nieprawda! Jesteśmy! Żyjemy!”

Przyglądając się dzisiaj współczesnej Ameryce trudno się oprzeć wrażeniu, że jesteśmy świadkami zupełnie nieprawdopodobnej rezerakcji. Plemiona, które „od zawsze” opisywano się (nawet w prasie specjalistycznej) jako wymarłe, nagle deklarują swoje istnienie. Nazwy wielu z nich znane były dotąd niemal wyłącznie historykom albo kojarzą się co najwyżej z nazwami miejscowymi, których pochodzenia jest im dawna nikt nie pamięta. Teraz okazuje się, że Cooperowskie epitafium dla Młóhianów było grubo przedwczesne i że potomkowie Chingachagosa wciąż żyją w południowoschodnim Connecticut. Żyją także Indianie Wampanoag, pierwsi, z którymi zetknęli się purytańscy Pielgrzymi w 1620 roku, żyją Indianie Powhatan, Tigwa, Wishram, Houma, Mandan, Creole, Alabama i Yuchi. Na Kubie odnaleziono nawet potomków Tainów, ludu, który powitał Kolumba po wyładowaniu na wyspie Guanahani (San Salvador) i który, jak się powszechnie uważało, wyginął bez śladu¹. W swojej książce *Now That the Buffalo's Gone* (1982) Alvin Josephy Jr. napisał:

Wszystkie te i inne plemiona, które kiedyś dumnie mówiły o sobie „my, ludzie i które w pewnym momencie usłyszały od białego człowieka o swoim całkowitym wymygnięciu, wiedzą, że wciąż istnieją i że, tak jak potomkowie Indian Calis, Timucua, Apalachee i innych florydzkich narodów, w dalszym ciągu będą żyć i umierać czując się Indianami².

Tu i ówdzie można wprawdzie usłyszeć głosy sceptycznych twierdzących, że ostatnie pięć stuleci w Ameryce był takim trybem ludnościowym, iż dzisiaj często trudno ustalić przynależność plemiennej kogosi, kto miał babkę pół-Indiańską Chippewa, dziadka w połowie Komancza i w połowie Zuni, matkę mieszańca czterech narodowości, a ojca białego, lecz z domieszką w trzecim pokoleniu krwi burańskiej. Niektórzy twierdzą, że w ogóle nie można dziś mówić o Indianach czystej krwi. Ale sami Indianie reprezentują w tej kwestii stanowisko dosyć liberalne. Chociaż czasem lekceważący wypowiadają się o „Indianach w 1/32”, odrzucają też biurokratyczną, kwantytatywną definicję Indianina (minimum 1/4 krwi indiańskiej), jaką posługuje się Biuro do Spraw Indian. Kierując się natomiast przede wszystkim indywidualnym poczuciem tożsamości i przynależności plemiennej. W pismach wydawanych przez rdzennych Amerykanów nierzadko pojawia się wspomnienia, listy i opowiadania, które artykułują przekonanie, że bycie Indianinem to nie tylko sprawa pochodzenia i wpisu w plemiennych rejestrach, ale także świadomy wybór.

¹ Rigoberta Menchu Kiche' cytowana przez Artá Davidovana w *Endangered Peoples*, wyd. Sierra Club Books, San Francisco 1984, s. IX.

² Jose Barreiro: *View From the Shore: Toward an Indian Voice in 1992*, w: *View From the Shore: American Indian Perspectives on the Nineties*, ed. Jose Barreiro, Columbia Quincentenary Edition of „North East Indian Quarterly”, vol. 7, no. 3 (Fall, 1990), s. 5.

³ Alvin M. Josephy, Jr.: *Now That the Buffalo's Gone: A Study of Today's American Indians*, s. 28-29.

Oto fragment jednego z takich wspomnień:

Kiedyś w młodości ktoś zadał mi pytanie, czy jestem prawdziwym Indianinem. Mój rozmówca twierdził, że nie mogę być pełną krwi, bo mam brązowe oczy z zielonym odcieniem. Powiedział, że uczył się kiedyś na studiach o Indianach i wie, że Indian pełnej krwi prawie już nie ma spotyka. Nie wiem, dlaczego przyznałem się wtedy, że rzeczywiście jestem półkrwi. Usłyszał to mój wuj, Nipawanoos. Kiedy wróciłem do domu, stary Nip zapisał moje, która moja połowa jest indiańska, a która nie. Zmieszaliśmy się. Wtedy zaczął mi zamknąć oczy i wypalać serca, kim jestem naprawdę. Mój serce nie ważyło się ani przez moment. Byłem Indianinem... „My nie składamy się z kawałków” – powiedział Nip. Potem zawiesił mi na szyi naszyjnik [zrobiony z perłskich turkowskich, europejskich koralików i rogów amerykańskiego jelenia] i kiedy go z zaciekaaniem oglądałem, dodał: „Z elementu bardzo się różniących można stworzyć coś, co będzie piękną całością”.

Równie charakterystyczne dla indiańskiego odrodzenia jak podkreślanie faktu przetrwania jest żądanie, aby odkłamać i na nowo napisać historię Ameryki. Impuls do tego rodzaju aktywności dały szczególnie obchody w 1992 roku pięćsetlecia „odkrycia” kontynentu przez Kolumba. Celebrowane z pompą na międzynarodowym amerykańsko-hiszpańsko-meksykańskim szczeblu, obchody te zostały zubożcone i oprostowane przez Indian, którzy zorganizowali swoje kontruroczystości. W Denver Russell Means, ten sam, który w 1973 roku dowodził okupacją Wounded Knee, oblał krwią pomnik Kolumba, a następnie w swoim przemówieniu powiedział: „Przy Kolumbie Hitler to tylko zwykły młodziak przestępca”. Porównanie nie było przypadkowe. By poruszyć wyobraźnię świata, badacze i popularyzatorzy indiańskiej historii coraz częściej porównują dzisiaj Ios, jaki spotkał Indian, do holocaustu. Podkreśla się też – i w czasie kontrobohód kolumbijskich mówiono o tym bardzo dużo – że holocaust indiański wciąż trwa. W centralnej i południowej Ameryce, w dalszym ciągu, straszenie unikające nazwania rzeczy po imieniu, prowadzi się zabór indiańskiej ziemi i niszczy tubylcze kultury. Pogląd rdzennych Amerykanów na wydrżenie 1492 roku ujął w swojej grafice w plakatom skrócie indiański artysta Castella: szeroka, spieniona fala pozostawiona na powierzchni morza przez odpływającą Santa Marie to jeden wielki stos ludzkich trupów³.

Pisana od nowa przez Indian historia Ameryki nie zaczyna się oczywiście w 1492 roku. Nie ogranicza się też do dziejów Inków i Azteków, jedynych cywilizacji tubylczych, których wspaniałość zaskoczyła nawet szesnastowiecznych konkwistadorów. Usilnie podkreśla się fakt, że przedkolumbijską Amerykę Północną zamieszkiwało kilkadziesiąt milionów ludzi żyjących w wysoko zorganizowanych narodowych i ponadnarodowych strukturach. Kontynent nie był ani pusty, ani dziki. Zanim u jego brzegów pojawili się Europejczycy, istniały na nim bogate, ludne miasta należące do najnowocześniejszych we współczesnym świecie – nie tylko sławny 200-tyczenny Tenochtitlan, ale też, na przykład, tętniąca życiem

⁴ White Deer of Autumn (Gabriel Horn), *Faith, Identity, and the Great Mystery, „Native Peoples”, vol. 7, no. 1 (Fall 1991)*, s. 50.

⁵ Russell Means cytuje Barreiro w *View From the Shore*, s. 14.

⁶ Barreiro: *View From the Shore*, s. 30.

Cahokia usytuowana w okolicach dzisiejszego St. Louis, ośrodek handlowy o wpływach sięgających tysiące kilometrów we wszystkich kierunkach. Wiele przywódców tego zróżnicowanego politycznie i społecznie świata wykazało się niebywałą kulturą, przenikliwością i dojrzałością w kontakcie – niewyobrażalnie trudnym – z europejskimi najemcami. Kiedy dochodziło do wojen, z reguły obronnych, a nie zaczepnych, czego tradycyjne podręczniki historii raczej nie eksponują, ci sami przywódcy odznaczać się oddaniem sprawie wolności swoich narodów i godnym podziwu zmysłem taktycznym. Maassait, Tucumseh, Tsali, Metacomb, Cornplanter, Wódz Joseph, Sitting Bull, Geronimo, w tej wersji historii Ameryki nie są zlymi duchami dziejów ani tym bardziej pospolitymi przestępcami, lecz bohaterami i patriotami, którzy wprawdzie stali po przeciwnych stronach barykady, ale znaleźli się tam z niezaprzeczalnie szlachetnych pobudek. Jako przeciwnicy wykazywali się też wyobraźnią, odwagą i godnością. Byli wśród nich i tacy, którzy nie poddali się nigdy i których nigdy nie udało się zmusić do podpisania kapitulacji i pokojowych umów. Z dumą przypominanym dzisiaj epizodem z indiańsko-amerykańskiej historii jest wojna z florydzkimi Seminolami, określana czasami jako „pierwszy Wietnam”. Prowadzona przez siedem lat (1835–1842), wojna ta kosztowała Stary Zjednoczone 40 do 60 milionów ówczesnych dolarów oraz życie 1500 amerykańskich żołnierzy, ale jej efekt okazał się daleki od oczekiwanego. Części Seminoli nigdy nie pokonano, ani nie przesiedlono do Oklahomy. Nieujarzmieni, żyli do końca XIX wieku w południowo-zachodniej części Florydy, praktycznie w całkowitej izolacji od białego świata.

W indiańskiej wersji amerykańskich dziejów eksponuje się jednak także i aspekt zgoła odmienny; a mianowicie wkład, dotąd bagatelizowany, jaki wnieśli rdzenni Amerykanie w „białą” historię Stanów Zjednoczonych. Czasem chodzi tu o fakty drobne, takie jak ten, że po przegranej przez Poludnie wojnie secesyjnej generałem konfederacji, który najdłuższy odmawiał złożenia broni i skapitulował jako ostatni, był Indianin Cherokee – Stand Watie. Albo, że do amerykańskiego sukcesu na froncie dalekowschodnim w czasie II wojny światowej w znaczący sposób przyczynili się żołnierze Navajowie wykorzystywani w charakterze sztyfentów. Wyłączonego przez nich systemu sztyfentów opartego na języku Navajo Japończykom nigdy nie udało się złamać. Ale czasem chodzi też o sprawy znacznie bardziej zasadnicze – na przykład o kwestię korzeni amerykańskiej demokracji. Wśród proindiańskich historyków sporo zwolenników ma pogląd, że korzeni tych należy się doszukiwać w irokońskich strukturach politycznych¹¹. Przypominają oni, że nie jest to pomyślni ani nowy, ani koniunkturalny, ponad 80 lat temu, w 1913 roku, sformułował go Siuks, Charles Eastman, a w 1961 podpisał się pod nim prezydent J.F. Kennedy. Pogląd ma jednak też sporo przeciwników odpowiadających z irytacją, że twierdzenie, jakoby Ojcowie Założyciele koncepcje swoję w równej mierze wdziewali Irakożom co Europejczyki myśli oświeceniowej, porównać można tylko z poglądem „że to Rosjanie wymyślił baseball”¹².

¹¹ Jose Barreiro, ed.: *Indian Roots of American Democracy*. Wyd. Akcekon Press, Ithaca, N.Y. 1989.

¹² „Native Americas”, vol. 12, nr 4 (Winter 1995), s. 5.

Spór o historię nie jest tylko sporem o fakty i oceny, ale także, a może przede wszystkim, o język. Mało co irytuje Indian tak bardzo, jak mówienie o „odkryciu” Ameryki. Zawsze podkreślają, że sześćście albo arapskie dziecko, które odpowiadając w szkole na testowe pytanie czy *Columb odkrył Amerykę w 1492 roku?* zakreślił odpowiedź „nieprawda” ma rację i jest lepiej zorientowane niż nauczyciel, który niegrzecznie poszedł się językową kliszą, Ameryka, lub „Złowia wyspa”, jak nazywa ją wiele tubylczych narodów, w 1492 roku została nie „odkryta”, a padła ofiarą „inwazji” lub „najeźdu”. Kontynent wówczas zamieszkały był nie przez „plemiona”, które to słowo sugeruje niższy stopień społecznej zorganizowania, ale przez „narody” dowodzone nie przez „plemiennych wodzów” lecz „królów”, „przywódców” i „czady”. Podobny nie miał nic wspólnego z „cywilizowanym dzikim krajem”, oznaczał natomiast najczystszy „burzyczący” spójny i dojrzały kultury. Tymczasem, z jakąż konsekwencją – zwracając uwagę Indianie, czytając amerykańskie podręczniki historii – rozróżnia się w nich „bitwy” i „masakry”. Jeżeli walkę wygrali biali, zabijając kilkaset Indian, miejsce ma „bitwa”, jeżeli Indianie rozgromili białych, mówi się o „masakrze”.

Ciekawe, że samo określenie „Indianin”, pamiątka po pomyłce Kolumba, w zasadzie nie jest atakowane. W odróżnieniu od Murzynów, którzy praktycznie wyrugowali ze współczesnej angielszczyzny słowo „Negro” narzucając określenia „blacks” i „African-American”, Indianie na „Indianina” nie reagują alergicznie, używając go może nawet chętniej niż długiego i niewygodnego „Native American” (rdzenni Amerykanin). Krytykują natomiast co innego: tendencję do używania określenia w sensie zbiorczym, świadczącym często o przekonaniu, że Indianie to jednolity, nie różnicowany kulturowo grup. Dlatego przypominają przy każdej okazji, że mówić o Indianach w ogóle to tak, jak wypowiadać się na temat Europejczyków w ogóle, co musi oznaczać wrzucenie do jednego worka albańskich rybaków, holenderskich farmerów i zakopiańskich górali. Sami starannie rozróżniają więc, czy mowa jest o Apaczach, Huronach, Delawarech czy Patnaisach.

Interesująca reakcją na tę krytykę anglosaskiej wizji amerykańskiej historii był zrealizowany w 1994 roku przez Jacka Leustigia dla komercyjnej sieci telewizyjnej CBS osmiogodzinny serial dokumentalny pod tytułem *500 narodów*. Wymienitowy w USA w marcu 1995 w czasie największej oglądalności, serial wyszedł naprzeciw wielu indyjskim życzliwcom. Zrealizowano go niezwykle pieczołowicie i za duże pieniądze. Dla białej publiczności swoję obecnością uatrakcyjniał go pełnający rolę gospodarza cyklu Kevin Costner, uważany za przyjaciela Indian i współtwórcę ich nowego wizerunku. Przedsięwzięcie miało niespotykany charakter multimedialny. Równocześnie z projekcją pierwszego odcinka, na rynku pojawiły się dwie książki dotyczące tematu, Microsoft wypuścił interaktywny CD-ROM, Random House nagraną na kasie książkę, a Epic Records płytę kompaktową z muzyką z filmu. Po zakończeniu emisji wszystkie pięć odcinków zostało udostępnione na kasetach video.

Do współpracy przy filmie zaproszono dziesiątki konsultantów, przy czym – co istotne – nie tylko z kręgów akademickich, ale także członków indiańskich starszych plemiennych. Zrobiono wiele, żeby przedstawicieli indiańskich punkt widzenia na podobny kontrowersyjny i użyśkowny efekt, który bardzo wiele usatysfakcjonował. Bohaterowie zostali nazwani bohaterami

mi, barbarzyństwo barbarzyństwem, a patriotyzm patriotyzmem bez względu na to, po której stronie barykady zostały okazane. Niecenne głosy krytyki ze strony anglosaskiej zarząca Leustigowi przesadną skłonność do samobiczowania i „elektronicznie wzmocnionych *mea culpa*”, z indyjskiej położenie większego nacisku na fakt klęski niż przetrwania. Ale generalnie po tej i po tamtej stronie o 500 *narodach* wypowiadano się z uznaniem.

Interesującym odpryskiem tego dążenia do przebudowy świadomości Amerykanów jest reorganizowanie od podstaw muzeów poświęconych Indianom. Tradycyjnie były to placówki o charakterze etnograficznym, wystawiające na zasadzie zbioru ciekawostek atrakcyjne eksponaty takie jak ubrania, fajki, pióropusze, kilimy i ludzkie szkielety. W ostatnich latach tak pomyślane muzea zniknęły właściwie bez śladu. Przede wszystkim Indianom udało się wyegzekwować zwrot wszystkich, tak bezceremonialnie potraktowanych, szczątków ludzkich w celu powtórnego, uroczystego ich pochowania. W tej chwili odbywa się proces zwracania poszczególnym plemionom przedmiotów, które uważają za sakralne i których wystawianie na widok publiczny nie jest właściwe. Akcją zakrojoną na szeroką skalę jest także przekształcanie ekspozycji, aby zaoferować zwiedzającym obraz kultury, które są żywe, trwają i w dalszym ciągu posługują się prezentowanymi eksponatami w celu kulturowania tradycji i tworzenia przyszłości. Na progu roku 2000 zostały otwarte na waszyngtońskim Mallu nowe skrzydło Smithsonian Institute poświęcone Indianom Ameryki Północnej. W przygotowaniu tego gigantycznego przedsięwzięcia uczestniczą przede wszystkim sami Indianie. W większości są to oczywiście specjaliści – architekci, architekci wnętrz i krajobrazu, antropologowie, etnografowie i muzealnicy – ale przy organizacji muzeum często i skwapliwie korzysta się z głosów domowych niespecjalistów. W korzystających z halach budynku widokiem wcale niedziarskim jest wizytacja plemienną ocenianą jako trafność opisu danego obiektu czy zgodność jego interpretacji z indyjskim rozumieniem. Notabene, w przyszłości ekspozycja w muzeum na Mallu ma być nie opisane, ale opowiadane – jak przysłało na kultury oralne – głosami samych Indian przemawiających w językach rodzimych tłumaczących następnego na angielski.

Pewne pojęcie o celu, do jakiego ma doprowadzić te wszystkie zabiegi, może dać opis działającego od lat, ale ostatnio gruntownie zreorganizowanego Dickson Mound Museum w Illinois. Zbudowane na indyjskim kurhanie, w przeszłości muzeum to oferowało zwiedzającym jako główną atrakcję widok prawie 300 szkieletów pogrzebanych tu niegdyś ludzi. Po trwających lata protestach szczątki w końcu pochowano, a ekspozycję przebudowano od podstaw. Oto jak opisuje i interpretuje ją jeden ze specjalistów od historii Indian.

Wchodzimy do dużej czarnej hali poprzecinanej ograniczonymi poręczami chodnikami. Z sufitu wieszają się liczne ekrany i wstęgi płótna, kilka ekranów rozciągnięto też na podłodze. Przy pomocy obrazów rzucanych na białe płaszczyzny a także odzwiercianej z taśmy odgłosów wiatru oraz lelnych i polnych dźwięków tworzona jest rekonstrukcja świata ludzi żyjących tutaj przed wiekami. Obrazy przedmiotów i naskalnych malowideł przeplatają się z obrazami krajobrazu, nieba, chmur, wody i ludzkich rąk, które sadzą i pielęgnują rośliny, a potem

zbierają żniwo. Obrazy ożywają dzięki odgłosom przyrody i głosom ludziom. Wszystkie odzwierciane wypowiedzi są fragmentami autentycznych przemówień, modlitw i pieśni. Wystawa jest rekonstrukcją indyjskiego widzenia świata i ma na celu pomóc zwiedzającemu doświadczyć tamtej rzeczywistości wzbudzając uczucia, które pomogą mu się wnieść ponad suchą informację.¹³

Należy tutaj wspomnieć, że w USA muzea są zdecydowanie częściej, chętniej i tamniej odwiedzane niż w Polsce, a jako takie spełniają niepoziornie ważniejszą rolę edukacyjną i wychowawczą. Dlatego tak uwagę przywiązuje się do jakości przekazywanych przez nie treści. Każdy dany wydany na ich działalność procentuje w umysłach i wyobraźni odwiedzających, przekłada się na zrozumienie albo niezrozumienie, szacunek albo pogardę dla prezentowanego przez nie świata. I dlatego dla Indian tak bardzo ważne jest, żeby muzeów im poświęconych przybywało i żeby przewodnikami po nich były głosy ludzi, którzy indyjskie kultury znają nie tylko jako profesjonalści, ale którzy w nich wyrosli i są z nich dumni.

Ale wpływ muzeów na amerykańską wyobraźnię nie ma nawet co porównywać z wpływem, jaki wywiera na nią telewizja i film. Dlatego i one znajdują się dzisiaj pod baczna indyjską obserwacją. Indianie są świadkami, jak bardzo do stworzenia ich niekorzystnych wizerunków przyczyniła się najpierw popularna dziewiętnastowieczna literatura, a później hollywoodzka produkcja filmowa. Dlaczego współczesne indyjskie dzieło bawiące się w *Dziki Zachód* zawsze chce być kowbojami a nigdy Indianami? Dlatego, że Indianie byli okrutni, podli i, co najgorsze, zawsze przegrywali. Od kilku lat w telewizji i kinie sytuacja jednak zaczyna się zmieniać. Zmiany niekoniecznie idą dokładnie w kierunku, którego Indianie by sobie życzyli (często stare stereotypy zastępuję się nowymi), ale generalnie są to zmiany na lepsze. Przede wszystkim w pewnym stopniu został okiełznany Hollywood. Jego historię indyjską prasa dzieli czasem zarzobowi na B.C. i A.C., co jest aluzją do skrótu „przed i po Chrystusie”, a oznacza „przed i po Costnerze”. Costnerowski *Tanecznik z wilkami* (1990) jest dzisiaj powszechnie uważany za film, który zapoczątkował w Hollywood rewolucję. Chodzi nie tylko o to, że Costner przedstawiał bohaterów swojego filmu, Siuksów Lakota, z ogromną sympatią, nie jako atakujących z wyciem anonimową hordę, ale jako społeczność składającą się z bardzo różnych, mądrzejszych i głębszych, odważniejszych i teherzliwszych jednostek. Chodzi też o to, że jego Indianie po raz pierwszy przemówili w swoim własnym języku, a nie jak z reguły dotąd – po angielsku. Nie bez znaczenia był także fakt, że w *Taneczniku z wilkami* wszystkie pierwszoplanowe role indyjskie zostały zagrane przez indyjskich aktorów, nie zaś przez ucharakteryzowanych białych. Pamięta się wreszcie Costnerowi, że przy produkcji filmu regularnie korzystał z pomocy indyjskich doradców, dzięki czemu udało mu się uniknąć typowych dla tego rodzaju hollywoodzkich produkcji przeinaczeń, anachronizmów i zwykłych, wynikających z ignorancji bzdur.

Nie sposób nie zauważyć, że dotyczące Indian filmy zrealizowane po *Taneczniku z wilkami* opowiadają już trochę inną historię. *Geronimo: amerykańska legenda* z roku 1993 przedstawia z nie ukrywana sympatią

¹³ Richard Hill: *The Indian in the Cabinet of Curiosity*, „Native Americas”, vol. 12, nr 4 (Winter 1995), s. 61.

tią człowieka tradycyjnie uznawanego za bandytę, rzeźnika i wroga publicznego. Najznakomitszą bodaj w ostatnich latach, nie amerykański lecz kanadyjsko-australijski, film o kontakcie indiańsko-europejskim, *Czarna suwnia* (1991) Bruce'a Beresforda, jest mądrym i dojrzalszym studium przejmającym wyjaśniającym, dlaczego spotkanie tych dwóch światów musiało być tak okrutne i tak pełne nieporozumień. I nawet w hollywoodzkim *Ostatnim Mohikaninie* Michaela Manna z 1992 roku, filmie wybitnie rozrywkowym i posługującym się stereotypami, takte można dostrzec wiele znaków czasu. Indianie Manna są już bardziej jednolitymi niż karykaturalnymi typów ludzkich i nawet czarny charakter Magoa ma w nim sekundę na okazanie godności i człowieczeństwa. I chociaż Uncas ginie – zgodnie z hollywoodzkim przepisem i bandzo, zresztą, liberalnie potraktowanym za myślenie Coopera – to jednak w ostatnich sekwencjach filmu indiańska Ameryka zostaje symbolicznie przekształcona przez ostatniego Mohikanina nie angielskim kolonizatorom i żołnierzom, ale zindianizowanemu Sokolemu Oku i Korze, która właśnie dokonała wyboru pomiędzy własną i indiańską kulturą.

W ten sposób atmosfera wokół rdzennych Amerykanów powoli, ale systematycznie się zmienia. Wśród samych Indian wzrasta poczucie dumy etnicznej. Jeszcze kilka lat temu nie do pomyslenia była nalepka na tyłnym zduraku samochodu anonująca: „Jestem Cherokee; mam z czego być dumny”. Ogromna to zasługa coraz leciwiejszej inteligencji indiańskiej. Wprawdzie wciąż ponad 50% Indian nie ma nawet wykształcenia średniego, a 1/3 dorosłych jest praktycznie analfabetami, rośnie jednak liczba indiańskich prawników, nauczycieli, profesorów uniwersyteckich, lekarzy i artystów. I chociaż ludzie ci z reguły mieszkają w miastach, nie tylko przyznają się do swojego pochodzenia, ale często podkreślają swój związek z rezerwatami, utrzymując w nim rodzinny dom i powracając doń przy okazji różnorakich plennych uroczystości.

Natiomasi wśród białych Amerykanów zapanowała swoista moda na Indian. Sprężają jej kilka czynników. Na pierwszym miejscu należy wymienić wspomnianą już, a od 10–15 lat zainterесовавшую etnicznością – najpierw muzyczną, żydowską i meksykańską, a ostatnio także i indiańską. Jeszcze wcześniej na Indian zwrócił uwagę ekologowie. Tradycyjne kultury tubylcze odznaczały się, bowiem, wynikającą z przesłanek religijnych szacuneczkiem do ziemi i wszystkich stworzeń, a przedkolumbijska gospodarka większości plemion charakteryzowała się dojrzałym, powściągliwym korzystaniem z zasobów naturalnych. Ku indiańskim źródłom zwróciła się także spora część – nie zawsze najchłodniej witana – wyznawców New Age, poszukiujących inspiracji w indiańskiej głębokej duchowości, która przenika wszelkie formy aktywności ludzkiej i jednoczy człowieka z kosmośm. Za nimi wreszcie ciągną turyści. Część z nich to amatorzy hazardu, część wielbiciele dzikiej przyrody (wiele rezerwatów znajduje się na niewyobrażalnie pięknych chociaż nieprzejrzyjnych czystej wody terenach, w krasie kanyonów, półpustynnych płaskowyżach i łąkach, pozbawionych wody gór), część wreszcie to podglądające egzotycznego życia i obyczajów.

Turyści w każdej formie oznaczają oczywiście dopływ pieniądza, skwapliwie zresztą przez gospodarzy stylizowany. Oczywiście wcale niezaradkiem jest pobieranie opłat za prawo do fotografowania, kręcenia filmów video, czy nawet szkolenia na terenie rezerwatu. Wstep do plemiennych parków krajoobrazowych i każda oferowana w nich usługa

także mają swoją cenę. Pieniądże ściągają również bardzo bogaty dzisiaj, zorientowany na turystów rynek wyrobów indiańskich ofensywnie wszystko

od indiańskich odpowiedników jeleni na rykowisku (najczęściej) wojownicy na koniach w świetle zachodzącego słońca i w intensywnym technicolorze, przez takmowa produkowaną indiańską „Cepelę”, po najwyższej próbie sztukę sprzedawaną przez galerie i nabywaną przez kolekcjonerów i muzea za dziesiątki, a nawet setki tysięcy dolarów.

Zasadniczo popyt na sztukę indiańską nie jest niczym nowym. Przynajmniej od początku wieku tradycja ceramika i wyroby tkackie znajdowały amatorów-koneserów, do pewnego momentu placących za często wybitne dzieła sztuki nieprawdopodobnie niskie, wręcz śmieszne ceny. Była to jednak wyłącznie tradycja sztuka plemienna. Od lat dwudziestych datuje się powolny rozwój indiańskiej sztuki współczesnej, tworzonej w atmosferze międzykulturowych kontaktów. Wtedy to, do Nowego Meksyku i Arizony, na obszary, gdzie rdzenne kultury przetrwały podobaj, najmniej zdegradowane, zaczęły napływać amerykańscy i europejscy artyści zafascynowani, jak większość modernistów, sztuką „prymitywną” i gotowi oferować mecenat miejscowym talentom. Prawdziwy rozkwit sztuki twórczej przez Indian nastąpił jednak dopiero w latach 1960–1980. Wtedy też jej charakter radykalnie zaczął się zmieniać. Na progu XXI wieku można wręcz mówić o iscie renesansowym rozwoju indiańskiego malarstwa, rzeźby, ceramiki, artystycznego jubilerstwa i tkactwa, architektury, muzyki i grafiki. Jest to sztuka fascynująca jak wszystko, co powstaje na styku kultur, w tym wypadku z jednej strony tradycyjnych tubylczych, a z drugiej całego tygla wpływu zachodnich – od siedemnastowiecznych hiszpańskich, przez europejski modernizm, po współczesne wpływy amerykańskie. Dzisiejszym artystom indiańskim zdarza się rozpocząć drogę twórczą w odległych zakątkach rezerwatu, skąd do najbliższego miasteczka jest 50 kilometrów. Ale droga ta często wiedzie później przez uniwersytet w Tucson, Phoenix, Mexico City czy przez Chicago Art Institute, a jej ukończeniem mogą być wystawy w Nowym Jorku i Paryżu. Najważniejsze jest jednak to, że każdy z tych epizodów pozostawia na ich sztuce wyraźny ślad.

Dzisiaj w USA pracuje wielu znakomitych i uznaných twórców indiańskich. W sztukach plastycznych reprezentują cztery zasadnicze drogi, których wyróżnikiem jest stopień, w jakim artysta pozostaje wierny tradycyjnemu technikom i tematowi. I tak wyróżnia się tradycjonalizm, styl najbliższy dziełomnowoczesnej indiańskiej sztuce, dla którego charakterystyczny jest brak perspektywy i palety jednolitego koloru obwiedzione ciemniejszymi liniami, oraz historyczny ekspresjonizm, który wprawdzie zachowuje wierność tradycyjnym technikom i konwencjom, ale interpretuje je na nowo. Dla obu tych stylów typowa jest klasyczna tematyka indiańska – polowania, sceny wojenne i obozowe, religijne obřędy. Obok tych dwu nurtów rozwija się styl modernistyczny, którego cechą jest eksperymentowanie wszelkimi środkami wyrazu znanymi współczesnej sztuce oraz dowolność w traktowaniu indiańskiej symboliki i tematów. Jest wreszcie indywidualizm, co do „indiańskości” którego toczy

¹⁹ Edwin L. Wade and Renard Strickland, eds.: *Magie Images: Contemporary Native American Art*, Norman: University of Oklahoma Press, 1981, s. 3-4.

Dla europejskiego oka szczególnie fascynujące są indyjski modernizm i indywidualizm. Fascynują, bo zaskakują. Sztuka w obu stylach nawiązujących do tradycji najczęściej dokładnie spełnia nasze oczekiwania. Spodziewamy się koni, tancerzy w białych skórach, piór i wigwamów, i wszystko czego się spodziewamy, rzeczywiście na obrazach się pojawia. Mogą nas zachwycić niewielką gamą kolorystyczną, obłaskością o detal, swoją „prymitywną” dwuwymiarowością, ale rzadko poruszają burzą obiegu wyobrażeń o rdzennych Amerykanach, czy wymykającą się klasyfikacjom. Natomiast ekspresjonizm i indywidualizm indyjski jest doskonale nieprzewidywalny. Oglądając nierzadko z tej kategorii trzeba być przygotowanym na każdego rodzaju niespodzianki. Czasem będzie to kwestia nieoczekiwanego zestawienia materiałów – na przykład farby akrylowej z płaskim, tradycyjnym materiałem malarskim w kulturze Nawajów. Innym razem współczesność tematyki: Indianie przedstawieni będą nie na koniach a w pick-upach, nie przy ognisku a na autobusowym przystanku, nie w heroicznych, ale w komicznych pozach. Czasami indyjskich typów obrazów będzie zaakcentowana tylko marginalnie, prawie mimochodem, gładem petrogliów, echem stylizowanej jaszczurki albo niedźwiedzia, ulubionych motywów zdobniczych na ceramice Północniowej Zachodu, albo tylko nieoczekiwanym tytułem nadanym geometrycznej abstrakcji – „Nie pojeżdżisz na wrotkach w środku stada bizonów choćbyś znalazł wszystkie zaklęcia”¹³. Wreszcie nie można nie wspomnieć zaskakującego wielu, a przejawiającego się nierzadko w tych obrazach, poczucia humoru. Mało kto kojarzy Indian z dowcipem, śmiechem i słowną zabawą. Tymczasem, by cytować krytyka sztuki, Renarda Stricklanda [...] wbrew białym stereotypom Indianina stoickiego i o kamiennej twarzy, humor jest esencją wielu przejawów życia, kultury i sztuki Indian. W dużym stopniu wynika to stąd, że śmiech był i nadal pozostaje jednym z podstawowych na umieszczenie brzemienia losu, który białej zgoniał Indianom – śmiech zarówno z białego człowieka jak i z ironii własnej historii¹⁴.

Parę nazwisk współczesnych twórców warto zapamiętać, chociaż dokonano wyboru kilku spośród kilkunastu nie jest tu łatwym. Jednym z najbardziej znanych i najbardziej szanowanych jest, zmarły niedawno, Allan Houser, Apacz, malarz i twórca monumentalnych zestawień w kamieniu i brązie, z których jedna – Indianin w tradycyjnych regałach z fajką pokoju w wyciągniętych dłoniach – zdobyła dziedzinie misji USA przy ONZ w Nowym Jorku. Szacunkiem cieszy się także Oscar Howe, Suks, niezmordowany obrońca prawa indyjskiego artysty do wolności twórczej, nie skrepowanej klasno zdefiniowanymi granicami „indyjskości”. Do jego najsłynniejszych prac należą kubistyczne abstrakcje ilustrujące zawiłości wzajemnych wpływów w sztuce. W obrazach tych europejski modernizm zalśnirowany wyobraźnią „prymitywną” powraca jako inspiracja dla malarza, który sam się wywodzi z kręgu twórców „prymitywnych”. W pracach Harry’ego Fonseca z plemienia Haidu, malarza młodszego pokolenia, nie ma ani posagów indyjskich twarzy, ani wyidealizowanych scen z przeszłości, jest natomiast uprzejmie się pojawiający z antropomorfizowany kojot w trampkach, dzinsach i najbliżej ówczesności

¹³ Tytuł obrazu George’a Longfisha.

¹⁴ Renard Strickland: *Beyond the Ethnic Umbrella: Learning More About Contemporary Indian Painting and Sculpture*, „Magic Images”, s. 113.

skórzanej kurtce, przekornie i obrazoburczo komentujący życie współczesnych rdzennych Amerykanów. Asycyktem jest Truman Lowe (Winnebago) konstruujący swoje obrazy i rzeźby z kilku wyblenionych przez wodę i słońce patyków lub paru kamieni i nanizanych na drucik korallików. Dan Namahing (Hopi) maluje abstrakcje pozorne pozbawione całkowicie elementu narracyjnego i wolne od plemiennej symboliki, a jednak – co przejawia się w kolorystyce i fascynacji artysty formami geometrycznymi – inspirowane surowymi, pustymi krajobrazami rodzinnego rezerwu w Nowym Meksyku. Trzeba też wspomnieć o rozłożystych, rubensofskich postaciach kobiecych R.C. Gorman (Navajo) i melanchoicznych akwarelach indyjskich karawan Karan Grigg (Cherokee), nie dlatego, że są to artyści zmiennici od innych, ale dlatego, że oboje osiągnęli w Ameryce popularność niebywałą, jak na współczesnego twórcę; plakatowe reprodukcje ich prac sprzedawane są w całym kraju i to w galeriach w sztuce indyjskiej się nie specjalizujących, a akwarele Grigg trafiły nawet na podkoszulkę.

Malarzem najbardziej dziś się w świecie liczącym jest Fritz Scholder. Postać to bardzo ciekawa, także i dlatego, że ilustrująca pewien problem, z jakim boryka się wielu ameroindyjskich artystów. Scholder ma w sobie tylko 1/4 krwi indyjskiej (Luiseño) i za twórcę etnicznego się nie uważa. Namiętnie jednak wiele obrazów Indianom poświęconych, ostentacyjnie polemizujących i atakujących wyidealizowane wyobrażenia „indyjskości”. Jeden z krytyków zauważył, że gdyby prace te sygnował artysta biały, najprawdopodobniej natychmiast zostałyby oskarżone o rasizm¹⁵. Jednakże, ponieważ Scholder cieszy się międzynarodową reputacją, kto może, dzisiaj się do niego przynajmniej. Przypieka mu się więc także i etykietka malarza indyjskiego, zamieszczając jego obrazy w katalogach i publikacjach poświęconych sztuce etnicznej.

Praktyka ta budzi opór samego artysty i prowadzi do zadawania pytań o znaczenie terminów „sztuka indyjska” i „indyjski twórca”. Czy można malarza, który ma bardzo ograniczone poczucie przynależności etnicznej jako etnicznego identyfikować tylko na podstawie rycin obrazów o tematyce indyjskiej zachraczających? Czy twórcą prawdziwie indyjski winien ograniczyć się w wyborze technik i motywów wyłącznie do tych stosowanych w tradycji i unikać zapożyczeń? Czy sztuka indyjska to tylko ta – jak chcieliby purysci – która wyraża specyficzną, nieanglosaski sposób widzenia świata, specyficzną wrażliwość, system wartości i aspiracji?

Wielu indyjskich artystów pytania tego typu lekceważy jako akademickie. Indianami albo się czują, albo nie i w ślad za tym klasyfikują albo nie klasyfikują swojej sztuki jako etnicznej. Natomiast sprawą o pierwszorzędnym znaczeniu wydaje się być dla nich kwestia wolności artystycznej. Dotyczy to szczególnie wszystkich eksperymentatorów. Nie chcą być ograniczani żadnymi normatywami „sztuki prawdziwie indyjskiej”, ani oceniani jedynie w wąskiej kategorii etnicznej. Chcą być widziani jako współtwórcy dzisiejszego malarstwa światowego, wnoszący dot specyficzny indyjski wkład. O tym, jak można być jednocześnie artystą etnicznym i światowym, wypowiedział się kiedyś Robert Houzoux, syn Allana Housera, atakując przy okazji tradycjonalistów i purysłów.

¹⁵ Jay Scott, *Chronic Womans: the Life and Art of Helen Hardin, Flagstaff, Northland Publishing 1989*, s. 52.

Sztuka indiańska to kilka bezpiecznych motywów i rozwiązań estetycznych, dzisiaj już tak zużytych, że zatraciły wszelką moc wzbudzania i komunikowania estetycznej wrażliwości. Sztuka indiańska to eksponat wykorzystywany przez dekoratorów wnętrz. To bezpieczna nisza, gdzie Indianie mogą się ukryć, kiedy nie mają odwagi współzawodniczyć z wielkimi artystami nieindiańskiego świata.

Ja sam byłem w życiu w różnych sytuacjach. Mieszkałem z rodzinami indyjskimi – w tym z moją własną – i z białymi, w mieście i na wsi. Zerkaliśmy się z wieloma różnymi ludźmi w różnych okolicznościach. Z takiego właśnie doświadczenia wyniosłem różnorodność odczuć i różnorodność przeżyć. I dlatego nie rozumiem dlaczego miałbym tworzyć sztukę okartą indiańską. Ale tutaj dochodzimy do paradoksu: bo ja wciąż, mimo wszystko, sztukę indiańską tworzę¹⁸.

Z podobnymi jak malarze problemami określenia własnej tożsamości i swojego miejsca jednocześnie w plmie i amerykańskiej rzeczywistości borykają się także współcześni ameroindiańscy pisarze. Oni także są ważnymi współtwórcami dzisiejszego indiańskiego renesansu. Od roku 1969, kiedy to N. Scott Momaday (Kiowa) otrzymał pierwszą przyznaną rdzennie Amerykaninowi nagrodę Pulitzera za książkę *Dom ukojony ze światła*, literatura pisana przez Indian przeżywa w USA hośną. Nazwiska Leslie Marmon Silko (Laguna), Jamesa Welch (Czarna Stopa/ Gros Ventre), Geralda Vizenora (Ojibway), Vine Deloria (Siuks), a z nieco młodszego pokolenia powieściopisarzy, Louise Erdrich (Ojibway) i Louisa Owens (Chocktaw/ Cherokee) są dzisiaj dobrze znane nie tylko zwolennikom literatury etnicznej. Ich powieści, dyskutowane w specjalistycznej prasie literackiej, bardzo chętnie czytane przez studentów i trafiające na listy amerykańskich bestsellerów (w *Ceremonii* Leslie Silko, *Bingo Palace* Louise Erdrich) wydają się dziś już mieć zapewne miejsce w kanonie współczesnej literatury amerykańskiej.

Białemu czytelnikowi pisarz ameroindiański oferuje lekturę tyleż fascynującą co bezczepną poznawczą. Po poznać i zrozumieć Indian jest niezmierznie trudno. Obserwując z zewnątrz wiele opisanych tutaj przejawów indiańskiej emancypacji politycznej, ekonomicznej i kulturalnej, odwiedzając galerie i kasy, studiując statystyki i zwiedzając muzea, uczestnicząc w plmiennych festiwalach i czytając etniczną prasę, słuchając indiańskich przewodników po rezerwach i parkach, często, mimo wszystko, nie można pozbyć się wrażenia, że nie posuwamy się ani o krok naprzód, że rzeczywistość indiańska, nie mówiąc już o indiańskiej osobowości czy wyobraźni, pozostaje dla nas niedostępna. Naučení przez historię głębokiej nieufności i, w najgorszym wypadku, niechęci wobec białych, przekonani o nieprzekładności swoich kultur na język zrozumiały dla człowieka Zachodu, dzisiejsi Apowie, Zuni, Hopi, Pueblo, Haroni czy Cree wydają się czasem śmiesznie pielęgnować mur oddzielający ich od świata anglosaskiego. W prasie plmienniej niezdarno można natrafić na lekceważące uwagi o tych, „co to posiadzieli na paru wykładach, albo przeczytali parę książek i myślą, że Indian zrozumieć”. I dlatego w pewnym sensie jedynym dostępnym dla współczesnego Amerykanina czy Europejczyka źródłem informacji nie tylko

faktograficznej ale, przede wszystkim, emocjonalnej o indiańskiej mentalności, wyobraźni i doświadczeniu pozostaje literatura pisana przez autorów znających ten świat od wewnątrz.

Prezentowany przez nich obraz nie jest w żadnej mierze obrazem społeczności triumfalnej. Zmiany, które rejestruje historia czy socjologia, nie zawsze bowiem przekładają się na bezpośrednie doświadczenia jednostek. Indianie – bizenimesi, indiańskie kasy i wyspy na nich fortuny, indiańskie colleges czy wymarpanych artystów dopiero generacji zaczynają się pojawiać w najnowszych powieściach młodszej generacji pisarzy – Louise Erdrich, Thomasa Kinga, Louisa Owens, Susan Power i W.S. Penza. Ale i u nich w centrum uwagi wciąż pozostaje rezerwat. Jest to świat, którego stałymi elementami są ubóstwo, alkoholizm, rozbite rodziny, drobna przestępczość, bezrobocie, nuda i brak perspektyw.

Z drugiej jednak strony pozostaje rezerwat nieodmiennie ostoja indiańska – w wszystkich tych plmiennych patriarchach, świętych mędzów i mędzów, znawczych plmiennych medycyny i plmiennych przemości, którzy wbrew spychającemu ich na margines codziennemu życiu, trwają przy starych obyczajach, przechowują plmienne pamiątki i, niezręcznie jako nieelity, wciąż pamiętają stary język. I chociaż czasem śmieśniz lub straszną dla współplmieńców przez swoją anachroniczność, to właśnie oni w najsuubtelniejszy sposób nadają ton rezerwatowemu życiu. To ich aproba albo dezaproba decyduje o drobnej rezerwatowej polityce, a ich ocena o pozycji jednostki w rezerwatowej hierarchii. To do nich ostatecznie, często w desperacji, zwracają się o pomoc, radę i magiczne leki ci wszyscy młodzi bohaterowie ameroindiańskiej powieści – Tayo w *Ceremonii* Leslie Silko czy Lipsha Morrissey w *Bingo Palace* Louise Erdrich – którzy traca poczucie sensu i spójności świata. To dzięki nim uparcie trwa i odradza się kultura, dla której granica pomiędzy światem materialnym a niematerialnym jest nieprzezwyciężna, w której samej mają siłę sprawczą wobec rzeczywistości, mit służący jako narzędzie interpretacji codziennych zdarzeń, a głosy trum, zwierząt i wiatru potrafią zdecydować o ludzkich losach. I tak rezerwat trwa na styku dwóch światów. Jego centralnym punktem może być prosperująca kasyno, albo państwowy urząd pocztowy, stacja benzynowa i posterunek policji, a jego mieszkańcy mogą pracować w fabrykach stalowni, kształcić dzieci w mieście i posługiwać się na co dzień w prasie telefonem komórkowym, ale jednocześnie w oknach ich domów będą wisieć sieni na złe smę, lekarstwom na poczęcie bezsensu i niewiary pozostanie ceremonialna sauna i doświadczenia w odośnieniu wiza, a samochód może posłużyć w pociągu za znikającym na pustyni duchem.

Współczesna literatura ameroindiańska uchyla drzwi wszystkim ciekawym tych ludzi żyjących jednocześnie w dwu nieprzystawalnych do siebie rzeczywistościach. Jej lektura pomaga jednak zrozumieć jeszcze coś niezmierznie ważnego: że dzisiejsze indiańskie odrodzenie to nie tylko sprawa pewnego korzystnego zbiegu okoliczności. Nieupłiwale charakterystyczne dla ostatnich trzech dziesięcioleci w USA jest sprzeczanie, a chwilały wręcz promowanie mniejszości. Prawda jest, że zreformowany system prawny bardziej wyraźnie je chroni. Prawda jest też, że dzięki preferencyjnej polityce młody Indianin czy Indianka ma dzisiaj nieopierne większe szanse niż przed laty skończyć szkołę, uzyskać dyplom uniwersytecki, dostać pracę, a może nawet być przez praco-

¹⁸ Robert Hoxton cytowany przez Edwina L. Wade w *The Ethnic Art Market and the Dilemma of the Innovative Indian Artist*, „Mārie Images”, s. 16.

dawcę hołubionym. (Hołubienie nie musi akurat wynikać ze szczerzej sympatii, stać za nim może chęć polepszenia statystyk i wykazani „poprawnością polityczną”.) Może być dzisiaj łatwiej indiańskim artystom sprzedawać swoje obrazy i wystawić swoje sztuki teatralne, podobnie jak zdobyte wydawców dla swoich wierszy i powieści. Wiadomo też, że taka właśnie sytuacja sprzyja nieoczekiwanym zmianom barw i wzrostowi liczby „Indian”. Indiańskość, przez laty skrywana jako przeszkodę w realizacji asymilacyjnych ambicji, czasem oplaca się dzisiaj odkurzyć i wpiąć w kłape.

Ale wszystko to nie zmienia faktu, że odrodzenie nie byłoby możliwe, nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, gdyby tradycje kultury indiańskiej utraciły całkowicie swoją wiatalność i przestały być postrzegane przez rżnionych Amerykanów jako alternatywa dla ekspansywnej, agresywnej i wszechobecnej kultury anglosaskiej. Tak się jednak nie stało. Chociaż wielu Indian znalazło dla siebie miejsce w amerykańskim społeczeństwie, dla wielu z nich, także tych żyjących w miejskiej diasporze, rodzima kultura pozostaje żywym, alternatywnym systemem wartości i aspiracji, który w pewnym momencie życia może zostać świadomością czy podświadomości wybrany. Charakterystyczne dla niej poczucie sensu i harmonii świata, głęboka duchowość, szacunek dla społecznych więzi, pamięć przeszłości i poczucie obowiązku wobec przyszłych pokoleń zachowały zdolność organizowania i wyzwalała ludzką energię. A miejscem gdzie wartości te przetrwały pielęgnowane przez dziesiątki jeśli nie setki lat wobec wrogiemu światu zewnętrznemu jest właśnie rezerwat, jeszcze do niedawna symbol indiańskiej klęski i upokorzenia, a dzisiaj coraz bardziej indiańskiej wierności i przetrwania.

Joanna Durczak



LOUISE ERDRICH

Komunikacja*

Tak więc dostałem robotę; mam wstawać wcześniej rano i sprzątać salon bingo. Od czasu do czasu zastępuje też barmana. Moje miejsce pracy to zwykły blaszany barak, w którym jest wydzielona część na gry hazardowe (tę część właściciel, Layman, ma nadzieję powiększyć) i miejsce do gry w bingo, w razie potrzeby zamieniane na parkiet do tańca. Jest też bar, a pod jedną ze ścian stoi kilka łagodnie polyskujących, nie najnowszych już automatów do gier. Codziennie rano o piątej zwiłkam się z łóżka w pokoju za barem, nalewam gorącej wody do wiadra, dodaję trochę różowego mydła, wyżyłam szmatę i zabieram się do roboty. Jak zetrę linoleum, ścięram szmatą krzesła i ładę. Potem zmywam ściany w tych wszystkich miejscach, gdzie, straciwszy równowagę, goście wsparli się o meble, żeby nie upaść, i gdzie zostały ślady ich dłoni tłustych od popcornu, dłoni, które wcześniej reperowały samochody, uspokajały autory i spawaly stal na budowie nowej, międzystanowej autostrady. Dłoni, w których płynie ta sama krew co w moich, chrząstka z chrząstki, kość z kości.

Do moich obowiązków należy wyzbiennienie tego, co ludzie gubią, kiedy odchodzą ich encie. Codziennie, w zagaciech plastikowych siodlen przy stolikach znajduję rzeczy, które powypadały im z kieszeni. Wtedy wszystko, co wydrżyło się poprzedniej nocy, wraca do mnie i, gdy tak zbieram te drobniaki, robię się coraz lżejszy, tak jakby klucze, diugosipy, centy i dziesięciocentówki nie podlegały ciężnieniu, jakby upadły na nie nic ważące planecie. Kiedy tak sprzątam, przed moimi oczami rozgrywa się znowu wszystkie dramaty. Obrazy odrdzają się z cichych już ruin i otaczają mnie echem łoskotu, z jakim nastąpił upadek.

W tych wczesnych, wciąż jeszcze granatowych, godzinach przed świtem pijacy i modląc się za nich zakonnice są jedynymi poza mną ludźmi, którzy mają otwarte oczy. Czasem wyobrażam sobie te siostry ze wzgórz, jak nad głowami płyną im obłoki. Czyste białe obłoki pełne mleka. Kiedy siostry poruszają ustami, obłoki nadpływają nad nasze głowy, roniąc krople łaski na niegodnych i na sprawiedliwych.

Tymczasem z uszu mych braci i siostr pograżonych w głębokim, pijanym śnie wydobywają się smużki pary, wypisując im nad głowami niewyraźne, rozdarte litery: *skąd ja teraz, kurwa, wezmę forsz?*

Odpowiedź: *Stąd. Byle wytrzymał do siódmej.*

* Fragment powieści *The Bingo Palace*

Zewnątrz moje miejsce pracy przypomina przyfabryczny magazyn – pokórągły w stroju, niebiesko-czarny – jeden wielki półwalce falistej nadziei, przez który za antrazdnie do Hoopdanc. Za dnia wszystkie tuż wyjadają nędzne i prymitywne – zryty koleinami polny parking przylega do ścian z falistej białej. Jego pusta przestrzeń, polyskująca odłamkami szkła, pełna jest głębszych dźwięków. Reklama Pałasta wisi przezprzysłona, a zrytkie, drewniane drzwi opadają w zawiasach, jakby je za trzasknięciem przed nosem i wystawiono na uderzenia ciężkiej pięści zbyt wielu klientów. Ale jak tylko zapadnie zmierzch, nie widzę już ani wgniećek w ścianach, ani rozróżań w blasku, ani śmieci. Wtedy – jako że budunek zdobią sznurzy choinkowych lampek i podłoga ruchome neonowe koła – widziany z daleka na ciemnej roźnieniu wygląda jak dekoracja z Disneya, jak cyrk, statek kosmiczny, gwiazdowibór, który się rozpada.

Wewnątrz panuje zawsze kłówny półmrok. Atmosfera jest gęsta i ciepła jak przez burzę niesioną przez wiatr. Przez drzwi nie tyle się wchodzi, co zostaje pokłniętym, tak jak pokłnięty przez rybę został sługa boży. Pod sufitem widać stalowe żebrowanie, a podłoga jest zawsze wilgotna. Nie udaje mi się jej wysuszyć, nawet gdy włączę wentylator. Stoły do gry przykrywa grubych plastik, porwany i porzucony nożami w tradycyjne wzory, pełen pagórkowatych szram w miejscach, gdzie go posklejałem winylowym klejem. Ale po dziewięć nikt już nie widzę wszystkiego nie zauważa.

Pod jedną ze ścian jest bar, urządzony w ten sposób, że za rzędnymi butelek wisi lustro i barman widzi klientów nawet wtedy, gdy ma ręce zajęte przy nalewaniu piwa. Na jednym końcu lady stoi maszyna do popcornu i jest to najlepiej oświetlone miejsce w całym pomieszczeniu. Z żarówek zamontowanych w przykrywie spływają strugi złotej światłości na cztery czy pięć barowych stołków, które zawsze przyciągają kobiety. Kobiety wiedzą, że od tego światła oczy robią się im łagodne i ciemne, a sół i masło przylegające do ciała, nasyca ubrania i miesza się z potem, zapachem perfum i papierosowego dymu, aż powstaje zapach, który jest prawie substancją, czymś w rodzaju cudownej odżytki, która wystarcza, żeby mężczyzna zwierzył, a zaraz robi się pusty i głodny.

Salon bingo żęgluje poprzez wilgotne noce sterowany przez ten własny głód. Jeśli nie liczyć jasnej podłogi od szklanej gabloty z popcornem oraz oświetlonej fioletowym światłem sceny, wielka, niska sala tonie w zamglonym i ciepłym półmroku. Przy stołkach i naprędkie skompletowanych dostawkach spletały się ręce i nogi cokołanków, przesyłających sobie poprzez kłęby dymu elektryzujące spojrzenia. Papierosowy dym wisi nisko jak ciężka chmura, zbiera się na jednym poziomie, przemieszcza i fale nad głowami graczy i tancerzy. Nad stołkami natomiast gęstnieje, nieruchomy jak jezioro.

Pod tą chmurą chodzą, wchodzi i wychodzą ludzie. Jedni idą do baru, inni na bingo. Przejżdżają tu drogowcy z budowy, chwilkowo przy forsie, o muskułach jak glazy, zajeżdżając swoimi nowymi, pełnymi kosztownych bajerów pick-upami pomalowanymi w fantazyjne wzory. W co cichszych zakątkach rozmawiają biznesmeni o francuskich nazwiskach i indyjskiej krwi w zylach, zielonocy i czarnowłosi faccy, przybijający interesy uderzeniem na plask dłoń. Wpadają farmerzy, jedna czy dwie skandynawskie rodziny, zawsze ciści, seni i zmordowani na śmierć. Mężczyźni zdejmują kapelusze i, kiedy rozmawiają kłując głowami,

górne połówki ich białych czół płyną i podskakują w półmroku.

Indianie, ci starzy, z zacementowanymi do tyłu naltuszczonymi, siwymi włosami, w okularach w czarnych oprawkach z ubezpieczaniem oraz w nieskażenie białych koszulkach o kowbojskim kroju i z perłowymi zataczkami, siedzą sztywno przy stołkach. Chociaż rozmawiają cicho, mierzki głosami, pomimo halasu słysząc wszystko, co mówią. Wśród nich siedzi czasem kobieta w kwiecistym kostiumie, o włosach zebranych w zdołbaną koralikami rozetkę. Popija piwo, kiwa głową, we właściwym momencie dorzuca słowo lub dwa i siłą swojego spokoju kontroluje sytuację.

Na obrzeżach jasnego kręgu wokół maszyny do popcornu, pod filarami wspierającymi sufit i w pobliżu tylnego wyjścia stoja młodzi indyjscy chłopcy. Poziomie nie zwracając uwagi na oczy, które ich ścigają albo i nie ścigają – a ja coś na ten temat wiem, bo zazwyczaj staram się być między nimi – chłopaki paradowają jak cietrzewie po preli. Niektórzy mają na głowie słomkowe stetosony, udekorowane po boku albo z przodu medalionami z bączanich piór, inni siatkowe kapelusze, czarne i złote, z obzitym koralikami rondem. Paru ma długie końskie ogony, sięgające do pasa albo gęste, rozpuszczone włosy, odrzucone na plecy. Niektórzy nie zdejmują słonecznych okularów, nawet tutaj, wewnątrz. Część ma na sobie jaskrawe, kowbojskie koszulki albo wymyślne bluzy wyhaftowane w róże, ciemie i obrazy wschodzącego słońca. Trafi się też heavymetalowa skóra i kalfornijska koszulka, a na paru szyjach – świecące w ciemności obręcze. Cokolwiek, byle tylko przyciągnąć spojrzenie dziewczyny. Stojałam wysocy mężczyźni o stwardniałych już, mocno zarysowanych chłostkach i szczupli chłopcy o tajemniczych, jasnych twarzach i rękach, które działają ukradkiem. Wszyscy jednak, jak jeden mąż, jesteśmy w kowbojskich butach i dżinsach, w których bódra poruszają się dumnie, z leniwą przyjemnością, gładko, jakby naoliwione ciepłym smarem albo tym samym masłem, które kobiety przy barze zlizują z palców, a potem rozmazują na rękach mężczyzn w czasie tańca lub jak gdzieś na zewnątrz. Bo nie oświetlony parking za salonom jest pełen samochodów, które wprawdzie wyglądają na puste, ale przez całą noc drżą, kłóży się na resorach, pojeżdżą i wzdychają.

No to co, spytasz, z tą prawdą i katastrofą o której wspomiałem? Wszystko zaczęło się właśnie tutaj, w salonie bingo, od jednej z tych kobiet, przed chwilą opisanych, tych, co siedzą cicho wszystko kontrolują. Chodzi oczywiście o ciotkę Zeldę.

Kiekró ciotkę Zeldę zirykowała życie jako takie, przychodziła do baru Laymana – nie żeby pić, ale żeby wynurzyć dezaprobatę dla wszystkiego wokół. Tej nocy, kiedy uśmiechnęło się do mnie szczęście, czując nagłe jej obecność w momencie, kiedy stała w drzwiach. Ciotka rusza naprzód, ciskając dociekliwie wzrokiem w kierunku stołków, a usta drgają jej w pełnym oburzenia grymasie. Nie muszę się odwracać ani patrzeć w lustro, żeby wiedzieć, że to ona. Stuka obcasami w podłogę jak maszyna do liczenia, potem ściera do czysta stołek wyciągnięty z rękawa chusteczka.

– Tonik proszę – zamawia cichym głosem. Sięgam po szklankę z lodem i nalewam napój. Potem dokładnie wyżymam ścierkę, żeby zetrzeć bar i stawiam szklankę na małej, białej serwetce, nie zapaskudzonej reklamami alkoholu ani drukowanymi świątkami dwoipami. Ostrożnie pytam: – Z cytryną? – Krótkie skinienie głową, po czym ciotka energicz-

nie obciąża rękaw. Opuszcza nieocno ramiona. Nadziwam nie jeden, ale dwa kawałki cytryny na mały plastikowy miseczek i wrzucam je do szklarki.

Dopiero wtedy siada na stołku.

— Na koszt firmy — mówię na widok rozdziawionych, metalowych szcęk jej małej portmonetki. Zamyka ją, dzikując mi, odrobnie się rozpręża.

— Ciocia przajdzie temu miejscu akurat tego, co mu potrzeba. Klasy — mówię.

Kiedy nie reaguje, powtarzam komplement jeszcze raz, z większym przekonaniem, aż się uśmiecha unosząc kieliski starannie wymalowanych, ostro zarysowanych ust.

— Zdrowie — wznosi z godnością toast. Na podniesionej do ust szklance efektywnie wyraźny ślad po szmince, dzieli czmurną ułudą zdeternowaniami w wyrazie jej ust.

Trzeba będzie dobrych paru szklanek firmowego toniku, stopniowo wzmacnianego dzinem, żeby przywrócić jej twarzą ludzki wyraz. Motyw, jakim się kieruję, jest szlachetny. Chcę, żeby Shawnee Ray miała trochę lżejsze życie. Jak tylko te niewielkie ilości alkoholu zaczną działać, z Zeldy zaczyna wychodzić jej naturalna przywrotność. Zaczyna przebaczać tłumom, na prawo i lewo. Uśmiech jej lagodnieje jak polyskliwe, stopione perły. Ze swojego stanowiska feruje, mity balsam, coraz bardziej łaskawe wyniki. Jak kłopotliwy sprawcy jej się mibły, w wieczory, kiedy Zeldy zasłabnie jest dostatecznie długo, wszystko w końcu zostaje ogarnięte jej obłaskawionym uśmiechem. To tak jakby mieć swojego wianego, domowego świętego.

Tyle, że najpierw trzeba zapalić świeczkę, złoty ofiarę.

Zelda ma świadomość, że jej chemiczny eksperyment przyniósł dość nieoczekiwane rezultaty. Oto ją przgotowują drinki u mojego szefa, przewidzianą na nią dla wychowania przez nią dziewczyn, tymczasem dziewczyna ta, Shawnee Ray, bynajmniej nie jest na randce z Laymanem Lamartine, tylko siedzi w domu intensywnie zajmując się swoim małym synkiem. Zeldy nie powinna grać tak bardzo i z taką pewnością siebie z nieznanym. Takie jest przynajmniej moje zdanie. Ludzkie serca są zbudowane z niepoznanych nieprzewidywalności. Ja, mimo wszystko, mam pewność, że ze strony Shawnee Ray odczuwam jakis nie wyjaśnione zainteresowanie moją osobą. Przynajmniej, że nasza pierwsza randka nie była specjalnie udana. Ale w międzyczasie zgodziła się raz czy dwa porozmawiać ze mną przez telefon.

Nie poganiam szczęścia, przez jakiś czas zajmuję się tylko swoją robotą, pozostawiając innym stanąć Zeldzie na drodze. Jak zwykle mi podrygować mnóstwem ludzi, więc nie ma czasu skoncentrować całej swojej energii na mnie. Odpowiada mi to i chcę, żeby tak było dalej. Lubię moją ciotkę, ale muszę uważać — a to nie jest łatwe — żeby nie zostać rozjecha- nym przez jej nikomu nie znane zamiary.

Osiemnastokolowa ciężarówka. Wylądowała po brzozy wydrożka. Nigdy nie wiem, co na ciebie pędzi, kiedy Zeldy wjeżdża na drogę. Może to sprawa znużenia, albo może chce odwrócić jej uwagę. Może pojawiam się przed nią z czerwona chorągiewką, a może zapomniałem nałożyć po- marańczową, fosforującą kamizelkę drogowca. W każdym razie, prze- staje uważać nalewając Zeldzie drinki. Ruchu nie ma. Jestem chyba zmę- czony i zapominał starannie odmierzać kraj. Dolewam Zeldzie do toników trochę za dużo, a ta zaczyna pędzić wprost na mnie pełnym gazem. Nie- dobrze, że stoje akurat na środku drogi.

Na początek opowiada mi, jak moja prababka, ta niebezpieczna Fleur Pillager, próbowała się zabić: wylądowała sobie kieszonkę kamieniami i potmaszerowała do jeziora Matchiminito. Tyle że jakie kamienie wybrała? Te, które leżały przy jej łóżku, te same, z którymi zawsze rozmawiała. Najlepiej. Okragłe. Znały ją, więc jej pomogły. Nie pozwoliły jej utonąć. Cudowne kamienie; wyniosły ją na powierzchnię.

Następnie ciocia Zeldy wznaję mi, kto był jej pierwszym chłop- kiem, jej pierwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. Był nim Xavier Toose, wujek Shawnee Ray. Zaczyna od tego, co mnie nieco dziwi, że Xavier stracił palce za karę, że jej dotknął. Potem milkiem, patrzy przez długi czas w wiszące za mąją lustro i tylko porusza ustami. Próbu- jąc zmienić temat jej rozmyśla, pytam o synka Shawnee Ray, Redforda, ale efekt jest taki, jakbym tylko z powrotem nałożył taśmę na szpulę. Zaczyna znowu opowiadać o Xavierze, znanym śpiewaku tradycyjnym, którego ostatnio wdziałem na powowach, siedzącego z dłońmi zwinęta jak zwierzęca łapa przy uchu. Kiedy jednak błąd w bęb- nów, towarzysząc muzykom z „Budzącego się Wiatru”, jego głos wyciągał wszystkie wysokie nuty.

Znowu się zatrzymuje. — To co? Chcesz, żebym ci opowiedziała? — pyta.

— Żebyś mi co opowiedziała?

— Chcesz, żebym ci opowiedziała tę historię?

Chcę powiedzieć nie, żeby delikatnie zakreślić kurek jej słów, ale Ze- ldię już oczy za bardzo błyszcza, za bardzo już musi mówić.

— Można by powiedzieć — zaczyna — a twarz ma jednocześnie rozma- rzoną i skupioną — że jest to historia o płomiennej miłości.

Z czymś takim akurat mam od bardzo niedawna do czynienia. Wieg się nachylił i nadstawiał uszy.

Xavier Toose był najprzystojniejszym mężczyzną w okolicy. Był też mądry, ale to nie było umysłamił sobie na mecie. Mój wybrany miał być biały i miał mnie zabrać z rezerwatu do miasta, gdzie sobie już zaplano- wał życie w detalach wybranych z katalogów i kolorowych pism. Opierałam się staraniem Xaviera Toose, chociaż, lekko siedział u nas w kuchni, serce mi nie dawało spokoju. Bilo tak szybko, że wybiłają rytm Tańca Krokila, było tak mocno, że aż dusiło mnie w gardle. Czuję, jak mi wali, ile razy patrzyłam jak, siedząc na drewnianym krześle, Xavier wyciąga przed siebie swoje szczupłe nogi. Wiedział, że kiedy mówi, może usłyszy wszystko te niższe tony. Wiedział, że kiedy podszedł każde jego słowo, wszystkie prawdziwe i ukryte znaczenia.

To nie wszystko. Palimą świętym świecku, żeby mi pomógł prze- stać o nim myśleć, ale na nic. Śnił mi się każdej nocy. Chyba o tym wiedział. Myślę, że musiał mi czegoś dosypać do herbaty. Ale Xavier mi nie odpowiadał; nie pasował do takiej przyszłości, w jakiej się wi- działam, przyszłości, w której stałam, z garbkiem w ręku, pochylona nad małą, białą kuchnię. W moich marzeniach ubierałam się na różó- wo, ubierałam się na białoniebiskó. Miałam w domu purter i miałam piętro. Byłam panią na dwóch piętrach.

To nie było życie dla Xaviera. On był człowiekiem, który mógł nie- szkać w chacie, takiej jak się mieszkało dawniej. Wiedziałam, że dla niego przyszłość to będzie beztroška zabawa na powowach. Chyba że- by się rozpił. O tak, wtedy sporo popijał. Wiedziałam, jak jędrzy z jed- nej imprezy na drugą, śpiewa i bije w bęben. Miał zawsze jakąś marnie pla-

na robotę, z której finansował swój wyższy cel – bycie Indianinem. Teraz Xavier jest poważny, jest religijny i cichy, ale wtedy było w nim trochę diabła.

Czas mijak, a ja go odrzucałam jeden sezon po drugim. Wiosna, lato, jesień. Potem przyszła zima. Pytanie miało paść po raz ostatni. Czwarty. Zgodnie ze starym zwyczajem, za czwarty razem albo się zgodzasz, albo odrzucasz na zawsze. Wyglądało na to, że rozegra się ostateczna bitwa. Odwiedzałam nas co wieczór i ładnie uwalniał, że powiem tak. Ale ja Xavierowi nie powiedziałam „tak”, bo mnie nie zapalał wprost, chociaż patrzył na mnie i wodził za mną oczami z tą ciępliwą determinacją.

Potem nadeszła święta Lucja, najdłuższa noc w roku. Przyszli do nas i, kiedy światło zaczęło mignąć i gęstnieć, uśmiechnął się, coś szepnął i błysnął pierścionkiem nakładonym na czubek palca. Niechętnie poszłam za nim do stodoły, obracając w ustach „nie”, żeby by wypuść jak kamień. W środku stanęliśmy przy pocimnialnych bokсах, wtedy pokazał mi złotą obrączkę z francuskim wzorem, którą kupił za pieniądze zarobione przy sianokosach.

– Chcesz? – zapytał.

– Nie miałam na timeś odważyć, żeby mu odpowiedzieć „nie”, więc tylko pokręciłam głową.

– Na pewno?

Serce wyskakiwało mi z piersi, było tak szybko. Twarz wyrwała się na spotkanie z jego twarzą. Patrzając mu w oczy, przestałam widzieć wyraźnie.

– Idź sobie – powiedziałam.

– Nie odejdziesz, póki mi nie powiesz całej prawdy. Kochasz mnie, ale chcesz mieć białego męża. Ja cię znam, Ale nie będziesz z nim szczęśliwa. Tobie jest potrzebny ktoś taki jak ja.

W łóżku pod sianem Xavier miał schowaną butelkę whisky. Teraz ją wyciągnął i dal mi, żebyśmy się napiła. Pociągnęłam łyk i mało mnie nie zadławiło, pociągnęłam drugi i wtedy przejaśniło mi się w głowie.

– Nie pójdziesz. Będę siedział pod twoim oknem całą noc i palił zapaliki – śmiał się. – Upije ci się na progu. Powiedz „tak”.

Odrzuciłam się, uciekałam do domu i wściekła trzasnęłam drzwiami, chociaż serce we mnie tańczyło, żeby do niego wrócić, do jego ciepłych, już porożnionych przez pracę rąk. Ale wytrzymałam, jak widział. Nie wróciłam. W szerokim łóżku, które dzieliłam z siostrami, owinięłam się kocem i patrzyłam przed siebie. Kiedy pogasły światła, widziałam jak w bezwierznej ciemności zapalają się, jedna po drugiej, jego zapaliki. Jedno małe światełko, potem drugie. Przysypiałam, ale wciąż widziałam te małe pływaczki w granatowej ciemności, na tle niebieskiego snu.

Rano przyniesli go do domu moi bracia. Znaleźli Xaviera zwinętego w kłębek i przemarniętego, jak wciąż siedział w zaspie. Jedną rękę przyścisł do serca, w drugiej zaciskał butelkę. Ręką na sercu była odmrożona i to u tej właśnie ręki stracił palec.

Zdała miłknie, popijała dłuższy czas, a potem patrzył mi głęboko w oczy, sprawdzając jak zareaguję.

– Ciociu, idź już do domu. Proszę, idź do domu – mówię błaźnie.

Ale nie z tego. Zdała się dopiero rozkręcać; jedna historia za drugiej, a następna. Teraz mi opowiada, jak moja babka Lulu znalazła w lesie trupa, a potem jak ona sama stała i patrzyła, jak jej ojciec podpał dom

Lamartina. Mówi mi, że jest zadowolona, że odrzuciła Xaviera Toose. – Miłość niszczy, miłość jest jak ogień znak na niebie, to jeden wielki kłopot – mamrocze. Mówi rzeczy, które powinna zachować dla siebie, o których mówić nie należy, nigdy. Potem zaczyna mi wyjaśniać, dlaczego właściwie jej wszystko zawdzięczam.

– Słodzi jesteś – Zdała pochyla się, a włosy ma już trochę potargane.

– Bo pracowałam kiedyś w cukrowni – wyjaśniam.

– Bo taki już jesteś – czarne oczy bezustannie krążą. – Na pewno nie masz tego po matce.

– Matce?

Nie nie porażę, uszy mi goręją. Zwijam ścierkę w kłębek, pochylam się nad ładą i pytam o to, o co nie powinienem pytać.

– Niby jak?

I wtedy Zdała podaje mi wszystkie szczegóły historii o tym, jak mama zostawiła mnie z babką. Podaje mi fakty, słysząc o których czuję się coraz bardziej nieszczyśliwy. Robi coś najgorszego: mówi mi prawdę.

– Nie wiem, jak to mogła zrobić – Zdała potrząsa głową, usta ma zacieniłe.

– Co?

– Aż nie chcę o tym przy tobie mówić – niby się wzdrga, żeby uzyskać lepszy efekt. – No ale w końcu, o worku już wiesz.

Moja ciotka bawi się znakomicie. Choć udaje, że tak nie jest, w rzeczywistości sprawia jej przyjemność podawanie mi faktów i bolesnych detali. Mogłbym ją powstrzymać, ale wspomnienie matki mnie obezwładnia. Bez względu na to co June Morrissey mi zrobiła i chociaż już jej dawno nie ma pomiędzy nami, wciąż bardzo ją kocham. Mogę o niej słuchać bez końca. Tak mi się przy najmniej wydaje.

– Ten worek to żart – mówię pewny siebie. – Babka kiedyś sobie ze mnie żartowała, że mama chciała mnie wrzucić do bagna. Ale żadna matka by –

Zdała mi przerywa i, zgadzając się, kiwa głową. – Żadna matka. Z niej była żadna matka. June Morrissey, Kashpaw, jak ją zwał tak zwał, wrzuciła ci do bagna.

– N’missae – zwracam się do niej, teraz już bardzo łagodnie, nazywając ją moją najstarszą siostrą. – Za dużo dzisiaj wypilaś. Wzmocniłem ci tonik. Nie bądź zła. To na koszt firmy.

Ale Zdała tylko potrząsa głową, słysząc tę moją wersję wydarzeń, o których sobie właśnie przypominam.

– Wrzuciła ci – ciałnie. – Wiem najlepiej, bo sama cię wyciągnęłam.

– Nigdy o tym przedtem nie mówiłaś. – Sprawdzam butelkę z dżinem. Nie potrafię powiedzieć, ile dokładnie jej nalegam.

– Zawsze dobrze patrzyłam, byłam z tych, co wszystko widzą. Siedziałam na schodkach od tyłu domu i spoglądałam w dół. A tam June; ciska małe zawiniątko w bagno.

– Dżin przez ciebie gada – mówię. Mówię jej to wprost, a nawet rzucam ścierką o ładę. Ale nie potrafię się odwrócić ani przestać słuchać, bo ciotka ciałnie, a jej głos staje się ochrypły, pełen emocji i nie można mu nie wierzyć.

– Nigdy jej chwili nie zapomnę. Lipsza. Pochmurny, letni dzień. Przycisnął się i odczekaliśmy, aż June odejdzie. Potem poszłam sprawdzić, czy wrzuciła do wody – W tym miejscu Zdała przystaje, zagryza dolną wargę

I obraca w rękach szklankę. – Nie wiem, jak długo to trwało. Gdybym wiedziała, że byłeś w środku, pobiegłabym natychmiast.

– To nie byłam ja – każę mojemu głosowi zabrzmieć mocno, głośno. – To nie byłam ja, Lipsha, Żadna matka...

Na nic. Zeldia mnie już prawie nie dostrzega. Opowiada o chwili, którą przeżyła na skraju tego bajora wypełnionego wodą brązową jak kawa, zaróżnionego łożniami i wodnymi łożniami, przystąpiła dla kaczek, bekasów i cyranek.

– Weszłam do wody – głos ma mocny, zdecydowany i pewny. – Weszłam po kolana w błoto, a potem w wodę, aż mnie zaczęła zakrywać. Wtedy zaczęłam płynąć, próbując zapamiętać, gdzie June pocięwała workiem. Zamurkowałam, musiałam to zrobić ze dwa, trzy, cztery razy, zanim go namacałam. Potem jeszcze dwa razy, zanim go wyciągnęłam, bo... – i teraz Zeldia przerywa dla efektu, patrzając przeze mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było – June nawadzałam do niego kamieniami. Wyłaszczylam ciężar na suchy brzeg, odciągnęłam dalej. Potem zabrałam go – kamienie grzechotały w środku – przez las na pole – Zeldia przygryza słomkę, przypominając sobie, że jestem przy niej. – Gdybym widziała, że jesteś w środku, Lipsha, otwarłabym go zaraz, jak go wyciągnęłam.

Zaczynam odczuwać ten miłąć ucisk, który człowieka nachodzi, kiedy nie chce być świadkiem czegoś, co właśnie dzieje się na jego oczach.

– To nie byłam ja! – Mój głos jest ostry, aż jeden czy dwóch przystępujących klientów podnosi głowę, patrząc z ciekawością w naszą stronę. W głowie mi hucały. Ręce mi słabły, mdleją, czuję, że potrzebuję czegoś dużego, żeby się przytrzymać, drzewa, dobrze ukorzenionego krzaka, solidnego kawałka ziemi, drugiego człowieka. Ale Zeldia nie znosi niespodzianek. Nie mogę się jej chwycić, zresztą to przecież ona jest źródłem mojego osłabienia, więc trwam, chociaż czuję, że zaczynają mi już drzeć nogi. Nie ruszam się więc, a jej głos brzmi dalej.

– Kiedy wyszłam z lasu, otwierałam room. Rozpakałam się, jak znalazłam w nim dziecko. Zobaczyłam mnie, zamurkując oczami i uśmiechnęłaś się do mnie. Ale ty byłeś w tym worku przez dwadzieścia minut, może nawet pół godziny.

– Nieprawda!

– Może nawet dłużej – nie podejmuję kłótni. – Zawsze mnie to iluzji gowało – drapie po ładzie mieszkadkiem. – Lipsha, ty leżałaś w tym bagnie bardzo długo.

– Nieprawda!

– Przestań mówić, wpatruje się we mnie i szepce.

– Dlaczego ty się nie utopieś?

Jestem na nią wściekły, że wymyśliła całą tę durną, kurwą mac, historię. Patrzy ostro w jej stronę.

– Uwaga! – wpiąm się w nią oczami – *bo się znajdziesz tam gdzie ja.*

Szyję te słowa Zeldzie prosto w twarz, wypowiadając tę samą straszną groźbę, którą moja prababka, Fleur Pillager, skierowała ponoc przed laty do swojego wybaczy. Wkrótce potem umarł i zajął jej miejsce na drodze śmierci. Korzystałam z tej rodzinnej groźby i Zeldia się cofa. Małeńki ognik strachu rozbiłszy się i gaśnie w jej oczach jak zapalka. Ale ona nie jest z tych, którzy przyjeżdżają na siebie przekleństwo. Z niej jest za duża zefowa, więc odnaga powtórznie przeze mnie słowa prababki Pillager, szybko robiąc znak krzyża.

Ja też bym chciał jej słowa odrzucić, ale dziwnie nie potrafię. Mówię sobie, że nazmyliła, że wyahałowa moją niezwykłą historię w swojej pamięci, ozdobiła ją koralikami i kolorową nicią. To nieprawda, pocieszam się. Najwyżyszeja nieprawda.

Nieprawda, powtarzam, kładąc się tej nocy spać. Nieprawda, przekonuję sam siebie, gasząc światła. Nieprawda, nieprawda, nieprawda. Zapadam w sen. Mówię sobie, że Zeldia wymyśliła całą historię, przez nią się to wszystko dzieje. Nie znalazła mnie w żadnym worku. Przypominam sobie, że przecież wierzę w to, co mi powiedziała babka Kashpaw – że zostałem jej oddany przez moją matkę, co było niewątpliwie smutne, ale do zrozumienia, przez tę piękną kobietę zbyt szlona, by samodzielnie wychować dziecko. Pogodziłem się już z tą historią, wybaczyłem June jej życie tak bardzo na krawędzi, że nie mogła się nią naleczyć zając.

Chcę się trzymać tego stałego gruntu, tego w co wierzę, ale moje sny zmieniają się w przerażającą topiel.

Tej nocy więga mnie głębia. Tonę w miękkiej czerni, serce mi bije szybko, schwytane w pupkę zeber. Budzę się odgłos uderzenie, jakbym opadł na dno swojego wodnego legowiska. Zeskakuję na podłogę, nacigam dziny, zapalam światła, decyduję się zrobić obchód, sprawdzić czy wszystko w porządku i chyba – chociaż rzadko to robię – wypić jednego darmowego drinka.

Przemierzam cicho ciemne echa pustki. Mijam bar, wchodzę za ładę. Właśnie wybieram sobie butelkę, gdy wzrok mój pada na lustro.

I dostrzegam June.

Jej twarz jest jaśniejsza plamą w ciemności, oczy czarnymi kamykami kwarcu, patrzy na mnie z pustej ciszy ze smutną zachęcią. Ma na sobie różową bluzkę, która lśni delikatnie, podobnie jak Irish Cream w stojącym przed nią niewielkim kieliszku. Włosy ma czarne, okalające po obu stronach podbródek jak dwa gładkie piersi. Nie widzę na niej lat – jest stara, młodzieńca, szczerpła jak dziewczyna. Wedle uznania. Jest nikim i wszystkim. Jest moją matką.

Wygląda tak jak wyglądała, gdy byłem jeszcze mały, tak jak ja czasem widywałem, kiedy wracała ze swoich wypraw do miasta. Wyglądała tak jakby wyglądała, gdyby pozostała z nami, zyla przyzwyczajona, zeszła się i nabrała gracji. Patrzy na mnie przez całą szerokość długiej, niskiej sali. Nie ma pomiędzy nami papierosowego dymu, przez który musiałby się przedziarzać wzrok. Nie ma hałasu, który przeszkadzałby nam się słyszeć. Nie mogę powiedzieć, że widzę ją jak ja mgłą. Nie mogę powiedzieć, że jej głos jest ledwo słyszalny.

June z namaszczonym otwiera torbę i wyciąga papierosa. Narzuwa się na nią ciemność, więc odwracam się i przechodzę na drugą stronę sali, ale krzesło, na którym siedziałam, jest już puste. Zmieniła miejsce. Kiedy dostrzegam ją przy barze, kark mi lodowacicie. Ciarki przechodzą mi po krzyżu, robi mi się słabo, chyba zemdleję. Zatacam się, o mało co nie rzucam do ucieczki.

– Musisz się z nią spotkać – mówię sobie, próbując uspokoić serce. – Nie przyszła tu bez powodu.

Betonowa podmurówka pod barem wyrzuciła się w paru miejscach i sfalowała podłogę. W zimne noce, leżąc w swojej norze, słyszę jak beton się przemieszcza. Mam teraz ten niski dźwięk w uszach, gu-

che sięgnięcie, potem trząsk. A potem następuje chwila ciszy, kiedy nie się nie porusza. Na zewnątrz nie ma wiatru, nie słychać z oddali silnika. Nie dochodzi żaden głos. Żaden dźwięk z szerokiej pol. Nie szczerka żaden pies. Nie słychać nic.

Nagle z pieca z odgłosem skargi bucha para. W zamrażalniku grzechocze lod.

Cały się trzęzę.

Niby zawsze sobie dotąd mówiłem, że spotkani z duchami mają swoją dobrą stronę. Moje rozmarowanie oparte było na następujących pytaniach: Czy poza tym światem istnieje jeszcze inny? Ile jest naprawdę wymiarów? Jakże jest to życie po życiu? Czyjeś Boga przyjdzie mi spotkać, jeśli Bóg w ogóle istnieje; przed czym sągłem stanę? Duch mógłby dać odpowiedzi przynajmniej na jedno podstawowe pytanie: czy istnieje cośkolwiek poza znanym nam światem, poza tym czego możemy dotknąć. Jeżeli zobacze ducha, otworzą się przede mną pewne możliwości. Zawsze tak sobie mówiłem, a jednak spotkawszy go, cały się trzęzę.

Powtarzam sobie, że matka nie ma tych zamarów, nie mówiąc już o tym, że nie było jej pewnie łatwo się pojawić. Na pewno szła przez ogień, przez wodę i przez ten wielki, zwykły pas ogrodzonych pastwisk i pól zaspanych teraz na płasko przez śnieg. Musiała przejść z powrotem trzydniową drogę, drogę zmarłych. Namierdowała się, żeby tu przyjsk, mówię sobie. I mówię sobie, że powinienem mieć chociaż tyle odwagi, żeby się dowiedzieć po co.

Biorę głęboki oddech i ruszam na ogromną, ciętą równinę salonu bing. Zapalam światła, ale żarówka są niskowatowe, tak słabe, że prawie nie się nie zmienia. Po każdym kroku, przysiągaj i nasłuchując echa, swoje go śladu. Za każdym razem kiedy przysiągaj, słyszysz cichą, głodną jak podmuch gorąca. Serce pompuje mi krew do głowy uderzeniami, które rozbykują pod powiekami, a czubki palców pięknie mnie jak zmrożone lodem. Dochodzę do krzesła, na którym siedział, dotykam go dłonią i wydaje mi się, że oparcie jest ciepłe.

— Gdzie mój samochód? — pyta, tuż obok, tak jak byśmy ciągnęli przez cały czas rozmowę. — Wróciłam, bo się zastanawiam, gdzie go postawił. Gdzie, cholera, jest mój samochód?

— Na zewnątrz — odpowiadam, ale głos mam taki jakbym mówił z pu-
stej studni.

— Coś z nim zrobił? — mówi ostrym tonem. — Rozwalił go?

— Nie.

— To co?

— Jest trochę niesprawny.

— Trochę? Co znaczy „trochę”?

— Trzeba go tylko trochę podładować.

— Ci dam, cholera, „podładować”.

Opiera się o stół, zła, kołysząc krzesłem. Jestem w stanie osłabienia, nogi mi się trzęsą jak mikielne szmatki. Gdybym wiedział, że tak ja znowię-
ciecz na niewie w grobie tym, że zgodziłem się zamiast pieniędzy z ubo-
żeczenia po jej śmierci wziąć niebieskiego Firebirda — nie byłoby o tym w
ogóle mówię. Teraz, nawet po tym, co mi powiedziała Zeld, wciąż sobie
wyobrażam, że matka mimo wszystko będzie dla mnie dobra, że może
nawet — mam nadzieję — będzie miała poczucie winy. Albo jednak są to
tylko pobożne życzenia, albo ona dzisiaj nie jest w hamercze. Głos ma

twardy i nie marnuje czasu na pogaduszki. Zaczynam myśleć, że może
ma kłopoty, że może tam, skąd przyszła zdarzyło się coś nieprzyjemnego,
więc szuka wytchnienia, albo że może trzeba ją gdzieś podwieźć.

Siedzimy, jak mi się zdaje, bardzo długo wędząc się w obustronnej ci-
szy. Wtedy zdołabym się na odwagę i mówię.

— June... mam — zaczynam cicho, zdziwiony brzmieniem tego drągie-
go słowa w moich ustach — czego chcesz ode mnie?

Lekko ciepłe klebkę dymu drżą pomiędzy nami; June marszczy czoło.

— Spieszmy mi się. Muszę iść, ale słuchaj no. Grasz w bingo?

— Dotąd nigdy nie grałem — odpowiadam. — Znaczą, parę razy.

— No to teraz graj.

Trzymając w ustach zapalającego papierosa, znowu otwieram torbę, szuka
w niej czegoś oboma rękami, powoli wyciąga cienką książeczkę i kładzie
ją pomiędzy nami na stole. Patrzę, że są to kupony bingo podzielone na
małe kwadraty, każdy zawierający literę i numer. Uprzejmie przeglądając
książeczkę, tak jak przegląda się zdjęcia kogoś, kto właśnie wrócił z wa-
kacji w Sturgis, zastanawiając się cały czas, o co jej może chodzić. Ale
nie w tych kuponach specjalnego nie dostrzegam. Kiedy podnoszę głowę,
żeby jej podziękować, nikogo już nie ma. Wyparowała w resztę dymu,
który spowija krzesło.

Wybiegam na zewnątrz, bez kurtki i lodowata, czarna noc, wołam ją
po imieniu, ale nikt nie odpowiada. Nade mną, na niebie, skąd przyszła,
rozszarpały się zimne gwiazdy, lśnią plamki odwiecznego światła, delikat-
ne i samotne. Z ich niezmiennego pyłu tworzą się wspaniałe kształty. I
kiedy tak patrzę, oczywiście jedna gwiazda odrywa się od reszty i spada.

Stało się. Wiem na pewno. Nadchodzi w końcu moje szczęście. Wra-
cam do środka, wczepiając się do śpiwora, po jakimś czasie opada ze mnie
strach i podniecenie, umysł się rozluźnia. Raz się przebudzam, bo wydaje
mi się, że zza grubej izolowanych ścian bura dochodzi mój głos gra-
nego silnika. Trochę się niepokoję o samochód, ale sen jest jak głęboka
czułość pomiędzy dwoma falami. Przewracam się na drugi bok i staczam
w dół wodę z bobra.

przekłóty Joanna Durczak

LOUISE ERDRICH: ur. 1954 w Little Falls w stanie Montana w rodzinie nie-
miecko-amerykańskiej (ojciec) i indiańskiej, plemię Chippewa (Ojibway) (matka).
Autorka uhonorowana wieloma nagrodami powieści *Lore Medicine* (1984), *Bert
Queen* (1986), *Tracks* (1988), *The Bingo Palace* (1994), *Tales of Burning Love*
(1996) oraz dwóch zbiorów wierszy. Bodaj najprawniejsza i najpopularniejsza ze
współczesnych pisarzy amerykańskich, ceniona zarówno przez czytelników jak i
krytyków ze względu na oryginalność tematyki oraz swobodę powieści, za ich mistrzostwo kom-
pozycyjne, głęboki symbolizm i poetycką języka. Posługiwana czasem i z Funk-
nerem jako twórczyni indyjskiego odpowiednika Faulknerowskiego Jeffersona
fikcyjnego miasteczka Argus w Północnej Dakocie — na terenie i w pobliżu którego
rozgrywa się akcja czterech z jej powieści opowiadających o wieloletnim i
polifonicznym sąg kilku indiańskich rodów na przestrzeni ostatnich osiemdziesię-
ciu lat. Erdrich przeciwstawia społeczność strażniczo doświadczoną przez historię,
niezależną, rozproszoną i idiosyncrasykowaną, a jednak triumfującą dzięki ca-
łej gamie heroicznych jednostek. Siłą autorki jest umiejętność opowiadania o tych
właśnie jednostkach bez cienia patosu, za to z ciepłem, liryzmem i humorem.

W. S. PENN

Nicobecność aniołów*

Pustynia sprawiła mi ulgę. Otwarta na ogromne niebo i polykająca ciszą zdawała się obejmować mnie i kości. Na szyi, na skórzanym rzemku, miałem zawieszony kamienny amulet podarowany mi kiedyś przez Dziadka. Kiedy szedłem, obijał mi się delikatnie o pierś w okolicy serca, natomiast kiedy przystawałem, czulem jego ciężki i wilgotny ciężar.

Nie nosilem go przez całe lata, odkąd dostałem się do szkolnej drużyny koszykówki [...]. Ale kiedy zmarła moja siostra, Pamela, zacząłem zastanawiać się, do czego doprowadziło to zaniedbanie i rozmyślać, czy dzięki tej jednej uncji magii wydarzenia mogły potoczyć się inaczej. Wtedy też z nabożeństwem założyłem amulet ponownie, wiedziony nadzieją, że wpłynie w ten sposób na los zapisany mi w gwiazdach.

Kiedy wysiadłem z autobusu koło faktorii Johnny'ego Trzy Stopy, przewitała mnie Rachel. Jej wzrok natychmiast skupił się na kamyku.

— Co to? — zapytała nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Rachel często podkpiwała sobie z wszelkiego rodzaju talizmanów i amuletów, które wieszałem na szyi, żeby uchronić się od złego. Nie gustowałem bowiem w pierścieniach, pasach, ani bransoletach. Zawsze uważałem, że w moim konkretnym przypadku właściwym miejscem do noszenia czegokolwiek jest szyja. Być może dlatego, że jeśli już coś mi się kiedykolwiek stało, to albo w głowę, albo w rękę. Instynktownie więc zawsze starałem się mieć ręce nierzeczy nie obciążone — byłem mógł szybko biec i — i obciążony kark, żeby mi było łatwiej wtulić głowę w ramiona i uniknąć zderzenia, na przykład z nisko wiszącymi gałęziami. Aż to z kolei przypomina mi, że wyrosłem już ze wszystkich łózek. Nogi wystają mi już z każdego, zdane na łaskę nocnych pajaków i innych owadów, które jednak jak dotąd nigdy mnie nie pogryzły.

— Mój kamień. Dostałem go od Dziadka. — Wyciągałem amulet na dłoń do pustynnego światła, żeby mogła mu się lepiej przyjrzeć. Wyglądał zwyczajnie, ale przy odrobinie wyobraźni można było dostrzec, że ma swoje własne życie. Temu życiu zawdzięczał swoją kamienną, swój beczuch, który na ludziach pozbawionych wyobraźni sprawiał wrażenie śmierci. — Widział?

fragment powieści *Absence of Angels*

— Co mam widzieć? — zapytała, mrugając czarne oczy.
— Inercję. Bezwład.

Wiedziałem już, że podobny stan udało się także osiągnąć Dziadkowi: kiedy był w ruchu pozostawał w nim silny bezwład, kiedy przystawał, silny bezwład pozostawał w spoczynku.

— Popatrz ty na siebie. Wieszasz sobie na szyi różne beczury, które cię kiedyś przynęca do ziemi jak młode drzewko i to grubo przed czasem. Twój mistycyzm cię wpędzi do grobu.

— O nie. Do grobu wpędzi mnie życie. Właśnie dlatego potrzebny mi bezwład.

— A idź — splunęła w kurz.

— To dobra siła magiczna — odezwał się Sanchez. Wysiadł z autobusu tuż po mnie i przez cały czas stał z boku, przysłuchując się naszej rozmowie. Teraz nagle się włączył i wyraźnie miał chęć mówić dalej. — Duch ojców. Nóż Kojota.

Rachel popatrzyła na Sancheza wzrokiem, który kazał mi pozostawać, że odpowiedziałam mu historię o Kojocie i potworze Ilpswetsichs¹. Podróż była długa i nudna, a powietrze w autobusie ciężkie od oddechów starych włóczęgów, kompostowej woni emerytów i zapachu amoniaku bijącego od niemożliwie — całego tego towarzystwa jadącego razem do London Bridge. Dlatego też, kiedy Sanchez usiadł koło mnie, cytynno-wy zapach pnyu do zmiękczenia tkanin, którym pachniało moje ubranie, sprawił mi ulgę.

— Do ciebie nie mówiam — powiedziała Rachel. Oczywiście miała zimne i twarde jak zimny diament.

Nie szkodzi — uśmiechnął się Sanchez. Był dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną, jakżeś szesł lat starszym ode mnie. — Nazywam się Sanchez — wyciągnął dłoń. — Jestem przyjacielem Berta.

Kiedy dowiedział się, że Alley to zdrobnienie od Alberta, uparł się, że będzie mówił do mnie Bert. Na początku mnie to irytowało, ale nim dojechał do Choorosi złók mnie opuściła. Dla niego było zupełnie oczywiste, że właśnie tak należy się do mnie zwracać.

Rachel zignorowała jego dłoń. Jak wadaś, kiedy wychyla się, zatrzymuje, a potem zaczyna wznosić, ręka Sancheza wisiała przez moment w powietrzu, po czym z wolna opadła. Unosząc brwi, Rachel spojrzała na mnie, a następnie posłała Sanchezowi spojrzenie, które mówiło: „Juz ja znam się na takich jak ty”.

— A więc to jest ta faktoria — powiedział Sanchez. W porze sugerującej zamyslenie podparł dłoń podbródek i patrzył spod przysmykających powiek na zbadowany z pustaków budynek. — Przedze wyszczinn trzeba będzie oszalać fasadę drewnem. Nikomu na świecie nie przejdzie nawet przez głowę, żeby faktoria mogła być z pustaków. Potrzebna jest też od

¹ Ilpswetsichs (Iswelsk), potwór, bohater mitu o stworzeniu Prawdziwych Ludzi w tradycji Indian Neze Perce. Ilpswetsichs, kawałek po kawałku pożerał świat. Nieświadomych zagrożenia ludzie próbować ostrzec przed nim Kojot, ale został wyśmiany i przegrany. Kiedy potwór pożarł już pokosy łąki i wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, Kojot pozwolił mu się schwytać i pokonać. Wcześniej jednak ukrył pomiędzy nogami młot, którym, gdy tylko znalazł się w brzoisku potwora, zaczął rozrywać mu wnętrzności. Rycząc z bólu, Ilpswetsichs błagał Kojota o łaskę, ten jednak tak długo torował sobie drogę na zewnątrz, aż potwór padł. Z jego krwi rozlanej na rze potężną ziemię narodził się Prawdziwy Ludzie, natomiast z krwi zebranej w zagłębieniach powstały motyza.

frontu poręcz do przywiązania koni i kilka drewnianych ławek. Można wynająć parę dziadków, żeby sobie siedzieli na ławkach, wyglądali tajemniczo i pobierali od turystów po dolarze od adopcji. Nad drzewiami może amerykańska flaga... nie, to by było już trochę za dużo. – No nie – przerwał – dołącz do me nie później. Interesy wywołają. – Podniósł swoje dwie torby i zniknął w czeluściach sklepu Johnny'ego Trzy Stopy.

– To co? – zwróciłem się do Rachel, która wbiła w plecy Sanchez'a spojrzenie kłujące jak akupunktura. – Młó się znówu widzieć. Co słychać? – Rachel wydawała mi się chudsza i bardziej zawzięta niż kiedykolwiek przedtem. Bezkompromisowo przynajmniej jej prostokątne barki jak ciężar.

– Co to za jeden? – zapytała.

– Sanchez. Wdziął się gdzieś Dziadka?

– Nie podoba mi się – powiedziała. – Za cwany. Jak myślisz, czego on tu szuka?

Odpowiedziałem, że nie wiem. Tak do końca rzeczywiście nie wiedziałem, chociaż miałem zupełnie przyzwyczajone pojęcie. W autobusie Sanchez powiedział mi, że pochodzi z Oklahomy. Pracował dla firmy, która produkowała rozmaite ułatwiające pracę przyrządy, takie jak na przykład Vegomatic – ręczną maszynkę do cięcia, krojenia i szatkowania jarzyn, sprawną jak zwykły nożyk. Dokładniej mówiąc, Sanchez był konstruktorem Vegomatica; on też wymyślił, w jaki sposób ten wynalazek sprzedawać.

– Zasada jest z grubsza taka jak z religią w telewizji – wyjął. – Oferujemy ludziom coś, w co mogą wierzyć. Coś co działa. Prymarniej przez jakiś czas. Czyli dotąd, dokąd się nie zorientują, że zwykły nożyk jest znacznie prostszy niż zmieniający ostrzy i mycie teje cholersewa tak, żeby sobie nie poranić palców.

Firma zarobiła kupę pieniędzy na tych maszynkach. Ale najbardziej – i to chyba sprawiło Sanchezowi największą satysfakcję – naciskałem swoich klientów na kosztach manipulacyjnych i opłatach za wytykę. Kiedy skrytykowałem także zbieranie pieniędzy z ludzi za poczęcie i za zmechanizowaną w końcu obsługę, Sanchez się obruszył. – Co ty? Wszyscy tak robią. Zamów coś z któregośkolwiek katalogu oferującego towary po przizrych cenach, a zobaczysz, że zanim dostaniesz to, co zamówiłeś, przodk będzie już kosztował tyle samo co w każdym sklepie. Jęzeli nie więcej. Pozwala ci się jednak oczekiwać w napięciu parę tygodni dłużej. Większość ludzi patrzy tylko na reklamowaną cenę, zapominając, że dochodzą do niej koszty wysyłki i dlatego wydaje im się, że robią świetny interes.

Musieliem przynajmniej rację.

– Firmy wysyłkowe sprzedają ludziom przeświadczenie, że zamawiając u nich towar oszczędzą się pieniądze a wręcz je zarabia. My do tego doręczamy jeszcze wiarę, informując, że Vegomatic nie jest sprzedawany w sklepach, sugerując tym samym, że jest za dobry na sklepy. Przez dwa miesiące zwlekam z wysyłką. Do momentu kiedy klient otworzy paczkę, może sobie wierzyć.

Kiedy zapytałem: „W co wierzyć?” – Sanchez wybuchnął śmiechem. Kierowa obserwował nas uważnie w lusterku.

– Niezawie w co. Wiara to wiara. Kiedy te stare cioty wyślają pieniądze na adres telewizyjnego kaznodziei, nie dostają odwrotną pocztą Pana Boga. One po prostu wpadają w religijną ekstazę i wyrażają ją w

ten jedyiny znany sobie sposób. My robimy to samo co taki kaznodzieja. Pomagamy im popaść w ekstazę. Wtedy ślą nam czeki. Wiesz o co? Zdziwiłby się, gdyby zobaczył, jak wielu klientów do nas wraca, kiedy pierwszy Vegomatic im się popsuje. Czasem zamawiają też kolejny zestaw naszych Wiecznie Ostrych Noży. Sprzedajemy je, dodając komplet ośmiu korkociągów, klucz francuski i zestaw drewnianych łyżek kuchennych, które to prezenty klient może sobie zażyczyć, nawet jeżeli uzna, że noży jednak nie chce. Myślisz, że Amerykanin jest za leniwy, żeby odesłać te noże, jak już je wreszcie zobaczy? Nie. On ich nie odesła, bo gdyby to zrobił, musiałby tym samym zrezygnować z wiary, którą mu sprzedaliśmy. Za psie pieniądze, powinieneś w tym miejscu dodać.

Sanchez był kimś w rodzaju przedsiębiorczego Wovoki¹, człowiekiem, który manipulując ludzką wiarą, był w stanie sprawić, że w śródmieściu handlowym korytarzami spływał łód. Ale o tym akurat nie powiedziałem Rachel nic. W jej oczach Sanchez zmazał tyle co jadownia jaszczurka Gila, zaś turkusowa biżuteria, którą nosił na rękach, szyi i przy pusie była tylko tanią imitacją. W rzeczywistości turkusy były prawdziwe, podobnie jak kute srebro, w którym zostały osadzone. Ale Rachel za autentyczne uznawała tylko przedmioty wykonane przez kogoś, kogo działalność potrafiła zaakceptować. Biżuteria, bez względu na wzór, była dla niej tym autentyczniejsza, im więcej przeszła indyjskich rąk. Kiedy zapytałem Dziadka, czy to rzeczywiście ma jakieś znaczenie, z namysłem przygryzł lewy policzek, po czym stwierdził: – De Toro Wściekłego zagrał Ron Stein – przypomniał „Siednu wspnianych”. – Zyd może więc zagrać Meksykanina. Trzeba tylko, żeby miał oczy dobre do tej roli.

– To co? – zagadnąłem Rachel, kiedy tak oboje staliśmy w krepującej ciszy przed faktorią.

– Nie potrzeba nam tu takich – syknęła, pochłonięta myślami o Sanchezie.

– Bo ja wiem... – zacząłem. Może była to kwestia mojego rosnącego doświadczenia, nakładającego się na wyraźnie widoczny od pewnego czasu spadek precyzności Dziadka, ale im robiłem się starszy, tym bardziej Chopsosi stawało się dla mnie pusie i – przez rozmiar swojej pustki – smutne. Kiedyś uwielbiałem powolne tempo spacerów z Dziadkiem, podobnie jak ćwierkliwe narzekania babki, Laury P., siedzącej przy kole garncarskim. Ale ostatnio zacząłem czuć beznadziejność tego miejsca. Tak, jakby proces narodzin się odwrócił – krew zwolna powlewała do lipswetsichsa, rana się zagoiła i został tylko błazen Kokoi, wypłuty z bezczepnej paszczy potwora.

Głównie wiesz – powiedziała Rachel. – Ty byś z jadownię jaszczurki zrobił sobie domowego zwierzaka. Albo jeszcze gorzej, dałbyś się jej sam oświcić.

Stwierdziłem, że Rachel wyraźnie udoskonala swoje umiejętności nazywania rzeczy po imieniu. Zwalczyłem w sobie chęć, żeby jej nieco przytężyć nosa i tylko rzuciłem: – A weźże go ubij, wypatrosz i sprzedaj jako autentyczny wyrób indyjski.

¹ Wovoka (1856–1923), Indianin ze szczepu Patjutow, prorok i wizjoner, w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku przywodził wypływny ruch religijny odnowy, propagator tzw. Tańca-Ducha, mającego doprowadzić do odrodzenia plemion indyjskich i do pokojowego rozwiązywania konfliktu z białymi.

— Może i tak zrobię — odpowiedziała akurat w momencie, kiedy Sanchez tańczącym krokiem zbliżył się do schodów faktorii, trzymając pod pachami aflacale już torby. W prawej ręce dzierzył plik pieniędzy. Zanim je schował do skórzanej szaszki ukrytej pod polami wyłożonej na spodnie koszuli, odliczył dwa banknoty.

— Masz — wyciągnął je w moim kierunku. — Szczypta mojej czarnej magii. Jedynie znane lekarstwo na katar.

— Za co to?

— Za informację.

Rachel rysowała czubkiem mokasy na półokrągłej po wyschniętej ziemi.

— Jakie informacje? — spytałem.

Rachel rzuciła mi szybkie spojrzenie, spojrzenie pełne nienawiści. Tę nienawiść można by wiązać za miłość, ale tylko gdyby stanął na głowie tak, żeby prawa strona świata znalazła się po lewej.

— No, dobrze — odpowiedział Sanchez. — To niech to będzie zaliczka.

— Na co?

Sanchez wyciągnął z kieszeni koszuli amulet, jeden z tych wytworzonych przez Nawajów, które Johnny Tryp sprzedawał turystom nie zważając na fakt, że Nawajowie, w odróżnieniu od Hopi, nie mieli szczególnych związków ze starożytnymi cywilizacjami Meksyku. Amulet był okrągły. W jego centrum widniał wizerunek twarzy bogini Maya z głową w koronie brązowych promieni. Sanchez rzucił amuletem w moją stronę jak monetą.

— Na wykombinowanie pomysłu. Do czego by to mogło służyć.

— Służyć?

— No. Pomyśl. Ludzie kupują tego rodzaju przedmioty z różnych powodów. Na przykład taki facet, któremu chodzi tylko o to, żeby swoją jesień życia przeżyć w spokoju, zgodzi się, żeby żona kupiła sobie coś podobnego, bo uważa, że jeżeli ta dzięki zakupowi wreszcie uciąć, to on gotów jest za niego zapłacić nawet dwa razy więcej. Albo taki dasiogrest, wiesz, taki co to nosi dzinsy ze strzechy, wyglądające jak rygownia (znaczy, gdyby rygownia była niebieska), a nosi je dlatego, że są praktyczne. Ten pozwoli żonie kupić amulet, bo nie chce, żeby ktoś pomyślał, że on dusi pieniądze, a zrobi to dlatego, że sukinierni na niczym tak nie zależy, jak żeby przed ludźmi wyjść na hojnego.

— Coś nie nadaję — przerwałem mu.

Nieważne. Chodzi o to, że potencjał amuletu nie jest w pełni wykorzystany. Na pewno są tacy, co go kupią na bihełko, którym można się zawsze posłużyć i lekko rozmowa z nie chętnymi gośćmi coś się nie klei. Ale ja się mogę z tobą założyć, że dwóch na każdych pięciu facetów nie pozwoli żonie czegoś takiego kupić, bo na pierwszy rzut oka do niczego tego nie służy. I tu coś właśnie musimy wymyślić. Gdyby takie amulety można było jakos wykorzystać, Johnny mógłby ich sprzedać trzy razy więcej.

Zamyślił się przez chwilę.

— Pokaż no go — powiedział. Obrócił amulet parę razy w rękę. — Wygląda jak foremka do ciastek. A może o to właśnie by nam chodziło?

— Foremka do ciastek? — spytałem.

— W ten sposób cała sprawa przechodziłaby w gestię kobiety. A nasz hipotetyczny małżonek nie mógłby już twierdzić, że przedmiot nie ma praktycznego zastosowania.

— A na jakiej podstawie twierdzisz, że to kobiety kupują takie bzdury? — wtrąciła się Rachel głosem brzmiałym dobitnie i stanowczo jak głos kogoś, kto wie czego chce.

— Glorio, nie mówimy tutaj o twoich pryncypalnych feministkach — odparł Sanchez. — Mówimy o pospolitych, kartoflanych jednostkach ludzkich.

Po czym, zwracając się do mnie, ciągnął. — Wyobraźmy sobie tego hipotetycznego małżonka, jak pyta swoją żonę: „A po cóż ci to, Betty?“, na co ona może mu już teraz odpowiedzieć: „No co ty, głupi jesteś Nigel? Przecież to foremka do ciastek!“ Z tym nasz Nigel nie może już polemizować. Dobrze mówię? A jeżeli Nigel zacznie marudzić, że drogo, wystarczy, że mu Betty wypomni te przyrzędy do grilla, które kupił w Tucson. Mam rację?

— Ty seksisto! — rzuciła w jego stronę Rachel. Podobnie jak moja matka Rachel odkryła feminizm; ale podczas gdy feminizm mojej matki miał niewidczący zapach jak przypalona grzanka, feminizm Rachel miał jak brzytwa.

Sanchez był chyba jednak gotów się z nim zmierzyć.

— Na świecie jest pod dostatkiem głupich chłopaków, którzy na pewno coś takiego kupią — powiedziała Rachel.

— Masz rację — odparł Sanchez, panując nad swoimi emocjami z elastyczną łatwością, jaka zawsze towarzyszyła mu w chwilach napięcia. — Zwłaszcza jeżeli to będą foremki do ciastek. W ten sposób mamy w ręku kurwę, której chce zrobić żonie niespodziankę na święta, kupując dla niej taniło coś egzotycznego, ciapciucha, który bawi się w wypieki, i małych chłopczeków, którzy chcą sprawić prezent mamusi.

— Wiesz co? — tu Sanchez sięgnął ponownie do swoich pieniędzy. — A co byś powiedziała, gdybym się zrobił moim konsultantem?

Rachel wyrzuciła w górę ręce w gestie jamańskiego policjanta próbującego zatrzymać rozpozony pociąg towarowy. Jej wąska twarz przybrała na moment dziwny wyraz, jakby kłótnia z Sanchezem, choć pełna złości, sprawiała jej jednak przyjemność.

— Co mi szkodzi spróbować — ciągnął Sanchez. Wyciągnął w jej kierunku parę banknotów, a ona zaczęła się kręcić i wic w unikach. Sprawnie wsunął jej pieniądze do kieszeni roboczej; koszuli, która miała na sobie.

Widziałem jak mężczyźni obdarowywali w ten sposób kelnerki i tancerki topless, rzucając im przy tym spojrzenia pełne erotycznej zachęty. Nigdy jednak nie widziałem, żeby ktoś zrobił coś podobnego całkowicie aertycznie. Sanchezowi — dzięki Bogu — to się udało, co nawet Rachel, kręcąc głową jak zwinięty grzechotnik, chyba także zauważyła. Nie rzuciła się bowiem na niego z pięściami. Siegnęła tylko zdecydowanym ruchem do kieszeni, wydobyla ciukiem i wskazującym palcem banknoty, potrząsała je chwilę dyndając w wyciągniętej dłoni nad ziemią śliską od gorąca i pyłu wzniesianego przez przystających zdjścia turystów, po czym upuściła teatralnym gestem wyrażającym niesmak. Następnie odwróciła się i zaczęła oddalać.

Sanchez tylko się uśmiechnął. Wierzył w moc pieniądza, co nie znaczy jednak, że uważał, by ten dawał mu władzę nad ludźmi. – Pieniądze – powiedział – to klucze do królestwa. Ale króla z człowieka nie zrobisz. Mogą natomiast zrobić dumia – dodał, podkładając się, żeby podnieść banknoty z ziemi i następnie przekazać je minie.

– Chyba się zakochałam – powiedział głośno. Rachel może go usłyszała i może nie, w każdym razie zaczęła iść jakby sztywnie w biodrach i krótszym krokiem, wyrażającym mniejścisłą pewność siebie.

– Ale kochanka, ta Rachel – dorzucił. – Najmieszniejszej, że póki ją będę irytował, podzieli się ze mną swoimi opiniami za darmo.

Nie upłynęło wiele czasu, zanim stało się oczywiste, że istnienie ma rację. Ja potrafiłem przewidywać co i jak, Sanchez, natomiast, instynktownie wyczuwał dla czego. Rachel udawała, że nim pogardza, i kiedy znajdowała się w jego towarzystwie, zawsze robiła awagi, które miały go pognębić. Można by pomyśleć, że czuje do niego złość zapiekłą i odwieczną, jak rasa, z której się wywodził. Manewrując pomiędzy nią a nim człem się jak nieszczęśliwy z jakiegoś niemięgo filmu, przywiązany do belki mojej przyjaciółni z Sanchezem nieuchronnie zbliżając się do taktiku bezlistowego umysłu Rachel, który ciał wszystko na strzępy.

– Uwaga! na nią – ostrzegalem Sanchez.

– A dlaczego? – pytał. – Ona jest niebezpieczna tylko wtedy, kiedy dasz się złapać, kiedy połączysz przynęty.

– Niemniej jednak – stwierdził Dziadek, gdy go na ten temat zagadnąłem – sama przynęta też może łapać. Istnieje stara opowieść o tym, jak to możliwe.

Ileś godzin i dni ja się cierpliwie nacierałem, żeby Dziadek mi tę historię opowiedział, żeby mi dał jakieś wskazówki, które mogłbym pozbierać do kupy jak strzępki prawdy. Ileż to razy już rozluźniał pasek, już odychał się na miękkim siedzeniu swojego Plymoutha. Po czym zaczął chrapać.

Tego lata Sanchez ciągle wyjeżdżał i wracał, a ja, nawiedzany przez glosy przeszłości i teraźniejszości, trzymałem się kurczowo jak alpinista liny, nie tyle jego osoby, co jego zainteresowania pustynią. Dla Sanchezera wszystko, co znajdowało się na pustyni Sonora i wszystko, co jej dotyczyło, było nowością. Nawet najdrobniejsze jej elementy budziły w nim niesamowicie ciekawość. Sowy zamieszkuje dziuple w kaktusach wydrapane przez dziecięce, malerzkie ślady myszy kangurzych, na które natrafiałem w tych cichych godzinach przed świtem, kiedy zwierzyna już się chowa, a myśliwi muszą przynęcać okazy, żeby nie patrzeć na białe światło wschodzącego pustynnego słońca – wszystko to dla Sanchezera było wielkie i wspaniałe, tak wielkie i wspaniałe jak oceaniczne fale chmur, podświetlone światłem zachodu, na których widok, jak na sekretne hasło, rozpoczyna się nocna dreptanina tropików i tropicieli.

– Przecież to jest raj! – zawsze wykrykiwał wtedy z entuzjazmem. Śmiałem się, rozbawiony jego dziecięcym przekształcaniem, że wszystko dopiero się wydary, że wszystko wokół wciąż jeszcze pozostaje nie nazwane i nie ukształtowane, że tylko czeka na niego – twórcę – by stać się czymś innym.

– No popatrz – mówił do mnie raz po raz w czasie naszych spacerów po pustyni, wskazując, na przykład, na płaskowzgórza podmywane jak przez erozję. – Przecież to jest po prostu wymarzone miejsce na kiosk z pamiętkami. Tu można by nawet sprzedać trochę hamburgerów. I coca-coli.

W moim śmiechu nie było cienia sarkazmu; śmiałem się radośnie i z lekkim sercem.

Sanchez, z kolei, kiedy się śmiał, wyrzucał w górę ręce, całe jego ciało zaczynało dygotać, a śmiech rozlewał się po ubitej pustyni, wzbudziwszy polyskliwe miraż dźwięku. Jego śmiech był z tych, co przeszkadzają ludziom myśleć; kiedy się rozlegał, publiczność w kinie sykała, a na pustyni zwierzyna zrywała się do nor. Na wysokich skalnych półkach, jaszczurki i orły przekrzykiwały pytające głowy, gdy Sanchez przechodził dołem, śmiejąc się i ciesząc swoją radością tak samo jak cieszyłem się nią ja.

Kiedy się nie śmiał, wypytawał mnie, co się jak nazywa. Informowałem go, a on chętnie powtarzał moje słowa, oblażając brzozy kadeżdo z nich językiem. Ilekroć dochodził do jakiegoś oczywistego dla każdego wniosku o naturze przedstawicieli pustynnej fauny i flory, nadawał im swoją własną, nową nazwę. Śmiejąc się tych jego nazw była jakas uzasadniona. Jaszczurki obrzecz nazwał biegaczami, bo przy próbach złapania, uciekali na tylnych nogach. Salamandry zostały małandrami, bo były małe i wredne. Nietomiast węże krzywonose nazwał jody, bo kiedyś znał kobietę o imieniu Jody, która miała podobny nos.

– Oczywiście że zawsze gonili, latały na wszystkie strony, jakby była na prochach. Albo jakby cały czas widzieli niebezpieczeństwo, czając się za twoimi plecami.

Jżeli nie znam jakiejś nazwy, Sanchezowi to zupełnie nie przeszkadzało. Po prostu wymyślał coś sam.

W ten sposób oczyszciliśmy pustynię z okruczeń cywilizacji, po to tylko, by potem ją znowu zanieść. Potrafiłśmy spacerować godzinami, rozmawiając w naszym własnym języku o Edselbach i Iestach, o Hondach i o produktach Sony. Chce mi się zawsze śmiać, ilekroć sobie przypomnę, jak Sanchez porównał jaszczurki Gila do Hond.

– Włoka się tak samo – powiedział – ale jak Honda raz whije w coś żęby, to już nie pada.

Z podobnym podziwem mówił o jaszczurkach, twierdząc, że na pustyni są jak samoloty X-15.

– To Japończycy będą zerować na trupie amerykańskiego przemysłu – twierdził. – Sam zobaczysz.

Swoim humorem Sanchez zaraził też Rachel, ale w nieco inny sposób. Kiedy on ustawił w rogu figurki półkę z prasa, ona w przeciągu kilku dni rozstawiła nazewnąz składany stół. Na stoliku leżały okładki „Penthouse’a” i „Playboya” oraz zdjęcia spętanych kobiet, sprawiające wrażenie, jakby zrobiono je za czasów Cortez. Pod wszystkim zaś widniał wielki napis: „Pornografia to nieśwadość do kobiet”. W ten sposób Rachel zbierała podpisy na protestie skierowanym przeciwko sprzedaży w sklepie niektórych piast.

Sanchez nie posiadał się z radości. – Jesteś skarbem dla interesu – oznajmił Rachel. – Czy wiesz, że w ciągu jednego tygodnia dzięki tobie sprzedaliśmy trzy razy więcej „Penthouse’ów”?

Nie zrażona tym Rachel przyniosła jeszcze drugi stół i próbowała wciągnąć Sanchezera w dyskusję o pornografii. – Pornografia to przemoc – zaczynała na przykład.

– Pornografia to pisanie o prostytutkach, a zarówno pisanie jak i prostytucja to szacowne, stare zawody, szczerze stawka za godzinę w przypadku prostytucji jest wyższa – odpowiadał na to Sanchez. Widząc

złość na twarz Rachel dodawał jednak, że nie lubi specjalnie przemocy i, jeżeli uda się jej go przekonać, że pisma te do przemocy istotnie nawołują, to je usunie ze sklepu.

— Ale — tu dodawał, lekkoć na jej twarz zaczynała się malować nadzieja — zastanawiam się, czy przypadkiem to, co ty nazywasz pornografią, nie wyraża bardziej wstrętu do mężczyzny niż nienawiści do kobiet.

— To tylko zwykła żądza — odpowiadała Rachel.

— Rachel, żądza to potężna siła działająca we wszechświecie. Czy to ci się podoba, czy nie. Crasem się zastanawiam, czy przypadkiem to właśnie nie flamszenie żądy prowadzi do przemocy.

— Poniża człowieka — dodawała Rachel.

— Dobre, niech w takim razie będzie fair. Jak chcesz, będę też sprzedawał „Playgirl”. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że mi wytłumaczysz, dlaczego mężczyźni nie czują się poniżani przez „Playgirl”.

Rachel zebrała tylko kilka podpisów. Głównie od swoich przyjaciółek. Kobiety, które zaglądały do faktorii, nie podpisywały protestu przeciwko cenzurze, co uważały już od dawna za element rzeczywistości. Jedynym mężczyzną, który złożył swój podpis był młody ksiądz.

— Shachaj, no — zwrócił się do niej kiedyś Sanchez, widząc że robi się coraz bardziej zła i przygnębiona. — Może być! rzuciła ten interes i pomogła mi przygotować ilustrowany kalendarz. Byłabyś na styczniu i grudnia.

Rachel zamierzyła się na niego.

— Ubrana — szybko dodała. — Od stóp do głów. Kalendarz przedstawiający życie w Chospes.

— To by dobrze szło — wręcałem się nieśmiało. Rachel spojrzała na mnie takim samym wzrokiem jak kiedyś, gdy przed laty jako mały chłopiec wyciągałem rękę, żeby chwycić jadowitą jaszczurkę. Pociąłem się jak bym był kalejdokopem, a ona patrzyła na co przeze mnie.

— A kóż by kupił moje zdjeczka? — zapytała Rachel powątpiewająco.

— Ale w tym momencie dostrzegłem już w jej oczach coś, czego nigdy przedtem nie widziałem — próżność. Zobaczyłem, że i ona ma ten wyidealizowany obraz siebie, który powstaje nie wtedy, kiedy chwilowo zawodzi nas samokrytycyzm, ale kiedy świadomie kielzamy rozum, żeby móc w coś uwierzyć. Sanchez trafił w jej czarne miejsce. Rachel już sobie wyobraziła, że jest modelką, że jest na plakacie. Musiało upłynąć dużo czasu, musiałem najpierw przekonać się, jak bardzo sam jestem próżny, zanim przestałem myśleć o tym momencie w jej życiu jako o chwili słabości. Dopiero po latach miałem dość siebie sprawę, że Sanchez doświadczył wtedy w niej struny głęboko ludzkiej, drgającej w każdym z nas, a nie tylko w jednej Rachel. Mimo naszych zażartych kłótni z hustami i wagami w łazience, każdy z nas potrafił sobie wyobrazić, że jest modelem albo modelką z okładki.

— A bym się na twoim miejscu zgodził — powiedziałem. — Nawet bez ubrania — dodałem żartując, żeby zrobić natychmiastowy utwór, gdyby Rachel nie było do śmiechu.

— Bert ma rację — dodał Sanchez. — To by szło jak woda.

— Tobie wszystko idzie — zareplikowała Rachel. Głos miała wysuszony jak skóra, z której zrobiony był mokasyn właśnie wyciągnięty przez

nią spod stołu i ciśnięty w moją stronę. Zapalałem go za czubek wyszywany szklanymi koralikami. Koraliki układały się w czerwono-białoniebieską siedmiomramienną gwiazdę.

Rachel zwróciła się do mnie. — Popatrz, coś takiego ten cały twój przyjaciel sprzedaje Johnny'emu Trzy Stopy. Boże! Albo to. — Sytyliła się znowu pod stoł, żeby jeszcze coś wyciągnąć. — Ekstra, co? — Pokazała mi drewniany tomahawk — zaokrąglony na czubku trzonek, na to nasadzoną siekierka, przywiązana rzemieniem ze sztucznej skóry. Na czubku trzonekia przytwierdzone zasywką było parę piórek, chyba kankaraka.

— Tomahawk idą po 2.50. Mokasyny po 9 dolarów.

— No to co? — wstąpiłem ramionami. Wewnątrz mokasyna zauważyłem złotą metkę z napisem: „Prawdziwa, ręcznie szyta skóra”. Zdusiłem w sobie chichot, widząc jak zrzęcznie Sanchez sugeruje w ten sposób, że mokasyny zostały wyprodukowane przez Indian.

Nawet jednak Rachel o mało co się nie roześmiała, kiedy Sanchez rozciął przed nami wiązk fałców z bogatej dzielnicy, przechadzących się w tych mokasynach po swoich dwupiętrowych domach oraz ich dzieci próbujących odgrażać przy pomocy tomahawka miniaturowi ogon salamandry.

Opowiadała uśmiech cisaney się jej na usta tylko dzięki temu, że posłała w moim kierunku spojrzenie węża na sekundę przed atakiem — pełne kroplistego jadu.

— Powinam była to wszystko przewidzieć — wybuchnęła. — Ty durniul! Powinam była pozwolić ci zapaść wtedy tamta jaszczurka. Chwyliłyby ją i nie sprowadziłyby tutaj tego typu. A on by nie namówił głupiego jak but sprzedawca Johnny'ego do sprzedawania całego tego gówna jako pamiątek. Czy ty się kiedykolwiek zastanowiłeś, jakie to będzie miało konsekwencje? Jeśli coś się stanie, to tylko z twojej winy.

— O, przepraszam — przerwał jej Sanchez. — Bert mnie tu wcale nie sprowadził. Po prostu przyjeżdżałem tym samym autobusem i tyle. Nie możesz wszystkiego na niego zwałować.

— Ale ci pomógł się tutaj urządzić, zgadza się?

— Tak, ale... — wręcałem, bo Rachel patrzyła na Sanchez'a takim wzrokiem, że aż zrobiło mi się nieprzyjemnie.

— Dzięki niemu światło się tu czuje.

— A to masz rację — odparł Sanchez. — Tylko pamiętaj jedno. Dzięki Bertowi czuję się tu naprawdę znakomicie. Natomiast dzięki tobie nie mam zamiaru stąd wyjechać.

— Co chcesz zrobić to powiedzcie? — zapytała Rachel.

— Sama się domyśl — odparł. — Pomyśl nad tym trochę. Jesteś mądra, to zrozumiesz.

Posłał Rachel kąpiący uśmiech, po czym zwrócił się do mnie. — Shachaj, będę w sklepie. Do zobaczenia — rzucił w kierunku Rachel. — Wkrótce.

— I ty go lubisz? — zapytała.

— Przyznałem, że owsem.

— Dlaczego?

— Bo mnie potrafi rozśmieszyć. Do łez. Po tym wszystkim co mi się przydarzyło, śmiech jest mi potrzebny — odparłem.

— Twój przyjaciel Sanchez śmieje się z byle czego — powiedziała.

— I ze wszystkiego. On roznieśliby nawet publiczność na francuskim filmie. — I to była prawda. Oglądając bohatera i bohaterkę filmu jadących bez końca w gęstym francuskim deszczu, Sanchez zacząłby się śmiać, a widzowie zaczęliby wycokiwać na jego śmiech. Oczekiwania powoduje napięcie, napięcie zaś budzi nadzieję. Dla kogoś, kto był świadkiem, jak jego własna siostra wykrwawia się na śmierć, nadzieja sama w sobie już jest powodem do śmiechu.

— Tyle że nie wszystko jest takie śmieszne — zaprzestawiała Rachel.

— To prawda, ale jak coś nie jest śmieszne nawet potencjalnie, od razu staje się nudne i martwe. Poza tym Sanchez się nie nadmiewa. On się tylko śmieje.

Zauważyłem, że to ja zastanowiło. — Też był go polubiła — dodałem. — Gdyby tylko zechciała trochę spuścić z tonu i lepiej go poznać.

— Nie chcę go znać — syknęła Rachel i odmaszerowała w kierunku kościoła.

Stałem w kuzurze, jak wzniesła odchodzić. Czulem się bezradny i trochę samotny. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem ją radośnie i myślałem, jak dobrze jej się zrobiło trochę zdrowego śmiechu. A może chodziło nie tylko o śmiech. Może chodziło też o radość, te gotowości, by cieszyć się wszystkim wokół, którą śmiech Sanchez wyrażał tak jak zwierzęce gąłgę wyrażają naturę zwierza.

Tuż przed drzwiami kościoła Rachel odwróciła się nagle i wykrzyknęła w moją stronę. — Wiesz co z tobą jest nie tak? Ty myślisz tylko o środach. Nigdy o celach. I tu właśnie drogi się nam rozchodzą.

— Mam nadzieję, że nie na zawsze — pomyślałem. W pewnym sensie miała rację. Albo prawie miała rację. Nie, że nigdy nie miałem na względzie celów. Tylko, że wszystkie cele wydawały mi się iluzoryczne. Jedynym prawdziwym celem, uważałem, jest śmieć. Tymczasem środki same w sobie mogą być źródłem przyjemności, poza tym dźwięki nim zbliżają się ku celom iluzorycznym. Nie byłem w stanie udowodnić, że mam rację. Samo myślenie o tych sprawach przyprowadziło mnie o ból głowy, a ten nachodził mnie ostatnio coraz częściej. Teraz też wyposażone w pneumatyczne moty krasnoludki zaczęły rozorywać mi czaszkę od wewnątrz. Kupiłem coca-cola w nowym automacie zainstalowanym na tamcie przed wejściem do faktorii, wykuskałem z folii tabletkę od bólu głowy, zasyłem ją u siebie, czekając cierpliwie aż spłynie na mnie kodeinowy spokój. Czekalem tak jak czeka ziemia, wyglądając chmur, które by może przyniosą, a być może nie przyniosą deszczu.

Zwazywszy zachowanie Rachel — a może po prostu powiedział, nawet Rachel — coraz bardziej zaczynało mi wyglądać na to, że moja znajomość z każdą kobietą nieodmiennie musi się komplikować i wchodzić w pałęca się nieprzewidywalnego i niechcianego. A może te związki w taki właśnie sposób się zaczynają? Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Rachel nie wyzwała mnie od durni, ustawiając się tym samym na pozycji silniejszego i, co więcej, sugerując, że jest lepsza ode mnie pod każdym względem. Gdyby Rachel była mężczyzną, czy zmieniłbym się na nią za każdym razem, kiedy mnie złośliła lub raniła? Chyba jednak nie, doszedłem do wniosku, gdy tylko pierwsze mądzielki kodeiny zaczęły roznieknąć mi szpik. Mimo wszystko jednak przez chwilę wyobraziłem sobie, że się z nią biję, nie na całego, a tylko na tyle, żeby z niej wybić gniew, i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Nie dlatego, że wy-

braziłem sobie nagle Rachel poskromioną jak zwierzątko, ale dlatego, że zdołałem sobie sprawę, iż w moich kontaktach z kobietami wykazywałem się sprytem porównywalnym tylko z gracją, z jaką Johnny Trzy Stopy (zwany tak z powodu swojej łisce neandertalskiej niezdarności) grał w kosza. Nawet Elaine, której listy z Berkeley rozdzierałem z furii huraganu, zawsze twierdziła, że wybacza mi tylko dlatego, że jest moją siostrą.

Sanchez wyszedł ze sklepu i usiadł koło mnie. Johnny, który ostatnio zachowywał się jak jego pies, pojawił się tuż za nim, po czym przystanął z tyłu za naszymi plecami. Siedzieliśmy w milczeniu, aż do chwili kiedy Rachel wyszła z kościoła i zataczał przy swoim składanym stoliku w oczekiwanu na popołudniowe autobusy.

— Cholera — zaczął Sanchez, obserwując, jak porządkuje swoje listy protestacyjne. — Lubię ją, mimo tego, że ona mnie nie lubi. Protesty zabułgotat radośnie. On też ją lubi.

— Nie przejmuj się — powiedziałem. — Jest tylko trochę rozsierdzona.

— Ja się nie przejmuję — odpowiadał. — Prawdę mówiąc — dodał, nachylając się do mnie, tak żeby Johnny nie usłyszał — i niech to zostanie między nami, Kenosaba, ja się z nią kiedyś ożenię.

Wybuchnął śmiechem, na odgłos którego Johnny nagle zainteresował się swoimi butami numer czterdzięci sześć. Rachel też się odwróciła w naszym kierunku, ale powściągnęła uśmiech, kiedy zobaczyła, kto się śmieje.

— Ożeniś się z Rachel? — zapytałem.

— Jedzie autobus — powiedział Sanchez. — No to zbieramy się, bracie.

Niejasno, intuicyjnie wyczuwałem już wtedy, dlaczego Sanchez tak bardzo irytuje Rachel. Potrafił wykipić się od rozmowny na tematy, które dla kogoś były istotne, nawet jeżeli sam taki temat wywołał, drażniąc jedynie różnówkę i zmuszając go do myślenia intensywniejszego niż było to konieczne. Rachel uważała więc, że Sanchez ślizga się beztrako po powierzchni, zaledwie ocierając się o czubek góry i rzadko zapuszczając w ciemne doliny u jej podnóża.

Gdybym wtedy przypomniał sobie tej opinii, być może uświadomilaby mi, że Rachel nie ma do końca racji. Sanchez dużo rozmyślał i to o wielu sprawach, tyle że nie głośno i nie w obecności innych. Przewidział bym też, że jego zapowiedź się spełni — bo on w końcu rzeczywiście ożenił się z Rachel — i że jej początkowa niechęć do niego nie wynikała wcale z zastrzeżeń moralnych, a była jedynie wyrazem zaskoczenia, że i jej spodobał się jego śmiech.

— On mnie drażni — wyznała mi kiedyś, próbując się wythamować — szczególnie, kiedy ty jesteś w pobliżu.

Powinno mi wówczas się zastanowić, co Sanchez robi, kiedy mnie w pobliżu nie ma. Ale tamtego lata przez większość czasu byłem naszpikowany kodeiną, a kodeina ma zdolność tymczasowego wymazania przeszłości i przyszłości, pozwalając człowiekowi błąd radośnie tylko w chwili obecnej. Lubieć to uczucie. A i potrzebowałem go, bo kiedy Sanchez zapowiedział, że kiedyś ożeni się z Rachel, poczułem zazdrość. Kochołem Rachel, tak jak kochołem Elaine. Ale czasem też jej nieznawidziłem, bo zdawałem sobie sprawę, że nigdy mi całkiem nie wybaczy, że jestem tylko tym, kim jestem. Dopiero nieawnie pomogła mi pojąć, że Rachel nigdy naprawdę nie chciała, żeby Sanchez przestał sprzedawać pisma. Dzięki temu, że je sprzedawał, ona miała powód, żeby się kręcić w

pobliżu faktorii. Jemu natomiast jej obecność dawała szansę, by przez chwilę być poważnym. Ale musiała upłynąć jeszcze kilka lat i musiał najpierw umrzeć Dziadek, który stał się w tym czasie moim jedynym poemnikiem, zanim wszystko to w końcu pojąłem.

przełożyła Joanna Durczak

W. S. PENN: ur. 1949 w Los Angeles. Pisarz amerykański, ze strony ojca wywodzący się z plemienia Nez Perce. Autor powieści: *Absence of Agents* (1994), zbioru esejów *All My Sins Are Relatives* (1995) oraz licznych opowiadań i artykułów krytycznych. W swojej twórczości, łączącej formalnie tradycję realistyczną z tradycją amerykańskiego opowiadania, Penn przedstawia życie współczesnych Indian żyjących w miastach. Głównym problemem jego bohaterów jest określenie własnej tożsamości, kształtującej się pod wpływem obu tradycji do pogodzenia tradycji kulturowych – angloamerykańskiej i plemiennej indyjskiej. Penn przedstawia całą gamę możliwych w tej sytuacji postaw – od całkowitego zaniegowania swoich korzeni i pełnej asymilacji po świadomie kultywowany indyjski szowinizm i izolacjonizm. Jego najciekawszy bohaterowie jednak to jednostki balansujące pomiędzy dwoma rzeczywistościami i niezdolne do dokonania definitywnego wyboru. Wprawdzie tradycja indyjska jest dla nich niezmiennie atrakcyjna i w jakimś stopniu funkcjonują pod jej wpływem, to jednak zachowują wobec niej swoisty dystans obserwatorów – zafascynowanych, ale niezdolnych do pełnego, bezkrytycznego uczestnictwa.



WILLIAM LANG

Zimowe dni

Mów mi o tym, coś widział:

O słońcu, zachodzącym nad wodami bagien,
O ciepłym wietrze i trawie ku wodzie schylonej,
O zapachu wonnych kobiet.

Śnieg i mroźny wiatr, co wieje z Wyoming
Spychają mnie ze schodów.

Co noc śnię o Ojcach.
Ogień płonie,

Z wypukłej piersi spada kropla potu.
Wracam tam co dzień w myślach, lecz nie czuję ulgi.

Moje nogi chcą brodzić po błotnistej wodzie,
Chcę znowu poczuć zapach wonnych kobiet.

Mów mi o tym, coś widział,
Bo zima się zakradła do mojego domu

I wcale nie chce odejść.

Pieśń smutnej sieroty

Gdy Spadające-z-Drzew-Liście znalazł ziać czernastu śniegów
Wywieziono go razem z wujem i jeszcze dwoma innymi do szarego kraju,

Gdzie wilgotne powietrze przenikało do szpiku kości,
A mieszkającym na twarzach rosły włosy.
Spadające-z-Drzew-Liście, wuj i tych dwóch
Wystawiano na pokaz jak dzikiej natury.
Tłumy ludzi schodziły się zewsząd, by na nich popatrzeć.
Pokazywali ich palcami, przepychając dzieci do przodu,
zeby widzieli lepiej.

Nie rozumieli języka, który słyszał wokół.

W parę tygodni, wuj i tych dwóch umarli na kaszel,
A ich duchy wróciły do domu za wodą.

I tak Spadające-z-Drzew-Liście został sam, sam jeden,
W kraju, gdzie nikt nie znał jego mowy

W kraju, gdzie nikt nie znał jego pieśni,
Gdzie nikt nie znał nawet jego imienia.
Marzył w wilgotnym powietrzu.
Jego oczy coraz częściej patrzyły w głąb,
Widział tam znowu las i swoich najbliższych.
I wtedy, całym sercem, śpiewał Pieśń Smutnej Sieroty.
Z czasem nauczył się ich języka
I stał się podobny do tych, którzy kiedyś przychodzili, żeby go oglądać.
Nosił takie same ubrania i już niezauważany siedział między nimi,
nie był już atrakcją;

Był jednym z wielu obcych, jacy wśród nich żyli.
Nigdy się nie uśmiechał.
Minęło dziesięć zim.
U jego boku nie było kobiety.
Całymi dniami chodził, krążył,
Nigdy się nie uśmiechał.
Pewnego dnia, do niego też przyszedł kaszel!
Lecz zanim jego duch odszedł połączyć się z wujem
i tamtymi dwoma w domu za wodami
Całym sercem zaśpiewał, już po raz ostatni, Pieśń Smutnej Sieroty.

Pioruny przybywają z wizytą z nieba

Pewnego ranka, w odległym zakątku pola golfowego, gdzieś na wielkich, północnych prerach, Jasona Dwa Pióra poraził piorun. Golfowy kij wyrzucił mu z rąk w powietrze, gudy błysk światłości runął nań z nieba przeszywając czaszkę i ciało, by następnie spaść się w ziemię pod jego stopami.

To Kobieta Biały Bizoniec poleciała Piorunom bezzwłocznie zając się Jasonem Dwa Pióra, co też uczyniła na swój własny, niepowtarzalny i imponujący sposób.

Jason przeżył, lecz stracił włosy na całym ciele. Jego krewni, zdumieni dość niezwykłym widokiem, jaki sobą przedstawiał, zauważyli z pewnym rozbawieniem, że wygląda teraz jak obłędna brzośkowiska. Radzili mu, bardzo stanowczo, żeby z golfem dał sobie spokój. Co naturalnie uczynił, aczkolwiek nie bez żalu. Najbardziej jednak zdumiało wszystkich coś innego: to, że odłdak w Jasona trafił piorun, zaczęły się do niego gnać wszelkiej maści zwierzęta.

Psy towarzyszyły mu wszędzie. Konie, kiedy przechodził w ich pobliżu, podnosiły łby i długo nimi kiwały. Koty ocierały mu się o nogi. Świstaki i wiewiórki stawały słupka, wyszczerzając w uśmiechu zęby. Kojoty podchodziły pod drzwi i – sikając obficie – oznaczały jego terytorium jako swoje własne. Nie mówiąc już o sarnach i jeleniach, które zatrzymując się na horyzoncie obserwowały niezwykle bacznie każdy jego ruch.

Kobieta Biały Bizoniec poleciała Piorunom bezzwłocznie zając się Jasonem Dwa Pióra. Tak też zrobiły. Dziś Jason stał innym szlakiem po Wielkiej Czerwonej Drozdzie, a wszelkiej maści zwierzęta idą za nim krok w krok.

Mitakuye oyasin*

przełożyła Joanna Durczak

* Mitakuye oyasin – wszyscy jesteśmy braćmi (Jestemy jedną rodziną)

WILLIAM LANG: ur. 1937 w Filadelfii, wychowany przez dziadka z plemienia Leni Lenape. Jest poetą, dramaturgiem, aktorem i profesorem teatrolologii na Uniwersytecie w Tucson w Arizonie. Jego wiersze pojawiają się regularnie od wielu lat na łamach prasy indyjskiej („The Eagle”, „Red Ink”, „Moccasin Telegraph”, „American Indian Journal”) oraz w antologiach literatury etnicznej, a sztuki są prezentowane i nagradzane na festiwalach teatralnych. Jedną z nich, *Mother McFadden*, została wystawiona w roku 1995 przez studentów teatru Instytutu Filologii Angielskiej w Lublinie w czasie polity autoru na UMCS. Wiersze i poetyckie opowieści Langa, o których sam najchętniej mówi jako o „piśniach leżących” mają często charakter autobiograficzny, a tematem uporczywie w nich powracającym jest niemożliwość porozumienia się pomiędzy ludzmi wychowanymi w dwóch odmiennych tradycjach – europejskiej i indyjskiej. Sztuki Langa, natomiast, są poświęcone problemom współczesnych, mieszkających w miastach Indian i zawierają spory ładunek komediowy.



przekroje

JÓZEF FIET

TO ŁADNIE, ŻE JESTEŚ (NAD WIERSZAMI WACŁAWA OSZAJCY)

Najnowsza książka poetycka ks. Wacława Oszajcy (T (czerwiec 1947) nosi tytuł *Z dnia na dzień* – pod okładkami tak zwyczajnie i tak beztępienie zatytułowanego zbioru znalazły się zupełnie nowe i bardzo niezwykle propozycje poetyckie.

Ks. Oszajca objawił się literacko dwa przeszło dziesięć lat temu, ale debiut kanoniczny przeszedł w 1979 roku, ogłaszając w ambientie serii lubelskich Prezentacji Poetyckich ton wierszy pt. *Zemsta*. Do dziś spogląda z obładowanego zapięciem wielkimi oczu młody, jakby trochę niepewny swej drogi człowiek: notać Chłapiem czy może jednak Julkiem Słowackim? Ostatecznie Wacław Oszajca został Jezuitą, czyli rzeczywiście rozwiązał swój los z niespokojnymi duchami, którym onegdaj omal nie powiodł się plan światowej czarnej rewolucji... Zresztą Duch Włocławski Rewolucjonista popychał od zawsze poetę w stronę rzeczy niespokojnych, a przynajmniej niekonwencjonalnych (np. w głębinach stamtąd wojennych, wówczas gdy nawet idąc za stołową grzechy było mieć przy sobie dowód tożsamości, potrafił dokonywać nadzwyczajnych przemienień: ten obok otwartej paszky Wielokojnego Strachu... co tam – nie bądź dekonspirował przyjaciela, ale za lekarza jestem mu do dzisiaj wdzięczny).

Ten książkowy wpał na literacką listę obecności poprzedziły liczne publikacje ulotne (w czasopiśmie), jak podjęcie *Grzegorz Polak* w zdanym ogólnym biograficznym wademecum *Kto jest kim w Kościele?* (Warszawa 1966, stan na 1 stycznia 1990), Wacław publikuje swojego teksty od około 1973 roku. Od 1979 r., tj. od wydania *Zemsty*, w ciągu pięciu lat! ogłosił dziesięć tomików: *Z głębi cienia* (1981), *Listy ze strąki* (1983) – w tzw. drugim obiegu, pod pseudonimem Jakub Nadystryckich), *Łagodność domu* (1984), *Tyżdzień blisko* (wzrost doświadczeń) (1985), *Naszynki undulowanego* (wyd. Kalambr), dwujęzyczny tom: *Podręcznik myślenia* / *Musikalische Reflexe* (1988), *Mnie się nie kąpa* (1989), *Die Erde über dem Kopf des Himmels unter den Füßen* (1989, przeł. M. Zabara), *K ziemi obłożowanej* (1992, przeł. W. Baszrow), *Powrót Urliana i inne wiersze* (1992), *Jedną przysięgą* (1992) i wreszcie *Z dnia na dzień* (1994).

Prócz wierszy, ogłasza tłumaczenia poezji z innych języków, jest też autorem innych gatunków piśmiennych (np. znaczący zainteresowaniem ciekawy się powstała w 1993 r. *Druga Krytyka*), nie stroni też od nowoczesnych modów – telewizji, radia. Ale dominuje poecięgo do pióra (powolny) – klawiatury „gocetki”, który zresztą zaprowadził kłódka-poetę na wykoś stołec naczelnego redaktora jennickiego „Przeglądu Powszechnego”. Myślę, że to jeszcze nie koniec wspinaczki, a że wspinaczka górska to pasja ks. Wacława, więc zapewne wspinia się z przyjemnością – czy tylko dla rozleglejszych widoków?

Liczne zatrudnienia, bywania i przebywania, nojady po świecie, dramatyczne poszukiwania formy wspólnicy kapharickie: po kilkunastu latach decydującej pracy

diapasterek – a.in. w lubelskim środowisku twórczym i studenckim – wybrał formację jennicką (tłuby wieczny w 1989 r.), w której chyba odnalazł pełnię swego powołania. Choć mowa rojazy, dojadzy, objadzy... zgilek spraw: Ale jest przecież czas na godzinę w torulskiej piwniczce „Pod Aniołem” i na dzień – dwa na Orlęj Perce... A najważniejsze – w tym wszystkim pozostał sobą, być tym samym Wacławem, do którego się przechodzi jak do brata i uzyskuje co najmniej serdeczny uścisł dłoni.

Pozedłem spół o drugiej
obudziłem się o piątą
i naczyłem pić wiersz

o tej porze
wstaje moja muska

Rozumiam cię, Wacławie – w pewnym momencie życia już nie warto, a chyba nawet nie wolno się wyśpić. I nie dlatego, że budzi nas taki czy inny regulamin, lecz że taka jest prawdziwa potrzeba życia i najgłębsza motywacja świadomego siebie losu. Zresztą, to ciągle jakby niedopasanie nie przeszkadza w czynieniu rzeczy najprzytomniejszych pod słodkiem. Ostatnio można przymknąć oczy i zapalić w kilkunastodniowej drzemce w trakcie jakichś natychami ceremonii czy nie porównujących przemienów... Ale kiedy piszę wiersze, skoro są to takie różne i zwykle nie cierpiących zwłoki zatrudnień, gdy wreszcie zdaję się jedną z najpowolniejszych odpowiedzialności – odpowiedzialność za ludzkie dusze... no to kiedy pisać wiersze?

z daleka od Argos

czarba zdania
pracykawa przez ramie
dziwaczno
przystanek

po co to zapinałem
wiew
miał być wiersz
moje jest

Tak. Pozostaje poetycki notanik, w który sypia się doświadczenia, padnoki, niespodzianki... ot, tak – z dnia na dzień, z godziny na godzinę, poetycki „zanoty”, „ogryzmołoty” i w siebie pochłony”, „pamiętnik artysty”. Taka jest ta najnowsza książka Oszajcy: pisana w drodze, w ruchu, w nowoczesnym nerwowym rytmie, ale bez upadania na twarz przed Modernizmem. Bez szlifowania, odcieczania, odcieczania filozoficznej dźwięczności, ale za to z dystansującym byskiem ironii, ale za to z chłopotem bernardowskiego wyposiadania... Ledwie zatem aka opamięta powierzchnia, barwa, faktura rzeczy – i już trzeba pędzić do autobusu, tramwaju, pociągu...

nad duchami Collegium Matru
czarna Jęga

schwytna w siłki i zabita wrona
ucieczona za nógką
na tyce nad wazymykiem
mur obłąpa rude żółte wino

bezwietrze
a tłępie spadać

A jednak w tym wyjątkowym ruchu dokonują się prawdziwe krystalizacje poetyckie. Plama na słowach – czarna flaga na ekranie brzochnego obłoku; czerwone wino w milosnym przeniknięciu światła; duch czarnej wrony nad wazymykiem... Los.

nasza ludzka kondycja: schwytni w sidła, skazani na zabicie, ciągle straszni, ciągle spadający... Ale nawet w tym nieustającym ruchu można podchwycić prądny zryw, wartość oceniającą: przez bezczesnym ruchu jednostajnie przyspieszającego

stałe na wysokim brzegu
morze ryty
zależe na świeży
zna przecież
słowy smak
mój krwi

Niejedną z tych notatek w raptulniku poety zakłócać czy nawet zaskoki. Niejedno słowo zaboli tego czy innego miłośnika sterylonego słownika. Szczególnie te były skrajne, które oddzielały coś z naszego grzesznego (no, śmieiesz-grzesznego) świata (no, poliwielka):

stróżniczka
wszędzie dokładnie wygołosa
jeszcze w czarnych karawansach
mąteczkach
oczko puściło na polidachach
oni się śmiały
oni płakali

To wszystko, co zgromadziła w swym notatniku Ostajka, nie tyle daje do myślenia, co oddaje rozbógłość i niekiedy głębię naszej rzeczywistości. Tu i tam, na przykład, Sien ocała, byliś światła na grzywnach fal, ale też rozciągły wód uchylający rakła tajemniczy byta – przepaść i nieskończoność kałdy nosi w sobie. Trezba ją przeczeń, zobaczyć, opisać.

[...] a ja spoglądałem: Przez światła szczytów
Tęż widziałem – com widział, opiewać – po śmiertel,
Bo w żyłkach języka nie ma na to głosu.

(A. Mickiewicz *Drugą ręką przapisać w Cielu-Kali*)

Wspom. Ostajka: Z życia na obraz. Wydawn. Kultury, Toruń; i Sportu i Turystyki w Toruniu. Toruń 1949, nr 32.

TADEUSZ SZKOLUT

DOJRZAŁA POEZJA O DOJRZEWANIU

Marek Daniłowicz jest poetą tworzącym z nadzwyczajną regularnością; mniej więcej co trzy lata ukazuje się kolejny tomik jego wierszy (*Nie ma miejsca dla przyjadłych*, 1987; *Okożne ocieplenie*, 1990; *Pochwała domu*, 1991) i najnowszy, będący przedmiotem niniejszej recenzji: *Powrót do pustej doliny*, 1995). Dopiero teraz, odkładając całość tej poezji z perspektywy kilku zbiorów, dostrzegamy jej zadziwiająca konsekwencję. Wiele poetów współczesnych poszukując własnej tożsamości poetyckiej, wypróbowując co do nowośrodku wyrazu, zmienia konwencje stylistyczne, zwraca się ku odmiennym tematom itp. M. Daniłowicz natomiast pozostaje wierny raz obranej drodze twórczej i w tym sensie się zmieniła się, lecz tylko stopniowo pogłębia swą samoświadomość poetycką, coraz śmielej odkrywa sobie tylko właściwą wrażliwość, zbliża się do pełniejszego zrozumienia swojego autentyzmu „ja”.

Starannie bibliofilsko wydany tomik otwiera wiersz *Czas dojrzewać*, który podejmuje motyw od samego początku obecny w poezji M. Daniłowicza – doświadczenia do dojrzewania. K. Paczowski recenzując przedostatni zbiór wierszy lubartowskiego

twórcy, trafnie nazwał go „poetyckim zapiskiem dojrzewania” o walorach wręcz dokumentalnych („Akcent” nr 3, 1993, s. 180-181). O ile jednak w publikowanych wcześniej wierszach M. Daniłowicza dawał wyraz swojemu „dojrzewaniu z doświadczeniem”, o tyle teraz próbuje owość się z obecnością czasu dojrzewania, który dopadł go zniwienka i – niezręcznie natrętny kochanek – nie zamiera wale odleść, mocno trzyma go w swych objęciach. Osiągnięta przez dojrzewanie nie przynosi bynajmniej upokojenia, nie pomaga pogodzić się ze światem, nie uszwa wszelkich niedogodów egzystencjalnych. Dojrzyna poeta nie ma już wyprowadzić ukrywał przed ludźmi własnej odmienności (wiersz pt. *Matka*, s. 12), lecz narazem, jest coraz bardziej bezbrony w doświadczeniu prawdy o samym sobie” (wiersz pt. *Matczyna*, s. 14). Dojrzynało to także dotkliwe odczucie samotności wśród ludzi, świadomości nieuchronności przemijania i śmierci (por. tomik całego tomiku); odciecia przyjaciół oraz utrata wielu dobroczynnych złudzeń, podziwmyjących przy życiu i dających nadzieję. Dojrzynałemu poecie zdarza się jeszcze poddawać porównom emocjonalnym (*Nie potrafię opowiadać o strachu* i *Jakimś zainwestować poczucie śmierci*), chwila, właśnie utęga złudzenia wolności, lecz przecież ktoś, kto siebie sam sprawę z tego, że wolność jest tylko złudzeniem nie, jest tak naprawdę naiwny. Pytania egzystencjalne pozostają, choć – jak pisał w *Pochwałę domu* – „kajda odpowiedź pogłębia niewiedzę”. Krótko mówiąc, powróć do siebie, do swego wnętrza, okazał się powrotem do pustej doliny. Poeta już wie, że jego życie – tak samo jak życie każdego człowieka na ziemi – jest nieuchronnie kłopot, lecz przecież „innego życia nie będzie” (por. motto części III tomika, s. 21).

Podobne konstatacje, wyłożone językiem dyskursywnym, są wadliwie dość banalne. M. Daniłowicz nie jest jednak domorołym filozofem-egzystencjalistą, lecz rasonow poety, który owym prawdom o kondycji ludzkiej potrafi nadać „wymiar artystyczny. Osiaga to zarazem śródmiata, które pozornie wydają się bardzo proste. Już wcześniej deklarował, że będzie pisał zmyślając, bo istyną go wyznaczone metafizy (wiersz pt. *Przebieg w zbioru Pochwała domu*, s. 32). Obecnie w mistrzowski sposób realizuje tę dyktetykę. Notując pojedyncze spostrzeżenia, rejestrując coraz to nowe szczegóły, konstruuje stopniowo konkretny obraz, który uasta do rangi metafizy, mającej walor uniwersalnego uogólnienia. Sens wiersza wyłania się z całościowego obrazu; powstaje nowa, niepowtarzalna rzeczywistość poetycka. Owa poezja, na pierwszy rzutek nie obliwa o formie, buduje formę prawdziwie „znaczącą” (czyli zresztą wiersz bez formy estetyczny byłby w ogóle szuflak).

Dodatkiem cennym uwiarygodniającym zobrazowanie w twórczości M. Daniłowicza proces dojrzewania, odnajdujący własną tożsamość poetycką (i po prostu ludzką) jest fakt, iż autor nie ustatuwa sobie bynajmniej zadania, np. poprzez taką samoapreparację własnej osoby, w której dominuje wątek stopniowo przeżywanego wycofywania. Wymca przeciwnie: czytelnik zauważyłby, że wiersz dośrodek autora *Pochwałę domu* ani przed momentem nie wapił, iż jest on poetą mocno zakorzenionym, mającym silne poczucie przynależności do „miejsc (Lubartów), do swego czasu, do kultury (zwłaszcza tej lokalnej, jak i powszechnej). Mimo ewidentnego zakotwiczenia w tradycji i we współczesności pozostaje poetą osobnym, poetą którego drczy poczucie własnej inności, który z uporem dąży do dawszego samookreślenia się, do odróżnienia swego wewnętrzного terytorium. I kiedy wreszcie z tradycją odwołuje się, to nie znacząco, iż od tej pory jest już całkowicie ze sobą pogodzony, bez resty siebie akceptuje i osiaga apofizmatyczną harmonię (*Chciałbym znieść siebie / lecz z leniwym myślę tylko o sobie*, s. 16). Wszystko to sprawia, że temat dojrzewania potraktowany został przez M. Daniłowicza w dojrzale poetycki sposób. Z tym większym zainteresowaniem oczekiwaliśmy bardziej następnego zbioru wierszy ustatuowanego poety.

Marek Daniłowicz: *Powrót do pustej doliny*. Lublin MCMXCV, s. 32.

CZŁOWIEK I GÓRY

Kolejna książka „głaska” Michała Jagielly pt. *Trójką narma* potwierdza fakt, że mamy do czynienia z pisarzem, który jak nikt inny ze współczesnych potrafi rozumieć obecność człowieka w górach i widzieć te góry jako równowagę partnerstwa zmagających. Pamiętamy, że Jagiello przez wiele lat był ratownikiem taternackiego GOPR-u, zanim został ministrem kultury był w Zakopanem „zwajakiem”, choć urodził się (23.08.1941) w rolniczych okolicach w Janówkach koło Miechowa. Znajomość problematyki górskiej, taternackiej i zachowań człowieka w górach wyniła „z praktyki”. Jego znakomite opowieści o wypadkach i akcjach ratunkowych pt. *Wolanie w górach* (wyd. I: 1979, wyd. II: 1996) stały się bestsellerem wydawniczym, a były lekcjami osuszonymi na konkretnych faktach z dziejów taternackiego ratownictwa. Przed dwoma laty ukazała się książka Jagielly pt. *Obłazki i inne góry* („Bellona”, Warszawa 1994). To na jej stronach autor przywołał swoje pierwsze spotkanie z górami (wspomnienie wyścigów szkolnych dla Olcowa i Morskiego Okaj):

Wiedziałem, że odwołalem się do krajowców, którzy nie czynili większego miłośnika niż tylko zwolennia arena sportowa, na której wypuszczali wulki ze ścian. Wiedziałem, że respektowałem formację góry nie między mną a górami, lecz pomiędzy mną a mną (s. 10).

Dowiedziałem samego siebie przy pomocy gór stało się dominanta próby Jagielly, mającej niezmiennie swoich entuzjastów i czytelników. Warto pamiętać, że autor *Wolania w górach* jest pisarzem uprawiającym także powieści obyczajowe, za szczególnym uwzględnieniem problematyki wiejskiej, jest też przecież autorem głównej swego czasu powieści politycznej pt. *Hotel klaryk* („Czytelnik”, Warszawa 1978) oraz wielu publikacji publicystycznych i monografijskich (m.in. dotyczących „Przeglądu Powszechnego” i „Typologii Powszechnego”).

Zamierzenie w *Turcji* jest jednak główną pasją Michała Jagielly. Powiada to także najnowszy jego książka, wspomniana już *Trójką narma* – rzecz złożona z trzech opowiadań: *Pod powierzchnią*, *Studnią z zwiastem* oraz *Czystanie jaskini*. Wszystkie zostały napisane niedawno, w 1995 r. Cechą wspólną opowiadań jest wirus „współczesnego szaleństwa nad ziemią i pod ziemią”, ich bohaterem jest człowiek samotnie się walczący, walczący na górską przyrodę i łatwo wpadający w szaleństwo nad jej tajemniczym piękno (s. 21). Nawet w najtrudniejszych sytuacjach praktykuje maksymę: „Życie nie jest grzechem”. Uwieczniony na skalnej półce niczym koczownik wychodzi z opresji, wierzy w swoje możliwości: *Rozszury się wokół siebie, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Na pewno dostrzeżesz grymski i stopniaki. Spróbuj powolutku schodzić drogą węglową. Krocząc w dół i powróć na wysutą półkę. Odpocznij i ponów próbę. Masz się uda. Ma prawo się uda, jeśli tylko starczy ci cierpliwości. Takie doświadczenia i nady przekazuje się innym tylko wtedy, kiedy wcześniej samemu doświadczyło się podobnych sytuacji. Bohater tego opowiadania po krakusie samouchod, będąc w zrzeku, ucieka w góry, by tam odnaleźć siebie, by się „oczyszczyć” z przeszłości, która jawi się jako coś gorszego niż męczący sen.*

Podobnie rzecz się ma z bohaterem kolejnego opowiadania. Sam autor mówi o nim jako o męczącym, który z powodów nie do końca jawnie ukazuje się w *Turcji* na długą głodującą wyścigającą ciasto i duszę. A niegdyś był bynajmniej w takarskim pręcie na wierzchołku.

Jagiello prowadzi narrację w drugiej osobie, ale czytając nieprzekonywalny opis urody gór mamy wrażenie, że to my jesteśmy w centrum piękna, znamy na pamięć tysiące lokalnych nazw, terminów, słów dostępnych tylko dla wtajemniczonych. Każde zdanie jest niemal filmowym kadrem górskiego obrazu. Oto np. wirza wspinacz: *Harmonia rachów, pieszczotliwie muniące zoryczki grzmotowych płyt chwytały składowe wypiętki słonecz i zdecydowanie, męgiełki i agresty, afrocja życia i kształtowanie śmierci, biologia i metafizyka biologii, kultura i natura oraz: mniej bląkających się samopas myśli, a coraz więcej proznych odczuć, skupienie uwagi na paru metrach kwadratowych skały i intensywnie ograniczenie całej ścieżki i drogi, wyznaczonej wąskimi rantami rozpiętymi na czubki wspinaczkowych butów i opaski palców, odważna czynność przy pokonywaniu przewieszek i odra-*

chowe schronienie głowy przed furkotającym kamieniem” (s. 96). Gdzie indziej Jagiello jakby komentuje ten opis zauważa: *Wspinaczka to zajęcie zwierzęgo proste, co nie znaczy że prostackie. Wspinaczka górska to wysublimowana zwierzęcość* (*Obłazki*—, s. 16).

Zauważmy, że bohater próby Jagielly zmagania z samym sobą w górach traktuje także jako pewnego rodzaju ucieczkę, wywołanie lub zrzućcie „złota trątki” (s. 97), Czego ma to wyznaczyć rachunek sumienia, krakę konfesyjną zastępując skałki gład. W tych apokaliptycznych wymagalach znaczące miejsce zajmują kobiety. Stąd być może głównie opisy mają charakter formuły mitycznej czy erotycznych paraleli, porównań z uściskiem taternackich narw. Dla przykładu: *...mógł przesnąć centymetr po centymetrze zabraknąć i ścianę nad nim gzymsiem i, być może, odobylność spod swini i kępek traw zbudować i czuwać zeznać. A wtedy pozostałe uwięzione w szczelnej klatce aż po jego nusiadę i szczelina, i klatkę dwięciokrotnie w zgodnym rytmie, jak dobruha (s. 16).*

Niewątpliwie kluczową kwestią próby górskiej Jagielly jest postawa bohatera zmagającego się z samym sobą, ze słabościami, lękami i poczuciem minijawnej wrości (zwygnalizował ten problem w kontekście taternackiej Zdzisława Ryba w książce pt. *Medycyna i alpinizm*, Kraków 1973). A jak widzi swojego bohatera sam Jagiello? We wstępie do *Obłazki* i innych gór zapisał: *Moim bohaterem traktuję góry jako swą naturalną misję wybrane, w którym intensywnie przyswajam dany im kształt, przyswajam go na swoje czułe chłoby: tym to obywatela potrzebą analizowania siebie i zarzucenia własnych niekierujących graniczych trybów. Reakcje innych bohaterów są często bardzo emocjonalne, na granicy hysterii (...). Moim zadaniem było ukazanie śladów fizycznej męczotnicy, zamocowanej w pokonywaniu górskich przeciwności, ale uchylonych w obłazkach ich słabości. Nie po to by ich skompromitować, ale po to, aby spoznać tych wszystkich kursek, skafandrow, lin i haków wyprawy obłąkanej: pamiętając o klamaniu. Czy moja wersja spora, jaki ładnie toczą sam z sobą na się góry, ma pokrycie w rzeczywistości? (s. 14).*

W zmaganiu bohaterów Jagielly wpisane jest przekleństwo, które zawiera się w słowach: *Żeby MOC trwać WIERZYĆ!* Proza nie uczy jak być aktywnym i zwyciężać słabości, bo w apelinie – według słów pisarza – w sposób wyraźny dotykał się ujawnia się krach człowieka, ale też ista jego wola. Im wyżej, tym trudniej, ale przecież tylko od niego zależy, czy zmobilizuje w górę, czy też zrezygnuje z dalszej walki (*Uczelnianie góry*, w: *Obłazki*—, s. 271).

To prawda, „piśnięcie o głębszych jest zajęcia „wykrywaniem”, ale właśnie dlatego polecam taternackie książki Michała Jagielly.

Michał Jagiello: *Trójką narma*, Wyd. „Jalry”, Warszawa 1996, s. 118.

PAWEŁ PRZYBYWA

TALK SHOW MAGIC TUZIAKA

Bohater każdej opowieści jest mieniącym kamieniem. Kto, do opowieści, której nadaje się formę książkową, jest wzmianką na kamieniu. On nie porywa się do tego przynajmniej, nie jest prawdziwym pisarzem.

Prowokacyjne słowa, które posłużyły za motto tej recenzji pochodzą z tomu 90 *Księgi zaklęć* Andrzeja Tuziaka, wydanej w Serii Prozańskiej Kuwerniki Literackiego „J.A.A.T.” (bardzo staranna oprawa graficzna; książka sztywna, twarda okładka). I właśnie kamieniem można potraktować jako tytułowe zaklęcie, albowiem ujęcie ośmierni kaminalna rzeczywistości, stawiana przez (pożyczył oczywiście) stan rzeczy w umysłowi magii i okultyzmowi. Wprawdzie nie zmienia świeżości w pomiedza (por. s. 97), może jednak zmienić ciekawe przekształcenie o rzeczach dużo poważniejszych niż pomidor czy świeżka.

Jeżeliby „bohatera każdej opowieści” potraktować jako uosobienie kamienia, to należałoby go uznać albo za kamień, albo za obiekt powstały w wyniku zaklęcia. Gdyby serio wziąć ten zabieg retoryczny (wszystko co fikcyjne jest kamieniem),

wniosek byłby absurdalny; wszystkie postaci opisywane we wszelkich opowieściach (np. historycznych) są całkowicie zmyślone. Tuziatkowi chodzi o coś innego – „jakśkolwiek powstanie, przynajmniej, fikcji literackiej jest podważeniem się obłudzie, jest zgodą na okłamywanie. Świat przedmiotowy to rodzaj „złobnego efektu” gry językowej, a kłamstwo w powieści pełni funkcję sterującą świadomością czytelnika jak prezenter talk show wodzi swego rozmówcę drogami (i bezdrożami) scenariusza programu.

Pytawna konstatacja implicitnie w tekście Tuziatka sformułowana nie przenosi się jednak na jakieś nadzwyczajne wyznaczenie myślenia estetycznego, bo w tzw. dziełach znanymi oznaczonych na romansie/dziele złośliwie jest odrębnie był konkretny od czysto wyimaginowanego, od bytu „na rylby”. Ale może istnieć jeszcze trzecie rozumienie Tuziatkowej aporii, polegające na tym, iż nie uważa on literatury za „kłamstwo usankcjonowane”, w jej posłatyk talizm. eufemizm – lecz nie ma pomysł na to, by ją jak jakiś specjalny (nie czarnodziński) sposób uwarunkował (altem. pisma jest magia, *do jego nie widzi jest upiorem*, s. 80). Może uprawdopodobnił jest w miarę łatwo (opowiadanie historii przypominających bajki paradoksyjnie jak sytuacji życiowych), ale niewątpliwie, skoro tzw. autor dysponuje wyłącznie zbiorem zaklęć (czyli oczywistym językiem)? Przywołując zwyczajne zainteresowanie ze s. 93: *jest to jeden z wielu paradoksów, których rozważaniem tak skromna książka się nie zajmie*.

Tonem gdybyż żałę zewsządna perspektywę i próbował zestawiać „Tuziatka” z realnym światem (tak 83–86 oraz 92, jak można się dowiedzieć po lekturze fali) i pytał, czy mają ze sobą coś „wspólnego” – odpowiedź brzmiałaby, wiele albo w ogóle nie. Autor bowiem czerpie z rzeczywistości jedynie pewne elementy, które służą uromatnieniu konstrukcji świata przedstawionego. Członkowi świata dziełki tematu ponosi obawiana z czymś „w miarę zamyślenia”, a nie wykonanym w drodze alchemiczno-sensuistycznych zabiegów, magicznym abstraktem. Czasami więc (przechwytuje np. nazwy polskich miast, doborując „groźniejsze” miejsca czy okoliczności pewnych zdarzeń) Tuziatk ściga swoją fikcję na ziemię – nie wiadomo właściwie w jakim powodzi, skoro dobrze wie, że w chwyty stanowią kolejną błądź i że na żadnej „korespondencji z rzeczywistością” nie ma zależy, i paradoksalnie rzecz ujmując (zgodnie zatem z wykładnią autora), błądź jest największym szlacheć tej powieści (mówiono jużłi chodzi o autotematyzm, jak antyrealizm). Najkonkretniejsze jej fragmenty, czyli podreżnikowa droga plemnika (s. 13–14), mowa obrotu (s. 30–31), „uświadomienie” bohatera literackiego (s. 111), opłi fizonalji A. Posteriori (s. 123), „news” pilkarski (s. 150) czy scena w urzędzie (s. 198) – są najbardziej blagierkie i rekompensują inne niedokonalości utworu.

Przywołana niemo wyżej data zaklęcia, że wierszgodni napisania powieści może (choć nie musi) mieć związek z jej rodzi. Ciągnąc, czy przypadkiem sam Tuziatk w r. 1992 nie dobił swego znaczącego dzieła sprzed 10 lat, nie w zapragnął czegoś z nim zrobić? Wszak historię doczekalnego księgarza Epifaniasa de Voto półkoczniak maletnie przez niego maszynopisy Księgi zaklęć, co uruchamia lachuch przyczynowo-skutkowy obejmujący wiele postaci (mniej jak bardziej epizodycznych) zamknięty (symbolizm?) blagaj wyrozumieniu Księgi zaklęć (na s. 92 figuruje motto: *No śmierć ze wszystkich książek*). Pełnotowarstwo estetycznej gry czy porównawcze mrocznych koincydencji między jej zawartością a światem nie jest, wbrew pozorom, niki fabularna powieść, lecz kolejnym blagieranym wytykiem narratorskim (na zasadzie: oszukaj, a wam się podobą – gramy dalej). Można by spytał nawet, czy w ogóle chodzi tu o trybalkę zaklęć?

Z jednej strony tak, z drugiej nie. Jako się rzekło, fabule kłoda do niczego nie jest potrzebna – tny leczy, jak obok niej, bohaterowie są nierzadko ze sobą w rozmaitych sytuacjach, mające tzw. własne sprawy. Z drugiej strony jednak, na co wskazuje (nb. wykorzystany już w literaturze) motyw przybliżania czytelnika do relacji autor–bohater utworu (lub: percepcje – przedmiot intencjonalny) – Tuziatk traktuje powieściopisarstwo jako swego rodzaju zaklęcie. Autor to mag, który za pomocą znaczeniowego obłędu języka przywołuje wty „zaklęć”, może mianem (wspominając świeższą w pominięciu, wyciągać bohatera z „nieświeżych” opresji (jakto to Hławko powiedział – „zadachnąć wywołanie wty”), ożywiać, utwierdzać, a nawet ponownie ożywiać.

Problem tylko, czy tego nie wiedzieliśmy? Innymi słowy: czy literatura przyćlałaby ludzi, gdyby obcowanie z nią nie było czymś tajemniczo fascynującym (po-

mijając dzieła miłkie i njałkie)? Rzecz w tym, iż Tuziatk, poprzestając na konstatacji świadomości fenomenu literatury, nie stara się, by jego dzieło poszło śladem ukrytej treści. Jego powieść zatrzymuje się na poziomie „pop fiction” (nie mylić z „pulp”), gdzie pop należy rozumieć jako rozrywkową, dla tzw. intelektualistów, do których przysięga te słowa nie odmalowyli się zaliczać. Szkoda, że solowiana Księga zaklęć jest w tekście najmniejszej skonstruowana (Tuziatk konstruuje, nie pisze), poza może epizodami z A. Posterioriem, przywołującymi na myśl skonstruowania z *Rękopismem zeznanym* w *Sorogobu* lub przygodami Munchausena. Gdyby (zamiast „bajki” przepiękającej *O dwóch takich, co ukradli księżkę* jak też *Przygodę Tytusa, Rostka i A. Tomka*) została w nim zawarta jakaś pokręcona pseudomniologia (choćby dendromania wyznuwana przez jednego z bohaterów), podobnie labaly czy tym podobne – powieść nabrałaby jeszcze większych blasków, tymczasem jej ciężar gątnikowy rozlał się nieco na brzegi (świećcy poznaje, a nieźle konie, całok – jest zbiorem scenek filmopodobnych).

Na obrotu autora zwodzi jednak przynajmniej, że nie załebno ma twórczość, gdyż autorka doskonale porozkłada (w dołnym znaczeniu) swoje słowa, która chłysta (w ideologiczne podejście do warsztatu piarskiego i samego tzw. aktu tworzenia (vide kłamstwo, okłamywanie) nie pozwalało na poddanie się pasji twórczej – słowem, pisanie bez dystansu do samego pisarza).

Książka jest więc bardzo przyzwyczajomniom szkoleniowym dla studentów polonistyki, a także dla początkujących ludzi tzw. pióra – rodzajem sfałszywowanego „talk show”, gdzie czytelnik jest osobą, której zadaje się podstępne pytania i, która przypieja się retoryką i scenografią do maru. Tuziatk pisze ze swobodą i kpiną, jakiej niedławn mógłby mu pomarodzić, czyta się go szybko (co czytającego czepkoć wpyda w zasłanone w tekście nializy) szczególnie przy jedzeniu, jest to bowiem to, co typpry (czy: krytycy) lubią najbardziej: spagheti humoru w sosie nie-miecznych paradoksów, zaprawione świętą postmoderną, z dodatkiem seksu i ekoparodi. Autor zadął o wszystko, o czym intelektualista-dziśnawość, wiedząc na swoich grządkach młodych (w miejsce zachwalania margaryty) rozmawiać, czyli krytycyzmy pokroju D. Nowackiego, K. Vargi czy nawet N. Orńskiego nie będą się odmiać – zamiast „taboo words”, którymi opatuje nas obecnie młodo (coraz mniej lub bardziej) literatura, zastosował np. wielokrotnie autotematyzm (czytelnik wypełnia kryżówkę – „talk show” zamienia się w „familiadę”).

Można załebwać, że „Magia Tuziatk” nie uruchamiał podkora tworzenia takich czasów, niejakieś mowy, które by skondensowały maksimum blagi na najwięcej z ich iabizb stron – wtedy bowiem ekwivalentem recenzji, o jakim prosi na końcu książki, byłyby przynajmniej przez jednego z czytelników (zaocznie) nekologu tak przed śmiercią, że śmiechu – Księga zaklęć odnosiłaby za sobą najwięcejższy skutek, niemniej porażające, ponowne „voodoo” (inny recenzent napisałaby *Wielkie Dzieje jednego zaklęcia*). Mimo że za się byłby teni książki przeżył, nie powinno się jej przepięgać.

PS Jak każdy występujący w talk show chciałbym podzielić moją rodzinę, kolegi z pracy i okolicy, a szczególnie Chłodziśka, która na pewno trzymała książkę podczas mojego opowiadania. Proszę wybaczyć, że tak z kartki.

P.P.

Andrzej Tuziatk: *Księga zaklęć*. Wyd. Kwartalnik Literacki, J.A.-art., Bytom, 1996, ss. 226.

ANNA ZEIDLER-JANISZEWSKA

SECESJA W PERSPEKTYWIE ESTETYCZNO-FILOZOFICZNEJ

Kształt estetycznej książki Teresy Pokali wydanie nawigujące do epoki, która podana została filozoficznie problematyzująca. Nieprzynajmniej w dzisiejszych czasach – format książki, król czcionek, okłona specyficznym wzorem czarno-białą reprodukcją kolebkiego aktu Avenetowiana na okładce, zdjęć secesyjnych przedmiotów użytkowych i dekoracyjnych ze zbiorów Muzeum Lubelskiego na Zamku, stamtąd

też pochodzące reprodukcje innych dzieł z początków wieku (rysunków, grafik, pasteli) – wszystko to wprowadza nas w atmosferę epoki, która stała się przedmiotem omyślenia i narzucenia emocjonalnej dyskusji krytyków, historyków sztuki i estetyków. Z dzisiejszej perspektywy zdumiewający tyłot przez to awangardzie, co przez ekspansję różnych wariantów sztuki zwanej postmodernistyczną, odpowiadając otwierającą jednakowe szanse aktualizacji każdej z minionych tradycji i zacierającą jednorodność i elitarność sztuki dawnej, wierzę się już niemal nie chce; za pierwszy radykalnie nowoczesny nurt artystyczny (autorstwa podzieli w tym wygłoszone zlanie Mieczysława Wallisa) kwalifikowany byłby jako wyraz „dali błędów” i symptom „upadku sztuki”, identyfikowanego ze światem, który miał jak największy zmiłunek z kulturową mapą.

Już w latach 30. – okresie dominacji artystycznych awangard, Wallis, którego nazwisko na trwałe zostało się z secesją, formułował nadzieję na przetrwanie jej bardziej sprowadzając ocenę. Czy spodziewał się wówczas, że po latach sam dokona w tej sprawie najbardziej znaczącego wyboru? Publikując w 1967 roku swą ohybną *Secesję* zainicjował wielokierunkowy nurt „rehabilitacji” sztuki przełomu wieków, owoce której wieloma ekspozycjami, zaistnieniem krytyków i historyków sztuki, wzmożeniem kolekcjonerstwa, a także stylizacjami widocznymi tu i ówdzie w codziennym przestrzeni wizualnej. Do sukcesu książki Wallisa i spróby jego intencji przyczyniła się wzrastająca świadomość, że nie tyle nowość i oryginalność, co raczej artystyczny i estetyczny pluralizm stały się twórczą dylematem, kulturowych awangard. Poszerzenie kanonu wartości estetycznych, realizowanych tak w obszarze sztuki samej, jak i poza nią, wymusiło zwrot w sposobie uprawiania estetyki i filozofii sztuki, czego symplem są dwie obecne „w dzieł” rozważań Teresy Pekańskiej koncepcje: właśnie Wallisa (którego autorstwo pojęcia sformułował odrębna monografia) i Theodora Adorna. Jednocześnie bardziej dociepa się sztuki monografii egzemplifikacji w opowieści autorki: trudność myślenia o sztuce dzieł w kategoriach hermeneutycznie narzuconej recepcji: dzieła nie są „gotowe” i dane „raz na zawsze”, lecz „rozwijają się” w dialogu krytyki (korzystając z terminu J. Kristerwe) – w polilogu, określającym przez kolejne „horyzonty myślenia”. Ostatnim takim horyzontem, za który wiązany przez Teresę Pekańską, jest dzisiejszy postmodernizm, radykalizujący wiele tendencji opisanych przez Adorna czy Wallisa na materiale wczesniejszych dokonań artystycznych. Pisząc „o sztuce” monografię „monografii” secesji, czy jakiegokolwiek innego nurtu artystycznego nie jest więc możliwe. Ale też nie o monografię (jakkolwiek byłaby sprowadzona) tutaj chodzi. Przyczyną właśnie dla zrozumienia statusu książki Pekańskiej wstępne wyznaczenie: *Mówię (...)* *że sprawnie dla zrozumienia tej sztuki nie wystarczy nie na ich podstawie któregoś schematu interpretacyjnego, odznaczającego się dodatkowymi walorami. Praca nie jest monografią historyczną i nie ma ambicji wyczerpującego opisu sztuki przełomu wieków (...)* *Moje zainteresowanie secesją jest zainteresowaniem estetyką, światowego zmiłności w hierarchiach wartości estetycznych, płynących krytycyzmu oceny dzieł sztuki (...)* *a może przede wszystkim – różnego pojmowania samej sztuki: czym jest i czym być powinna (s. 9).*

W pracy autorki perspektywa filozoficzno-estetyczna i perspektywa historyczno-hermeneutyczna przeplatają się, by tak rzec, w sobie nawzajem: jedna potwierdza i koryguje drugą. Choćby w tytule mowa jest o secesji w ogóle, Pekańska szczególnie interesuje polski jej wariant w kontekście lokalnych „granic współczesności”, co do których, jak wiadomo, zgody nie ma. Krytykuje wyrażenie „pokojniczość” wydominowane „formalizmami” odłogi secesji, dotykając narazem rzeźbięcych i innych nurtami końca ubiegłego wieku i osadzając secesyjne realizacje w kontekście światopoglądu modernistycznego, autorka koncentruje uwagę na tych rozważaniach, które wskazują drogę „w przyszłość”: ku ekspresjonizmowi, nadrealizmowi, abstrakcji, postmodernizmowi. W perspektywie dokonanej późniejszych secesji jawi się już nie tyle laboratorium nowych kategorii artystycznych i rozwiniętych formach, które miałyby różne przeobrażenia w późniejszych nurtach awangardy, ale i w tych, które autorka sztuki chciały przełamać, podejmując próby wkroczenia w życie codzienne. Nawiasem mówiąc, nie podzielał wyrażonej w końcowych partiach książki opinii autorki o koniecznej porzuce programu zmiłności dystrykcji: sztuka – życie. Obok obserwowanego działu „powrotu do obrazu” obserwujemy fakcie kon-

tymacje „wstydzienia” życia, alternatywne wobec potocznej estetyzacji medialnej. To jednak kwestia do odrębnej dyskusji.

W perspektywie przyjętej przez autorkę odwołuje się do sztuki przełomu wieków zabiegając na miano „kryzysu postytwy” – fulguracji (odwołując się do terminu przypominanego przez Weizenickera). Takie ujęcie odwołuje się do wieloletnich nowocześnieści i przesława akcenty z „modernizacji włączając secesję w obręb nowocześnieści” i „zakazu bezpośredniego przelotu”, „drogę w dwadzieścia” (s. 73). I chociaż Pekańska wstrzymuje się od bezpośredniego odpowiedzi na pytanie o trafność rozważań o secesji, w dalszej części swych rozważań ekspozycje wątki i motywy nowo – rozważa w nurtach nowożytności i późniejszych. Jednakże wyraźnie zarysowuje w wyżej cytowanej interpretacji, które wskazują na niezgodę artystów secesji z jednostronnie secesyjną wisią pomiana i kultury. Wpisuje więc secesję w krytykę, filozoficzno-estetyczny dyskurs nowocześnieści, podważając omiłowienie Rozana naukowca i jego kalkulek i ujednoliciętniających świat tendencji.

Nie przypadkiem ekspozycje tej w kilku wątkach secesji z symbolizmem, jej skłonność do waloryzacji mitycznej, a także zwłoki z post z nadrealizmem, w którym wyobraźni i marzenie senne wyznają się, jak wiadomo, na plan pierwszy. To właśnie surrealizm – przypomina autorka – „docenił” w okresie międzywojennym secesję. Salvadore Dali podkreślał na przykład ożywczy wymiar rzeźbiarsko-dekoracyjnej architektury Gaudiego, inspirowanej także późnym postmodernizmem. Generalnie jednak dopiero dzisiejsza, otwarta, pluralistyczna, nie-eurocentryczna perspektywa pozwala na uchwycenie w właściwych proporcjach wkładu secesji do kultury nowocześnieści – i potędo – do badań nad nią. Co nie oznacza oczywiście, że wzięta owoce wkładu, który obecnie jesteśmy skłonni akceptować, nie ulegnie dalszym rozważaniom. *Poki jesteśmy gotowi do kolejnych wyodrębnień po otwarciu obszaru sztuki – dawnej i obecnej – dopóty mamy szansę konceptualizacji nawet najbardziej radykalnych obszarów artystycznych (s. 174)* – kłóczy swą książką autorka, zgodnie z duchem awangardowej perspektywy filozoficzno-metodologicznej. Zakładanie wiodkości równości się bowiem zmierzania sztuki.

Odkazując tę książkę również jako wstępny głos w dyskusji o końcu naszego wieku. A ponieważ znacząca data przybliża się nieubłaganie, spodziewać się można narastania dyskusji, w których analogie między naszym czasem a czasem działania artystów secesji będą się pojawiały coraz częściej. Dla kogół, kto zechce w tych sprawach zabawić głębie, książka Pekańskiej stanowi dobry punkt wyjścia, wpisując bowiem interpretacyjną tryb, bez jednoznacznych rozstrzygnięć i autorytatywnego tonu. Po prostu – zapraszając do „współ-myślenia”

Temna Pekańska: Secesja. Koncepcje i interpretacje. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1993, ss. 200

MARIA KUŃSKA-PORĘBA

MIEDZY DAWNYMI A NOWYMI LATY, CZYLI MOST Z AKSAMITU

Rozpoczynamy od zaprzeczenia marksistowskiej tezie na temat przechodzenia ilości w jakość, wiodąc odwołanie, powołując do dnia praktyki modlitwa tysięcy przez nie zarzuconą władze na polskim gruncie refleksji na temat modlitwy. Przyczyn tego stanu jest wiele, jedną z nich przywołuję pierwsze zdanie książki Antozego Bednarka *Most z aksamitu*:

W polskiej kulturze modlitwiennej dominuje matryb (...). Polród modlitw poetyckich i motywno-wizualnych (...) przeważają co do dnia praktyki modlitwa uciucie nagiecia, aura wzruszenia, fizyczne wzniesienie, czy wręcz pasja (s. 5).

Przy takim nastawieniu trudno oczekiwać metodologicznej, pogłębionej refleksji. Na dół ubogi dorebno składają się bardzo różnorodne materiały, od obszernych wstępów do antologii i wydań krytycznych poszczególnych typów modlitwy – modlitwa poetycka, kołoda (A. Jastrzębski, A. Podział: Z głębołochi, Warszawa 1966;

zgodzić: *We współczesnym doświadczeniu – za sprawą białych i ciemnych (podr. L. H.)* *hausa* – życie zmienia się w historię ekologiczną, która się wartości wygłusła, podporządkowując karierze zawirowań, wygłosów dyktando, wy. Zaczyna się od relikwiarzy wartości życia dziecka nie narodzonego (s. 48-49). Teza ta niestety wydaje się być wysunięta nie tyle na podstawie danych empirycznych, co na drodze czysto naukowej, ile wynika z przesłanki religijnej: *Świadomość swojego odświeżenia do tego, co duchowe, trwałe, uniwersalne – do Boga – pozwala określić każdemu nasz miejsce w świecie, żywym i nieżywym, a nie izolowanie. Pomaga w ukierunkowaniu relacji do drugiego człowieka (s. 49).* Trudno jest się zgodzić, iż wartości religijne i religijność są de facto, w przekształcaniu autorki, jedyną perspektywą dla człowieka dążącego do pogodzenia się ze śmiercią.

Do mało pijących, ale ważnych pokładów natury ludzkiej odwołuje się Stanisław Jędrak w interesującym zresztą *Przyczyn i skutki postaw agresywnych*. Autor podejmuje jedną z bardziej palących problemów współczesnego świata, a mianowicie nagminne agresje prowadzące do lawinowo narastającego zagrożenia. Po rozważaniach dotyczących pojęcia i etologii agresji podjęto próbę odpowiedzi na pytanie, z którym wiąże się poważne implikacje filozoficzne. Czy agresywność jest wrodzona? W konsekwencji autor dochodzi do ważnego wniosku: *Wzrostku nowej fetyli jako istota ma skłonność do agresji, a wiele gatunków (w tym człowiek) ma to, to nie wynika z tego jeszcze, że ta agresja musi przynieść coś (s. 66).* I dalej: *Agresja nie oznacza więc zwalczania ze zwierzętami, plemię czy jakiejś bestialstwa (s. 67).* Autor wskazuje, że agresja i przemoc to zjawiska marginalne, zaczynają stawać się realnym, codziennym i powszechnym zagrożeniem. Stąd postulat pogłębianych studiów nad tymi zjawiskami.

Ważny i podejmujący aktualnie dyskusowany temat jest tekst Ewy Klimowicz pt. *Niektóre filozoficzne i etyczne aspekty medycznych ingerencji w organizm*. Celem autorki, której de facto został wyznaczony, jest filozoficzna i moralna refleksja nad problemami wynikającymi z rozwoju chirurgicznej medycyny. *Pierwszy z nich – zaznacza Klimowicz – łączy się z głębokimi filozoficznymi ingerencjami w organizm człowieka i promuje do przemyślenia na nowo odwieczne pytania filozoficzne: kim jest człowiek? Drugi wypływa z osiągnięć chirurgii transplantacyjnej, rodzących potrzebę zrewizowania dawnych kryteriów tożsamości indywidualnej ludzi (s. 71).* Uwidomeńcie fakt, że medycyna wrogą jest nie tylko istocie człowieka, co prawda, ale i jego tożsamości, prowadzi do konieczności odpowiedzi na pytanie: kim jest człowiek i w czym tkwi istota człowieczeństwa? Niezaprzeczalną zaletą artykułu podejmującego etyczne aspekty medycyny transplantacyjnej jest postawienie jego wymiar teoretyczny prezentacji niejednoznaczności stosowania etyk katolickich, wśród których skienią się zasadniczo dwa stanowiska: jedno ka. Olejnika dopuszczające możliwość transplantacji wszystkich narządów niekomunikacji dla utrzymania dawcy przy życiu i drugie, którego rzecznikiem jest S. Ślipko, zakładające, że *została podporządkowana własnym organtom i życia wyższym dobrem jest za szeroka i może prowadzić do błędnych wniosków (s. 79).*

Zgola omawia problematykę spotykać w tekście Tadeusza Skotarskiego pt. *Humanizm naturalistyczny wobec dyktando autorki*. Artykuł ten stanowi próbę rekonstrukcji i oceny poglądów etycznych Helene Elstien, zawartych w zbiorze artykułów *Homo sapiens*. Autor na wstępie analizuje dwa etyczne Elstien dotyczące rozrachunku z aksjologią markowską. W tym miejscu naturalnie się pytanie, którego co prawda jano nie postawił Skotarski przyjmując wyjaśnienia autorki: *Homo sapiens*, ale które jednak powinno być postawione. Czy rzeczywiście warto jest z pozostawieniem punktu widzenia zjawiska jest aksjologią Marksa, by dojść do oczywistego i zrewizowanego przez rzeczywistość społeczna, żądaj, jego złudnie, że *względnie do uwiecznienia jest niejako poza człowiekiem, a zniszczenie natury swój jest dobry, gdyż natomiast czyni go nieprzezwyciężalnym stosunku społeczne (s. 85)?* Jest to oczywiście zarzut kierowany nie przez T. Skotarskiego, ale H. Elstien.

Znacznie interesujące dla problematyki omawianego artykułu są dalsze rozważania H. Elstien przedstawione przez T. Skotarskiego. Ośm dających autorowi, jest jako zwolenniczka „naturalizmu nadykalnego”, a to oznacza – jak sama przyznaje – że *stanowisko to opiera się na pewnej hipotezie metafizycznej – na założeniu istnienia* *jedności świata – i co samo przez się zrodziło – na zaprzeczeniu istnienia*

Bynu Nadprzyrodzonego, czyli Boga. Powstaje zatem zasadne pytanie, czy autorka deklaruje się jako radykalna naturalistka (i zarazem ateistka), ma prawo uważać się jednocześnie za rzecznik idealów humanizmu? Czy stojąc na stanowisku radykalnego naturalizmu można, nie popadając w sprzeczność, bronić wartości kultury europejskiej w jej dojrzałych postaciach? T. Skotarski stara się uzasadnić podjęte, że zespół poglądów filozoficznych, określanych mianem „naturalizmu”, jest motywem do pogodzenia z wiarą w wartości humanistyczne (stad też nazwa, jaką autor artykułu przypisał stanowisku H. Elstien: „humanizm naturalistyczny”).

I wreszcie ostatni tekst, którego program powołał nieco miejsca jest autorstwa Anny Treptak-Lukaszewskiej. Nosi on tytuł *Paralogizm życia społecznego – obraz cywilizacji wspaniałej w prozie Mariama Szalamowa*. Autorka analizuje reguły rządzące światem Odwieczonego Dekalogu (określone Barbary Stangis) i stwierdza m.in., że dominuje w nim [...] *zorganizowanie kuzyna, abstrakcji i noszenia, a zachowanie ludzi [...] jest czysto alfabetyczne i stracone (s. 116).* Miano wszystko w tym świecie upokorzenia człowieka i zbrodni można zachować [...] *wiarę w istnienie wartości (s. 122), można być człowiekiem, aczkolwiek było to dane, jak zauważa za Szalamowem autorka, tylko jednemu procentowi więźniów.*

Krótko zaprezentowane w tej recenzji teksty nie są jedynymi wchodzącymi w skład tomu przedmiotowego przez Annę Drahaczkę. Oprócz wspomnianych autorów publikują tu Leszek Garver: *Debie kowie cywilizacji: naturalizm i naturalizm Ernsta Macha (s. 127)*, *Wielki Feklow Koneczny, Jolanta Zdybel: Diagnozy i prognozy wspaniałych relacji natury i kultury w świecie Alvinoffera, Lech Zdybel: Między naturą a narodową kulturą – Zygmunta Bałobiego koncepcja wychowania narodowego, Anna Zide: O snobizmie i wojny i Krzysztof Kosiński: Natura a wolność w budowie. Pojęcie „humanu”.*

Na koniec trzeba odpowiedzieć na pytanie, czy prezentowany tom spełnił cel, jaki przed nim postawiono? Sądząc, że najlepszą odpowiedzią będzie merytoryczna uwaga samej redaktorki, która zauważa, że zestawienie w pewną całość artykułów tworzących [...] *niepełny, a czasem nawet ledwie zarysowany obraz problematyki korelacji między naturą i kulturą (s. 7).*

Lektura może być jednak owocna, gdyż do naszej dyspozycji oddano zbiór artykułów prezentujących szeroki wachlarz tematyki.

Anna J. Bala, Anna Drahaczka, Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999, s. 136.

PAWEŁ PRZYWARA

MANUSKRYPT POD MIKROSKOPEM

W 1992 r. Zakład Teorii Literatury i Poetyki Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego zorganizował z udziałem naukowców z francuskiego Institut des Textes et de Manuscrits Modernes konferencję związaną z badaniami powstałym na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tw. krytyki genetycznej – dziełami zajmującymi się rękopisami, brulionami, notatkami poprzedzającymi „gotowe” dzieła literackie. Kilka lat później w dwujęzycznej wersji wydano zbiór referatów wygłoszonych podczas tamtego sympozjum, zatytułowany *ÉCRITURE/PISSANE*.

Krytyka genetyczna jako podejście teoretyczne ukorzeniona była w „koncepcyjnej” opozycji do tekstologii, hermeneutyki i strukturalizmu (choć w stosunku do ostatniego podziela pogląd, że pisarz gra w spektrum przymusów i konwencji). Kladek naciska na indywidualizację procesu tworzenia, abstrahuje się tu zarówno od intencji pisarza, jak od referencji symboli istniejących w rękopisie oraz nie dąży się do opracowania definitywnej wersji badanego utworu. *Odnowa – to, co istnieje fizycznie, „manuskrypty”, to transformacje tekstu od pierwszego rękopisu do ostatniego, w tym także (i przede wszystkim) brulion (wielowierszowa wersja tekstu vs. jednowierszowy tekst gotowy) czy rękopisy (czystopisy, finalna wersja utworu)*

Przewidywaną ortodoksyjną społecznością żydowską w Lublinie była wieśdy wyraża zdania rabinaśka – Jerzy Chachniński.

Jan Lewandowski w artykule *Spółeczność żydowska Lublin w czasie I wojny światowej* przedstawia funkcjonowanie ludności żydowskiej w różnych sferach życia gospodarczego, społecznego i politycznego. Swoje rozważania rozpoczął od analizy stanu liczebno żydów w Lublinie (w 1916 r. stanowiłi 43% ogółu mieszkańców). Trudniłsi się handlem (głównie drobnym) oraz rzemiosłem. Mimo minięciałsi się symacji podkazi i wojny, w dalszym ciągu funkcjonowały ochotkari i szkoły. Korzystali z niezwołania władzy okupacyjnych powoływano organizacje oświatowe, urządzoano przedstawiastwa teatralne. W 1916 r. gmina żydowska założyła własną bibliotekę, a od stycznia 1918 r. ukazywałsi się dziennik „Lubliner Tagblatt”. Żydzi aktywnie uczestniczyli w życiu społeczno-politycznym miasta. Po wyborach do Rady Miejskiej (w 1916 i 1918 r.) posiadali swoją liczną reprezentację (często bardzo zróżnicowaną politycznie).

Podobna problematyka, ale ograniczona tylko do stanu statystycznego ludności żydowskiej w Lublinie w latach 1918-1939 zajął się Tadeusz Radzicki. W opracowaniu *Spółeczność żydowska Lublin w międzywojennym dwudziestoleciu. Obraz sytuacji* oparł się przede wszystkim na wynikach spisu ludności z 1921 i 1931 r. Uzupełnił się dodatkowo odpowiednią literaturą przedmiotu. W efekcie przedstawił pełny obraz żydowskiej społeczności Lublina, która systematycznie wykazywała dynamikę rozwoju i w 1931 r. stanowiła 34,7% ogółu mieszkańców. Interesował się także innymi przyczynami i fakty przetrwania przed wojną. Dotyczyły one m.in. analfabetyzmu, źródeł utrzymania, pracy zawodowej z zachowaniem podziału na odpowiedzialnie galecie przemysłu.

Isabella Gładysz w opracowaniu *Gmina Wyznaniowa żydowska w Lublinie w latach 1918-1939* omawiała zasady funkcjonowania tej instytucji. Szczegółowo tręgię gładysz na lokalizację oraz działalność synagogi i domów modłowy. Zakończyła też problemy związane z pracą stowarzyszeń religijnych, Szpitala Żydowskiego oraz oświaty. Ta sama autorka w drugim, nieco szerszym materiale pt. *Życie kulturalne żydów Lublin w latach 1918-1939* przedstawiała różne formy działalności artystycznej, kulturalnej i oświatowej. Zwrociła uwagę, że w ówczesnym Lublinie szczególnie duża popularność cieszyli się teatr żydowski, „Pantomima” (kilka-krotnie zmieniał nazwę). Nie posiadał on stałego zespołu aktorów, a występowało w nim grupy amatorów bądź przyjezdne zawodowe, m.in. Estery Kamińskiej i jej córki Idy Kamińskiej z Warszawy. Preferowano sztuki autorów wybitnych (Moliere, Ibsen), oraz żydowskich, ale także z repertuarem tzw. lekkin. W Lublinie posiadali swoje ogniska liczne organizacje społeczne i oświatowe. Każda z nich starała się spowolnić działalność urzędniczą koncertu, odczyty, wieczory opiewania, spotkania z przedstawicielami nauki. Z dużym zainteresowaniem spotykali się wieczorki towarzyskie i zabawy taneczne.

Niektóre aspekty życia politycznego lubelskich żydów omówił Efraim Horoch. W artykule *Socjalizm i Powszechny Żydowski Związek Robotniczy „Bund” w latach 1918-1939* ukazał dużą aktywność tej organizacji w toku wyborów parlamentarnych i przede wszystkim zamogłych i przywróciła kompetencje. W drugim opracowaniu m. *Idział ludności żydowskiej Lublin w organizacji międzykrajowej Komunistycznej Partii Polski* próbował określić rolę tej społeczności w rozwoju ruchu komunistycznego. Na podstawie stosunkowo skromnych materiałów źródłowych ustalił, że wśród ogółu członków wymienionej partii żydów stanowiłi ponad 50% jej stanu osobowego i częstoteli funkcje kierownicze. Pod wpływami KPP engagedy się też niektóre organizacje młodości i młodzieżowe, a nawet Żydowski Klub Sportowy „Wiznia”. Z uwagi na swoją liczebność żydów w Lublinie ogrywali istotną rolę w życiu miasta. Systematyczny przegląd ich aktywności zajął się Zdzisław Zaporowski w materiale pt. *Żydzi w Radzie Miejskiej Lublin 1919-1939*. W konkluzji swoich rozważań stwierdza on, że radni żydowskie niezależnie od znacznych zróżnicowań (głównie politycznych) zawsze odgrywali ważną rolę. Zarządcy wyróżniali się odpowiednim przygotowaniem do pracy publicznej i właściwymi kompetencjami. Niektórzy z nich sprawowali swoje mandaty przez kilka kadencji i dzięki temu dość dogłębnie znali swoję potrzebę, jak i możliwości realizacji zadań powierzonych czy społecznych miast.

Ostatnie dwa opracowania odnoszą się do czasu hitlerowskiej okupacji. Józef Tomczyński w zwięzłej informacji pt. *Rada Żydowska w Lublinie 1939-1942* (organi-

zacja, działalność i pozostałość aktywni) omówił skład oraz funkcjonowanie tej samorządowej instytucji powołanej przez władze okupacyjne. Niezależnie od zadań wyznaczonych przez administrację niemiecką (organizacja obywatelskiej pracy, dostarczanie robotników) starała się ona przetrzymać w minimalny sposób ułtów żydowskich i opasł w gracie, próby organizowania opieki lekarskiej). Zbiorną tematykę zaprezentował Józef Marszałek w materiale *Żydzi warszawscy w Lublinie* (oświadczenia i listy z lat 1940-1944). Dokonał w nim interesującej analizy procesów deportacji żydów warszawskich na teren Lubelszczyzny zmuszających, że miała ona różny charakter i rozmiary. W pierwszym okresie (1940-1941) kierowano ich do obywateli pracy w ramach prowadzonego podziału publicznych, głównie przy budowie dróg. Obowiązek takich urzeczono ponad 30 a niewłaściwie isiały w Belżcu i Lublinie. W drugim etapie (zaczął się latem 1942 r.) Żydzi warszawscy wybrali byli do obywateli zagłady w Belżcu, Sobiborze i na Majdanaku oraz do rozbudowywanych obywateli pracy w Poniawie, Trzaskach i Izbicy (obecny Krańsk). Trzeci etap masowej wysyłki (koniec 1942 i 1943 r.) wiązał się z zaplanowaną akcją zagłady społeczeństwa żydowskiej mającej swój bieg w masowym mordzie przeprowadzonym na Majdanaku w listopadzie 1943 r.

Cała omawiana publikacja jest niewątpliwie pozycją wartościową. Posiada charakter nowatorski i inicjuje kierunki badań nad poruszoną problematyką. Z tych też względów należy się spodziewać dalszych publikacji, które w ostatecznym efekcie powinny doprowadzić do opracowania pełnej monografii dzieł społeczności żydowskiej w Lublinie.

Żydzi w Lublinie. Materiały do dzieł społeczno historycznej Żydowskiej Lublin. Praca zbiorowa pod red. Tadeusza Radzickiego. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995, ss. 271.

FAWEL GEMBAL

CO KOLWIEK TO ZNACZY I JAK KOLWIEK BĘDZIE TO WYGLĄDĄĆ

Proces przewartościowania literatury polskiej nastąpił pod koniec lat siedemdziesiątych, z przyczynem do niej nowych, świeżych sił, ale skłonego jego nanieżenie można odnotować dopiero od kilku lat. Okazało się, że dla bardziej świadomych pisarzy nowa rzeczywistość nieświeżo niepewności i znaków zaprzecania i błądów spełnień i janych odpowiedzi. Nic więc dziwnego, że tak raptem w nowej sytuacji odnalazli się motywy, których „nowy świat” pchnął ku działaniu.

Zaczęło od wydawania tekstów maszynopisów dla większego kręgu odbiorców, przeważnie zamogłych i przywróciła kompetencje, tomków wieści, a także obiektywno książek prozatorskich, z czasem przekształciła się na skład komputerowy i offset. Ich książki zaczęły pojawiać na rynku księgarskim.

Prawie wszyscy debiutujący w ostatnich latach ukazują żywe zanilanyj wartości, w którym podstawowym odczuciem jest brak punktów oparcia, brak czegoś, do czego można by się było odwołać w odczuwaniu potrzeby. Imię przede wszystkim podmiot pojmający, samotny, beznadziejny, który szuka wiedzy o rzeczywistości, a ma do dyspozycji tylko samego siebie.

Tak też jest w debiutach zbiorze opowiadań pulawskiego pisarza, Marka Siemprzawskiego (Młody znawca, Warszawa 1995). Bada napierwie siebie, bada, w jaki sposób świat zewnętrzny odcierał się w jego świecie wewnętrzny. Przy braku właściwych narzędzi badawczych rzeczywistość należy poznać poprzez siebie. Znałteż trzeba jej, który podola takimi poznania, język sztuczny artystyczny.

Młody znawca złożona jest w czarnym krótkich opowiadaniach i ma wielu literackich odcioł, a w każdym razie udaje, że tych odcioł jest. Siemprzawski wystawia na widok publiczny swą literackie korektę – czyta z sieliską orientacją, jakby pokazywać, że dla współczesnego pisarza nie ma ucieczki od literatury, że jego świadomość jest ukazywana bardziej przez literaturę niż rzeczywistość. Z jednej strony robi więc w swoich opowiadaniach jawne, bardzo jawne aluzje, np. do *Jasieni* w

Pekinie, Śmierci w Weneji czy *prozy* Schulza, z drugiej twierdzi, że tylko dziełstwo ma dlań znaczenie jako literackie tworzywo, że ono go ukształtowało i że od niego nie potrafi się – jako prozak – uwolnić.

Młoda oczywiście prężyła, że dziełstwo rozumie należało szeroko i całe zafascynowanie literaturą, wywiódł z dzieł Schulza. Autorowi choć jednak o zdziwienie literackiej powagi i klasycznej prozy z dziećmi; naturalnością odbioru świata, wyobraźniowym przetwarzaniem zdarzeń związanych; U Sieprawskiego zwyciężenie naderżania, „przemysłiane” przez dziecko, a następnie wspomnienia dzieciństwa – nabierają nierzeralnego wymiaru. Jedno z opowiadań powstaje w momencie gdy *Włodek* już trzeci raz zawracając tym plagiem pod oknem nadobry *Moskwy*, obłąkany zawił w górę, a ranyłony koncept zaczął *ruszać* bezradnie czło. *Cóż dalej? Cóż dalej napisać?* (*Moskwa zmiłuna*). Prezentowanie took zdarzeń nie jest dlań narratorem łatwe: w pewnym momencie spoczęły twórczo pędzi do kuchni zakręcić krąg, dostrzegając w zlewie niepospoliczne zjawisko: migoczące, mieniące się w wodzie twarz mężczyzny. W zimnej wodzie pojawiają się oblicza mężczyzn, w ciepłej – kobiet, a w wannie się cudowna, kuszona dziewczyna, której ciało jest w dotyku, o zgrozo, gwałtownie.

Świat przedstawiłony, jaki rodzi się w wyniku tego zdarzenia, ma w sobie wiele z Schulza, wiele z Kafki. Idąc ich śladem autor *Moskwy* zmiłuna wywołuje się z codziennych powinności weryfikacji, uwolnił swą pracę od obowiązków relacjonowania tego, co faktycznie. Prawdą jego świata jest prawda pamięci o dzieciństwie, o dziełach fascynacji. Jednocześnie odchodzi od narracji konwencjonalnej, wkracza w sferę majaków, snów, zjawid, wędruje w głąb wyobraźni świata, wlewa narrację, zryśkuje wiodąc, której wcześniej nie miał. Nie ma reguł, bo wyzwytko jest poczem, wszystko jest na niby, wszystko jest gra, zgodnie z twierdzeniem: *Nierówność, podobnie jak rzeczywistość: naglej jest współwzoryć, waczej staje się nieznośna* (Bał).

Czy zatem wszystkie dramatyczne wydarzenia opisane wcześniej są tylko tworem imaginacji autora. Nie ma to wychodzi – zabawa trwa, wszystko jest możliwe. Nie maży to jednak, że mamy do czytania z literaturą science fiction, bowiem w niej świat autorskiej kreacji jest młmno wyzwytko konwencjonalnie uporzadkowany. Sieprawski zaś bawi się konwencją, romadną ją do środka, kpię z niej przy pozorach jej zaakceptowania. W jego działaniu jest coś z persylacją.

Pisarz bezdnie pokazuje na tych wybitnych, którzy go wypredził: cóż, mżaz, obok nich istnieć z ich prekursorstwem, mogą ich tylko wykorzystywać dla swich piarskich potrzeb. I robi to. Znamik, który *złamał* *tylko z dymnych* cyrce, wleża obłąknicia i bankier nawigacyjny natroszc do tajemniczych, dzimnych spłakn zmych z *Allegii* w *Krańcu* *czarnej*, imiona bohaterów, Filomena, Tydryk, Kordulka, Noemil, jakby z literatury oświeceniowej. *Kapitan*, którego *możliwy* *możemy* *dobrze* opisać Stachura, chata odświeżona w czasie jednego zmagły, w mufną noc...

Cala linieja narracyjna tej prozy wyodróżniona została z przemysłiania klasyków lub literackich konwencji współczesnej literatury. Sposta, w jaki realność zmięnia się pod piórem Sieprawskiego w jego własny świat, jak staje się nierówność czy, na wyodróżnieniu, sposób przekształcania czasu w tych krótkich opowiadaniach – prosi się o osobną, bardziej szczegółową analizę.

Tu zauwamy jeszcze tylko, że autor *Moskwy* zmiłuna nie przemągałymi poczynymi przyzwyczajeni językowymi, stwarza na użytek kreacji prozatorskiej swój własny język i odbiór języka.

Mark, Sieprawski: *Moskwa zmiłuna*, Wydawnictwo Łampa i John Bata, Warszawa 1995, s. 106.

GRZEGORZ KOCIUBA

ZRANIONY MOTYL

Robert Krąkiewski nie napisał już żadnego wiersza. Zginął w wieku dwudziestu jeden lat zabity przez wykładając w jednym z klasz. Włodawa. Przed śmiercią zdał tylko opublikować *Coś z adwójnej* *ludzi*, jedną książkę poetycką, która została, nie zaistniała w szerszym obiegu literackim. Do wierszy, które pozostały po studencie warszawskiej polonistyki dostał Krąkiewski Karasek i wydał je w redagowanej przez siebie Bibliotece Poetyckiej „Przedwini”.

Podstawowym doświadczeniem, które ogranicza liły Krąkiewskiego jest doświadczenie egzystencjalnego zranienia. Świat najbliższy, ten świat na wyściganie się ręk, rani bohatera tej poezji obłąknością, cynizmem, zakłamaniem, jawidnością. Poeta staje się więc dla Krąkiewskiego wyznacznikiem raczym takimś światem, ale zarazem próbą zablężenia wiać odnawiający się rany. Dramatycznie przeżywane doświadczenie zranienia rodzi dwie zasadnicze postawy w tej litryce wpisane: bunt i dystans.

Bunt jest rodzajem bezpośredniej reakcji na świat, stanowi próbę zamianistowania niegdyby na jego porządek. U Krąkiewskiego jest to najpierw bunt przeciwko temu co pod ręką, temu co wpisane w pejzaz najbliższej okolicy. Ale sposób artykulacji poetyckiej tego buntu odróżnia wolebłąk autora od jego piaszczyci wioślników. Ten bunt nie krzyczy, nie używa mocnych słów, nie plaże światła w twarz. Jest to bunt wyrażony głosem ścisłym, rozstrągniętym, głosem świadomym swej autentyczności, ale też daremności. Pisanie niewiele może. Jest ono co najwyżej „pomniadaniem punktów praw testamentowych”, „wyprowadzaniem z ciemności ślepych potażd”. Pisanie jest dla Krąkiewskiego obłąkaniem egzystencjalnej bezradności i odłąkaniem tródel własnej niewiary. W tym sensie jest to poezja stała pogłębienie samowiadomości.

Wiele sytuacji lirycznych wpisanych w wiersze młodego autora przypomina pochylanie się nad szczerzą zaurządzoną na obłąk świat. Jest coś, co przyrzuca Krąkiewskiego do zajrzania w ową szczerel, coś, co go do tej szczereli przykuwa, nakazuje dogłębą penetrację: I Krąkiewski poddaje się tej iniajacji, temu imperatywno wyrażanemu z jego najgłębszych duchowych potrzeb. W palczących tych, których wierszach wolebłąk poezja potrafi wywać w tym dotrądkowym spojrzaniu, w tej delikatnej dymności oglądu, które świadczy, już to o intelektualnej szczerści, już to o nowoczesnym wyrazie tej poezji.

Nie ulega wątpliwości, że to właśnie egzystencjalny bunt decyduje o nerwowym czy wręcz neruwnym rytmie wiersza Krąkiewskiego oraz o piaszczystości i sugestywności kreowanych obrazów. Krąkiewski właśnie czyti poezję autora *Coś z adwójnej* *ludzi* rozprowadzając na tej poezji rósłidnów, zwidzając tych, którzy wbyrli ściep uliczką „banalnym” i budowania poetyckim świata z starożytności, nie pefiltrowanych wrażeń. W odniesieniu do nich język liryki Krąkiewskiego jest wysmakowany, posługujący się gęstą metaforą, ironią, aluzją literacką i kulturową. Wszystko to podporządkowane zostaje umiętności indywidualnej, osobnej interpretacji świata. Pewnie że znajdujemy w tomiku *Ja*, mój wiersze dymne, którym zdać się patnosować Bura i Cychiświat, ale wykżność utworów nowym lirycznym skłębieniem i metaforyczną kondensacją przywodzi na myśl Cechowicz i albo Stachura. Może pochodzi to też stąd, że w temperaturze poetyckim Krąkiewskiego przeważa tywiol elegjno-kontemplacyjny i nie ekstatyczno-wiryczny.

Elegijny smutek wypełniający wiele wierszy Krąkiewskiego ma kilka tródel. Pochoć chęć z przekonania o „wiecznym powoici” tych samych doświadczeń, emocji i myśli. Właściwie nie zmierzamy w jakąś określöną stronę, ale doświadczenie cele okrażają się lżurami, a nie bliższe jakos szybko karłują. Bohater tych wierszy wznaję:

popieram te same myśli co wczoraj
co przed początkiem świata

(Przedmowa)

a w innym miejscu:

przeżyłbym już wszystkie
samotne wieczory
siadam w łazie
i liczę do poręczenia

(*Bez zakończenia*)

Przed elegijnym smutkiem nie chroni także miłość. Są chwile gdy słowo, gest, grymas najbliższej osoby obrazają jej obcość. Przechodzi taki moment, gdy instynkt podpowiada ci szacunku. Trzeba przemyśleć, że w paru wieściach zrodzonych z rozczarowania uczuciem i najbliższą osobą osiąga Krąkowski zdumiewającą przemienność głębi i kondensację wyrazu.

Źródłem głębszych rozważań jest także historia:

ci, których gniew
miał nas zanić
do raju
nie, dziś nie mówią
o piełnie
w pół strasnej

potrafiłabym własnie sny

(*O nieokreślonej postaci*)

Przy okazji młody twórca wyraża swą nieufność wobec umarłych autorzytetów poetyckich. Podejmuje polemikę głównie z poezją Miłozza i Staffa, którzy są dla niego wyznacznikami apollinijskiego dystansu, którego nie aprobuje. Pierwszy z klasyków, zdaniem Krąkowskiego, już tylko „przebieł wśród nas zmierzających”, drugiego:

narwet kręć śluka
i błoto
śniły się
miodem

(*Kłopotne sągno*)

A więc z jednej strony już tylko gra z literacką i kulturową tradycją, z drugiej programowa ślepota na mocny, tragiczny, kalbki wymiar kondycji ludzkiej. Szczególnie Staff jako poeta „zamurzonej” frazy, wielkich słów i podniesionego tonu budzi u Krąkowskiego podejrzenie i nieufność.

Po takich rozpoznaniach cóż pozostać? Czy tylko czekanie między „światłem a ciemnością” ze świadomością permanentnego niepełnienia i daremności wszelkich poczynań? A może jednak w tym rozpoznaniu tkwiąca nadzieja drogę wyprzedzających nie stani zawieszona? Trudno orzec, skoro przypada egzystencjalna i poetycka Roberta Krąkowskiego została razownie przezwana, mogłoby co najwyżej mieć domysł o jej ewentualnym rozwoju, albo też po prostu pociążyć się z uwagą nad tym świadectwem zranionej duchowości i próbować je zrozumieć.

Ruben Krąkowski: *As, mój, rękawiczki* w wydawnictwie Kryska, Wydawnictwo „Przełom”, Warszawa 1996, ss. 112.

TADEUSZ SZKOLUT

„ETHOS” POSTMODERNISTYCZNY

M. Biedrzycki w swej *Analizie* przypisał o pewnym filozofie francuskim zawzięcie typowym określenie pragnienia romantyzmu, a romantyzmem nazywał on-
dodaje rzymski myśliciel – wszystko to, czego nie lubi. Wydaje się, że podobnie postępuje redaktor – wielce skądinąd zaszokowanego kwartalnika „Ethos” w stosun-

ku do postmodernizmu. Termin „postmodernizm” oznacza dlań cały kompleks zjawisk we współczesnej kulturze zaskakujących na napiętnowanie: deprecjacja pojęcia obiektywnej prawdy, pluralizm światopoglądowo-akologiczny, tolerancja polityczna, wolność pojęcia jako działanie jednostki zgodnie z jej własną wolą etc.

Co więcej, Wojciech Chruś uważa, iż „czyste naukowe”, tj. niewartościujące, podejście do postmodernizmu chce nie (choć realizuje) jeden z podstawowych wymogów kanonu postmodernizmu: postulat „obiektywności akologicznej”; znanca postmodernizmu przechodzi w ten sposób nienachodem na pozycję wyznawcy (s. 6). Aby tego uniknąć, niezbędne jest zdemaskowanie postmodernizmu właśnie jako „ideologii wolności”, perfidnie ukrytej pod maską neutralności światopoglądowej, a faktycznie propagującej relativizm epistemologiczny i etyczny; jako ideologii zachęcającej możliwość życia ulatwiowego, tj. życia kłuskiego nie będąc nie ślepym pobudzaniem woli i zaprzeczającą w ten sposób „wolność prawdziwą”. Albowiem wolność autentyczna to „wolność trudu”, wolność podporządkowana prawdzie i dlatego organicznie związana z poczuciem odpowiedzialności intelektualnej i moralnej za dokonane wybory. Ideologia postmodernizmu czuwa winna być zatem poddana krytyce z pozycji nie-ideologicznej, tj. z pozycji „miał chcieć iafakiej”, w której zawarta jest pełna „prawda o naturze ludzkiej” (s. 6), o „realnym ludzkim dobru” (s. 291), o przemaczeniu człowieka i wartościach chodzących realizacji w życiu ludzkim.

Urzućmy wistując ten zamiar, redakcja „Ethosu” poprzedza blok tekstów rozstrzygających problematykę postmodernizmu artykułami dającymi „władnie” obwieszczenie takim kwertem, umieszczony na kluczowe dla dzisiejszych spraw światopoglądowo-akologicznych, jak np. związek między verum i bonum, pojmowanie podmiotowości ludzkiej w aspekcie „normatywnej” mocy prawdy, sensowności działania ludzkiego, przeciwstawienie nowoczesnej „kultury inżynier” „sensualnej” kultury „współczesności” do „życia”. Zgadnienia te są przedmiotem rozważań Jara Pawła II (fragment przemówienia papieża wygłoszonego na Uniwersytecie Wileńskim w 1993 roku), Tadeusza Strycharza (Na początku była prawda. O genezie pojęcia osoby), Roberta Spemann (Czym o piękne życie. O pojęciu natury czynniki), José Luis Illanes (Życie, substancja i cel historii. „Evangelium vitae” w kontekście dyfuzji współczesnej kultury). Ponieważ wszystkie wyżej wymienione teksty przyjmują perspektywę teologiczną i opierają się na określonych założeniach konfesyjnych, polemika z nimi musiaby być koniecznością być też polemika z owymi założeniami, do czego nie czynię się uprawniać. Dlatego też pozwalam, że w niniejszym omówieniu.

Artykuły traktujące o postmodernizmie, zebrane w recenzowanym numerze „Ethosu” podzielę „mózg” z „grubej” na dwie grupy: 1) takie, które starają się realizować „zamówienie ideowe” redaktorów i za wszelką cenę pragną wykazać, iż „metanarracja postmodernizmu” jest zaprzeczaniem ducha chrześcijaństwa i sprzeczaniem się z prawdy życia ulatwiowego, 2) takie, które nie umiagają żadnych powoływanych czy też bardziej transcendencje zakłócających norm, a zatem wywołują również wszelkiej odpowiedzialności moralnej; 2) takie, które nie unikają wprawdzie oceniania, lecz starają się w pierwszym rzędzie dokonać rzetelnej analizy głównych idei składających się na korpus przeciwieństw światopoglądowo-akologicznych, obejmujących zwiastując nazwą „postmodernizm”. Postawę badawczą tego drugiego rodzaju najlepiej charakteryzuje tytuł wywiadu udzielonego niemieckiej przez S. Morawskiego. *Postmodernizm. Jak go rozumieć i dlaczego nie lubię*.

Do grupy drugiej (analitycznej, resp. analityczno-oceniającej) zaliczam teksty autorstwa Andrzeja Szabaja, Andrzeja Bronka SVD, Herberta Boodera, Stefana Morawskiego, ks. Tomasza Węglowskiego, bp. Józefa Zychowicza. Do grupy pierwszej (teksty będące raczej dreszcz postrzeżeń światopoglądowo-akologicznych) autorstwa rzetelną rekonstrukcją założeń i konkluzji myślenia postmodernistycznego; ks. Alfreda Wierzbickiego, Ireneusza Ziemińskiego, Andrzeja Grzegorzewskiego, Pawła Borkiewicza TChR, Józefa Mizińskiego, Adama Chmielewskiego, Jacka Salija op. sk. Józego Szymka.

Na pierwszym miejscu redakcji „Ethosu” umieścili artykuł A. Szabaja. Co jest postmodernizm? Jest to decyzja trwała, byciem studentem toruńskiego badacza jest wszechstronny i kompetentny prezentacji głównych idei i dyskusji wokół nie-
włoszkiej refleksji nad statusem poznania, w smacie oraz w dyskusji wokół nie-
włoszkiej i ponowoczesności w kulturze europejskiej. Autor zastrzega się, że

jego widzenie postmodernizmu nie jest jedynym możliwym, że istnie przeobrażeń postmodernistycznych (w filozofii, w sztuce, w całym systemie socjokulturowym) można konceptualizować również na inne sposoby. Lecz dzięki takiemu świadomości zawężeniu pola docieków możemy przynajmniej, o czym jest mowa i czego dotyczy formułowanie przez autora odczytu.

W interpretacji A. Szabaja postmodernizm (resp. postmodernizm) w kulturze i w życiu społecznym nie jest antymodernizmem (antynowoczesnością), lecz stanowi intensyfikację i doprowadzenie do „logicznego końca” pewnych procesów zapoczątkowanych jeszcze w dobie Oświecenia. Jednym z takich procesów o kluczowym znaczeniu było opisanie przez Maxa Webera tzw. „drugie odczarowanie świata”, polegające – najgłębiej – na postępującej sekularyzacji życia, na stopniowym upowszechnianiu się w ludzkim świecie do świata postawę racjonalnej instrumentalnej. Począwszy od czasów Oświecenia człowiek zyskuje wiarę, że potrafi w sposób suwerenny (nie korzystając ze wsparcia sił nadprzyrodzonych) kształtować swe życie i realizować cele praktyczne ukazywane przez rozum naukowy (w tym również „racjonalizować” ustroj społeczno-polityczny). Konsekwencją owego postępu stała się dominacja w systemie kulturowym i życia i związane z nią technologia wiążąca nadzieję na ostateczne uogólnienie (uogólnienie) wszystkich problemów stojących przed ludzkością: osiągnięcie powszechnego dobrobytu, zbudowanie ustroju sprawiedliwej społecznej, wyzwolenie „prawdziwej” natury ludzkiej etc. Bóg nie zmógł wprawdzie całkowicie z kręgu życia ludzkiego, lecz w dzieło mierze stał się po prostu „problemem dla rozumu”, a religia straciła rangę siływa społecznego, stając się – co znaczy – „sprawą prywatną”. Dziś, kiedy ugięła się iluzoryczność owych nadmiernych nadziei wiązanych z nauką, w filozoficznej refleksji postmodernistycznej podejmowane są próby „demitologizacji nauki” (określenie A. Szabaja), poddania w wątpliwość jej wyróżnionego miejsca w kulturze, a nawet kwestionowanie jej rzekomo wzorcowej racjonalności, jej uprzywilejowanego dostępu do prawdy. W perspektywie postmodernistycznej postrzeganie nauki ma charakter kulturowy, ideologiczny, historyczny, konwencjonalistyczny i antyessentialistyczny (s. 73). Prawda nie jest nie tyś odrywana, ale wytworzona; pojęcie prawdy zyskuje sens jedynie w obrębie danej teorii naukowej, która jest aktualnie akceptowana przez społeczność naukową, aby następnie utępić miejsce i inną, również tymczasową teorię.

Owo antyfundamentalistyczne i zarazem pluralistyczne nastawienie postmodernizmu sprawia, że nie możemy nie zauważyć, jak tak to się dzieje, ponieważ czyż, nibyżliż aktywnego. Wkręć przynajmniej – twierdzi A. Szabaj – postmodernizm posiada właśnie etos, właśnie zbiór nadrzędnych wartości kulturowych. W etosie tym centralne miejsce przybiera nie prawdziwość (czy tym bardziej PRAW-DZIE), lecz wolność, ograniczenie powiązane z takim wartościom, jak samorealizacja człowieka, poszanowanie dla wszelkiej odmienności, solidarność międzyludzka wynikająca nie z takiego lub innego podchodzonego filozoficznie bądź logicznie – nie kodeksu etycznego, lecz z elementarnej ludzkiej wrażliwości moralnej, ze współczucia dla krzywdzonych, cierpiących, upokarzanych. Pozwala to A. Szabajowi uznać postmodernizm za projekt kulturowy o wydźwięku humanistycznym, jakkolwiek jest to – bardzo osłabiona wersja humanizmu” (s. 75). „Słaby” charakter tego rodzaju humanizmu wynika z faktu, iż postmoderniści odrzucają idee stałe, substancjalnej „natury ludzkiej”, będącej fundamentem nowożytnej koncepcji humanizmu i traktują człowieka jako znajdującą się w stanie chwilowej równowagi konfiguracji (sieci) pragnień i przekonań, jako obszar krzyżowania się różnorodnych dyskursów i gier językowych. Ludzki podmiot (resp. jaźń) nie jest czymś samistojącym, z góry danym, niejako „gotowym”, lecz jest bytem nieustannie się samokonstruującym w dążeniu do osiągnięcia pełnej autonomii wewnętrznej. Innymi słowy: człowiek jest bytem ciągle na nowo siebie „opowiadającym”, konstruującym historię swego życia w polemice z innymi opowieściami cyklicznie w danej kulturze i pragnącym zdominować pozostałe opowieści. I chociaż *rozróżniamy* jest zatem obszar danej kultury, tym większa szansa, iż jednostka potrafiła wyprawa przeciwko sobie odmienne dyskursy, zdoła wyznaczyć swe władzy jednego, totalitarnego dyskursu.

Odrzucając przez postmodernizm koncepcję powszechnego natury ludzkiej, myślenie o jaźni ludzkiej tak, jaką miała ona jakąś swoistą, wewnętrzną istotę, którą dzieło we wszystkich jaźni (np. racjonalności) była kwalifikowała przez niskich

badaczy jako antyhumanizm. Tak postępuje m.in. A. Brook w najokazywającym i najgłębszym artykule, który znalazł się w omawianym numerze, „Ethos”, za tytułowym *Krajem postmodernizmu*. Chociaż A. Brook zastrzega się jednocześnie, że humanizm w kulturze europejskiej przybierał różne postaci, nie można też nie dostrzec antropocentrycznej orientacji postmodernizmu (podkreślenie niezbywalności ludzkiego prawa do swobodnego kreowania własnej indywidualności, zalecanie wszelkich przejawów dyskryminacji i przemocy, także przemocy symbolicznej). Obok antyhumanizmu A. Brook wymienia i omawia całą serię odczytów postmodernistycznych, które współtworzą to, co heblski filozof nazywa „wspólnym postmodernistycznym klimatem”: antykatolicyzm, krytyka reprezentacyjnej krytyki ideologicznej, podjęcie humanistycznej, antyfundamentalizm, antydemokratyzm, dekonstrukcjonizm, antycyjnizm, postawa antyestetyczna, teza o końcu filozofii (s. 85–92).

Tym, co najbardziej niepokoi większość autorów „Ethos” jest to, iż definiowanie przez postmodernistów człowieka jako bytu otwartego, bytu określającego się poprzez swą wolność, powściąga za sobą relatywizację wszelkich wartości – również „względnych” w gruncie rzeczy i nihilizm w ogóle. Według postmodernistów – stwierdza A. Brook – „człowiek jest przedmiotem wolty dopiero „po dołowaniu i złom” (s. 95). Nieco ostrzeźniej w swych ocenach jest J. Zyciński, który kwalifikuje wprawdzie poglądy postmodernistów odrzucających powszechnie zasady racjonalności oraz koncepcję uniwersalnej natury ludzkiej jako „apoteozę relatywizmu i sytuacyjizmu etycznego”, lecz nie stawia bynajmniej znaku równości między relatywizmem i nihilizmem etycznym. J. Zyciński, który ma książkę Z. Baumanu *Wolność i nowoczesność, nowoczesność i wielość* (Warszawa 1995), wie że nie można za nowożnaczą nihilizmu etycznego gorącemu obrocy takich wartości, jak tolerancja, solidarność, demokracja. Podobnie jak nie można przypisywać J.F. Lyotardowi braku szacunku dla sprawiedliwości, czy też R. Rorty’emu odmawiać miłości humanisty. J. Zyciński przypisuje natomiast postmodernizm niekonsekwencję, polegającą na tym, iż głosiąc tezę o kontekstowości (historycznej i kulturowej) charakterze wszelkich wartości, przynajmniej narazem tak, afirmowanych przez siebie wartości, co: wolność, solidarność, tolerancja, sprawiedliwość, emancypacja mniejszości itp. status wartości absolutnych (s. 173, 180).

Istotnie, jest to zarzut powolny i postmoderniści winni się dość usłowności, chociaż nauwa się też wprawdzie, czy można wobec miłości programowo rezygnując z systemowego przykładać własne kryteria spójności systemowej. Mnie po prostu bierze natomiast zarzut J. Zycińskiego, skłonywały głównie przeciwko Z. Baumanowi, że uprawia on „estetyczną retorykę”, a prawa logicznego wynikania zastępuje „impresją, eszajem i retoryką”. Rzeczywiście teksty Z. Baumanu są racjonalne są metafizycznymi, są to jednak metafory o dużej nośności poznawczej, odsłaniające czegoś nowego obszary badawcze, a stare – użyskujące w nieoczekiwanym świetle (na własnym miejscu, w artykule J. Zycińskiego są jedynie tekturą i mitologią, w którym autorka próbuje bronić prawa relacji humanistycznej do postrzegania się metafory, zwłaszcza dla wyartykułowania nowych doświadczeń, będących udziałem człowieka w epokach kryzysowych).

Zarzut literackości oraz uprawiania przez postmodernistów literatury i „szukaj filozoficznych konwencji” pojawia się również w tekście A. Chmieliewskiego, mającym charakter pamphletu, którego celem jest rozbić „balowaleństwo kultury” i mającego rzekomo wiodło osoby R. Rorty’ego. A Chmieliewski podkreśla, że książki amerykańskiego filozofa są „bardzo sprawne literacko”, że posiada on „tajemnicę literackiego powołania”, pochwyła że są wszakże jedynie elegancja forma okazania przez autora akademickiego dystansu wobec niedostatecznej naukowej – jego zdaniem – stylu prac autorki *Przygodności, ironii i solidarności*. Czy jednak nie leży się na tym nieco zawężenie? Z pewnością opinia R. Rorty’ego, a przede wszystkim nierzadym innym, jako tym jednemu z gatunków literackich razi iwałdowość, również jednostkowe są jednak próby utotławiania filozofii z nauką. Czyżby A. Chmieliewski odmawiał filozoficznego znaczenia np. *Pyzmuśwu* św. Augustyna, *Próbu* Montaigne’a, *Myślowi* Pascala, *Dzienników* i *Wizji* Kierkegaarda? A może zamiast ubliżać z powodu „literackiego soku” amerykańskiego kulę historyczny polacy filozofowie porzuciła za ręką St. J. Leza i spróbować chociaż trochę do rzeczy, ale i do ludzi? Odnosząc tak do zarzutu, że R. Rorty’ego nie „tylko czytelnikiem” dawnych tekstów filozoficznych (co – jak się zdaje – polega

na tym, iż stawia tym tekstem własne pytania, włącza je w kontekst swojej kultury, konfrontuje je ze swym dotychczasowym życiowym i twórczym przemyśleniami), można odpowiedzieć, że robi on świadomie to, co filozofowie robili od dawien dawna. Czyż np. Św. Augustyn nie dokonał „rekontekstualizacji” tekstów Platonicznych, wprowadzając je w obręb myśli chrześcijańskiej; czyż Św. Tomasz nie był „mocnym krytycznikiem” Arystotelesa, a zarazem myślicielem, który na nowo „opowiedział” Św. Augustyna?

Na zakończenie owego z konieczności nader polichromie omówienia zawartości „Ethosu” pozwól sobie przytoczyć uwagę A. Brodka, z której całkowicie się zgadzam. Otóż lubelski filozof uważa, iż przeobrażenia jakie dokonały się w kulturze doby obecnej, przeobrażenia określane mianem postmodernizmu, trwale zmieniają kontekst filozofowania. *W zmiatającej sytuacji nie można naturalnie filozofować tak, jak gdyby nie się nie zmieniło. Wiele tradycyjnych pojęć filozoficznych, podstawowych postmodernistycznej dekonstrukcji, straciło nową pierwotną, ostateczną i wysoce powściągliwą przemysłową (s. 99). Należy zatem mieć nadzieję, że filozofia tradycyjna, która podejmuje intelektualne wyzwanie postmodernizmu, wyjdzie z tej próby zwyciężona, podobnie jak cała nasza kultura. Dlatego też popadanie w nastrój katastrofizm, strasznie kulturową próżnię etc. nie wydaje się odpowiednią reakcją na powołaność. Ambiwalentna kondycja ludzkiego istnienia, który wyraża jest m. in. ciągłe niezadowolenie człowieka ze swą egzystencjalną sytuacją i niedokonalości wytworów ducha, należy do typowych i trwałych sposobów ludzkiego bycia w każdej epoce. Należy wierzyć, że tak, jak wiele razy w przeszłości, turbulencyjny okres przemian, swych postmodernizm, stanie się zwycięstwem „nowej” i równocześnie przez swą kontynuację, „stary” kultury. Biorąc pod uwagę długie dzieje wszechświata i krótką historię człowieka jako animal rationale, jego intelektualna przynajmniej dopiero się zaczęła. Bezbrak, historycznych reakcji należy przyjąć, że postmodernizm jest również „nazywającym wyświeconym”, w którym przypada nam być, gdyż każdy inny nie będzie nam już na tej ziemi dany” (s. 100).*

„Ethos”. Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II – Lublin / Fundacji Jana Pawła II – Rzym, nr 1-2 (33-34) 1996. Tytuł oryginału: *Ethos postmodernizmu*, ss. 372.

Książki nadesłane

Wydawca PAX

Emest Bryll: *Kto chce znać świat: Wybór i posłowie W. Smaczek*, Warszawa 1996, ss. 168.

Jan Lecho: *Anioł polskiej doliny. Wybór i posłowie W. Smaczek*, Warszawa 1996, ss. 168.

Jerry Liebert: *Poezje wybrane. Wybór i posłowie W. Smaczek*, Warszawa 1996, ss. 208.

Zdzisław Łątkowski: *Gwiazdozbiór. Wybór i posłowie W. Smaczek*, Warszawa 1996, ss. 136.

Stanisław Borda: *Przyjaźń nad Heczugą. Współwydawca Fundacja Kultury i Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Brukseli*, Warszawa 1996, ss. 52.

plastyka

ANDRZEJ BORUCKI

Kilka uwag o polichromiach kościelnych w latach 1889-1939

Polichromia jest dla malarza cudownym zadaniem. Jeżeli niewielki kawałek płótna może zrobić na widzu głębokie wrażenie, to jaką potęgą ognie go całe malowane wnętrza, gdzie barwy i kształty obejmują go ze wszystkich stron, zamknięta w sobie ogromnymi malowanymi wierzchołkami. Z nieodpartą siłą łamią jego opór, przemijają w dążce wyściskują swoją harmonią – albo dysonansem barw i linii, drażnią polichromią złota, zbliżają się, oddalają, rozciągają – albo giną w mrokach... Nawet światło, co tu przenika zabarwione przez szkła witraży, zdaje się sączyć jakiejś mase tajemnicze. Jest to świat cudów i czarodziejstwa¹. „Świat cudów i czarodziejstwa”, kolorowa bajka z błękitu, złota i purpury” czy „sen bajeczny” – jak określali poetycko to zjawisko ówczesni krytycy sztuki – jest w drześniejszej literaturze przedmiotu traktowany marginalnie. Rzadko bowiem mamy okazję spotkać tekst lub materiał ilustracyjny dotyczący polskich polichromii kościelnych końca XIX i pierwszej połowy XX wieku, szczególnie tych powstałych po roku 1918. Sytuacja ta dotyczy również tak sławnych realizacji, jak polichromie Jara Matejki w kościele Mariackim w Krakowie, czy Stanisława Wyspiańskiego w przebrzmiałym i transjencie kościoła Franciszkańskiego. Niewątpliwie kościoły te w wielu reprodukcjach matejkowskie anioły czy nasturcję Wyspiańskiego to załedwie nikiel, choć wspaniałe elementy gigantycznych całosci. Znamy je jednak przezwyciężając z projektów wykonanych akwarel lub pastelem na papierze, czy w technikach zupełnie odmiennych niż w malarstwie ściennym. Detale wielu polichromii potrafią zachwycać niezależnie od właściwego im kontekstu, jakim jest przeobrażenie architektury. Niemniej dla właściwej oceny konieczne jest zobaczenie ich w naturalnej skali i miejscu, do którego zostały przeznaczone. Są jednak i takie projekty, które choć nigdy nie zrealizowane, funkcjonują w historii sztuki i w świadomości kulturowej, przyciemniając olbrzymie polacie malowideł wykonanych ręką tego samego artysty. Dobrym przykładem takiego paradoksu jest Józef Mehoffer i jego niemal nie zau-

¹ Elżbieta Niewiadomska: *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*, Warszawa 1926, s. 289-190.

² Henryk Zbierzchowski: *Kolorowa bajka z błękitu, złota i purpury*, „Kurier Literacko-Naukowy”, dodatek do IKC, 1930, nr 51, s. III-IV.

³ Stanisław Witkiewicz: *Matyko*, Lwów 1908, s. 256.

ważone prace w Turku, Konina (1933-39) obejmujące oprócz polichromii obrazy sztalagowe, witraże oraz obraz i sprzęty. Pomimo to do najbardziej znanych jego dzieł sztuki kościelnej należy anioł z kartonu do polichromii katedry plockiej (1903). Polichromii tej – pomimo zwycięstwa w konkursie – Mehoffler nigdy nie wykonał, o czym zdecydowała ich zełcedniadawców nawiązania do renesansowego charakteru świątyni. Ku oburzeniu środowisk artystycznych Krakowa i Warszawy prace te



Stanisław Wyspiański, Słup, pln. dzieła tynktura kościoła Franciszkańskiego w Krakowie (1915)
Fot. Andrzej Doracki

powierzono Władysławowi Dąpińskiemu, absolwentowi niemieckiej szkoły malarstwa religijnego w Kevelaer i Akademii Julian w Paryżu, studiującemu we Włoszech renesansowe malarstwo ścienne.

Najdotkliwsze ciosy zadane zostały Dąpińskiemu przez ówczesnego organizatora życia artystycznego Warszawy, historyka sztuki, malarza i pedagoga Eligiusza Niewiadomskiego. Były to ciosy śmiertelne dla wartości jego dzieła, a dyskredytacja opinia wygłoszona przez Niewiadomskiego na początku stulecia trwa w historii sztuki po dziś dzień. Z kolei strzały oddane do prezydenta Narutowicza skazały na nieślawę nie tylko samego Niewiadomskiego, ale i jego twórczość malarzką. Jedyną polichromią, którą wykonał w kamieńskim kościele św. Barbary (1904-1910), pozostawiona została niszczącemu działaniu czasu, by w latach osiemdziesiątych paść ofiarą nieumiejętnej rekonstrukcji.

Nie zawsze jednak nieznajomość malarstwa ściennego ma tak nieodczuwalne podłoże. Przyczyną bywają najczęściej prozaiczne. Wiele interesujących dzieł znajduje się w miejscowościach położonych z dala od centrów kulturowych, a o popularności wielu kartonów do polichromii,

kosztem ich oryginalnych realizacji, decyduje często łatwa dostępność tych projektów do celów wystawienniczych i wydawniczych. Traktowane są one (szczególnie te z dominującym motywem figuralnym) na równi z obrazami sztalagowymi i zaliczane do tzw. sztuki czystej. Natomiast doskonale projekt motywu niefiguralnych zaliczane są do tzw. sztuki użytkowej (stosowanej). W związku z tym wiele polichromii o przeważnie ornamentalu lub dużych powierzchni barwnych jest w historii malarstwa współczesnego w ogóle niedostrzeganych. Pomijani są również i autorzy, którzy w niewielkim stopniu uprawiali malarstwo sztalagowe. Do ich zaliczyć należy Jana Bukowskiego, autora bardzo interesujących malarzkich dekoracji wnętrz polskich kościołów w pierwszym trzdziestolecu XX wieku.

Czym w takim razie jest polichromia? Słowo to pochodzi z języka greckiego (polychromos – wielobarwny) i określa wielobarwną dekorację ścian budowli, rzeźb, przedmiotów użytkowych lub każdej innej bryły przestrzennej. Jest to pojęcie bardzo szerokie. W przypadku architektury zwykle używa się terminów takich jak: malarstwo ścienne, malarstwo monumentalne, czy często – nietrafnie z technologicznego punktu widzenia – fresk. Terminy te są przydatne przy rozpatrywaniu sztuki renesansu lub baroku, ale stają się zbyt ciasne, by określić złożony charakter zjawiska, które miało miejsce na przełomie XIX i XX wieku. Natomiast już sam termin polichromia skłania do rozważań o warstwie malarzkiej w kontekście jej podobrazu, wobec którego pełni ona rolę bądź to służebną, bądź też dominującą, lub – poronając z nią w równowagę – pozwala na wzajemne podkreślenie walorów kompozycyjnych bryły przestrzennej i baw na jej powierzchni rozłożonych. Wyłania się również tak istotny dla sztuki XX wieku problem prawdy twórcy artystycznego i nieustannie przewijające się w dziejach sztuk wizualnych pytanie o granice autonomii artysty i jego dzieła, o kreowaną przez niego rzeczywistość, o wchodzenie w relacje z twórcami innych dziedzin sztuki poprzez szkanie z nimi wspólnego języka.

Najbardziej skomplikowanym, ale zarazem najbardziej interesującym rodzajem polichromii jest polichromia wnętrza architektury. Oglądający powierzchnię malowidła jest przez nie otoczony ze wszystkich stron. W pozostałych przypadkach widz zawsze znajduje się na zewnątrz dzieła sztuki. O stopniu trudności polichromii wnętrza, zwłaszcza kościelnych, pisało w przedwojennej prasie: *W malarstwie kościelnym to ogólnie wracające się pytanie, do jakiego stopnia przysięga się ogólnemu ornamentacji jest decydujące, do jakiego stopnia przysięga się ogólnemu ornamentacji i malarstwu rozwijającemu dekoracji wnętrza. Treśćą życia tynktury jest istotą wnętrza, przemknąć wszystkie tajemnice stropu, żebrowania, konstrukcji nawy, kaplic, węgłków (sic!), tęczę prezbiterium, balustrad organowej, odważyć nasilenie światła i cieni, refleksów witraży, zdobniczą szkatulatury ołtarzy i ambony, aby znaleźć dla polichromii właściwą ornamentację, właściwe nasycenie tonów barwnych i właściwy styl malarzki*.

Polichromia wnętrza kościelnego nie była jedynie skomplikowanym zagadnieniem kompozycji artystycznej. Stanowiła także poważny problem konserwatorski, gdyż w większości zdołała wnętrza zabytkowe, należące do różnych nurtów architektonicznych, wyposażone ponadto w sprzęty z minionych, często na warstwach się epok stylowych. Szczególnie dwudziestolecie międzywojenne było okresem kryształowania się podstaw współczesnej estyki i estyki konserwatorskiej. Sprzyjało temu powstawanie licznych polichromii kościelnych jak również odkrywanie zabytkowych malarstw. Do najbardziej zasłużonych osób ze środowiska krakowskiego zajmujących się tworzeniem nowych i konserwacji dawnych polichromii należeli zmarły w 1933 r. Józef Makarewicz z rozpozynający w tym czasie swoją działalność Józef Edward Dutkiewicz.

* Henryk Zieliński, op. cit., s. III.

Polichromie w latach 1889-1939 powstawały nie tylko dla świątyń. Zdobily wnętrza rządowych gmachów reprezentacyjnych, urzędów, teatrów, sanatoriów, kawiarni i mieszkań prywatnych. Zdobily budynki współczesne i zabytkowe. Były obiektem zainteresowania zabornów i władz odrodzonego państwa polskiego. Trochę się o nie duchowieństwo, a przede wszystkim pasjonowali się nimi sami artyści. Na



Jan Matejko, polichromia przedstawiająca Janusza w Turku, Konina, 1903-09.
Fot. Andrzej Borecki

polichromie ogłaszano liczne konkursy, wydawano rządowe rozporządzenia, biskupi pisali oświadczenia, artyści i krytycy sztuki tworzyli ostre polemiki lub prowadzili teoretyczne rozważania. Na łamach prasy jedno polichromie stawały się przedmiotem skandalu, inne natomiast urastały do narodowej świętości. Nikt nie pozostawał obojętny. Wszystkim zależało na zintegrowaniu sztuk (architektury, malarstwa, rzeźby i rzemiosła artystycznego) w jednobieżniącą całość wyrażającą ducha epoki modernizmu,

jego poczucie piękna, jego aspiracje społeczne, idee narodowe czy wartości moralne lub religijne.

To nieospokowane wcześniej zainteresowanie polichromią, zawdzięczać należy przede wszystkim człowiekowi, który jak go określił Andrzej Ryszewicz: *wyrzucił sobie w polichromie pojęcie niezwykle, jakiego nie miał żaden inny malarz nigdzie i nigdy*¹. Tym człowiekiem był Jan Matejko. Jest on autorem tylko jednej polichromii kościelnej, a mianowicie wnętrza bazyliki Mariackiej w Krakowie (1889-91). Rozgłos temu dziełu nadała niewątpliwie sama osoba autora, jak i wnętrze, w którym ono powstało. I tak jak architektura mariackiej świątyni, również polichromia Matejki była cytowana w wielu kościołach na wiele sposobów. Oro we wnętrzu zrezygnowanej pod koniec XIX wieku katedry wrocławskiej znajduje się polichromia odmienna w stylizacji szczegółów, ale powtarzająca niemal dosłownie cały układ kompozycyjny matejkowskiej dekoracji malarzkiej (Zdzisław i Stanisław Jasniński i Apoloniusz Kędziński 1900-02). Natomiast w prezbiterium niewielkiego, neogotyckiego kościoła w Sobieszynie k. Ryka, polichromia ma odmienną od matejkowskiej kompozycję, niemniej w namalowanych po obu stronach ołtarza głównego postaciach rozpoznać można bez trudu kopie muzykujących aniołów Matejki (prawdopodobnie Józef Buchbinder, przed 1909).

Jednak nie przejawy kultowego traktowania dzieł Matejki stanowią o randze artystycznej jego polichromii. Istotną wartość tego dzieła polega na tym, że nie naśladuje ono żadnych innych dzieł sztuki plastycznej. Nie imituje przestrzennych konstrukcji architektonicznych, zawieszonych tkanin dekoracyjnych lub rzeźb, tak jak unienimowe dzieło z tego okresu w Grodzku k. Konina. Nie naśladuje również średnio-wiecznych technik malarstwa tablicowego, jak polichromia wg koncepcji Władysława Łuszczkiewicza w kaplicy Matki Boskiej Bolesnej u franciszkanów w Krakowie (wykonawcami jej byli Stefan Matejko i Piotr Nitziński, 1897). Nie ukazuje postaci w trójwymiarowej przestrzeni. Nie stosuje do ich ukazania renesansowej perspektywy w centralnej czy barokowego iluzjonizmu. Malarstwo to jest dwuwymiarowe. Rolę trzeciego wymiaru pełni przestrzeń wnętrza architektury wraz z jej realną perspektywą. Postać ponadto podporządkowana całej kompozycji malarzkiej i nie jest w niej elementem dominującym, ale równorzędnym z barwą i ozdobieniem na zdobionej powierzchni. System ten rozwinięty został w późniejszych polichromiach tzw. „szkoły krakowskiej” oraz w całym malarstwie młodo-polskim. I chociaż nie zawsze bezpośrednim źródłem inspiracji było dzieło Matejki w kościele Mariackim, to otworzyło ono szeroko drzwi polskich kościołów do pokolenia, którego czołowi przedstawiciele (tacy jak Wyspiański, Mehoffer czy Tetmajer) stawiali swoje pierwsze artystyczne kroki na rusztowaniach kościoła Najświętszej Panny Marii w Krakowie. Spełniona została teźnia Cypriana Kamila Norwida wyrażona w *Promethidionie* (1851) – poetyckim traktacie estetycznym, będącym programowym tekstem dla artystów poszukujących stylu i narodowego w plastyce:

*O! gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby jak polski ten, wielkości takiej,
Gdzie by się polski duch raz wyłomaczył,
Uymbolizmił rozkwitłeni znaki,
Gdzie by kamieniarz, cieśla, malarz, synce,
Poeta – wreszcie Męczennik i rycerz
Od-począł w pracy, czynie i modlitwie.*

Polichromia wnętrza kościelnego została włączona, dzięki Matejce i jego uczniom, do cyrkulacji idei piękna (*Promethidion*, Epilog, XVIII). Na rusztowaniach kościoła Mariackiego zrodziła się koncepcja polskiej

¹ Andrzej Ryszewicz: *Malarstwo polskie. Romanizm, historyzm, realizm*. Warszawa 1989, s. 281.

zrzuł dekoracyjnej, oparta na interpretacji różnorodnych wzorów ornamentalnych, systemów zdobniczych i konstrukcyjnych, która swego apogium osiągnęła w dwadzieściolecie międzywojennym. Świadczeniem uznania o polskich osiągnięciach – w szczególności środowiska krakowskiego – był sukces odniesiony w 1925 roku na międzynarodowym Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu. Polacy zdobyli tam 172 nagrody i wyróżnienia, w tym: 33 Grand Prix, 32 dyplomy honorowe, 43 złote medale, 42 srebrne medale i 10, na 307 wystawianych. Grand Prix w kategorii malarstwa zdobył architekt i dekorator Stanisław Jankowski. Stanisław Jankowski, jeden z czołowych przedstawicieli dwadzieściolecia międzywojennego ślący Pawłowi Polakowi na wystawie. Grand Prix i medalami odznaczono także Państwową Szkołę Przemysłu Artystycznego w Krakowie, zaszczoną nie tylko dla polskiej sztuki dekoracyjnej.



Elżbieta Narwińska, fragm. polichromii parafianem kościoła św. Bartłomieja w Kozminie (1904-1910).
Fot. Andrzej Borecki

ale również dla polskiej polichromii kościelnej. Po zakończeniu II wojny światowej szkoła ta została zreorganizowana. Zlikwidowano Wydział Specjalny Malarstwa Dekoracyjnego i Rzeźby Dekoracyjnej, z którego utworzono Studium Konserwacji Zabytków Malarstwa i Rzeźby, załączek późniejszego Wydziału Konserwacji Dział Sztuki krakowskiej ASP.

Do pierwszych etapów podjętych przez studium należało odwołanie się po lechoni marickiej Jana Matejki i policzoni Stanisława Wyspiańskiego w kościele on. Franciszkanów w Krakowie. Z policzoniemi wnetz kościelną lat 1889-1939 wiąże się bowiem jeszcze jedno istotne dla artystów zagadnienie, a mianowicie konieczność poznania skomplikowanych procesów technologicznych umożliwiających nadanie trwałości dziełom. Ilustracyjne okazało się mniemanie, że wytrzymałość podłoża decyduje o istnieniu malowidła. Niejednolita struktura murów kościelnych oraz zmiany temperatury i gwałtownie zmienne wilgotności sprawiły, że wiele policzoni z tego okresu „nie przetrwały” swych autorów.

Andrzej Bornicki

LECHOSŁAW LAMENSKI

Wschodni Salon Sztuki po raz czwarty

W piątek 13 lipca 1994 roku, około 17, pod murami Zamku Lubelskiego zrobiło się tłoczno. Wszystkie miejsca parkingowe były zajęte, a rzadko spotykane taksówki podjechały do sali na II piętrze, aby uczynić życie uczestnikom wygodnym. Wernisaż otwierał zespół historyczny, zalewający salę wołoskiego Salomona Stulca, zorganizowanego w 60. rocznicę odzyskania przez Lubelski oddział ZPAF. Były więc plomienie przemienienia, walki, odnalezienia i nagrody, kwiaty, tradycyjna lampka wina, długie i serdeczne rozmowy oraz coraz gęstsze – z minuty na minutę – wręcz zalewające oddech rozgazne powietrze. To ono szybko przeobraziło szereg innych wyjątków – w galerii widów. Człowiek zresztą nie było wiele, ponieważ o 18 w Galerii W. Salomona BWA, a o 19 w Galerii Vetter oczekiwano na znakomitych malowników i rzeźbiarzy: plastyki lubelskiej części wspólnoty Salomona; malownictwo i rzeźbę, a także grafika i rysunek (w Galerii Vetter). Oficjalny widokówkę ludów i artystów, a także znakomity przekłanianie o dobrze spełnionym obowiązku, zarówno wśród organizatorów, jak i znacznej części zwiedzających wernisaż.

Tak naprawdę obejrzałem Salon dopiero kilka dni później, kiedy sale wystawowe były już puste i ciche. Na pierwszy rzut oka trzy części Salonu robią pozytywne wrażenie, tak rozmachem, różnorodnością postaw twórczych jak i wysoki poziom artystycznym wielu prac. Dopiero bliższe spojrzenie na ekspozycję dzieł sztuki, lektura katalogu, namawia różne pytania i budzi wątpliwości, na które nie można znaleźć sensownej odpowiedzi.

Część pierwsza – historyczna, najbliższa memu sercu, wydaje się być najbardziej prawdziwa, bo obrazów jakich przypadało, niekiedy wręcz niewyobrażalnie wiele, obmyślałem. Na doświadczenia, które inwazyjnie wystąpiły, obejmuję wyłącznie część współczesną (sic!). Dlaczego nie uwzględniłem w nim artystów już nieżyjących, m. in. tych, którzy zakładali przedsięwzięcia z okazji na temat ZPAP w Lublinie, trudno zrozumieć. Czy nie zasłyszeli sobie na dwa – czy Salomę Takod, zapamiętanie, bo przecież za miesiąc – nagleś za zapał – jako Salomę przodkinię do historii, pozostanie po nim jedynie niekompletny katalog, może kilka recenzji i zapewne jakiś tekst w lokalnej telewizji. Za kilka miesięcy, a tym bardziej lat, już nikt nie będzie pamiętać, jaki obraz jakiegokolwiek pokazano w Muzeum Lubelskim na ZPAP. Do tego, dzieła artystów nieustorów potraktowano najgorzej: jak tylko można było, wyczyścili z ekspozycji, stając się, stając się, bez stosownego odwołania, przesłanki. Czyżby w reorganizowanym właśnie muzeum nie można było znaleźć odpowiedniej sali, godnej 60-lecia ZPAP? Trwając na Zambie remont może być tylko częściowym i nieprzewidywalnym.

Po drugie, wybór obrazów stanowiwo nierówny, tak jakby komisarzowi dziełu zabrakło chęci i – zapewne – pieniędzy na przeprowadzenie pełnej kwerendy. W efekcie oparto się – jak się można domyślić – na obrazach pochodzących w dużej mierze ze zbiorów muzeum. Niestety, przy ogrom-

nej większości prac nie ma informacji, skąd je wzięto, zaledwie na kilku napisano, że stanowią własność tej czy innej osoby lub instytucji. A szkoda, bo przecież w samym Lublinie można znaleźć w prywatnych zbiorach sporo podobnych obrazów, może nawet lepszych od tych, które zgromadzone w sali na węgórzu zamkowym. Nieodbrze się również stało, że niemal przy każdym z obrazów nie figuruje data jego powstania. Nie wiemy również, w jakich latach żył Zygmunt Gasiotowski i Anna Świrniska, ani kiedy umarł Krystyn Henryk Wierciński. Z kolei w przypadku Antoniego Michalaka wznawcy może dostać palpaciami czytać, że artysta urodził się w 1893 roku, podczas gdy na eksponowanym też obok „Portrecie ślepcy z dzieciną” wisi karteczka, iż nastąpiło to w 1899 roku. Tymczasem na ostatniej wystawie pismnierni Antoniego Michalaka (Muzeum Nadwiślańskie, maj-październik 1995) można było dowiedzieć się, że artysta urodził się w 1902 roku!

Wystawa na Zamku wczyniowała mi ponadto (po raz kolejny zresztą), że w Lublinie i na Lubelszczyźnie żyło i tworzyło zarówno w XIX, jak i w I poł. XX wieku naprawdę wielu bardzo ciekawych i godnych zapamiętania artystów. Szkoda więc, że – z różnych powodów – większość z nich nie doczekała się (jak na razie) retrospektywnych wystaw ani najskromniejszych chociażby opracowań o charakterze monograficznym. Ahy! czy o nich nie zapomnieli do końca, wymieniając wszystkich tych, dla których zabrakło miejsca w katalogu: Józef Abramowicz, Lucja Bałuckiewicz, Zygmunt Bartkiewicz, Jan Bobolowski, Witold Boguski, Stanisław Brodzicki, Adam Dremont, Stefan Dykowski, Tytus Dzieduszycki, Władysław Filipiak, Zygmunt Gasiotowski, Józef Głuszcy, Jan Kamiński, Zenon Komonowicz (jako autor aż sześciu plików, w tym zastanawiającego obrazu „Apostołowie”), Teofil Wiktor Kosiorkiewicz, Juliusz i Krystyna Korąbkowscy, Jarosław Łukowski, Antoni Michalak, Janina Milosława (bezspornie znacznie lepsza od obrazów artystki z cyklu artystycznego niż malarz), Edward Nadolski, Jarosław Olejnik, Witold Opiński, Eugeniusz Pol, Jan Poppek, Marian Stełmacz, Anna Świrniska, Stanisław Świradski, Konrad Szarowski, Henryk Szulc, Tadeusz Śliwowski (autor ciekawego, malutkiego obrazu „Domki” i bardzo niedobrego, ogromnego płótna „Brama Krakowska”), Aleksandra Wachmiewska, Eugeniusz Waleziński (jak zawsze skromny, o dziecku kultury plastycznej twórcy martwych natur), Karol Westfal, Krystyn Henryk Wierciński, Kazimierz Wierziński, Jan Ziemiński (reprezentowany przez trzy kompozycje, w tym dwa bardzo interesujące obrazy utrzymane w błękitach), Henryk Zwiakowski i Przemysław Zwoliński (Michał Sadleir).

Zdecydowanie bardziej klarowna sytuacja charakteryzuje część współczesnej Sali. Tutaj pokazano prace wybrane przez samych artystów. Kto, jak nam twierdzi, nie co warto pokazać, czym się pochwalił przed wymagającą publicznością i krytykami. Tymczasem wiele z kompozycji – głównie malarskich zgromadzonych w dwóch salach Galerii Starej BWA – wręcz ociera się o kiez i tamte, zwłaszcza jeśli chodzi o formę i narrację plastyczną. Ogromny rozmiar jakichś, od kompozycji zdecydowanie słabych, po bardzo ciekawe (jak chociażby wystrójmyjące wnętrze ciastu obrazy Ryszarda Lisa), powoduje prawdziwy zawrót głowy, budzi mieszane uczucia. Trudno jednak za ten sam rzecz obciążać organizatorów wystawy – jest to raczej świadectwo samowładności lubelskiego środowiska plastycznego.

Znacznie spokojniej, bardziej spójnie prezentują się rysunki i ryciny grafiki, pokazane w kumeralnej Galerii Vetter. Drzeworyty, linoryty, lito-

grafie oraz kompozycje powstałe na bazie technik metalowych, reprezentują rzeczywistość wysoki poziom, choć – może to złudzenie – sala na poddaszu wydaje się być do pewnego stopnia sala hutarska, w której odbywają się prace zastanawiające do siebie podobne, powstałe w tym samym duchu, charakterze, sposobie rozwiązań formalnych.

Jak już wspominałem, część współczesnej Saliu towarzyszy katalog. Podobnie jak katalogi trzech poprzednich edycji Saliu, także i obecny wydany został w starannej i efektownej szacie graficznej, na dobrym papierze, z kolorowymi ilustracjami, słowem występowo i kalendarium Związku. Pozornie wszystko więc jest w jak najlepszym porządku. Ale dlaczego kalendarium rozpoczyna się na roku 1901, czyli Związek miał już nie 60 a 95 lat? Dlaczego w katalogu nie ma pełnego wykazu wszystkich prac pokazanych w BWA i w Galerii Vetter, nie mówię: już z okazji historycznej na Zambu? Są natomiast wymienione prace i to łącznie z fotografiami – których na próżno by szukać w salach wystawowych. W kategoriach zupełnego kuriozum odbieram obecność w katalogu artystów, którzy ostatnio na Saliu nie na znaleźli się (m. in. Krystyna Bagirska, Andrzej Bartoszek, Andrzej Kapica, Grażyna Misiąg, Zbigniew Mrozek, Małgorzata Oboc czy Marek Piątkowski). Tymczasem katalog tego typu (nazwamy metal – na początku – albumem, a na końcu – przy liście artystów – katalogiem) powinien zawierać wszystkie niezbędne dane dotyczące wyłącznie – powtarzam wyłącznie – tych artystów i ich dzieł, które zgromadzone na wystawie. Dodatkowo na skutek niezgrabnej korektora w drukarni, niektóre reprodukcje prac odwrócono (np. linoryt Barbary Szepczak, rysografię Andrzeja Antoniego Widelskiego), inne umieszczono do góry nogami (np. serigrafie Alicji Suchi), a że zdecydowanie pismionego płótna Dariusza Chęłajki „Moje niepokój” zrobiono łatwy prostokąt, podobnie jak z kompozycji Krystyny Rudkiej: Przycuchy z cyklu „Snurowanie”. Ponadto kilku rycinom, z natury swej czarno-białym, dodano kolor. Tak postąpiono z lityrami Krzysztofa Szymonowicza „Rozmowa ze sobą”, olejami Janu Thaczek „Kłacz” czy lityrami Grzegorza Dobiesława Mazurka „39 marzenie”.

A więc jak był ten Salon, dobry czy zły? Wari obierania, czy można o nim spokojnie powiedzieć nie żałując, iż nie odbył się spaceru w chłodny dzień na węgórze zamkowe, do BWA oraz na ul. Bernardyńska do Galerii Vetter? Zapewne w jakiejś stopniu reprezentywny, ale przecież trzeba mieć świadomość, że choć w czwartym Salonie uczestniczyło ponad stu członków Oddziału, to jednak zabrakło co najmniej paru ciekawych i ważnych twórców, nie pokazano wszystkich tendencji i fascynacji obecnych na co dzień w salach BWA. Niemniej, to co ujrzyliśmy, mówi dość wiele o środowisku, zarówno o jego sile jak i słabościach. Omawiane przedsięwzięcie wydaje się być mogło całkiem sympatycznym, jeśli rozpatrywać je w kategoriach sentymentalno-wspomnieniowych, a nie jako próbę kompleksowej, monograficznej prezentacji lubelskiego środowiska.

Żałuję, że nie udało się połączyć wczelnego werniszu z promocją książki poświęconej historii Związku, książki która – mam nadzieję – ukaze się jeszcze przed końcem jubileuszowego lata lubelskiego ZPAP 1996 roku. Może wówczas wrażenia wywołane z ekspozycji uzupełnione zostaną lekturą tekstów o charakterze faktograficznym i interdyscyplinarnym, a wątpliwości – przynajmniej po części – zostaną rozwiązane.

Lechosław Lamek

Naturalne predyspozycje psychofizyczne uczyniły już pierwsze próby nad wyraz łatwymi. Dobra prezencja, ale przede wszystkim znakomite prowadzenie frazy poetyckiej, odpowiedni tembr głosu, imponująca rozróżnłość jego tonów, nasilenie, barwę; umiejętność scalania słów w onomatopiejnie zadźwięczy – tak, by nie zagubił żartu! nieco semantyki – pozwoliły na konstruowanie wybitnych ról. Mijające lata wzbogacały galerię postaci. W teatrze zwyciężył plan powstał: Bolesław Smiły, Gustaw Konrad, poeta, Iwanow, Puszkini; w teatrze telewizji: Dymitr Karaszewski, Mazepa; w filmie: Antek Boryna, Norwid. Także wielość angażu sprowadzała teatralnym poszukiwaniom. Praca w warszawskich teatrach: Polskim, Dramatycznym, Rozmaitości; podróże do Katowic, by objąć dyrektora Teatru Śląskiego, wyjazd do Lublina i kierowanie Teatrem im. J. Osterwy – potwierdza przypominany chętnie przez aktora paradoks „najpewniejsze są zmiany” (Wilde).

Artysta podkreśla konieczność teatralnych peregrinacji – wskazuje, że właśnie przeobrażanie emplot i swoboda w przechodzeniu z konwencji w konwencję gwarantują świadomości dobrze wykonanej pracy. *Dzięki tym zmianom grałem wszystko, co można sobie wymyślić. Ciekawe, że pewne sztuki – te, do których miałem sentyment – powracają. Bolesław Śmiłygo, Mazepę przesyłałem w różnych rozwiązaniach i w telewizji, i w teatrze. W „Szkłanej menażerii” T. Williamsa u Jerzego Antkiewicza grałem Jima, u Izabeli Cywińskiej Toma, kiedyś grałem Tartuffe’a, a teraz jestem Orgonem.*

Teatr stawia wszechstronne możliwości zawodowego spełnienia, toteż Gogolewski oprócz zadań aktorskich przyjmował obowiązki reżyserskie i dyrektora teatru. Dziś, z perspektywy minionych lat, potrafi jednak właściwie ocenić znaczenie własnych osiągnięć. *Aktorstwo jest podstawa! W tej chwili – przesyłam się – gdyby padały okazjonalne propozycje, to i tak pozostałbym przy tym zawodzie. To najlepiej umiem, to przynosi ogromną satysfakcję. Zaczynam jednak: nie lubię pozostałości poczyniać.*

Ignacy Gogolewski pobyt w Lublinie lat osiemdziesięciu wspomina ciepło zaznaczając, że miasto pozostało do dziś prężnym ośrodkiem teatralnym. Z wydziały scenicznymi chętnie wraça pamięcią do *Iwanowa* A. Czechowa w opraciu plastycznym Leszka Mądrzaka i *Maskarady* J. Iwaszkiewicza, z majsterstwy scenicznego scenograficznego Mariana Koldziejca. Nieco emocji wywołuje cofnięcie myśli do premiery *Weneła*, która odbyła się w ramach koncertowych obchodów 40-lecia polskiego teatru.

*Otworem, jubileusz budził pewne sprzeczności. Nie pojmoszono, że w 1984 osiemdziesiąt lat przypomnieli, że czterdziestą lat temu zaistniał w Lublinie pierwszy po wojnie teatr. To rocznicę uczciliśmy. Dla moich profesorów. W historycznym przedstawienu „Weseła” Ryszarda Hanina, Jan Swiderski, Jan Kreczmar, Czesław Wołłejko. To byli ludzie, którzy tworzyli powojenny teatr. Wystawiając „Wesele” zachowałem nawet historyczną godzinę rozpoczęcia spektaklu 14.30. A w środowisku były dąpy! O czym to mówić... Jestem ucieczką w stosunku do moich profesorów, jestem ucieczką w stosunku do tradycji. Miałem to zrobić. Porzucając dygresje o przeszłości warto wspomnieć ostatnie role Gogolewskiego w Teatrze Polskim. To Orgon w *Tartuffie* czyli *Obłudniku* Moliere’a (reż. Jan Bratkowski), Przybysz w Szczególnym wydzorzeniu S. Mrożka (reż. Kazimierz Dejmek), *On w Kreszach* E. Ionesco (reż. Maciej Prus) – i choć są to postaci odmiennie od Kordianów, znów stworzył Gogolewski kreację potwierdzającą szerokość skali aktorskich możliwości.*

W *Kreskach* aktor, karmie skomponowany w ramy absurdu, imperatywem poszukiwań uczynił teksty – stał pełnią władzy nad własnym ciałem, głosem, emocjami. Już w pierwszych momentach spektaklu drażnił apatyczność postaci. Niezwiązujący starcejskiej maski, bezczar bądź koflawość i flamażnarskość gestu budzą niechęć – bo Ignacy Gogolewski nie boi się tropić siebie z przyszości, chce epatować starość. Interesujący zwrot w konstrukcji roli przynosi następne sceny. Starzec stopniowo, przyjmując narzuconą przez żonę intensjonalną grę, zamierzając się w konwen-

cji, traci zramolenie, aktywizuje się, wręcz młodziennie. Zabawa staje się idea, która czyni cuda – i to na scenie widu. Nowy rytm słów i kroków, którymi przemierza pole gry, taseząc coraz to nowe kresła, burzy senną refleksyjność pierwszych scen. Umiar w operowaniu teatralnym efektem jest miernikiem doskonałości.

Naturalist nie wągił w okazję do „pogrania” daje rola w komedii Moliere’a. Orgon Gogolewskiego – w trybach ascetyczny do granic napaśdy, w dialogach ekspresywny i pełen siły wyrazu, popadający raz po raz w patos, do znów balansujący na krawędzi błaznady – jest bardzo prawdopodobny. Nadepty, tępy, zadufany w sobie, bałwochwalczy w adoracji Tartuffe’a i jest także dziecinie emocjonalny – przez co sympatyczny. Ostro obrazowość detalu (mimika, nerwowe skurcze palców) potęgają komizm postaci. Bardzo inimizujący w stosunku do Dorny i Marianne traci nieco w kluczowym dla komedii momencie zdemaskowania dwulicowego poboznista. W moim odczuciu nie wygrało rozczarowanie oszukanego biedaka – być może celowo, by za chwilę nadać postaci prawdziwie dramatyczny wymiar. Świadomość ucyzioniej darowizny, obawa przed ujawnieniem kompromitującego depozytu zmieniają wizerunek Orgona. Obolaby, wyekscytowany, z twarzą starca, zmordowanego życiem naiwniaka budzi współczucie.

Ciekawie wypadła rola Przybysza. Jego kaboptykische pozy, trafnie opatrzone nerwowo wibrującym głosem, od pierwszych scen przykuwają uwagę. Dwulicowość postaci (jest zabawny i żalostny, przepłakał się i beznadziejny) sprawia, że często właśnie dzięki niemu nasz umień chętnie przyla się z odczuciem grozy. W pierwszych sekwencjach widzimy, jak w paradoksalnej konfiguracji naiwna wyobraźnia bohatera przeplata się z cynizną przysiężnością. Powspieramy w absurd, do dzięki dobremu aktorstwu wierzymy w naturalność. Przybysza rozgarniętowanego szansa na spełnienie marzenia. Kilka scen dalej to dystans wobec znikomego świata staje się wyróżnikiem postaci. Strój piastunki i monotone kołysanie wózka z przenajężym niemowlęciem godzą Przybysza z niedorzecznością sytuacji. Zwraca uwagę umiejętność ekspozowania drobnych szczegółów w kostiumie – muskanie ręką nonchalancie przewieszzonego szala czy narzuśwanie nocnej szlafmycy wzbogaca rysunek postaci. To wcielenie także warto zobaczyć.

Ignacy Gogolewski odznacza się od teatralnych marzeń. Twierdzi, że zakusy na pierwszoplanowość role są często wynikiem niezdrowych apetytów, chorobliwych ambicji. Dziś jest aktorem zdystansowanym do wykonywanego zawodu – cierpliwie odczuje na propozycję. I oby, ku radości widzów, było ich jak najwięcej.

Małgorzata Olewniaka

które w tym czasie byłoby pełną senzacją. Do realizacji tego spektaklu przystąpił: Zofia Wierchowicz jako scenograf (*Maciej*), Praca jako reżyser, a Henryk Talar miał zagrać główną rolę męską (*śmierć* męga). Na zagraniu w Grzegorzewsku). Oczekiwany dyrektor departamentu ministerstwa zdołał mi się znaleźć, tłumacząc, że nie możemy narzucić się Francuzom popierającą Adygeńczyka. Mójemu władze nie potrafiły mię obronić. Wrócił więc na kula do mojego miasta Gdelska.

W latach 1976-1983 kierowałem Teatrem im. W. Horczy w Toruniu. Przyznawał, że jechał tam z pewnym niepokojem, gdyż uważał, że w Toruniu nie uskuteczalono się szerzej zaplecze teatralne, że kolejne przedstawienia przygotowywano niejako z obowiązku, nie martwiąc się o ich społeczny odbiór. Jednakże po kilkuletnim doświadczeniach zmienił zdanie. *Niewykluczone* autorstwa Torunia, silnie środowisko uniwersyteckie, plastyczne oraz ogromna czołowa z Bydgoszczą bardzo mię dopinguwały.

Natomiast miał krytyczny stosunek do popularnych składów Festiwalu Polski Północnej. Sądzili, że konkurs w Toruniu należy poprzedzić wspólną selekcją, po czym trafiły się niewyłąbi. Pochwalił kiedyś dyrektora teatru odeskiańskiego, Krzysztofa Rucińskiego, że to, to, które jest sankcjonacją oceną, w ogóle nie wieszadał w festiwalu.

W ciągu następnych lat Okopiński nadal odwołując publiczność toruńską, zgodnie ze swoją zasadą dostarczając jej sztuk klasycznych i współczesnych – polskich i zagranicznych. Wystawiał Szekspira i Majakovskiego, Bogusławskiego, Niemcewicza i Składowskiego, Iwazkiewicza, Mrozkę i Rymskiewicza. O tych latach tak pisał Jerzy Gutarowski. *W tym czasie teatr toruński potoczył się moim i pomógł mi się wrecz dwójką przedmiotów. Takie ich pozycje.*

Okopiński jeździł i reżyserował gościnnie: m.in. w rodzinnym Lublinie wystawił *Pierwszy dzień wolności* Kruczkowskiego (1959), tę samą sztukę wyreżyserował w Krakowie w Sławnym Teatrze (1976), w Szczecinie Angoń Sofoklesa, w Elblągu *Powrót* polski Niemcewicza, w Łodzi *Zapomnieli* o Horacjuszu Gorina (1976) i *Anna Christie* O'Neill (1983), w Teatrze Współczesnym Czego nie widzi Przytu (1988) i *Edytkę* Rity Russell, a Białym-Białym, poza wspomnianymi *Kowczem*, *Sulbierskiego* Żeromskiego. Przygotował także kilka spektakli dla telewizji gdańskiej, a w 1984 r. Został w Gdańsku kierownikiem Centrum Edukacji Teatralnej Dzieci i Młodzieży.

Lata siedemdziesiąte – to bardzo intensywny okres szerzenia kultury polskiej przez Okopińskiego za granicą. W Rostoku dał przedstawienie *Pierwszy dzień wolności* Kruczkowskiego, w Pradze (Bulgaria), przedstawie *Dawny i hazardowy* Freyda, na Węgrzech *Czarna* męga Mrozkę i Zygmunta Jendrzejewskiego, kilka premier wyreżyserował w Czechach, m.in. w Cieszyńsku *Czekam* Piusa Szmalawskiego. Te same sztuki przedstawił w Leningradzie, a w Moskiewskim Artystycznym Teatrze Akademickim (MCHAT) znów *Pierwszy dzień wolności* Kruczkowskiego.

Mniej się pamięta, że Okopiński był także reżyserem operowym. Wystawił m.in. *Kosiele* Igora Boreddi, *Przekazanie* Verdiego i *nieśmiertelny* Hołkę Moniuszki, najpierw w Wrocławiu, a następnie w 1975 r. w Tokio. Też najsłynniejszą rolę została obświadczone polskimi śpiewakami, pozostałe – grał Japończycy. Tokijska Orkiestra Symfoniczna dyrygował Antoni Wit. Japończykom bardzo podobał się polski folklor, także treści opery, które bez trudu zrozumieć, wskazywał i chęta, dwa odrębne światy, istniały i w Japonii. Operę nagryła telewizja japońska, austriacka i Singapur.

W 1985 r. Okopiński stanął przed trudną decyzją. Władze polityczne nalegały bardzo mocno, aby objął dyrektora Teatru Rzeczypospolitej oraz Teatru Dramatycznego. Marek, którego Warszawa nigdy nie poślagała, głównie z powodu zbyt dużego rozpraszania energii i czasu na czynności nie związane z pracą artystyczną, początkowo odmówił, tym bardziej że właśnie stał się o pracę w Teatrze Nowym w Łodzi. Ostatecznie jednak propozycję warszawską przyjął. Pamiętam, że byłem zaskoczony. Opinia publiczna świata kultury popierała wówczas bojkot sceny polskiej jako forma protestu przeciwko stalinizmowi i różnym wyrażeniom systemu, wobec środowisk opozycyjnych. Jednakże na decyzję Marka nie można byłoby na wyraz jego oportunizmu czy karieryzmu. Karieryzmem nie był. Na duży szacunek – uważał – stracił tak go do edukacji narodowej społeczeństwa, a także prowadzi do marnowania talentów artystycznych, a przez to popchnięcia się swego

rodzaju grzech zaniechania. Liczył ponadto, że Teatr Rzeczypospolitej umożliwił prezentację bardziej wartościowych przedstawień z tw. terenu. Właśnie on był jak najbardziej świadomy tego, że prawdziwie żyć teatralnie nie kończy się na stołach. To było jego życie i intencje, które, chociaż były nie podzielane, należały uznawać i uwarzyć w ich czystości. Rzeczywiście, Okopiński miał przeciwko sobie zdecydowaną większość opinii publicznej, dostrzegającą w strachu ludzi sobie zdecydowanie, chociaż słusznie – postępną obojętność. Z drugiej strony należało widzieć trudności stwarzanych mu także przez władze, gdyż nadal chciał być niezależny. Ostatecznie, jak sam przyznał, przegrał i przez długi czas „kurował się” z tego. W Warszawie – zwierzał się innym razem – „napoślałem nie mur betonowy, lecz ścianę z gipsu, ja i się odzyskać jak piłka. Wyszły są na „tę”, ale nikt z nich nie można zaliczyć, przeprowadzić. Wydaje się, że warszawskie lata były najgłębszym niepowodzeniem w życiu Marka.

Marek Okopiński zajmował się także reżyserią telewizyjną, działał w Szkole Teatralnej i Filmowej.

Jeszcze kilka zdań o „filosofii teatru” Okopińskiego. Wychodził od tekstu, chciał przede wszystkim zrozumieć intencje autora, uważał że w żadnym wypadku nie wolno grać „grzebiwo” niemu, stał tak bardzo cenił konsultacje z kierownikami literackimi Teatru. Nie oznaczało to, że reżyser nie powinien szukać nowych środków wyrazu, ale nie w sposób, który, gdyż często intencja bardzo dobre interpretacje, które bez użycia dla kolejnego reżysera, można było z powodzeniem nadawać. Dlatego protestował przeciwko różnym „zawłaszczom inscenizacji”, mającym wykażać wątpliwą wartość oryginalności spektakli. Nie podobał mu się też nowoczesność, gdyż z reguły zagrał „manierą” czy „zmoją”, natomiast cenił się w wymienieniu w krótkim sztuki współczesnych, zaangażowanych, „niepokojących”, z ostrą tonacją, moralną, agresywną, nawiązującą do „dramatów człowieka”. W tekstach szukał głównie ludzkiego doświadczenia.

Drugim koniecznym zadaniem teatru współpracy z aktorami. Nie chciał im narzucać swojej wizji przedstawienia, odwrotnie, czekał na propozycję z ich strony, gdyż aktorzy w jego rozumieniu dopełniali i rozwijali koncepcję sztuki. Zadanie reżysera sprowadzało do funkcji inspiratora, natomiast nie powinien być on – mówić – „dyktatorem i trenerem”. Już w Zielonej Górze wprowadził zwrócić grania prób generalnych przy zaproszonej publiczności. Na całe życie zapamiętała ten zrywca Halina Wiśniewska. Okopiński ten chwyt chwycił, co w dużym stopniu decydowało o sukcesie spektaklu. Bez fałszywego wydołu potrafił się przynajmniej do niezamówionej jakości spraw literackich.

W gdańskich polimiernej audycji radiowej dał wyraz szacunku dla osobistej kultury i profesjonalizmu Okopińskiego. Cenił go za takową współpracę i zaufanie do zespołu aktorów, za partnerskie podejście do każdego z aktorów. „Kulczyca” – jak go nazywano z uwagi na wygląd – dhał o ich dobrą opinię. Z czasem stał się matronem, ale nigdy mentorem. Teatr był dla niego prawdziwym domem.

Bardzo starannie dobierał repertuar, stawiając sobie za cel upowszechnienie kultury teatralnej. Uważał, że należy dokładać starań, aby dotrzeć do różnych grup publiczności, a więc do inteligencji, młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, a także do środowisk mniej wykształconych. Jeżeli teatr miał stanowić rozrywkę, to właśnie był wolał doboru smaku i gustu. *Nie sposób robić teatr dla wszystkich jednocześnie* – mówił – trzeba natomiast dać możliwość wyboru, podążając za różnymi możliwościami, różne rodzaje dramatyzmu, różnych autorów. Jest to nie tylko model organizacyjny, to szeroko pojęta koncepcja kultury z widzem, która publiczność przyjdzie na farsę, inną na tragedię. Ale później i ta, której bardziej odpowiadać sztukę leżącą, może polnąć bacznie i kupi bilety na przedstawienie refleksyjnie. Powtarzał za Hanuszkiewiczem: „Jest dziesięć lat uniwersyteckiego, w którym chcemy zapoznać prób samodzielnego myślenia”.

Na warszawskie Okopiński wrócił do Gdańska, ponieważ w Warszawie, utrzymując żywe i przyjaźnielskie kontakty z dyrektorem Teatru „Wybrzeże” Stanisławem Michałkiem. W dalszym ciągu realizował się w pracy reżyserzyckiej i tak w 1990 z wystawił cieszając się dużym powodzeniem sztukę G. Taboriego *Mein Kampf*.

Rzecz dotyczyła wiedeńskiego okresu Hitlera. Ostatnią inscenizacją w Gdańsku był *Pon Jowiński* Fredry, przygotowany wspólnie z Jerzym Lapińskim, w scenografii Agnieszki Lapińskiej. Premiera odbyła się 1 marca 1992 r. w Teatrze „Wybrzeże”.

Marka interesownie tylko tenat, miał całkiem dobre orientację i n. w. różnych problemach współczesnych i historycznych regionu mazursko-warmińskiego. Podarował mi swój biogram opublikowany w gdańskim programie *Fama Jowialnicka*. Także w Olsztynie wyreżyserował gościnie tenat sztukę i zaprosił mnie z całą rodziną na generalną próbę. Z kolei ja wyreżyzywałem mój dyskusyjny artykuł dotyczący problemu pojednania i porozumienia z Niemcami. Umówiliśmy się na wy-czerpnięcie rozmów na ten temat w września. Nie zdążyliśmy się spotkać. Marek zmarł 11 września 1994 roku. Wówczas, na dwa dni przed jego śmiercią, zabrał z domu rodzinny Łublink, od Gdańska, z którym byłoby go bodajże najkrótszej drogą. Wierzę. Niespokojny, nieustraszonego pielgrzym, wędrujący po szlakach znaczących postapiami swego umiłowanego teatru.

James Lovelock

[illegible]

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Polihymnia”, Lublin

Onudencie dobroć na co dzień, Antologia poezji religijnej, Lublin 1994, ss. 124

Rogusław Michalkiewicz: *Contra opere*. Lublin 1994, ss. 48.

Zofia Nowicka-Wilczek: *Pół wierszem, pół serio*. Lublin 1994, ss. 40.

Piotr Stanisław Mazur: *Chełmowski dla Butejko*. Lublin 1995, ss. 48.

Zbigniew Strzałkowski: *Archiwizacja osobisty*. Lublin 1995, ss. 132

JAN WOJSKI

**Materiały do dziejów teatru
i dramatu emigracyjnego**

Istnieje w Polsce zjawisko zainteresowania, zarówno czytelników jak i badaczy, literaturą emigracyjną, tymczasem teatr i dramaturgia emigracyjna pozostają niemal zupełnie nieznane. Luki starają się wypełnić, choćby częściowo, takie porywy jak *Antologia dramaturgii emigracyjnej 1939-1989. Teatr polski poza krajem*. Ad vocem więc znaczenie ma książka Teatr i dramaturgia polskiej emigracji 1939-1989 pod redakcją Ildy Kiezy, Dobroszy Katarzyny oraz i Jacka Wachowiczego. Powstała ona po spotkaniu twórców emigracyjnych z naukowcami przebiegającym w kraju i poza nim, które odbyło się w Poznaniu półroczną jesienią 1992 roku. Spotkanie to, poza innymi, miało na celu przede wszystkim wypracowanie wspólnego języka, animowania ruchu teatralnego, zwrócenia uwagi na dziedzinę, którą dotychczas, z perspektywy refleksji historyczno-literackiej – poza niewielkimi wyjątkami – właściwie pomijała, a która, wreszcie nie doceniała.

Przyrzeczmy takiego stanu rzeczy są co najmniej dwie. Pierwsza, że sztuki emigracyjne z powodów politycznych rzadko docierały do kraju. Druga – kwestia publikacji. Wiele tekstów istnieje do dziś tylko w formie maszynopisów, często trudno dostępnych, znajdujących się w prywatnych zbiorach.

Za autorytetem literatury emigracyjnej stoją nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Norwida. To właśnie za granicą powstała epopeja narodowa, dramaty i wiersze patriotyczne, z których naród czerpał siłę do walki, które pogłębiały jego samowiedzę.

Drاما i teatr emocyjny XX wieku miały za zadanie dać świadectwo polskiej tradycji (narodowej). W zdecydowanej większości emigracja utrzymywała opinię, że Kłm jest okupowany, a w związku z tym zadaniem tych, którzy chcą się wolnością słowa i myśli, jest podtrzymywanie narodowej tradycji. Teatr starał się kulturowo atmosferę rodzinną ziemi, niezgasił się w nim dźwięk polskiej muzyki. Nie zamysłali się on jednak w repertuarze nieszczęśliwych klasyki. Powstawo również sztuki próbujące ukazać aktualne problemy uchodźców. Dla tak rozumianego teatru charakterystyczne są secesyjne heroizmy – zwłaszcza, gdy soważynię ziołozien na froncie – oraz szafy polski. Funkcjonalno na on uboczny tego, co działo się w krajach osiedlenia autorów i aktorów, głównie w Wielkiej Brytanii.

Strategia dramaturgii opierała się na powtarzaniu znanych schematów, twórcy bowiem mieli poczucie pełnienia misji agitatycznej i dydaktycznej. Używanie takich samych modeli było również nawiązaniem do tradycji XIX-wiecznej, przez co utrwalało zniwersalizowane aktualne doświadczenia. Dramaturgia ta była adresowana do możliwie najszerszych kręgów odbiorców – tych, których świadomość określają bardzo często stereotypy. Wymiar takiego teatru bez obaw nazwać można by ideologicznym. To teatr służebny, w którym powtarzali się powierzchniowe odczytania rzeczywistości, w której często walka o niepodległość – to konflikt dobra ze złem, klasą z stanem kończąca ofiarę.

Z upływem czasu stało się to jednak słabością dramaturgii emigracyjnej, oddalało ją bowiem od wydarzeń bieżących. Przeważał zaczęła nostalgia. A służebność nabierała cech misyjnych.

Z perspektywy dzisiejszego krytyka cała dramaturgia powstająca i grana poza krajem jest przedmiotem zainteresowań co najwyżej historyków literatury, jest świadectwem i zbiorem dokumentów przeszłości. W nowszym odbiorze zaczęto

się i kochają na Górnicy i Mrozi, stał szumnie autorzy książki ich pomijają. Dzięki tak skomponowanemu opracowaniu uzyskujemy obraz codziennego, zwykłego życia teatralnego na obczyźnie. Twórczość zą Górnicyzacji stanowi przykład szczególnego dialogu (zwłaszcza *Słabo*, dialog graniczny, ale i pełni emocyjnego, ani też krajowego. *Interferencja pise* o tym D. Ratajczakowa). W tym kontekście wyrażnie też widzi: stan, w którym polski dramat współczesny rysuje się jako całość rozdzielona na dwie części. W kraju domniawno przekroczenie o niezmienności powstałych po wojnie struktur, na emigracji natomiast wiara w cud, w konieczność przechodzenia i utrwalania postaw „idealnych”

Wielkość szkiców to dokumentacja tego, co w dramacie emigracyjnym działo się między 1919 a 1989 rokiem, to prezentacja sytuacji dramatopisarzy emigracyjnych napotykanego na wiele przeszkód, bowiem nie zawsze udawało mu się sztuki przez siebie napisaną opublikować, a jeszcze rzadziej dochodziło do wystawienia jej na scenie.

Część optująca po czególnie przedstawiała teatralne stanowisko ważnej elementu powstający - dziś czytelnik, nie ogłaszając przedstawia, że może mieć namierzać tego, co dzieło się na scenie. Analizując tekt dramatowi, że pod takim samym procesowi tekt przedstawia, jego oddziaływanie na publiczność. Teatr emigracyjny zamknął się we własnym kraju i kręgi dla siebie tylko czytelnych problemów. Miała też wyraźnie widoczne funkcje terapeutyczne. Oczywiście w nielicznych przypadkach udało się stworzyć tektro w wymiarze uniwersalnym, inscenizacji czytelne dla nie-Polaków oraz takie, które mogą być interesujące dla współczesnego widza teatralnego. Takie woliste ograniczenie było niezbędne, bo zamysłami przed tym, że w kulturze Europejskiej, ciekawe, nowe czy choćby tak mało (zwłaszcza uwagi na ten problem Grombowski). Samoograniczenie to w przypadku dramatu emigracyjnego było w pełni świadomym wyborem.

Książka dzieli się na pięć części. Są to rozdziały zamknięte w uwagach, ale jednocześnie kategorii: świadectwa, prezentacje teatru, zbilansy czy listy i kilka wybranych dramatów, próby portretowania całosci dzieła znaczeniowego autorów. Ostatnia część *W stronę syntez* to podwójny, solidne fundamenty i jednocześnie propozycje wyznaczające przybliż badaczom drogi dalszego postępowania. Taką bowiem rolę ma dla organizatorów i autorów prezentowanych na pokazach spotkań, by pokazać się wzroście o skonstruowanie syntez obejmujących całość dramatu i twórczości w jednym miejscu i czasie, bez podziału na kraj i emigrację, całość obejmującą wspólną przeszłość, bez względu na miejsce zamieszkania i przynależność państwową rodzimą, narodową, światową. Należałoby tylko sobie zastanowić, aby jak najszersze podjęcie zbiorowe – ze względu na ogrom materiału – refleksji dotyczącej roku zero.

Książka jest więc przynajmniej do całościowych spojrzeń, zbiorem wstępnych mišin, ma wyraźny charakter rekonesansowy i ze zrozumiałych względów daleko jej do kompletności. Nie ma w tym nic zaskakującego, skoro dopiero od kilku lat w krajowej świadomości czytelniczej zaczęły istnieć niektóre przynajmniej utwory pojawił się problem dramatu i dramatologii na ogół.

Teatr i dramy polskiej emigracji 1919-1939. Praca zbiorowa pod redakcją Leoddy Kier, Dobrosławy Ratajskiej, Jacka Wachowińskiego. Wydawnictwo ACARUS, Poznań 1994, ss. 342.

✻ *muzyka* ✻

JADWIGA JASIŃSKA

MARIAN OCHALSKI – MUZYK I PEDAGOG
(1911 – 1995)

22 grudnia 1995 r. zmarł profesor Marian Ochalski – muzyk, chórmistrz, dyrygent i pedagog – człowiek, który swoje życie poświęcił przede wszystkim muzyce religijnej, krzewieniu kultury muzycznej i Lublinowi.

Wykształcenie zdobywał w Państwowym Warszawskim Konserwatorium Muzycznym pod kierunkiem W. Biełdajewa (dyrygenta, chóru), St. Kazury (solfżu), B. Rutkowskiego (organy), K. Sikorskiego (kontrapunkt, harmonia, kompozycja), A. Taubego (fortepian). Ukończył Wydział Organowy i Wydział Naukalczyki. Jego mistrzowie byli nie tylko znakomitymi pedagogami, prowadzili także szeroko działalność koncertową. Między Ochalaki korzystał z ich doświadczeń, a owozem tego, jaki działalność artystyczną podjął jeszcze podczas studiów. Rozpoznaj jako tenor i koncertował w Warszawie, występując z zespołami M. Karłowicza, St. Moniuszki, J. Nowosielskiego, J. Szymanowskiego. W tym czasie miał swój repertuar o dwa trzynaście lat – J. S. Bacha, G. F. Händla i J. Haydna (m.in. solowe i solowe z orkiestrą w *Maj i maj* – *Święta, Święta, Święta*). Owe cztery gryły muzyki widzieli z *Maj i maj* – utalerdowno, „wykładał mi wielkie nadzieje tenor” („Kurier Warszawski” 1933), podkreślał jego „ruchymą muzykalność”.

Łasy zdolnego solisty potoczyły się jednak inaczej. Wybuchła wojna, a potem zaczął się czas okupacji, podkasz której – w roku 1941 – Ochalski przeniósł się do Lublina. Tu też od razu podjął pracę organizatywną w Katedrze Lubelskiej, z którą był nieprzerwanie związany przez ponad 30 lat. W Lublinie wielokrotnie występował jako solista w partiach tenorowych i barytonowych (m.in. w *Szabat Murek* K. Szymanowskiego). Była to jednak działalność drugoplanowa. Jako artysta realizował się przede wszystkim w chóralskiej.

Wraz z rozpoczęciem pracy w Lublinie Ochalski objął kierownictwo chóru katedralnego. Równocześnie prowadził także chóry: szkoły im. Vetterów, Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” oraz Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej. O jego dużym zaangażowaniu świadczą liczne koncerty, bogaty i różnorodny repertuar, obejmujący dzieła zarówno wielkich mistrzów europejskich (G. P. de Palestrina, G. H. Händel, W. A. Mozart), jak i kompozytorów rodzimych – dawnych i współczesnych (F. Nowak z Szamotul, M. Górnika, B. Pękcia, G. Górczycki, St. Moniuszko, F. Nowowiejski, St. Niewiadomski, J. Maklakiewicz, St. Kazuro, T. Szeligowski, St. Jeleńiewicz).

Chór katedralny wykonywał głównie muzykę kościelną. Na szczególne okazie przygotowywał arcydzieła dawnych mistrzów polskich (np. *Missa Polcherrina* Jękiela, *Missa pascalis* Gorczyńskiego). Zwykle brał czynny udział w liturgii, uczestniczył w licznych koncertach muzyki religijnej, organizowanych nie tylko w katedrze, ale i w innych kościołach i obiektach świeckich. Niemal co roku chór katedralny w koncertach kolejowych zaślubiałowych *Bode Narodzenie* w muzyce, a także w muzyce-religijnej uroczystościach ku czci św. Cecylii. Występował

wspólnie z wieloma innymi chórami kościelnymi działającymi na terenie diecezji lubelskiej. Takie postrzeganie dopiewawców i dyrygenta do podnoszenia poziomu artystycznego zespołu oraz poszerzania repertuaru. Efekty mógł usłyszeć Lubelczan już w 1948 r. w sali Towarzystwa Muzycznego. Chór przedstawił utwory XVI-wiecznych kompozytorów, m.in. G. Groce, O. de Lassó. O koncercie pisało w lubelskiej prasie: *Chór Katedralny pod dyr. M. Ochalskiego wykonał bardzo wysoką klasę: czystość intonacji i doskonała rytmiczność tak tu w parze z elastyczną dynamiką i wyczerpieniem stylu tych wielkich twórców starych mistrzów* („Dziennik Lubelski” 1948). Szczególnie mocno wpisywał się w historię choru dwa momenty: w maju 1948 roku koncert muzyki organowej i chóralnej oraz z października 1948 r. wieczerę starej muzyki religijnej. Wraz z chórem katedralnym, wykonującym m.in. kompozycje Góreckiego, Pękiela, Händla, G. O. Pitoniego, wystąpił wówczas wybitny organista J. Rączkowski i B. Rukowski. Obaj artyści nie szczędził słów pochwały dla ambitnego zespołu.

Ochalski znalazł także odzwierciedlenie w prasie kulturalnej, choć im. Weterów (1941-1945). Profil repertuarowy dostosowany został do wykonawców, młodych gimnazjalistów. Chór ten zademonstrował swoje umiejętności na koncercie zorganizowanym w marcu 1945 r. przez Polskę Czerwoną Kryz. O swojej muzykalności, dobrym brzmieniu przekonał też słuchaczy w Teatrze Miejskim na poranku muzycznym chłewów szkół średnich i podczas uroczystej akademii z okazji święta Polskiej Marynarki Wojennej (1945).

Warto także odnotować występy prowadzonego przez Ochalskiego choru „Lutnia”, mającego w swoim repertuarze przede wszystkim utwory opracowania muzycznego folkloru Lubelszczyzny. Chór dał m.in. koncert, z którego do dziś przetrwały nawiązany był na obchodach jubileuszowych Ratusza Miejskiego, „Lutnia” śpiewała również w Nalczowie w ramach obchodów dni tego miasta. Zespół był zapraszany do wspólnego śpiewania z innymi chórami.

Od 1956 do 1967 r. Ochalski był dyrygentem uczelnianego choru KUL. Chór akademicki pod jego kierunkiem zasadniczo zmienił swój dotychczasowy repertuar i zaczął pracować nad formą madygalów (stad nawiązywał do nazwet „zespołem madygalistów”). Początki nie były łatwe, a o pionierskim charakterze całego przedsięwzięcia świadczy fakt, że ówczesnie w Polsce istniały jeszcze tylko trzy inne zespoły, specjalizujące się w utworach madygalowych. Na koncercie w 1958 r. Chór KUL-u wystąpił z madygalami i chasmon F. Anerpi, P. Certora, O. de Lassó oraz utworami J. B. Lully'ego. Najprawdopodobniej niedługo z prezentowanych utworów miały wstąpić swoje polskie przywinki (zob. np. „Słowo Powszechne” 1958). Chór, równoległy nurt w repertuarze chór stanowił dzięki rodzimym kompozytorom, od nienastępująco współpracującym. Często pojawiali się religijne utwory St. Moniuszki (*III Litania Odrobimurka*). Ważnym wydzieleniem – z udziałem choru – był monograficzny wieczerz w Filharmonii Lubelskiej, poświęcony wyłącznie twórczości Moniuszki. M. Ochalski często powołał do ulubionych jeszcze z czasów młodości kompozytorów barokowych – Bacha i Händla (chóry z *Misy h-moll*, *Paży* go *we* *św. Anny*, *Miejazna*). W jednym z wykładów Bachowskiemu *Magnifikat* partii solowa śpiewała S. Wyrwicz.

W 1967 r. Ochalski został dyrygentem choru Wyższej Szkoły Rolniczej (obecnie Akademii Rolniczej), sprawując nad nim pieczę przez siedem lat. Już po roku wspólnie z zespołem dokonał nagrań w Polskim Radio (Dzieli Nagrania dla Zagranicy). W tym samym czasie zdobył pierwszą nagrodę na Festiwalu Polskiej Muzyki Współczesnej Chórów Studenckich w Gliwicach. Wykonał tam trudny pod względem technicznym program, złożony z utworów T. Pasieczkiewicza, J. Świdra i R. Twardowskiego. W repertuarze chór znajdował się również wolne koncerty D. Bortnianskiego i motety a capella A. Brucknera. Po sukcesie gliwickim zespół został zaproszony na tournée do Bułgarii, podczas którego promował muzykę polską od XV do XX wieku. Do programu zostały włączone także aranżacje melodii folkloru bułgarskiego. Dobrze układająca się współpraca i zamierzenie do wspólnego muzykowania zapoczątkowały wieloma innymi koncertami tak krajowymi, jak zagranicznymi (Belgia, Czechosłowacja). Ukoronowaniem działalności chór był wyjazd do Niemieckiej Republiki Federalnej na zaproszenie Cantus Mundi 61 do Kolonii. Lubelscy chórzycy wystąpili w Kolonii i Róstrath, spotykając się z serdecznym przyjęciem i uznaniem gospodarzy. Nagrodą za piękne śpiewanie była wycieczka po Nadrenii i Westfalii.

Działalność pedagogiczna Mariana Ochalskiego została nieprzerwanie od 1944 r. do 1995 r. Tuż po wyzwaleniu Lublina Ochalski – wypierany przez katedrę biskupa ordynariusza lubelskiego – został kierownikiem i dyrektorem Diecezjalnej Szkoły dla Organistów (na Podwalu). Już w pierwszym roku jej działalności kształciło się tam 45 uczniów. Niezwykle korzystny był fakt, że mieli dostęp do 50-głosowych organów katedralnych. Była to okazja do kontaktu z dużym instrumentem. Jednocześnie też możliwości podpatrywania warsztatu muzycznego nauczyciela (podczas liturgii) i w masy koncertach organowych, jakie Ochalski dawał po zakwalifikowaniu muzy w niedziele i święta (święta kościelnej), wreszcie – sposobność opamiętania praktyki muzyczno-liturgicznej. Wielu uczniów znalazło stazę chór katedralny, zapoznając się dzięki temu ze sztuką prowadzenia zespołu wokalnego. Po 6-letniej nauce, która – obok gry na instrumencie – obejmowała sefekt, zasady muzyki, historię muzyki kościelnej (nawet wykłady przez Ochalskiego), absolwenci uzyskiwali waczone prawo przygotowania do pracy muzycznej w kościele. Najczęściej obejmowali posadę organisty i kierownika chóru kościelnego, niejednokrotnie, zwłaszcza na prowincji, byli jedynymi nauczycielami muzyki i śpiewu.

Równoległe z pracą w szkole organistów Ochalski związany był ze szkolnictwem muzycznym. Pełnił funkcję kierownika Państwowej Niższej Szkoły Muzycznej w Lublinie, przez pewien czas nawet wspomagał swoją pracę szkołę muzyczną w Zamocinie. Główną wskazówką posadą była lubelska Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna, w której pracował 11 lat. Zakończył w niej wydział dyrygentury, prowadził chór szkolny i klasę organów. Jego wychowankowie występowali na doczesnych popisach (dyrygowali np. małosadonych koncertami religijnymi S. S. Szarzyńskiego). Niemal w każdym tego typu popisie uczestniczył chór szkolny pod batką Ochalskiego, śpiewając głównie pieśni (m.in. Montezuko, Nowowiejskie). Niejednokrotnie niemal chórzyli występowali wraz z „Lutnią” w ramach poplanych poranków muzycznych w Filharmonii Lubelskiej.

Nowym rozdziałem w pedagogice muzycznej okazał się rok 1956. Marian Ochalski został wykładowcą powstającego Instytutu Muzykologii Kościelnej KUL, w którym pracował do 1992 r. Przez cały ten okres uczył gry na organach. Prowadził także zajęcia z dyrygenturą chóralną, kształcenia słuchu, emisji głosu i chór. Bez wątpienia największym osiągnięciem 36-letniej pracy jest wykształcenie w zakresie gry organowej niemal dwustu studentów. Dla wielu z nich moment rozpoczęcia nauki oznaczał pierwsze zmierzenie się z „królem instrumentów”. Pokonywanie trudności prowadziło do kontakt z cerylmy, ztylizm, ak i wymagającym pedagogiem. Kompetencje Ochalskiego oraz znakomite możliwości metodyczne, uwzględniające nadywialne przedysponacje grających, umożliwiały wejście w obszar profesjonalizmu.

14 marca 1991 r. z okazji 80 rocznicy urodzin poświęconie Instytutu Muzykologii uświetniła śpiewem uroczystą mszę świętą, składając jubilatowi podziękowania za diałalność i wytrwałą pracę.

Przebieg na emeryturę w 1992 r. nie oznaczał końca dydaktyki. Marian Ochalski kontynuował kształcenie organistów w Diecezjalnym Studium Organistowskim w Lublinie. Wykładał jeszcze w kwietniu 1995 r., mimo że ostatnie lata życia znaczone były walką z chorobą i ciężką chorobą. Ta trudna już, a przecież nieznaną na pracę był wymownym świadectwem wierności obranej drodze życiowej.

Jadwiga Jaszińska

❖ historia ❖

ISTVÁN KOVÁCS

„Ja byłem pod Barcą”

Śródnocnego grudnia 1849 roku gotowy do walki korpus galicyjski armii austriackiej przekroczył pod Duklą granicę węgierską. Na czele trzon byłych łącznych osiem tysięcy żołnierzy, które się natłoczyły, stał generał dywizji hrabia Franz Schlik von Bassano und Weisskirchen, który dzięki swej podwójności na białych polach odzwodzić oraz niezmiernie koleżeńskiemu postawie cieszył się wśród wojsków wielką popularnością. W wydanym czterech dni wcześniej rozkazie, za cel wojska z wojskiem na Węgry uznał przywrócenie ludu i spokoju. „Kochany naszego cesarza, prawo jest po naszej stronie, jesteśmy dzielnymi żołnierzami armii austriackiej, a co będzie dalej – nieboimy się” – tymi oto słowami Schlik zakończył swą poręczającą odezwę do armii. Dopiero, o kim mógł mówić ów austriacki generał, kiedy odwoływał się do kochanego cesarza? Czy miał na myśli Ferdynanda I, czy może Franciszka Józefa? Wszak dokładnie w dniu, w którym rozbraiałam odzyskać żołnierzy, legalny władca wyznaczony przydomkiem Ferdynand I Dobrotliwy (jakról węgierski Ferdynand V) został pozbawiony tronu na rzecz młodszego Franciszka Józefa. Odbyło się to niezapelnie zgodnie z prawem i bynajmniej nie dlatego, że stary cesarz był nieco tygi.

Przeżyłaby raczej to, że na dokumentach sankcjonujących zmiany wymuszono przez rewolucję macedonia, widział podpis złożony ręką Ferdynanda. Właściwie kładąc z dynastii Habsburgów wpały z rewolucją wiedział, a rólą konstytucyjną węgierską jakbyś przysięgi, obywatel bądź też geny sugerujące zawarcie kompromisu. Za osadzeniem na tronie młodszego Franciszka Józefa przemawiały także inne względy. Piase o nich wzięły węgierskie zwyczaje tych zapadnięt, auto monarchii potęgowano siłami cesarstwa. David Assgyl, Przewodni wicelub na tronie absolutne przeciwstawienie młodszego Ferdynanda. Chcieli dostarczyć nowego impulsu i pokarmu wyjątkowym od dawna trzęsionom monarchicznym. Tam, gdzie przez długie lata trwał w bernich niedowierzanie, podzielił młodzie i siłę.

Był wszelako ktoś, kto taką zmianę personalną sugerował znacznie wcześniej, jeszcze zanim w Monarchii Habsburgskiej wybuchyła rewolucja. Był to Kossuth, który w swej sławnej mowie 3 marca 1848 roku w Preszburgu zdobył się również na ocenę dynastii i rokownic zmian mających przynieść konstytucyjną wolność widział w młodym Franciszku Józefie – może dlatego, że w 1847 roku, podczas otwarcia sesji węgierskiego Zgromadzenia Narodowego wygłosił on mowę w języku węgierskim, czym zyskał sobie ogólną sympatię. W ciągu następnych dwóch dziesięcioleci cesarz wybrał postawę dość dokładnie przeciwną tej, której się go nim spozdrowiano. Okazał się bowiem zwoleńnikiem absolutyzmu, napierw „śwarciego”, potem – z konstytucyjki – „mildkiego”. Po 2 grudnia 1848 oddziałów habsburgów miały być wzięte misję walczyć z armią Franciszka Józefa w obronie konstytucji węgierskiej.

Reakcja dworska chciała poprzez przymusową abdykację dać znać, że owe zmiany traktuje jak niebyłe, a jeśli niektóre z nich pozostały w mocy, to tylko po zaakceptowaniu ich przez nowego władcę. Trudno przypuszczać, by Schlik zastanawiał się głębiej nad okolicznościami zmian na szczytach władzy. Stulecie przebiegało interesem imperium i jako taki żołnierz wiedział, że prawo i sprawiedliwość znajdują się zawsze po stronie słabszych. Wracający na Węgry korpus galicyjski składał się z siedmiu batalionów, trzech dywizji kawalerii (czyli sześciu szwadronów), jednej sześciolufowej i jednej dwanaścylufowej baterii, a także z jednej baterii rakietowej. Bataliony pochodziły z zaciągu galicyjskiego, co oznaczało, że żołnierze zostali do nich zwerbowani częściowo spośród Polaków, częściowo zaś spośród Ukraińców. Upajające im brzmiały ich wojska z ludnością rozpłynęły się już dawno we mgłę przeszłości. Bombardowanie Krakowa 26 kwietnia i Lwowa 2 listopada świadczyło dowodnie, jak łatwo i błyskawicznie można było wnieść niemiędzy do „rębowatych miejscian” następujących na życie żołnierzy cesarskich. W obydwu miastach odpowiednio przygotowanym duchowo szeregowi żołnierze przeprowadzili ćwiczenia w strzelaniu ostrymi nabojami. Z entuzjazmem brali na muszkę każdego, kto tylko zył i się ruszał. Za celce strzelały otrzymywali od swych oficerów nagrody pieniężne. We Lwowie zastrzelili siedemdziesięciu czterech miejscian, ranili sześćdziesięciu sześciu. Połód ofiar można było znaleźć drogi i ścieżki.

Nacozny świadek, porucznik z 10. pułku piechoty Franz Kocziczka niewiele zapamiętał, kiedy opisując zimową kampanię feldmarszałka Schlika twierdzi, że żołnierze rozpalili duchem walki sieli pełni entuzjazmu na miejsce wyznaczonych ofiar. Kolejny wojskowi przez akompaniowanie śpiewu i muzyki, pod trzaskami w górce przyporządkowali i zastanawiali, maszerowali wycieczni się, pełnymi zakrzew drogi w dolinę – pisał o pierwszych godzinach oddziałów cesarskich wkraczających na Węgry. Uwagę Kocziczki przyciągały także urwisia Karpi, które niczym diamenty przecinające szkło widziały się w błękitie, słonecznym niebie. Strzelające w góry lasy iglaste, a potem ich zalążnięjące się na stromych stokach lasy dopełniały wzniesienia. Sztab austriacki czerpnął nad przemarszem wojska miał czas, by się tym zachwycić. Wróg został przyjęty stanowiskami opuszczonymi przez Węgry, a nie tak, jak godzi się przyjmować nieprzyjaciół: ogniem armii i karabinów.

Nie znaczy to jednak, że nie poczyniono pewnych przygotowań do akcji ofens. Burnistrz Koszyce, hrabia Ferenc Desseffy, za zgodą władz wysokości rangi oficeru homwedzkiego, powierzył dowództwo wystawionej przez miasto batalii regimentu Litapińskiemu. W polowie listopada decyzyjnie że zatwierdził ministerstwo wojny. Początek swej działalności w nowej roli Litapiński opisywał w następujący sposób: „...poszedłem z burnistrzem do ratusza, a tam zaczęły bawić z pierwszym zastawieniem pokazał mi grotną artylerię mława Koszyce. Była to trzyfuntowa prawnie nowa, była lwaet, bez niczego, gło ryary. Szczegółowo przedstawiła swoje następane działania: Teżo samego dnia wybrałem z 21. batalionu habsburgów 120 podoficerów i żołnierzy, pięciu i dwunastu chłopów młodych i się ochotę do artylerii. Tydzień później, że tańca z nim w życiu życia armaty nie widział. (...) Zresztą był to wielki ciężki wybór ludzi, między innymi studentów i innych inteligentów, do wyrobienia których niewiele czasu pozostało było.

Wprawdzie na czacie mu nie zbywało, ale powodów do zadowolenia miał wystarczająco dużo. Rzemielnicy dokazali byli prawie cudów. Latowetnieś doli, wozy amunicyjny, wozy rezerwowe były tak w częstych dremnienach jak teleżki z działo, taprazo nie zostawiały nie do życia, amunicja dostarczała...” opowiada, nie omijającże zauważa, że na ogół mistrzowie i czeladnicy nie chcieli brać niedającej zapłaty za swą pracę. Dobrze to było dla ogółu i zapale i patriotycznej ofiarności mieszkających w tej okolicy Węgrów i Słowaków.

A co sądził o młodych artylerzystach? Nabywał, strzelak, trochę celowad, pierwsze ruchy otóż wstrząsło, co umieli, ale jeszcze parę tygodni i powien być, że przy tak doskonałym materiale będą mogli być wysłani stawić czoło Austriakom. Owoych kilku tygody jut mu nie stać. Parę dni później na wieść, że korpus Schlika zmierzają w stronę Dukli i że „funkary nieprzyjacielskie już się z konynti ochotnikami węgierskimi na granicy kępią”, pólownik Szlós Polski, głównodowodzący północnego korpusu, polecił Litapińskiemu, by ze swą baterią poszedł na Preszów, a po wzmożeniu się tam miejscową strażą narodową, dalej na Bardsjów.

W Bardziejewie Łaputkisi urządza ćwiczenia strzeleckie z ostrą amunicją, potem bierze do siebie 120 kolumn strażników i wkracza wraz na terytorium Galicji उत्तर. Wtedy was działy przy komorze celnej w Baranowie. Spęda sam tylko jedno na. *Było to jedynie na, która przepadła na ziemi polskiej, a Bóg wie, że wtemczas nie sprowadziłem się, aby być jednym. Jak sam później oświadczył, o świecie z tego miejsca oddał klucze do zbliżających się Austriaków. Trudno go zaliczyć do żołnierzy, którzy bohatersko robili się na papierze, więc wypada mu wierzyć, że chociaż Austriacy nie wspominają ani słowem o owej porażce strzelniczej. Może dlatego, że nie przynosił żadnych korzyści z tej, co pewnie nie byłoby modernizacją, ale nie przynosił, a młody officer utracił spisków i wolał być Polakiem – przejść granicę i w szczytnym momencie wycofać się z Baranowa, nie być dzwinnym, że wysłał na zwiady szwoleżerowie powrócił z zaskak, że przeciwnicy ani strzeli, ani widu*

Tak więc pierwsze – z reguły krytyczne – godziny kampanii miały obietnicę łatwego sukcesu Austriaków, co tylko podsycało światne humory cesarskich żołnierzy. Najwięcej pracy miały dwie kompanie saperów. Musieli oni rozebrać barykady wzniesione, a później porzucone, przez Węgrów w przełęczach i na drogach górskich. Ich zadaniem było też wyrównanie nasyppów i doprowadzenie do jakiegoś porządku zmieszanych mostów. Pogoda również sprzyjała Schlikowi.

[illegible]

Pułkownik Polakowski proponując przekształcenie i ewakuację wojska do Preszowa, podczas gdy Tchorekiewicz, przebiegający w dwóch przesłaniach, powiódł do Koszyc. Zwiastując Polakowskiemu, że w tym czasie, ponieważ chciał w przedpłocie Koszyc, pod Budamerem, posiadającym sprzyjające warunki do obrony, słysząc bieżące i silne nienajmniejszej. O tym, że Sándor Polakowski skoncentrował swe oddziały w okolicy Budameru, u stop Góry Koszycskich, Polakowski – dzięki doniesieniom swych szpiegów – dobrze wiedział. 11 grudnia o godzinie pierwszej w niej korpach Schika wyruszył do miejsc, które tego samego dnia stały się dla armii tchorekowskiej chwyt. Półbuda zarządzała w godzinach dziesięciu świadczą o tym, że zakończenie przeciwnika było ważnym elementem operacji. Szuja przednią tworzyła brygada generała Fiedlera.

W sprawowaniu podziwici nie na śladu owego miedgo dyletanta umiościowców, marzyców o literackich laurach, a ujawniających się właśnie w opisach przyrody obrazach nastrojów pociągających żołnierzy bądź wbięła wojackiej wspólnoty. Trafiają się zdania zdrażające niejaki talent poetycki: *Wielka wlewa, deszcz się nie gętem, porzywiałe i przelennie zimno czyniło nową miazę odziedziczoną wymę- czonych dotychczasową drogą, niezmierznie wyczerpanych. Całymi godzinami człowiek leżał i idzie i głębiej ciemności, czasem przytępienie, znowu śnieg i od razu wolałoby go gęty mraz. Po upływie pewnego czasu zalewałoby żywiołowiś- utożło, nie i dowieść katechizm się gwałtowni: choroby porażęły na polach i nowość i wynurzył się krety.*

Ciągnąc dolną Tarcę straż przednią przemaszerowała przez wieś Somos, która za dobre pół roku obudziła tętent koni wiejskich, polskich i rosyjskich kawalerzystów, huk działy i świst kul. Nieprzejrzalą poza tym, że podpalili most, nie przeszli oddziałów austriackim – zanotuje Kocziczka, kiedy tak odmalowuje przeprawę przez Tarcę, że wzbierany potok przemienia się w naszej wyobraźni w Berezynę. Zaledwie trzech kolumnowców notrzebowało cesarscy sanitarzy, by w sąsiedztwie

plonącego mostu położył nowy. Rozszarpane bełki, których rudy blask odbijał się w smaganych wiechem falkach potopu, sładki kontrast od broków zabiegów, słona rozkosz zachęcające bądź bierzące i dla kłopotu złotowe w kozy kurabioły odpocząwszy jasknistek, białezga i dla odgłosy brzętu. Ponadto wspomniane pojawienie się wodza naczelnego, który w arcydziełach zaprowadził porządek i wyznalił dźbiec rozkoszy, a do tego jeszcze wzmacniający się spota baryłdak cnamr kręgle w polu... no tak, jak dalsi jescze mogli być widzieć z takimi waki – zachęcała się Kocińska, oczarowany nie tylko żywymi obrazami natury, ale i świadomością tego, że stał się uczestnikiem wielkich historycznych wydarzeń.

[illegible]

O godzinie 10 przed południem podpuszczano. Tęczyński na czele swego niewielkiego oddziału zajmuje miejsce na linii frontu. Ma ośniasz łanienki węgierskiej ustawione na prawo od szczy. Dowódcą, jedząc z nich ten Teofil Lapiński. Według niego wiele skrzyżło było naprzeciwko, bo bronił się z Koczycze. Znamyśmy go odnośnie reżimu korpusu od linii oddziału. Zapominając się z uytowianiem ewentualnie, Lapiński wspomina o jednym zjednym podoficerze, który również odgrywał ważną rolę w bitwie pod Koszycami: *Wówczas podoficerowi wielu znajomych niedługo później kapłanów Szczępanieckiego, który miał dymać fortejki obok i z tego względu od niego wiele się wyginali. Nie było wronien szafier, nabożniowcy także wiecie Babel. Jak się bowiem okazało... to dzieło, jeżeliby jakimś żabom żył odnośnie, przypłyło się jeszcze miedziotwo szim węgierskich, tak że coż więcej wyśkładało wiele habilitacji.*

Laplinki dzielił się z nami jeszcze jedną ważną – można powiedzieć socjologiczną – obserwacją. Różnicę między tymi ochotnikami maďziarskimi i słowackimi można było łatwo poznać, nawet nie przychodząc się z nimi bliżej, jakim mówili. U Maďziarów w lepięć karmionego i zamażanego chłopca, brzoń i ubranie lepsze, słowna, śmiech, wigo i tyłki w odzietki, humor więcej wojenny i niezadowolony do nieprzyjacie-
leńskość. U Słowaka powierzchowność nie taka była i zapach szromienicy, ale tymczasem do swojej ojczyzny węgierskiej wielkie i szczerze, a gotowość do ofiar-
a nie równa jak u Maďziara.

Kiedy w polu widzieliśmy pojawili się stanowiska wiejskie, noszący generalski szlak z zielonym przepośmianem Széklił palogapował z cygizym w uszach, otoczony szóstą oficerów sztabowych, na czolo szło dwadziestu. Nie tylko dlatego, że chociaż nie byliśmy armią, porządek niegrzeczności. Doświadczyłem w wojnach napoleońskich, nie byleśmy armią, dobrze widziałem, że już w pierwszych chwilkach kampanii musi się wystrzegać szóstą legende pokryta karminem długich dziesięcioleci pokoniu. Oczywiście, także przedsięwzięcia idzie zawsze w parze z ryzykiem. Ale właśnie zdolność podejmowania ryzyka, wyznaczenie raczone niebezpieczeństwem, teatralny flirt ze śmiercią są źródłem największej sławy. Zwykle ofiarom jest bardziej naturalna, choć niesłychanie krótko pozostaje w pamięci.

Niewiele brakowało, a spowity dymem cygara popiół generała Szlika zakadłoby fiaskiem, jednakże koniec końców wywał odpowiednie wrażenie. Znajdujący w pobliżu pałacu Ujazdów bateria hotełowców, zobaczywszy dojrzałego towarzysza na czele żołnierzy cesarskich, co rychło otworzyła dla niego ogień. Dobre strzały trafiły – tuż przy Schliku – w piechurów pulku Mazureckiego, walących kilką żołnierzy, zranili także dowódcę batalionu, majora Zimburga. Ale zaskak tejsze dobiegające rozgłoszki horwezi jak gdyby wystrzelali wszystką

amunicji. Inicjatywę brzojną galopująca naprzód artyleria austriacka i po krótkim czasie los bitwy został przesądzony. Bataliony strazy narodowej nie mogły bowiem wytrzymać artyleryjskiego ostrzału. Dokładnie jak tadowi powstańcy w bitwie pod Schwachat, rzucali się do ucieczki.

W tej żałosnej rezerwie hanieliwy przykład dawała zwieszająca się na czeluść kolumna strazy narodowej pod komendą majora, bratniego Hernalsa Töröka. Wiednie młodziutki datowany na 22 grudnia w Munkacsu przez pułkownika Pułkojczygo. Opowied on był wczelnyj swoje stanowisko zapadające się obok Vaglana i zawiast schodził dłoń Rozgony, uciekał przez góry w stronę Koszyc. (...) Wyjęł wspomniany major strazy narodowej się przed nami w dolinie Hernald, z nami spojrzeliśmy nieprzyjaciela, ował się do rzych ludzi w takie słowo: „dłubiecie mi, ten was daję przy tymczas, ował się, a teraz niech każdy idzie, dokąd go oczy poniosą”. Po takim opuku kolumna owa, zawiast odwołana nasz odwrót, rozprzeczła się sprawa: iwoje polnir ludzi wzięli oddziałów.

Najdłużej opierała się lewa flanka, na której oni znajdowała się bateria Lapitzkiego. Ferenc Karas, jeden z szerszeń 20. batalionu hennowców, przedzwiała koleje stadia rezerwyj jego dwóch kompani. Zanim jeszcze dązdo do pokocet, wszyscy oficerowie, pod naprawczanymi przekształtami, porzucili swoje kompanie. W nagłaśnieniu poczęły się one rozprzeczony i wrogowemu pułk. Szarejdo im jeszcze odwołał, był wywołaj z karabinów do napierającego przeciwnika i z miejscie repeli się do ucieczki. Kiedy Karas się ocenał, spirał, że na placu ponoszą z siedmioma żalewicie towarzyszącymi broni. Uciekał razem z nimi. Staliłmy akurat na szczyty góry, skąd polk bitny był dobrze widoczne – wspomina dalej. – Widać był uciekający piękny. Kolumny Schlika, niecyim kamienia ściana, z jednokrotnym zrzutami, doskonale mianowicie: jakby znajdowały się jedynie na placu cwiček, potowały się naprzód kawaleria na lewoj flance, za zrzutami artyleria gotowa do oswojona ogień. (...) Było mi łatwo, niektó mu nie przeszkodził – wspomina Karas, ale wspolagając w przyszłości nie omisszając z dąmą dądo: ... my też teraz oglądaliśmy później ich piecy.

Sama walka, począwszy od przystąpienia do niej głównych sił Schlika, przypomniała raczej udział ówczesnego wojskowego. Austriaków anieli krwawe starcie. Trzy rozdzaje broni parły harmonijnie naprzód: ostrzeżenie, ale stanowczo, zgodnie z wszelkimi prawidłami sztuki wojennej. Polk bitny salował, jakby porzuciłmy wrogów karabinami, postawionymi na sztor kosami, belzami dymami, pikami oraz – jak zapisał Koczka – kociociami do gotowania żołnierskiej żywności. Rzuciło się to w oczy nawet uciekającym Karasie: Pod jedyne z drzew znalazłymi kłótkami brązowych szermier, pod drugim – było chleb domowego wypieku (...), dądo to bochny wielkości koka od tacek. (...) Biedacy, zmali imieli być szwarcem pewnie siebie przed bitwą, szbro postawionej tam słowidzieli i dymami, nieznaję zapoczę, że jak polnir Niemców, to wróć po swoje zwycię. Jak za jestem zdanie, że do polnir dądo polnir się dądo polnir i dądo się wzięło ta cała odwoła.

Kociolki, szermier, bochny chleba wielkości koka od tacek: widać to ostatnie przydają groteskowych cech dramatowi, który rozegrał się pod Koszycami. Gdyby Schlik był z trzynależni dla młodoży, byłby zapewne bardziej brawurowym dowódcą. Po wielu latach pokona, na początku nieoczekiwanej wojny, skomony był co najwyżej tryznował „własnym życiem, wykląłkał nad hazard, w którym stawia mógł być penitencja zbrojnego zmagania. Zwrócić wzięty, że brzyda Fiedlera, oścażając od rezerwy przeciwnika w dolinie Hernald, dądoż na czeluść koszyckiego traktu pocztowego. Na szczyście pogoda była tym razem przez cały dzień sprzyrzemieniem Węgrom. Po rozmokłej od nocnego deszczu glebiej drodze brzyda austriacka posuwała się z dużym trudem. W końcu wzięty z amunicją i jaszczki postawionymi w tyłu, był tytuł dądoż w terminie do miejsca wyznaczonego w rozkazie.

Co tymczasem stało się z Polakami, a dokładniej ze środowisku szwadronu Tchorznickiego, który według zgodnych świadectw Pułkojczygo, Lapitzkiego i Karas rzuł uciek uciek, pokonywał na lewo od barier koszyckiej? Lapitzki podkreśla, że „Polacy stawiali mężny opór przeciwko przewrotnym kociocem starego żołnierza i odpierali często powtarzane szturmy”.

Wedle relacji Romana Gajlowskiego, późniejszego kronikarza wypadków koszycko-baranickich, tylko raz zaskoczyli oni Austriaków (tm, ich nieczęgo nie podejrzywałych artylerzystów) odpowiednio wymierzoną serią ognia, a potem w pośpie-

chu, nieładnie, popłochu, przedali się przez las, docierając wreszcie do drogi koszyckiej. Na jednej z polnir krzyżowały się drogi ucieczki Polaków oraz szierżanta Karas na czeluć ganki hennowców. Władnie zastawili, kiedyśmy ułmżyli nad sobą w przeszedłym już leziej kładki hadary i rozemny – czytamy we wspomnieniach Karas: – Myślimy, że to wemyśmy oddział nieprzyjaciela, że znowu jest już w rękach wroga i że mamy go również za plecami, byliśmy więcie przekonani, że jaszczeli obręci. Przyczynili do znowu zmianie nieprzyjaciela w stronę, z której dochodził naszyc nasz ów kład. Po chwili ułmżyłmy kładzeli oddział znowierający przez rzadki las ku znowu. Przewiedli żołnierzy siedzący na białym koniu oficer. Podobczyłmy, bochny po nim ponosi, że to był Polacy.

W oczach Karas żołnierze wycofujący się z pola bitwy iwoje spowolniony stali się wręcz heroami, a przy łączeniu się do nich było naczęym (nie mówię) już o tym, że zwiekwolno znowu pomyślnego zakończenia odwrotu. Niemcy opierali filmowy wycofujący i wyświetał pełne emocji migawki. Podpisywaliśmy za nimi, dobiegłmy ich od przed nas, stary wioje Tchorznicki wcielił nas do rzych oddziałów. I szczybie, ich cenieli że rzych dądoż stającego, pocięły szczybie naprzód, a z postawionymi rozprzeczonymi ostrą hamonadą przeciwko żołnierzom oszarcim. Oddział wiojaly do przodu walił się na przeciwnika. Austriacy, którzy stracili retom pod ogniem ludzi Tchorznickiego, uciekający przed bagietami w głąb lasu. Rzutyl w pogot Tchorznicki na czeluć postawionej przy nim oddziału, chciał dądoż do Austriaków na odległość strzelał, ale dostrzegli do strazy skreśli w lewo i poszedł na Koszycy.

Na drodze ku Koszycom napotkaliśmy wreszcie jednego „bycia przeszedł”. Aby się dokładnie dowiedzieć gdzie, kiedy i dlaczego, musimy wrócić do działań brzyady Fiedlera. Wedle świadectwa major dądożanego do młodułku Pułkojczygo – z 22 grudnia – drugie górnika, która Fiedler zbliżał się do doliny Hernald, okupował na przedpolach wsi Tchorzy major Błazarczy na czeluć niewielkiego, dopływającego dwiema armatami, spiskiego oddziału. Przysmyżając do czasu. Nie ulega wątpliwości, że, kiedy brzyada Austriaków zaczęła się wyznaczać z leżących odwoła, major Błazarczy już się wycofał w kierunku Koszyc. Obrona położoną w dolinie wsi przed nacięgnięciem z góry oddziału austriackim nie wrotyła sukcesu. Mimo braku do wioła heroizmu, w cytowanym już młodułku z 22 grudnia Pułkojczy stwierdził, że w dolinie Hernaldziej major Karczmarz wraz z kapitanem Koszyckiej strazy narodowej Gutstewem Sodem zachował się bardzo dzielnie – co mogło oznaczać tyle, że w porządku wycofał się ku koszyckiemu szczytowi.

Dostrzedliż do skrzyżowania drogi koszyckiej z przeszwiają, oddział polski wbił się kłimem między przednią straż Fiedlera a wycofujących się od strony Tchorzy strażników polnir. Nieoczekiwanie pojawienie się Polaków sprawiło, że Austriacy, którzy wroty w ziemię, dzięki czemu „zarówno oni strażnicy ze swoimi oddziałami jak i kompletyje husaryj-ościwiojczy zyskali dość czasu, by się spokojnie z hennowcami wycofać” – uważa Karas i chętnie chwalił nie lubi, tym razem wycofać za konieczne dądoż. Wtedy byli szczybie Polaków, w szczybiekoci ich miednego i przeszwianego wioła Tchorznickiego.

Faktem jest, że szwadron Tchorznickiego, pełen godnej zwycięzców pewnością siebie, rzucił – jako ostatni zamknięcia formacja – ku drodze prowadzącej w kierunku szwadronu Hernaldziej. Żołnierze nieznaję wyszczępleni harmoni wroty, by im, pomagając w wycognięciu armaty, która ugrzęzła na błotnistym brzegu rzeki. Polacy otaczali i przeszli przed nimi, który jak gdyby ułmżyli wioły siebie, że tworzą tylną straż rozbitego wojska węgierskiego) spróbował podpalić. Bez skutku. Swobodnie, ale w zwartych szeregach, z uśmierzającym spokojem przeszli przez oddział w przetrachu miasta, zmuszając do szybego masowego maruderów z oddziału strazy narodowej i hennowców.

Wzręmy pogłębionym, o godzinie drugiej, brzyada Fiedlera, przy tym moście prowadzącym do Koszyc, polczyła się z wielką częścią korpusu Schlika. Wrogie ginie piechota austriacka była gotowa do szturmuowania miasta. Szwarne przygotowanie do ataku okazało się zwycięczne. Na drugim brzegu Hernald jeden Jedyń nie odzwalył się działu hennowckiej artylerii. Akurat te, które według pierwotnego rozkazu miały bronić Tchorzy. Jak gdyby chętnie wybuchł całemu wojsku węgierską wiole obrony miasta. I nieoczekiwanie wprowadziła Schlika w błąd Austriacy,

przywleczłszy bagnety, ruszyli w stronę miasta. Byli pewni, że główna brama została zatrzaskana i na ulicach piętrzą się barykady. Ze względu na to Koszyce straszyły bój. Z początku postawili się ostro. Ale jęszcze zanim doszli do przedmieścia, mogli ujrzeć na własne oczy, jak z wietrzni rannia rozciągają się wielokolorowa flaga i na jej miejsce występują bez podziękowań, na znak poddania się. W niedobrych miniętych kilka sekund powrócił się smutek, i tym razem, nie będzie zmiana kolejności wyciąganych i wciąganych flag. Raz tak, na raz.

Porucznik Kocierzka, jak przystało na dobrego kowalczaka, zapisał z meteorologią precyzyjnie, że 11 grudnia po południu była piękna, słoneczna, zimowa pogoda. Wzdłuż wzrokiem zwycięzcy po kolekcji, mogli się zachwycić wczesnym zachodem słońca, a przesłaniający się z wietrzni. Elżbiety głośno dawały cichym głosom czerwoniejszym, spokojniejszym, barierki białym. Ale ilu ludziom było do dzwonu, dla ilu z nich był to dźwięk zabawy? Nawet jeśli strach w szeregach węgierskich nie był wielki. Kilkaś połączonych i rannych to tylko cząstka dwanastotyśicznej armii ustrojonej do boju na początku bitwy. (...)

Spółrodzi Austriaków natomiast dwiżyja majęcej pałki szewcełsterów. Ale, Cesarz, wyprzedziwszy piechotę, przeprowiła się jako pierwsza przez most i ruszyła ku nie odznaczającemu się nabytym białym dachem skrzyżu wojaka węgierskiego. Na czele kłusujących z dumą, powoli się zbliżał do szeregów austriackich majęcej widać się dowódcę puka Horatio Concoraggio i oficer „węgierskich nadejść” w wojsku austriackim, kapitan Anton Seidler, o którego zdolnościach węgierskich świadczą chociażby fakt, iż generał Schlik mianował go szefem sztabu. I właśnie Seidler zarządził pociąg na Węgry. Ale warunki terenowe tym razem nie sprzyjały Austriakom. Rozmowa placu strażaka była dla kawalerii nie do przejścia, toteż nie mogła ona zboczyć z drogi. Tęż na na wysokości miasta przetrwał kanał biegnący do Hernadu. Tak więc szwadrony musiał wchodzić do miasta wzdłuż kanału, co nie było najwygodniejsze. Porównano się z tradycją geologiczną powiększając konie za udu.

Niecierpliwie dowódcy stali na czele połowy pierwszego szwadronu, który już zdążyła się przeprowadzić wesoła do miasta. Chcieli natychmiast kontynuować pociąg na Węgry. Ruszali więc postępowo, by po sforsowaniu nieoczekiwanej przyszości postępowo się przemieszczali. Na tym. Kiedy dwa pierwsze plutony jechały kłusem przez Koszyce, miszkarzy zgostowali kawalerzystom owoce. Ale Kocierzka zasławił, że raczej się straszyli niż soczystej radości. Ale miszkarzy Austriaków dowodził szef, że czepł, „buntowniczo” zbiegła w stronę Lewoczki, czepł w stronę Ferece. Wskazywał zaś – wliczając w artylerię – w stronę Miszkoła. Kawalerzyści wybrali tę ostatnią drogę i szłyby pociągi około stu tysięcy. Lupem stali się również wóz pełen broni i amunicji. Sukces ten rozbudził radość chętności nadejść oficerów, którzy przynajmniej swoich żołnierzy do głępi. Tym świadom, że prawdziwym ukoronowaniem zwycięstwa byłoby zdobycie nieodwołalnych broni węgierskich.

Widzieli stopy postępowości o godzinę drogi od Koszyc leży Baka, której nawała pochodził od roku Barczayów, do których wiesi należała. Podwójnie liczył około dziesięć tysięcy miszkarów, zaliczali się więc do największych wiosek w okolicy. W przebiegającej wokoło rzeki byli w barczy katolicy Słowacy i Węgry. W granicy wód od strony Koszyc stała gopoda, która 11 grudnia trafiła do historii polskiej i węgierskiej „partii”. Przed budynkiem rosnącym się znaczący płas, pełen jest funkcji tego rodzaju „partii”. Kofermanki, których właściciele udali się byli do szkoły. Ale owoce pięknego dnia ustąpiły się tam dowództwa cetera dziesiąta należąca do korpusu Górnicy Węgry. Stały one działa jakby gotowe do drogi, do zaprzęgnię, ale opuszczone przez obłąki. Artylejści bowiem, szły kty, kto dobrze wypielł owe obłąki, szedli sobie w stronę „je-dzda, piję i luki pałą”. Trudno nie przysiąc, że na polu bitwy tylko oni trzymali się języczka jako tak, ale przecież sytuacja nie należała do korpusu w najmniejszym stopniu nie uprzywilejowały ich bermudzkiego apokali. Odstrąciły ich rozciągających się między Koszycami a Baka, poruszając się od strony, podwójnie karczmy było „niejako białawo okopane rowem i wałem na wewnątrz stali usypianym”. Ziemia wyrażona z nich tworzyła po stronie karczmy falująca linia szwadron. Kanał zapamiętał, że w pobliżu gopody ciągnęły się nie strasznie usypiane szlaki, tylko naturalne groble.

Legion polski był ostatnią formacją, która zawitała na plac przy gospodzie. Tchorz-nicki patrzył ze zdumieniem na postawione bez osłonek działo. W pierwszej chwili pomyślał, że może to być jego niedoświadczony brat będącym nie, ale odwrócił. Podjął się takiego zdania było wszelako niemożliwość, bo kto by wtedy ich

ostoił przed depczącymi im na piętach Austriakami... W karczmie nie dalo się upamiętnić żadnego z oficerów, były z działami umysł, bo po przegranej bitwie pociąg będnie niezawodny. Sami nadawanie podwojowi obłąki działy z karczmy wydawały i nakłonił do marów. Węgry zmusił się wycofać, czepiału Polaków wieniem. Tchorz-nicki postanowił utrzeć z karczmy, ale nie z placu.

Zobierając jego rozsypani się po placu, skupili się u małej grzywny i cisze zaczęły dzielić się wzniesieniami ze swej pierwszej w życiu bitwy, nie przypuszczając, że nawet, że widząc może okryją się chłapną. Spuszczając naule, że artylerzyści, przepychając się wycofując się z gopody. Nie tylko drzewami, ale i oknami. Prawdopodobnie się jednemu z kłusujących ostrzeżeń dala wstrząs wiar, bo w mgłnieniu okna zniknęli się przy działach: pogłębili jeden po drugim co koń wycofano. Na placu przed gopodą pozostało tylko osiemdziesiąt pięć czterech Polaków i trzech huzarów. Jednym z nich był sierżant Ferece Karcza. Tchorz-nicki powierzył mu zadanie zatrzymania uciekających huzarów i strażników narodowych, a następnie postawił ich u boku Polaków. Do tych, którzy by nie zapamiętali wojenki, miszkarów... Grodzali na nie może wesołować – dodaje z niewyrażoną prostrą Karcza. Tylko jednego człowieka udało się nakłonić do pozostania. Zresztą i jego wyłączenie za pomocą kul karabinowej, która ukołwa mu w ramieniu.

Tchorz-nicki ustawił ich w szeregu, do szkoły bojowego, a sam znalazł się z rozkoszą cypratem, potem ucieknął dłońmi ściegłym w pobliżu oficerom i objął ich. On też – jak jak Schlik – był starym żołnierzem i wiedział, co może jego ludzi uspokoić. Zresztą od czasu, kiedy Jurek Poniatowski, dyrektor departamentu ministerstwa wojny Królestwa Warszawskiego prowadził do natarcia jeden ze swych batalionów ze zbrojnym w bagnet karabinem w ręku i z fajką w ustach, oficerowie uważali niemal na swój obowiązek zakrzyczeć w krytycznym momencie fajkę. Ten krytyczny moment nastąpił teraz pod Baka... Polacy ustawili się w dwusereg, tworząc na zewnątrz i na zewnątrz od karczmy rodzaj żywej zapory. Za nimi coraz cichsze dźwięki umykały drzewa, przed nimi w linizacji dala słychać było tępot kłusujących. Nagle wyłoniły się z wód dosiadające rumaków widma w białych szatach, polującymi helmami. Coraz ostrzej i gwałciły zarysowały przestrzeń ponad szosą.

Wyglądało to tak, jakby szwadron kawalerii przyciągnął widły umykających w popołudniu dła. Wód zbliżających się kłusem jeżdżących nagle przemieszali. Zaskoczył ich podwójnie ściemnia ludźmi, zagradzającymi drogę. Na polskich legioniach jedynie rogatygi byłyby identyczne, poza tym byłby odziani dwoje jennarmierce. Czepł znowa murydny gwerdy narodowych, czepł murydny legioni polskiego, inni naj-prawdziwiejnie ubrania cywilne, kto tam w czym przyszł, będn złożył sobie na Węgrzech. Majęcej Concoraggio, przywykłym już do paradyżnej rejdzie zobierze się strazy narodowej, nie mogło się w głowie pomicieć, że stojąca przed nim zwuchwa „zbierana drużyna” już na sam widok jego konnicy nie bierze nóg za pas i nie puszczą na boki. Tępnę kopyt zdawali się czynić cisze jeszcze przemieszali i szeregi obłąkowych karabinów rozbierali niecierpliwie niecierpliwie dowódcę. „Nie strzelać, czekać komendy” – odezwał się spokojnym, naturalnym głosem Tchorz-nicki.

Przebieg zobierania po swych działach. Stawali się „jak Napoleon – znał każdego swego żołnierza z imienia i nazwiska. Wiele wśród nich nie ukochowały jeszcze dwudziestu lat życia. Ferece Ferece mądzieliście, Wasylaw Berner skoczyć przed nawał tygodniową osiemnastką, ale i tak nie osi w tym czasie najmłodzy. Uczeń ławarskiego gimnazjum Marcelli Nadziści i gimnazjalista z Preemla Zyg-munt Stetkiewicz mają: zaledwie osiemnastka lat przedzieli się na Węgry i wstąpił do legioni. Roman Gajparze jako swymi dwudziestoma czterema latami uważali by to niemalże za człowieka w zaawansowanym wieku. Właśnie temu zawiązywamy uwiecznienie wielu szczegółów potyczki pod Baka. Gajparze pochodził z Myślenic, wychował się w Bochni, a studiował w Krakowie. Zapewne uczestniczył w wydarzeniach studenckich panującej wiojny 1848 roku. W swych sprawozdaniach błędnie nazywa Castiglione majęcej pałki szewcełsterów austriackich. Podwójnie-mość podsunęła mu komendanta placu Krakowa, który 26 kwietnia walczył rokacz bombardowania miasta i wydalenia z niego emigrantów polskich. Zągła zemsty tylko w ten sposób mogła znaleźć ujście: albowiem „podwojony” dowódca nieprzejakłiło pocztownie wkrocze martwy na plac. Trzymający karabinu gołota do strachu, spartywalizowały się gwałpięce oddziały nieprzyjacielskie. Kawaleria nie

obużyła się nagaśna: „na stojącą murem na stronie pishok, obłączyła się do niej na mniej więcej 150-200 kroków i ścieżka w lewo na kępcy, aby uciekać. Polakom wspomina Karas. Było to wódle niego korzystnie dla brzońszych się, gdyż na podmokłe łące nie można było zmusić konia do galopu.

Tercet oddajmy głos Gajdosowi: „Major austriacki (...) dowodzący atakującym oddziałem, rozumiał zapewne, że taka rachunka przy zmianie frontu położyła się rozbić i nie będzie zdolna przyswoić go strażnikom. Stosło się inaczej. Należy czytać nam to lepiej pojęcie: wół jonał rymem. Prawie równocześnie ze zmięciem zwolnieniu z tycy – bez komendy zręczności się, strącając karabinkami czapki jeden drugiego, jak kto skoczył nóg w stronę wału i przyniósł się do niego – upadł bez porażki, ale załonieli byliśmy niewiedzą do przesady, chociaż głębiej przecie rowem i wale.

Tchermicki, zdaje się, nie zwolnieniu, ale na szereg miał zwrócić wzrok, do rozważań, że uciekanie „Co robić?” – ale wnet się postrzągnął i znalazł się znowu pod karzącą na naszym lewym kobiele. Paląc cygaro powiedział: „Nie strasz, czekać komendy”. Chwileczkami na pojawienie zwolnieniu gotowi do strachu. Użytkowanie szwadronów zabrano, widać, niekto czasu.

Wreszcie wypadają z pewnego oddziału dwa szwadrony (wskazuje: plutony) – jeden po drugim, major na czele – ale szwadrony krótkim, a major wyciągnięty pelni galopem i coraz bardziej wyprzedza komendę. Oddziałowi się od niej na dobre 30 kroków już jest od nas kilkadziesiąt kroków.

Cóż mógł sobie pomyśleć major Concoraggio widząc, że przeciwnicy z niewzruszonym spokojem, gotowi do strachu, czekają na atak z jego strony? Jeli przeciwnicy parł dalej węgierskim, będzie bohaterem dnia... Nagrody, ewasne, sława – wszystko będzie w zasięgu ręki... A tu parę tuzinów gołowników próbuje zmasać jego twarz wspaniale zapowiadając się karierę. Chyba dlatego pobodził konia do dalszego galopu, jakby chciał rozpedzić tych upartych młodzieńców? A może dlatego, że w swych ostatnich chwilach życia w hufach karabinowych, które jak światło myślicie zwracali się w jego kierunku, rozpoznął własną poprzeczną linię życia? Czy rozpacz, czy pewna swych racji stanowczość kałała mu wykrzyknąć nierzadziejście nakłucie, nożak wywijający do podłama się „Waffen nieder – Rebellen!”. Polskiego echo swych słów: „Nie strasz, czekać komendy!” – nie słyszał. Polecenie Tchermickiego wciąż jeszcze było parat wszystkich jego ludzi rozpaczliwie, samym samym ignali oni że śmiercią, i półtorę tych, którzy stali na brzegu znowi odgryzającego życie od śmierci, znajduje się ktoś, kto nie wytrzyma strażniczo napiecia nerwów. Ktoś, komu się rano przyszydził, że galopujący na czele jeźdźce, niby archański zemyt z przerażającym krzykiem i wznieśmionym wysoko mieczem leci prosto na niego, bo właśnie jego zaprzagnął uśmiercić... I w takiej chwili coś innego mógłby zrobić, bezpodstępnie pokłonić się spust... Kłaka przetrwała karabin, grzebił hieną na głowie Concoraggio. Hak karabinu i szara potłoczono odgłosy następnych wystrzałów. Kilku legionistów stojących po obu stronach tego, który wystrzelił pierwszy, wypało wkrótce po nim. Koń upadł i razem z jeźdźcą stworzył się atak do rowu.

Na widok śmierci swego Emancypacyjnego powoźnika woda kawalerzysty austriackiej strąził jak wrzół. Wtedy Tchermicki komendował do razi pierwszy: „Drugi szereg – pal!” Nie ustaliny następny zapobiegł używaniem nie dwu strzelnic, ale kilkunastu wieś, do którego należy – wspomina najbardziej gorące chwały Gajdosowski: „Polowa wieł wypała i nabija, a druga polowa trzyma jeszcze na „ci”.

Zamieszanie – największe w środku szwadronu; tam widać była skierowana większość strzałów. Chwileczką się, pochylały, przewracając na koniach, ale szwadron kłótnicy. Ci, co ocalali, próbowali natychmiast, ale w zwanym szeregu także niepodobna, a wyjechał naprzód, żeby uciekać mieczem wolnego do nawrotu albo nie podał, albo też konie, nie wyjechał do równowagi, nie sięgnął, wyjechał z szeregu. Trwał ten niepokój kilkadziesiąt sekund, aż wreszcie kilku wycofało konie – szereg się rozdzielił i wszystko zawało.

Tę deklarację czekał Tchermicki: „Pierwszy szereg – pal!” Drugi szereg już nakładka kapła, a pięciu, co pierwszy wypała, dołączyło do drugiego salwy. Już bez przeszkody padają z koni tak ofiary z pierwszej jak drugiej salwy. Drugoszerzowi nie chcą zostawić ledw w rannach karabinów. Kilku wzięcia pogoza row, żeby nim zbliżyć się do uciekających, ale widocznie zimna krew i roznoga opuszcza wiarę.

Dalejże niemal pogoza row, nabijając w biegu i ścigając uciekających, jakby już na koniach siedzieli.

Tchermicki uściłko powstrzymał, ale nadaremno. Rozszparł po polu bitwy, strzelający w kierunku uciekających kawalerzystów austriackich Polacy niezaprzecznie wyglądali na „porażonych” żołnierzy. Jednostka regularna raczej nie porwałaby się na coś takiego. Po czepeli dlatego, że było to niebezpieczne. Gdyby żaden przeciwnik odwrócił się nałże nagleż jak na rozkaz, portawiliaby swoich przelaskowców w trudnej sytuacji. Albo gdyby atak dozwolił sześć plutonów szwadronów, które pozostały w tyle wosknie ciężkich karabinów terenowych... Dla młodych wojowników, przedzwyczajony amok ciwoli żołnierzy może się okazać zaradko upajający. Wojewo Schlick zmiało do ucieczki całą armię węgierską, a teraz osiemdziesięciu czterech Polaków na poczekanie zwycięstwa nad całym śladem zbójczyimi nieprzejazdy.

Zależności polski szwadron polczył się podłymi kofmi i trupami szwadronów, i ranił uśdaj zmierzających, jak np. podporucznik Herg, który dopiero po oddziale Polaków wywodził się pod martwego wierzchowca. Kapitan Anton Seidler nie miał takiego szczęścia. Zastrzelony koń zmiażdżył mu nogi tak, że mimo najczerszych chęci świetny oficer strażnicy nie byłby w stanie wystrzelić się z palnaki. Uwinął go z niej jeden z legionistów, Jan Suryn. Dzień temu będzie mógł eskortować go, jako jeźdźcę, do Miroszka. Nie ulęga wojownik, że wyłączenie kapitana Seidlera z dalszych wałk było Węgrom na rękę. W dodatku niewola nie rubadziła w nim nienawidki do nich. Przeciwnie. Po ugodzie z Austrią, czyli po 1867 r., Seidler został dowódcą korpusu hessenszwabskiego i nie tylko dobrze i skutecznie wypełniał swe obowiązki, ale też wiele zrobił dla misia. Pamięć o nim przechował przez długie lata nazywany jego imieniem park miejski.

Naturalnie czyn Suryna został dotknięty przez przełomność. Choć w jego dokonaniu było trochę przypady, szczęśliwy żołnierz mógł mu zowidzieć swego amata na kapitana 3. batalionu legiiu polskiego. Nastąpiło to, co przewo, po upływie pół roku, ale np. Roman Gajdosowski, z równą dzielnością stawiający czoła przeciwnikom pod Barcą, pozostał szeregowcem do końca swego węgierskiego epokoju. Szczęściem na polu walki potrzebne jest nie tylko do tego, żeby przeżyć, także, aby zabić, żeby się wyróżnić.

Kawalerzysty austriackiej zafleli się poza zasięgiem ognia, a wkrótce zmiknęli w perspektywie dalej prowadzącej do Konczy. Przewodzili już kilka drogi, ale zaowocowały, że powolniejszy z nich osiągnął się koni. Dąpiący dalej zwanę szeregi nieco się rozłądźni, upadli na ziemię – notuje obecnym tam Ferenc Karas.

Nagle Polacy jakby zdali sobie sprawę z tego, co uczynili. Gzozła im to za najstraszniejszą zemstę, z pewnością Schlik skieruje na nich całe wojsko. Szereż też rozczesał się wleń, że zbliżył się znowu szwadron zwolnieniu austriackich. Podniećcie legijonistów oczekają Tchermickiego jak przetranszowane dzieci ojca. Już w dwóch wędziliśmy, jak za przybyciem niedobitków na koniach spienionych ludźmi karzące do juczających lekkich armat homych, zaprzęgnię do nich kawaleria do awersacji przemaszyna kulnacy konie. Takie widzenie nie mogło nie wzburzyć: ciekło umniećcie od Koszyc jak nądzaj i w nakrótach czwie – wspomina Roman Gajdosowski następny ogień upiornymi ludźmi, które niepodzwiednie nastąpiły wkrótce po upajającym triumfie.

W wozyrkim obzie Austriaków straszne wrzawie wywołał widok uciekających, porażonych przeżerłszyw szwadronów szwadronów. Schlik dozwolił do winiuka, że do kontynuowania operacji napastniczej musi się bardzo stanowicie przygotować. Jego zapali i zdąży czyn wystarczyć w następnych dniach tylko na to, że przedfilował ze swymi oddziałami przez zwłokiami zwolnieniu, wystawionymi na plac przed berkałką gpnodą.

Gdyby Schlik materializował łała na czele swych oddziałów, byłby – nie poowirymywny przez niego – wkrótce do Miroszka, skąd Dniel Irinyj po dwóch dniach donosił: „Z naszych szwadronów liczących 12 tysięcy żołnierzy nie pozostało nie pogoza – powiedział to sobie – nieumamdrumowany i nieubierzony batalionem wystawionym przez Komitet Zempels oraz dwuosmowa milicyj Polaków.

To, że dowódcy węgierscy mieli dość czasu, by sformować na nowo korpus północny, było wyłącznie zasługą Tchermickiego i jego ludzi. Każdy o tym wiedział. Zrozumiałe zatem, że Pál Debetzeni, porucznik strażnicy narodowej z Komitatu Ber-

sod swój mełdunek z 14 grudnia rozpoczyna następującymi słowami: „Chwała, wiecna chwała wam, bracia, przyjaciele, wierni Polacy!”

Mała jednostka polska dotarła tymczasem do Hidasmeté, gdzie Tchorznicki przekazał dowództwo strażyl tyżmajorowi Gedeonowi, który jako jedyny dowódca w całym węgierskim korpusie – poza polskim podpułkownikiem – zachował twarz, jako takto dowodząc swoim „niezależnym, nieustraszkowanym, niewyskokolonym” batalionem. Zresztą owe czynniki, jakie sam wystrawiał w kwansem batalionowi, świadczyły o tym, że nie był zdolny do jakichkolwiek czynów.

Tym nazem również Kocziszka, choć wyspecjalizowany w wyznaczeniu pod niebiosami węgierskich poczynań swego dowódcy, z uznaniem wypowiedział się także o akcji polskich legionistów: *Jednostka złożona z Polaków, a dowodzona przez kapitana zamorskiej gwardii narodowej (światowego żołnierza szkoły napoleońskiej) duplikała kawalerzystów na odległości dwudziestu kilometrów, a potem, usłyszawszy z zioną krzywą ich ostrzeżenia. (...) Kawalerzyści, którzy po pierwszej, w odróżnieniu, powiedli monotonie odpowiadając sobie stracili swoje pierzchnie strzegi i dowódę, zagubili się i rzucyli do odwrotu – pisze Kocziszka, starannie omijając takie słowa jak „niecierpliwość” czy „retardacja”. Swego czasu wpaśwała strażyl szwadron pułku szwoleżerów polskich na wózw Samosierp Napoleon obwieścił światu jako polsko-francuski zabójca wojaków, ponieważ w owym ataku brał też udział jeden oficer francuski. Główna rana czołga brzmiała następująco: w publicznych odpowiedziach i dokumentach wolno sławili tylko Francuzów, wojowników zaś można pochwalać jedynie wtedy, kiedy nie ma już innego wyjścia, ale i wtedy powściągliwie.*

Na szczęście Krajowy Komitet Obrony Ojczyzny nie brał przykładu z propagandy napoleońskiej. Z pewnością nie miał nawet pojęcia, że na kilka latków z laurowego wieńca, który należał się polskiemu oddziałowi, zasłużył również Ferenc Karsa ze swym trzema towarzyszami – homesteadami. W „Kielőny” w numerze z 19 grudnia, znajdującym ocenę powstania, która rozprzysła się ośmiem dni wcześniej. Birsa odbyła się na brzegu od strony Kocziszki, ale naszym ludzom nie udało się powstrzymać przeciwnika, bo w naszym obzbie poza niecierpliwymi homesteadami i jednym oddziałem polskim, reszta się składała z szwadronu strażyl narodowej. Ite zabronię i wyposażone, przystępujące kłopoty rodzinne. Posadziłem wiele dzieł, ale nie było dla nich onkwe, we wszystkich operacjach wojennych w tej bitwie brakowało współdziałania ze strony węgierskiej. Traśna osiemni nasze strasy, bo narodził się pierzchnia z na wszystkie strony, z których był przyszedł. Polacy dali dowiedzieć niewygodnego poświęcenia i brawury; im miedzy zamłodził, że nasze dzieła, poza jednym przewróconym, nie zostały przysiężone przez szwoleżerów austriackich. Ale na tym nie koniec, wystrawiały przed korczką na jasną przeciwnika ostrzeliwali ją, wiele zabili, w tym jednego majora.

Autor miedzy oficjalnego artykułu poświęconego twierdzeniu kocziszki, dwa dni wcześniej na łamach „Pesti Hirlap” również nie szczędził słów uznania: *Epizody wojny dzielnych rycerzy, którzy tego miedzy dnia wywalczyli sobie szacunek i powszechne uznanie, trzeba w pierwszym rzędzie wynieść drugą polską, walczącą z nieustraszkonym miedzy o wolność naszej ojczyzny. Już tamnym oklaskaniem naszych rycerzy szwadronów i wykastym w tym niewygodnym poświęceniu Polacy wywalczyli sobie wieczną chwałę i okazali się w najwyższym stopniu godni czci naszego narodu. (...)*

Rzecz w miedzy narodu składała się drogi podziękowanie bohaterkiej jednostce polskiej (...)

W rzeczywistości jednak podziękowanie to przyszło prawie o pół roku później. Przyczyną owej zwłoki nie było zapomnienie, tylko polityczne przewrót całej sprawy. I tak już prasa austriacka rozbiła na wszystkie strony o wielkiej roli Polaków w twierdzeniu pod Barcą, pragnąc dowiedzieć, że to oni stanowią główną siłę wojska węgierskiego.

Węgierskie dowództwo wojskowe nagrodziło szwadron Tchorznickiego za zasługi wojenne w starciu pod Barcą, ale dopiero po ogłoszeniu interwencji cenzury i oficjalnym utworzeniu legionu polskiego. Możemy się o to dowiedzieć z krótkiej wzmianki zamieszczonej w „Kielőny” (z dnia 8 czerwca 1849 r.):

Pierwsza dywizja laszówier legionu polskiego za bohaterką i szkodną postawę, którą wykazała się 11 grudnia ubiegłego roku w pociągach pod Kocziszką...

Barca, po cęgi, za utratowanie dział noletających do naszych narodowych oddziałów tam walczących, po cęgi zaś za wielkie następną tego czynu, chorągiew jej została w miedzy węgierskiego narodu węgierskiego wdokrowana ordorem trzeciej klasy za żołnierskie miedzy.
Debreczyn, 31 maja 1849

Görgei, minister wojny

Polacy z oddziału Tchorznickiego mogli już nazajutrz przed polskimi dowódcami bezporednio „wziąć odpowiedzialność”. Sława ich czynów podzieliła miedzy węgierskich w okolicy Węgry sprawiła, że powszechna gościnność stała się główną przeszkodą w dalszym marszu. Kiedy dostali się wreszcie do Miskolca, tamtejsza ludność też była już przyszkodzona na ich przyjęcie: czekała na nich delegacja złożona z miedzyowych rabinów. Prośbą Polaków, żeby dla uświetnienia ceremonii i podania następującej energizacji, maszerowali w żołnierskim tryku do miasta. Widocznie przeciwnikom do retyderji. Zresztą iść tak, jak przysłało żołnierzom kompanii honorowej, nie mogli również dlatego, że znowsz atakował nas szerokość ciżmy – wspominał te chwile Gopierowni. Tchorznicki zachował pokas, strażyl marszowy rozkazał miedzyżacy się pomiędzy nas i zaprzęgać na kwatery do siebie obywateli, nawet kobiety.

Miedzy nie od tego, żeby skoczyć z zioniącą nas parą. Żanem dostaliśmy do rabinów, rozwarali nas na kwatery. Tam znowi bronić się miedzyżacy przed winem, tak jak pod Barcą bronił się przed konicą austriacką.
Po 1805 roku w armii Napoleona największym wyróżnieniem było, jeśli żołnierz mógł powiedzieć o sobie: „Ja byłem pod Austrią!”. To zdanie Tchorznicki, kuczalik w adanie pędziny, odróżniał się do drugiej osoby. W miedzy Austrią, gdzie sprzymierzone wojska rosyjskie i austriackie straciły blisko 30 tysięcy żołnierzy, znalazła się Barca, gdzie miejsce wiecznego spoczynku znalazło osiemnastu kawalerzystów austriackich. Dla polskiego legionisty było największym zaszczytem, jeśli mógł o sobie powiedzieć: „Ja byłem pod Barcą!”

przetłumaczył Jerzy Snopce

Książki nadesłane

Fundacja „Brulionu”

Lepesz Maszeta: *Aida albo szwedzi obok koncentracjonalny*. Kraków-Warszawa 1994, ss. 48.

Jack Podsiadło: *Jęży ognia*. Kraków-Warszawa 1994, ss. 72.

Dariusz Brzóska Brzóska: *Złote myśli pana*. Kraków-Warszawa 1994, ss. 32.

Kazimierz Biculewski: *Miedzyka miedzyka*. Kraków-Warszawa 1994, ss. 92.

Grzegorz Wódkowski: *Planety*. Kraków-Warszawa 1994, ss. 44.

ANTONI ADOLF KURCEWSKI

Pamiętnik z Powstania Styczniowego (od 21 marca do 7 maja 1863 roku)

[Cześć 12]

Subota 21 Marca

Pierwszy dzień wiosny wcale nieprzyjemny – dosyć ciepło, ale pochmurno. Przeciwni Miłkowi położył 8 nę wojska, a on ma 700 ochotników, ciękawość jak Bóg pozostępli polskiemu orędowni?

Jut jest wieczór, a jeszcze nie adzieliłem się z Antosia, Rano posłizyli na Miszów. Potem do obiadu lekcy, potem przyjechał do nich jakiś wojskowy, ja nie chcę się z nimi widywać, doś będzie na placu boju, następnie p. Klemensa posłał do Anielici i z tej przyczyny dopiero zobaczmy się wieczorem, ale za to ścisłać można być. Skończyłem czytać *Historię* p. Mocheuskiego, teraz zacząłem *Erasmu Orlowskiego Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II*.

Niedziela

Wczoraj wieczorem poszedłem do Antosi. Doprawdy kocha mnie tak, jak może żadna nie kochałaby, widzę i czuję to jak za mną tęskni, jak jej życie nudne bezemnie, a przyszanam, że mi życie zupełnie się sprzyrzyło, i gdyby nie Ona nie czułbym że żyję, nie czułbym że żył teraz na tym świecie. Może niejedną powieść, teni się bez majątku, bez urody; to wszystko prawda, ale za to nie ma grymasów żadnych ani w ubraniu, ani w jedzeniu, ani w żądaniach – dziś przynajmniej tak jest, może Bóg da, że i potem tak będzie. Wychowana jest w mierności, nie powinna mieć wiec zachorów i wymagań nad kocha. Kocham ją więc i kochać zawsze będzie. M. chory na żęby i uszy, biedak, żal mi go serdecznie.

Poniedziałek

Wczoraj najokropniej zmarłem się. Dziedzic mówi, że penazę wybrałem do Kwietnia, choźd kwestya o dwieście złotych, nigdy nie zapisuję komu co daje i przez zapomnienie ja mam być porzokowany dwójako, bo u niego w opinii, a u mnie w kieszeni; będzie zdów scena, bo będę się starał go przekonać.

Z wiadomości krajowych Polakom dolęza się ponęzcęć, moskali dosyć padło – chwala Bogu. Wieczorem był preferans.

Wtorek

Ranni leżą w Gosławicach z sobotniej walki – jadę jutro się fotografować, może człowiek zginie, przynajmniej pamiętką zostanie po śmierci. Dusza się wadzą na podobne okropności moskali, ale Bóg dobry, pewnie się zmiękuje nad Polską.

Środa

Z przyczyny święta Zwiastowania N.M.P. czas wolny, spożedłem więc go następnie: rano poszedłem do Konina, widziałem się z Rektorem, z M. i p. powróciłem na nabożeństwo, po południu byłem w Krogoli z chłopcami, pogawędziłem trochę i na wieczór w domu gładziły w preferans. Teraz zawsze trzeba być na czas w domu, bo patrol ustawia naraż.

Wojaka z Konina trochę wyszło do Kalisza, Ranni nasi w liczbie 13 są przywiezieni z Gosławic, a reszta pozostała, więcej nani.

Odebrałem list od Edzia – piśte więcej do Ojca, gdyż jest pewien, że mnie nie ma; Plichta biedak aresztowany jest w Wilnie – za co nie wiem wcale. W preferansu przegrywam ciagle od kilku dni, odąd kiedy z Dziedzicem miałem zapisać o pieniądzu.

Czwartek

Dzisiaj piękny. Dziedzic z B. pojechali do Konina. Ja siedzę w domu, bo jak niko go nie ma, to wenczas więcej rozciągaj opiekę. Wieczorem grałem w preferansu, przegrałem wszystkie punkta poprzednio wygrane.

Piątek

Brydyko na dworze i śnieg pada, i deszczu trochę. I grad nie zapomnia – podobnie i u mnie, bo Dziedzic ciagle mówi, że mnie się nie należy więcej nad to, co wozilem, niech będzie i tak – mówię mu o to nie będę – trudno, mnie nie wierzy, choźd mam czuma na białem, a On tak ufny swemu słowu. Mam Rodziów na jego łase, kocham Antosia, mam ja blisko, zresztą czasu okropnie nie można się przerzązać – jestem więc skrupowany takimi okolicznościami, że gdyby mi na głowie ktoś ciosano jeszcze trzeba znieść z uległością; prawie w Zaryżysiu o głupstwo poszło, a w tej chwili wyjechałem, a tym bardziej ja, gdzie tarzającą mi niestęszność z zagrożo!

Subota

Odpisałem Państwu Złotakom i Godniekowi na listy ich z 10-go. Opisałem Im nasze niektóre szczegóły teraźniejszego położenia; także do k. Obwieskiego na 2-gi kwietnia z powinowazaniem imieniem i ostatejmu ma tutęże strony; także posłałem bilet Księdzu Wasilowskiemu w Jasielsu.

Brydyko na dworze, siedzę w domu, bo p. K. u Wójtów. Jutro pewnie pójdę do spowiedzi w Koninie w klasztorze.

Niedziela

Ranikucho poszedłem do Konina i tam w klasztorze pojednałem się z Bogiem – jeszcze mnie żaden nie wziął tak ostro jak ksiądz Waleryan; mówiliśmy i o polityce, z czego wyszło, że każdy mały iść powinien bez zwleki czasu, ja mu odpowiadziłem, że mam Rodziów, życia więc mego łatwo nie stawiam na kartę – zwłaszcza, że straszał mi umiem. Na śniadaniu byłem u Miłkowskich, na obiedzie u Rządowskiego, potem kupilem cygar i poszedłem do szpitala, aby odwiedzić rannych, ale ponieważ była operacja nie mogłem więc dopełnić obowiązku. Zmrołem porządnie iła na powrót, bardzo było brzydki. Był Głowiński z Jolnego z Bębnówkiem, teraz siedzę w domu, Dziedzica nie ma – może będzie preferans.

Poniedziałek

Siedzę w domu dzień cały. Jestem jakiś nieswoj, tak jakbym był chory, a przecież zdrow jestem.

Wtorek

Wzięłam na przeczyszczenie, bo żolaćdz zamulony mącznym potrawami – co mnie tak obolało, że ledwie mówię, ledwie chodzę; dziwna rzecz, bo mam silną narazę. Janek przyjechał, przysłał mi fotograf koyniera polskiego, ale z czasów dawniejszych; cenarz ma bardzo dobra, nie wiem tylko, czy jest grzeźniejszej. Mirosławski chce być koniecznie dyktatorem, Langiewicz podobno aresztowany przez Austriaków, Miłkowi ranny podobno w Poznaniu. Dwa rady narodowe się uwrębyły, każdy przeciwny sobie, coż może być gerszego?

W preferansu przegrywam ciagle, kto wie czy się go nie wyrzeknę?

Środa

Dziś jestem zdrowy, mam apetyt, zupełnie jestem lepiej usposobiony. Z Antosia mało się widuję, bo jest ciagle zajęta pracą, jak to bywa przy Świętacku, wszędzie – a Ona szczególnie pomaga Mateu.

Bote dać, abym na zawsze pozostał z ten przekonaniem, jakie dziś mam dla Niej, nie do tego trzeba, żeby Ona została taka, jaką dziś jest; ja nie wymuszona skrom-

ność, to trafnie postępowanie z ludźmi, jakże godne uwielbienia. Rektor przyjechał z Koriną. B. nie wrócił jeszcze.

Czwartek

Czas wolny od drżi do wtorku – prawdo jestem ciagle przy Antoni i przeszkadzam jej w pracy. Wykapaliśmy się w S. u S. ale na katar to nie bardzo dobrze. Wczorzym preferans – przegrywam.

Piątek

Ponieważ w tym dniu rokrocznie nie jest mi drżi tego dopielam – a dla skrócenia czasu idę z M. do Gostawie, aby oddolnić rannych. Okropny to widok, krew się w tyłach kłębi, patrząc na cierpienie tych biedaków. Trzypalczy jest bardzo chory, przetrzeźniał się przez pierś na wkrót, pilnie go matka i siostra; Lutosławski ma przetrzeźnione ramię – ma się lepiej, przy nim jest ciotka i panina Gostyńska; Gajewski ma lewą nogę straszaką – wiele cierpi; Wasiliewicz może przetrzeźniona – ten ma się najlepiej, przy tych dwóch jest zakonnica – doktor Koszmicki, felczer Dostat – wszystko koszenm hrabiego Kwilewickiego. Wychoźne od nich pomyślałem sobie, czy aby ja będę miał podobną opiekę.

Sobota

Po wczorajszym poście jestem bardzo słaby tak, że ledwie na nogach mogę się utrzymać – apetytu nie mam żadnego, katar okropny; byłem u Antosi, powiedziałem jej dzień dobry, pójdzmy na Miazę św., a potem odprowadziłem ją do grobu żonę Felczyńskiego, która onegdaj po długim cierpieniu oddała ducha Bogu. Po południu pójść z M. do Korina odwiedzić rannych w szpitalu. Rodzice moi drżi przyjadą na Świętą do Józego, także i Biełnowscy, co to za radość dla Ojca mego – razem szluby w wojsku. Gdzie też to człowiek będzie od drżi za rok, czy na wojnie, czyli też w domu, na swoim gospodarstwie u Antonia?

Niedziela

Rano wstałem o wpół do czwartego – wszystkich pobudziłem – gniweli się na mnie bardzo, ale na to wszyscy byli na rezerwie. Po kolacji, po jaku święceniem pościłem do J. i tam uosob moim Rodzicom, p. Antoniny i Biełnowskich odbyły się żarczyny, byłem więc zupełnie szczęśliwy. Grałimy także w preferans – przegrałem 9 zł.

Po południu M. zabolął bardzo zap – pojechałimy do Korina, aby go wyrwana; wczorzym S. bardzo zachorował na ból piersi, doktora przywieziono, butki przystawiono, pilnowaliśmy go do rana – nie się nie polepszyło owszem gorączka w wielkim stopniu.

Poniedziałek

Stan słaboci S. polepszył się, ale opecz tego ciagle przy nim siedzieliśmy, a nawet w kościele nie byliśmy – po południu trochę z pannami pościłem na spacer, nocowaliśmy przy nim – niewygodnie to prawda, ależ to dla bliźniego.

Wtorek

Pojechałimy do Gostawie, ranni zdrowi – grałimy w preferans po dwa grosze parki: John przegrał 46 zł, Chłowiecki 26 zł, Obłński wygrał wszystko, a ja tylko sześć złotych.

Byłem u Kolarukowskich, Rydzewskich nie ma w domu, p. Antonina została w Gostawie dla przyjemności Łodzi. Powierdziłimy nad wczorzym, marsz do preferans – przegrałem i za wszystkie czasy zapłaciłem 12 zł, bo dotychczas zaprzyjaźnialiśmy tylko.

Środa

Korzystając z cudnego dnia posłizyli do Korina z M. poprzednio poszedł także Ojciec z Justyją do Gintrow – byłem więc u nich – u p. Biernackiej i u Kuntza; przyjeżdżano nam mile, ale najcięższej p. B., byłem i u Miłkowskich, M. u nich nie chce już być, mówi że panna nieporządna.

Kazalem się fotografować na dwaście egzemplarzy. Kupilem czarne spodnie, bo te, które miałem najsłupie pęły na kolanie, gdyś szedł do S. w niedzielną – na buty dałem Biełnowskiemu do Kalisza. Byłem w szpitalu, odwiedziłem rannych – weseli jakby nigdy nie. Wczorzym preferans. Spaliśmy z M. bo na jego bliznę ipi B.

Czwartek

Drżi Biełnowscy odjechali, M. ich odwozi, ludzie bardzo porządni, kometa jestem z f. familii – on stary wojak, ojca mego kolega – ona kobieta czysta, zabiegła i bardzo przyjemna, trochę złodnicka. Ludzina choruje na pania, bo jest gównianką u Gorczyckich, moich chrześniowych rodziców.

Po tygodniowym wypoczynku wziąłem się drżi do pracy z miem uczniami. Kto wie, czy niedługo będzie koniec meim drewniakowi, musiny idą na wojnę, pomimo, że mam Rodziców.

Koszt moim nie będzie uczyć się do mego muś – Dziadzio nie chce mieć tak dużo balasta, mnie zaś byłoby przykro, bo pieniądze nie dostanę.

Wczorzym pewnie będzie preferans.

Piątek

S. chciał iść do Korina, pościłem więc z nim dla jego przyjemności, zjedliśmy ryby u Wernera i okropnością powierdziłimy na obiad. W czasie lekcy przyjechał mi chętna spracziwiania się p. K. M. nie powrócił jeszcze – polityka obecnie nieczyna.

Sobota

Mozę już po raz ostatni kilka słów to kreślić, bo drżi opuszczamy Stare-miasto. Boże opiekuj się nami – Rodzice błogowieściu mi. Zegnam Cię Justyiu i Adolfe, a Ciebie najdroższa Antosiuu skisiam tysiącokrętnie i przysięgam, że dla Ciebie być pragnę.

Przez Rodziców i Justyję, aby Pannę Antoninę lubo uważa jako najdroższą osobę meim sercu – niech pamiętają, że Ona miała być żoną moją, a Rodziców synową – a Justyji siostrę.

Boże zmiłuj się nad nami, pozwól zwyciężyć Moskali i powrócić na łono Kochających.

Zegnam p. Komierowskiego. Jego dzieci – p. Brankowski, niech Bóg nagrodzi za wszystko dobre. Ciebie p. John, przyjały mają Ojciec zegnam i dziękuję za serce szlachetne wraz z Twoją Małżonką – i Córkami. Wszystkim znajomyim pozegnam.

Boże, Boże! Opiekuj się mną,

W Starem-mieście, dnia 11 Kwietnia 1863 r.

A. Kurcowski

Dnia 3 Maja 1863 roku

Wybieralimy się, lecz wyszliśmy daleko później, bo dopiero 15 kwietnia – roztanie było bardzo smutne: placz, try ogłose towarzyszyły naszym odjazdowi. Podróż odbywała się w nocy – i o godzinie 11 przyjeżdżamy do Łukaszki, gdzie zanocewaliśmy – o godzinie 4ej rano już byliśmy w drodze, a o 5 już w obozie, który nazwał i my z nim aż do podległego Wądrzewskiego, około którego stancjowaliśmy, było nas wieniasz 4000 – czasowo dowodzącym Breker, adiutant Kozłuchowski, kapelan Mikołaj Kapracyn. M. zaraz się zapisał i wsiadł do szeregów strzelców, gdzie był powołanem Skłaski kolega S., gdzie potem i on został podporządkowanym i-1 selekcji i-1 kompanii. Ponieważ nie umiem strzelać, powierdziłem z Blaszczakowicz do Wintgenstein. S. zaś miał wyjechać, bo zachorował. Nad wczorzym dają znać, że Kossygenstein nadciąga z wojskami i że już jest od nas o milę – jak się nie zbierzemy i marsz, marsz do Pryzd – okropnie uciekaliśmy i wczorzym stancjowaliśmy w Pryzdach spaliśmy most za sobą, który wart był 40 000 złp. Mieszkańcy przyjmowali nas uprzejmie i co ku mił dawali, z S. bytymu w Rydzewskich na herbacie, lecz ciaglej strach towarzyszył nam z kolei, bo mówiono, że Moskale idą na katar. Stał posłizyli okropnym marszem pod Błisnawę już to podwodami, już pieciz, teraz poczałem, że nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Nielad, nieporządek byłby cęcha, że nie ma dowodcy, nie podobało się mnie to ani M. mówimy sobie, widzimy, a jak powieci Kazanowski będzie w obozie, wzięliśmy urlop – najdłuzszy furmanki i pojechałimy do Shupy, aby wciąć ucho o sa-

szym dowódcy – byliśmy u Ciekli M. i u Więkowiczów, tam właśnie Złotnicki powracal z Księstwa i powiedział, że T. nie tak przedko przybędzie – po obiedzie wrzyskami ekstrapoczęt i jazda do Goliń – to Dreszer obstał nas i dopytwał się co tam słychać, odpowiadałem mu dość niechętnie – S. już był w domu z Pyzd. Wziąwszy konie z Goliń i zrzęciwszy, zmienił przyjeżdżaliśmy do Gosalw, gdzie właśnie w tej chwili Trąpczyński dokonał zycia – przyjechało było dość chłodno, gdyż powiedzieliśmy, żeśmy zupełnie wystąpił z obozu, a tego bardzo publicanie nie lubią – nogi, oż bardzo mnie bolały, byłam tak śpiący, że nie miałem siły mówić, niczego nie rozumiałem, byłam bezprzytomny, ach noc była mi za krótka, i jeszcze ten sen mnie nie pokrzepił – po pobudzeniu pojechaliśmy do Starego miasta, opisać przywitawie wszystkich i uścisnąć Antosi, to jest nam było siły i nad możność – opowiadaliśmy przegdy z marszu i z życia obowozem, potem jak najprędzej udaliśmy się na spoczynek.



Antoni Adam Karłowicz, (ur. 12.01.1837 r., zm. w grudniu 1897 r.)

Po przepasnui swobodnie nocy, po nabożeństwie i znowu po tysięcznym pozegnaniu, po szczyrych całusach Antosi opuszciliśmy Stare-miasto i znowu w trzech pojechaliśmy do obozu, który był w Pyzdach – smutny byłam przez drogę, dopiero w oborze troszkę lepiej wesołszy, przedstawiłem się Naczelnikowi Taczanowskiemu, a potem byłam na herbatce u Rydzewskich, z którymi czas upłynął mi wesoło.

W poniedziałek wstąpiłem w szeregi kosynierów, gdzie mało nie dostałem się dwa razy do kozy. Przychodził kapitan Łagodnicki Teodor i mówił mi, że jędzę na warcie, ale to było tak grubiańska, że wynikła śm kłótnia, co wytryczyło się przed dowódcę oddziałów kosynierów – chciałem mieć zrobić oficerem, lecz podziękowałem za to dostojęstwo i pozostawiałem prostym żołnierzem, bo tam trzeba mieć usposobienie nie wiem jakie, żeby umieć dogodzić kosynierom – tej mieszaniźnie.

Drugie zajęcie miałem z Kozuchowiskim, który także chciał mieć aresztowany do tyu, żem odbiorł moją broń ujmując się za Błaszczyński – ale i to jakoś przeszło, lecz byłam do nowego zmierzwiory, że nie umiem strzelać i muszę być w tym molocho, lecz dziś nie miałem sposobu, stało się muszę być kosynierem, i w tym był

użytecznym Polce na placu bitwy, ale namieniałem się w gronie moich kolegów, tak dalece, że nie śmiałem rozmawiać z Szeregowiczem i z Machalskim, a do Rydzewskich odwrócić się, ach Boże, formalnie się bałem.

Lecz dzień przemiał, i nazastrzelić częst naszej kompanii i ja w niej wystąpił byłym pilnować aresztowanych – zaraz już ledwie mi nie spalił się ze wroty – skoro ułup od oficera, zapisał się do kornicy i Błaszczyński ze mną, bo już mi się sprzykrzyło, a że kornia dla mnie nie było – miałem czekać. Bl. zaraz dostał. Wtem przyjechał Pan John – co za radość list od Antosi – szczęśliwy byłam jak nigdy w zyciu. Kiedy już gotowiliśmy do marszu, stoż smutny przy kosynierach, patrz przywodził szandar, bierze go jeden z tej kompanii strzelców, przychodzi mi myśl, żebym może ja mógł być chorągłym, iść, hory ja i tak przy niej pozostalem, co potwierdziłem przez Naczelnika Taczanowskiego, Majora Strzelczewskiego i Księcia Maksa. Idziemy ku Zagorom – John z nami, śpiewaliśmy, potem było smutne i z potęgnięciem, noco-waliśmy w Myszałowie, byliśmy z M. we dworze na kolacji i herbatce, potem spaliśmy wbyornie, na drugi dzień ruszyliśmy i stanęliśmy w Zagorowie – tu ogłoszono Rząd Narodowy przy rozwieszonych chorągwiach i wobec całego miasta, potem było nabożeństwo uroczyście. Tu się przebrałem, umyłem, o botał się spłukałem, aby być dogodnie wymanowane – chodzącym, jadłem i spałem. Po południu odbył się powieszenie dwóch szpiegów. Żyda wybito, katolika wybito, Niemca powieszono i chłopca także, który księdzem włosy z brody wyrwał i wojsko na powoastwach naprowadzał; ten ledwie mu strzyknie załoteno zaraz uśnął – Niemiec zaś wierzał, za powórś był i dugo nie mógł skonać, aż go pociągano za nogi – okropny był to widok, pascowania się życia ze śmiercią – jednakże przykład dla innych – wrazenie na mnie nie było żadne, dawniej nie mogłem śmieć o wieczności, o biciu, teraz nie mnie nie obchodzi – miasto i kosynierzy krzyczeli wiać – jedni tylko strzelcy byli cicho i milczeliśmy dłaż poznać starszym, że do celu świętego droga święta być powinna, że co dowódcę pochwalił ich i podziękował serdecznie.

M. stał jak mur, S. napil się troszeczkę wódki, chociaż jej nigdy nie pije, ani winą, zaś piva, jedni się śmiali, drudzy płakali.

Zył dostał 25 balów, potem krzyczeli i kłó kosynierów okropnie, a dowódcę ich palaszem go palaszował. Dalszy opis mego obowozu zycia wypisuję z listów, które pisałem do Antosi.

Pyzdry, 25 Kwietnia 1863 r.

Najdroższa Antosko!

Kiedy mam troszkę czasu piszę do Ciebie, domagając się spać dość wygodnie z M. na słomie, ale pod dachem, co rzadko się zdarza, bo u nas go nie ma, słoma pod spodem – całe mieszkanie; nie wiem, czy przy chorągwi się utrzymam, bo jest amaratów dosyć, a mnie tylko przy tem byłoby dobrze, bo jestem wolny od wszystkich pikiet, wart i innych obowiązków.

W naszym obocie jest Gralnicki, Morawski i wiele innych z Konina.

Twój Antosi

Pyzdry, 26 Kwietnia 1863 r.

Najlepszemu Panu!

Na dowód, że zawieszam o Tobie pamięć, prawie co dziek do Ciebie liter kilka pizę, bo mi tak tęskno, tak nudno, że serce się kręci; dawniej zawsze przy Tobie, tyłem razy na dzień ręce całował. (...) Nie uwierzasz, jak się cieszyłem, że Tyś Ojciec i Bl. chciał mieć się wyprawać, ale niestety tylko została nadzieja – to ostatnia szczeska moja. Boże zmiłuj się nade mną.

S. radby, jakim cudem stać się wyprawać. M. zaś za nie w świecie obcasu nie opuszc. Gr. radby obąpił się, a wyjdę – S. pomniatual i uniwersal! Doznaję tu szczęśliwiejszych względów u pp. Rydzewskich i u Jej cirkli p. Józefy dobrać panienki; rano pije tu herbatę, obiad jem w restauracji, a resztę dnia u nich w trzech przepędzamy – wieczorem grają na fortepijanie, a my śpiewamy – o, śpiewamy wstami, ale w duszy, o Moya Droga smutek i wieczna niedola, bo to życie nie dla mnie; rozkazywać nie umiem, a śmieć nie lubię – mnie tylko uczyć dzieci i tem Polce ubić, ale w obocie swojej nie ma ze mnie pocięby, strzelac nie umiem, bo broń nie miałem nigdy w ręku; nie skartę się na nikogo, ale orgłem nie potrafię wykonać.

poświęcają za swą Kochaną Ojczyznę. Obóz Taczanowski należał do najlepszych, najlepiej zorganizowany – tylko wódz niepraktyczny, bo męczył marszałami, na małe oddziały moskali nie napadał, a pod Prydnami mógł, a nie gonił moskali.

Pod Głodnem postugaliśmy się za wszystkich i publicznie zontakem zwolniony: jak wróciliśmy do domu, a obóz dawno był toczył walkę w Kole, gdzie był Machalski. Później była bitwa pod Ignacowem, gdzie czynna rzecz była przy końcu, a porządku nasi dzielnie się trzymali, lecz potem z przyczyny przeważnego wojska moskali nasi odeszli się i obóz się rozszedł – z tej więc przyczyny Machalski wrócił do domu z podzięką Boga, że mu zachował życie. Opinia o tych co wrócili do domu nieszczęśliwa była w początkach, domagał tego najwięcej Szeremowicz, bo w Kurlandzie dawano ma rozmaite nazwiska, a nikt go nie uwierzył, że on szabowie i niezłomny do obywatelskiego życia.

Mnie ma publiczność za zupełnie wyrozumiałego, bo nie umiemy strzelać nie bytem i nie jestem zdany, a mając obowiązek lepszej jako sztyry Polacy. Machalski, ponieważ był najdłużej w obozie, bo aż do jego rozejścia się najpóźniej połowy zuboża, przyjęła go wszyscy dobrze i do dziś dnia uważają za dobrego żołnierza.



"Fotografia adonajowa w Kole przez Adama R. w październiku 1873. W lewym górnym rogu, Jan, żona 32, dom: Władysław R. Maryja 17 1/2, Antonina 5 1/2, Kuzniec 3 1/2, Helena 1 1/2."

Co też tam porabia Witalo, co myśli Plichta, Włodzimierz w więzieniu w Wilnie, co też porabiają inni nasi kolecy, przyjaciele, znajomi, może niedługo już gnuja w ziemi, inni w wojsku mosk., inni w więzieniach, inni za granicą!

O Polak! Polsko, tyle ofiar, tyle krwi wylałeś przez pół roku, dotychczas nie masz ani piodzi ziemi, dzielnicy zagranicznej ziemi, debutują bracia ci i z tego, czynnej pomocy nie ma i nie ma – sami coś podolamy, kiedy chłopci są nam wręcz przeciwni, Niemcy nieprzyjaciele na zawsze, żydzi okupają, a my żywieli naturkowcy dzielimy się na arystokrację i demokrację.

Boże zmilnij się nad nami!

Kochany Antoni!

Nie wierzyłeś, jak mi było tęskno po Twoim wyjeździe. Często zapuszczałem się, aby Cię swym zwycięstwem witować, lecz trwał, nie Anioł już wyjechał się do Kurlandii (tędy dałem nazwę Powstańcom od czasu kiedy kole moskiewskie narwałem przekazywać). Ogromne robimy marne, byłymy w Mińsku, ale dziwnie nie ciągle maszerujemy, możemy postawionego co to za ogromny kanał tylko to, że przyjemne nocy majowe, zwyciężyłem, postępie się jak że bródka, lecz co robił.

Obiecałem dzisiaj dojechać do domu, lecz niestety nie pozwolił. Kat mi drogi zrobił budy z gruszkowej skłery i to jak najgłębiej mi przysłał, bo wienem co cierpieć na nogi, a co zwrot pięknymi się nie obawiał, gdyż przysłał Ci zegarek, a tem Ci wyraził. A może jak powiem postaram się i o monety.

Spodziewamy się teraz starcia. Czekam więc, by było jak najprędzej, w tej chwili żyję, bo jestem głodny. Kiedyś co swu przyniósł, a drugiemu nie dał. Nie mam tego za, ale coś robić z moim brachem – jak Szerem i Ty byłycie to i mnie się czasem coś dawano, ale teraz trzeba już coś dostanie, jeśli już dąży, ale czekać jak dążyć to można naderbać, się flaczając myśli. Przysłał bractwa poczęć Żukowa może Szerem staremu towarzyszeowi zroli tę ofiarę, bo nie ma do Prydnale droga, a może to wszystko już nie będzie potrzebne, bo Mas. już w Rydy, ale mi drogi, jeżeli zginię nie zapamięć modlić się za mnie. Szeremowicz uścisnął ode mnie prawdziwie po przyjacielsko. P. p. John i wszystkim znajomym pozdrowienia braterskie. Spodoba mi się dno, a nie przysyłać innych, gości za gorzej, ponieważ już się niecierzą. Rozpacz człowieka bierze.

Przyjmił mi kaszale może szare, ofiarę z tych nocnych tylko jak był zraz dał – a Bóg wam wynagrodzi, a wspomnienie swego współwalczyka.

Katka mi zostawili w Grabienich w Skrzyżeniu Rądky, bo musiałem po grze co dzień pisać za nożenie – jeszcze jedna prośba, aby to pismo nie dawał katedrom czytać, bo mnie wzdę, że Farzy obraża się w zebrała – zostawiam to Twoim rozważeni.

Ścisnąk Cię drogi wraz z Szerem., bo mam to przeznaczone, że teraz ty nie wyjdę, bo ostatecznie się wcale nie myśli. Wiem z jaką odważą bitem się w Prydnach, to tutaj będzie więcej przymiennie wspomnienie, że byłem gości waszej przyjacieli.

P. Ludwik R. wcały obó może rzucił, gdzie teraz idziemy nie wiem, domyślam się tylko, że do Tułiznikom.

Dąbroszyn d. 4 Maja 1863 r.

/Mach.

Kolo, w domu d. 6 Maja 1863 r.

Kochany Antoni!

Mając chwilę wolną przyjemnie mi, chociaż listownie scaliwać Cię mógł drogi, ogromny zrobił mi bez odpoczynku marz, lecz nogi pomimo tego mało mnie boła. Wczoraj byłem już blisko Starego Miasta, bo w Głowiszowie na ochotnika na obwieściu, dożył się dobrze powiodło, lecz strzelił nie był czynem, z armat moskiewską strzelała, lecz tylko na wiatr, gdyż my staliśmy spokojnie w lesie. Wczoraj ciągle na ochotnika byłym przysłał, tak że nie pochodził wobec kompanii. W Kole drogi wrota, bo armaty grzmiały, a nasi oddzieliwali się. Straszę się bardzo może. Szczęśliwość ci nie domoże, bo nie powiem w tej chwili nie wiem. Nasza kompania była zostawiona dzisiaj w rezerwie, jutro będziemy kąpieli. Cóż porabiam? Jak się masz, czy zdrow? Szeremowicz czy zdrow, napisz przez okazy, albo przysłać, a zrobisz mi tem wielką przyjemność – jeżeli czykał wczorajsze kurki, to wiesz co mi potrzeba, a teraz ścisnąk Cię serdecznie wraz z Szeremowiczem, a p. p. John przysłał moje powitanie, pamięć pozdrowienia braterskie – już muszę skończyć, bo mi głowa pusta jest, że tak dużo pisać.

Twój Przyjaciel Stanisław

Kolo, 7 Maja 1863 r.

Kochany Antoni.

Wczoraj wczorajem był ty u mnie wraz z kilku innymi twój drogi znajomy i towarzysze brwi z Szeremowiczem. Dziękuję Ci serdecznie za Twój rekomendację. W załączeniu przysłał Ci jego list, który u mnie napisał wraz z Złotnickim, który także był u mnie.

Pamiętam, że do swawego wieczora kole moskiewskie nad naszymi głowami zwisały, przepędziliśmy wieczór aż do pierwszej godziny w nocy bardzo wesoło.

Deci rano o godzinie czwartej obóz wyrzucił, a już za nim weszli moskale, którzy całą noc pod miastem leżeli. Z naszych braci raniono siedmiu, z których jeden, rotnistrz Uruch umiera.

Kolo narazie jak ci niecierpieliwo, że już drugiego będzie musiało pochować. Wieleż żałuję zmiany od ostatniego naszego widzenia i o Bóg wie, kiedy już jak się jeszcze zobaczymy. Ja jeszcze jestem w domu, lecz oczekuję wierzania, tylko: je-

stem gościn, lecz bez wzwania nie chciałbym żony opuszczać dla swojej i Jej spokojności. Lecz skoro było będm miał wzwanie, tak już i żona sama mnie wyprawi,
a wiady w Jini Bóde, marza

W kulew domasz, że jestem chwala Błogu naród, czego i Tobie życzę. Zamyślając
najczernsze skłony dla Rodziców, Ciebie ściskam serdecznie.

Twój kolega i przyjaciel
Alfred J.

ANTONI ADOLF KURCEWSKI, herbu Ślesiana, ur. 12 stycznia 1837 r. w Turku (Poznańskie). Ojciec jego, Adolf, jako podchorąży był przyjacielem Piotra Wyszynskiego i brał udział w powstaniu listopadowym. Po karnej konfiskacji majątku w Żdrowiu spędził jakiś czas na Syberii. Antoni ukończył Instytut Pedagogiczny w Radymnie. Utrzymywał się z pracy grawerskiej w majstoku Kosierzówkach w Starym Mieście pod Kosztem. Ślad po nim do powstania 1863 r., zaciągając się do koscielników.

Po upadku powstania styczniowego udał się z Antonieją Jolantą, z którą miał kolejne sześć dzieci. Po śmierci Antoniej (1876) ożenił się (1877) z jej siostrą Anną (zmarła w 1878). Po raz trzeci zaślubił rodzinę z Leokadią Jedytą, z którą miał kolejne sześć dzieci.

Był nauczycielem Szkoł Elementarnych m.in. w Goliści, Kole, Stawiszynie. Od 1841 r. mieszkał w Kaliszu pracując jako „pomocnik gospodarczy klaszorski” w najstarszym Męskim Gimnazjum, równocześnie był korespondentem miejscowego „Kaliszianina”. Pod koniec życia założył własną szkołę elementarną. Zmarł w grudniu 1897 r. w Kaliszu.

W latach 1861-1897 prowadził pamiętniki (łącznie 92 zeszyty), w części dotyczący m.in. jego udziału w powstaniu styczniowym. Pamiętniki (fragmenty) udostępniamy zinal redakcji przez p. Andrzeja Sypchalskiego, potomka Antoniego Adolfa Kurcewskiego.

(rod.)

noty

JÓZEF FERT

ODSZEDŁ PROFESOR CZESŁAW ZGORZELSKI (1908 – 1996)

Urodził się 17 marca 1908 r. w Boryczewie koło Klecka w powiecie nowogrodzkiem jako syn dzierżawcy ziemskiego Henryka Zgorzelskiego i Marii z Bosowickich. Dzierżawca boryczewski w jednym z kluczy ordynacji radziwiłłowskiej liczył ok. 600 ha ziemi, a prowadzona doświadczoną i rozmiłowaną w ziemianstwie gospodarstwu ręką Henryka Zgorzelskiego, rozkwiła zasobnością i kulturą. W 1930 roku ten wczesny gospodarz w ramach reformy rolnej nabył na własność około siedemdziesięcioktówarową cząstkę dotychczasowej dzierżawy wraz ze wszelkimi zabudowaniami i sadem. I tak Boryczew stał się definitywnie i formalnie „głazimem rodzinnym” Zgorzelskich. Niestety, odebrałym, utraconym w katastrofach, jakie poczynę spadać na Polaków po roku 1939.

Nieraz zastanawiałem się – wspominał Czesław Zgorzelski w wydanym na pół roku przed śmiercią, tomie wspomnień *Przywołane z pamięci* (Norbertinum 1996) – co sprawiło, że Boryczew, Kleck i najbliższe okolice traktuję wciąż – po wielu latach wrzeli – jako moje ziemie domowe. Powracam do nich zawsze w myślach i wspomnieniach jak do rodzinnej ojczyzny. Wtedy skłaniał się do mojej zarysowania [...] Toruń, Wrocław i Lublin cenię jako kolejne etapy mego rozwoju nadozwo [...] ale właśnie do Boryczewa i jego okolic kieruję się wszystkie me sentymenty rodzinne i wszystkie próby określenia korzeni, z których wyrósłem”. Ten prawdziwy miłośnik i zwawca Mickiewicza mógłby za swym poetą powtórzyć strofy wierności – wymanie Jego Pielgrzym:

*U stóp moich bratnia dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok pióglwe lice;
Dla czegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i niestety! jeszcze dalsze czasy?*

W roku 1975 gościnieży z żoną we Włodawie Państwa Salomej i Czesława Zgorzelskich. Jakże charakterystycznie zachował się wówczas nasz Profesor. Szedł nadbratnia, groblą jak najbliższej rzeki i tęsknie wpatrując się w północno-wschodnią stronę szepotał „to tak blisko... tam”. Oczywiście, „granicą przyjaźni” była wówczas dla nas, a szczególnie dla niego, „stałowa kurtyna”; nie miał prawa „tam” nawet zajrzeć. Dopiero w październiku 1995 roku – po pięćdziesięciu latach – odwiedził wraz z synem Andrzejem „Jedną dziedzinę” boryczewską. Było to ostatnie spotkanie Czesława Zgorzelskiego z „krainą lat dziecińczych”. Zmarł 26 sierpnia 1996 r. – w święto Matki Boskiej Częstochowskiej. Pochowany został na cmentarzu rzymskokatolickim w Lublinie przy ul. Lipowej. Nad trumną przemawiali m. in. abp metropolita lubelski Bolesław Pylak, który przewodniczył liturgii i egzorcyzmowi w kościele akademickim, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych KUL, ks. prof. Ramiłgusz Popowicz, rektor KUL, ks. prof. Stanisław Welgus, dyrektor Biblioteki Głównej KUL – urości i bliski współpracownik Zmarłego – Andrzej Pałuchowski, prof. Andrzej Kłoczowski, prof. Zofia Stefanowska, prof. Ireneusz Opaski, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie Józef Kryżanowski, Józef Adamski, prezes Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie i inni.

Przypominajmy drogę Zgorzelskiego na szczyty historii literatury polskiej. Edukację rozpoczął w roku 1918 – w polskim kooleducacyjnym gimnazjum w Józefowie, miasteczku oddalonym od Boryczewa o 24 kilometry. Mimo że był już rok 1918, na tym terenie władali jeszcze Niemcy, a następnie bolszewicy, i trwało to do 9 sierpnia 1919 roku, dopiero wtedy do Nieświeża „wróciła Polska”, zresztą nie na długo, gdyż zaraz nadszły czasy wielkich zmagań polsko-bolszewickich, które w pewnym momencie wypchnęły rodzinę Zgorzelskich aż do Radomia. Po zalaniu się najazdu bolszewickiego rodzina mogła wręczyć wroć do siebie, a młodzi – do szkół. Naukę kontynuował Zgorzelski w Wilnie w doskonałej, jak wspomina, państwowej szkole gimnazjalnej im. króla Zygmunta Augusta, w której w 1926 roku uzyskał maturę. Coraz mocniej wstąpił w Wilno.

Buły gołęb nad falami puszczadek Litwy – Wilno, jak sen, jak marzenie o pięknie... Nurt romantyczny nie miał się narodzić gdzie indziej, tylko tu. Największe miasto Starej Rzeczypospolitej, najciemniejsze wiano dla Młodej Litwy (czy raczej „odpawa” – ofiarowana? ofiarowana... mniejsza już o to).

*noc to kolo
w ciemni niebieskiej wieble
witra koscielne
ipi biale jak goleb
nad tanczkiem arkiada
dow dawowi dloni tak ucieta
i zastyl z nagla
jest i latarna blada
nad chodnikiem drewnianym nisko
i ogród na wieżce szagal
wiec sie mrozi
wielu sie huczy
plaszczce o brzeg
litwa ziemia puszcy
jak dobre*

Mał Cieszkowski, powieść noc to kolo, dloni jak cy dloni

Tu w Wilnie, w odrodzonej Alma Mater Vilnensis – świętym Uniwersytecie Stefana Batorego – studiował Zgorzelski polonistykę od 1926. Pracę magisterską nt. *Opisy wędrówek po kraju w okresie romantyzmu* (w oparciu o doświadczenia zdobyte przy pisaniu tej pracy powstało studium motywu przyrody, opublikowane następnie w *Księżycu pamiątkowym Kola Polonistów* (USP) pisał pod kierunkiem prof. Stanisława Pigonia (1928 – 1930), ale obornil ją już i prof. Kazimierz Kolbuszewski w marcu 1932 – gdyż profesor Pigon przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński. Wysoko oceniona praca otworzyła Zgorzelskiemu drogę ku studiom doktoranckim, ale równolegle do polistatowego zatrudnienia asystentem na uniwersytecie podjął pracę na kursach przedmaturalnych dla dorosłych w Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta (od 1930), a następnie w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie (1932 – 1934). Od roku 1934 musiał wybrnąć między pokusa pełnego zaangażowania w pracę naukową i zajęciami uniwersyteckimi.

Wybrał drogę nauki, ale gacytyclwstwo pozostało dla niego na zawsze najdroższym zajęciem. Słuchał Profesora w latach 1965 – 1969 jako wykładowcy i kierownika seminarium magisterskiego; był wzorem szmuki nauczycielskiej zarówno w zakresie teorii, co przedstawiał swym słuchaczom, jak i tego, w jaki sposób to czynił. Owszem, drżały wszystkie serca przed ogarnieniem „ze Zgorzelskiego” (oświecenie – perenianizm – romantyzm, a nasz rok zabójczy nawet ogarnięciem z powrotem), bo właśnie w tym czasie zmarł profesor Feliks Anusiewicz, a przyszły profesor Stanisław Fita był na urlopie naukowym; ale ogarniem ten dawał satysfakcję i uczył: rzetelności, sprawiedliwości, subtelnej wyrozumiałości dla „himalajów niewiedzy”; bez pobłażania, ale z zachętą do poprawy...

W 1932 dostał się Zgorzelski pod wpływ wielkiej indywidualności naukowej Małfreda Kradia, który po Pigoniu objął w Wilnie profesurę w Katedrze historii literatury polskiej i kierownictwo zakładu, w którym Zgorzelski pracował jako as-

ystent i bibliotekarz. Zrodził się wówczas pierwszy projekt tematu pracy doktorskiej: przeprowadzenie paraleli *Słowacki a Lermontow*; Zgorzelski wchodził w krąg inspiracji szkoły formalistów rosyjskich i Praskiego Koła Lingwistycznego: Borysa Eichenbauma, Jurja Tynianowa, Wiktora Szukowskiego, Borysa Tomaszewskiego, Wiktora Zirmunskiego, Romana Jakobowa. I to doświadczenie nadejmu uczęszczało się prawdziwym przełomem intelektualnym. Na fundamentach inspiracji formalistyczno-strukturalnej będzie odłt wzniósł oryginalny gmach poznania humanistycznego, ukoronowany stworzeniem własnej, tubelackiej szkoły historyczno-literackiej.



Mał Cieszkowski – reprodokcja z „Polonisty” (KUL) z listopada 1970 r.

Okolo 1935 temat doktoratu uległ zmianie – Zgorzelski podjął studia nad problematyką genealogii historycznej na podstawie duszy („poprzedniczki bałtady jako początkowego kształtu nowego ganasku”) oraz bałtady i powieści historycznej. Wybuch wojny przerwał tę pracę na zdłciu i rozdłsiu.

Długi, dramatyczny akt obejmuje lata wojny i okupacji; niemieckiej, bolszewickiej, litewsko-niemieckiej, znów bolszewickiej i jeszcze raz niemieckiej, i znów bolszewickiej... tamte ziemie miały „swoją” nieprawdopodobnie powikłaną martyrologię; Zgorzelski poznaje smak więzień, najpierw litewskiego (Lizkiszki smetnowskie, które wspomina jako „zasztorum za krudkami”), później bolszewickiego (te same Lizkiszki, ale jakże zmienne – na gorze). Uderzenie Niemców na Rosję w 1941 r. otworzyło Zgorzelskiemu drogę „na wolność”. Wojnę upodł po żołniersku – w szeregach Armii Krajowej, która uzbierała swego żołnierza zaszczytnym Krzyżem Walecznych. „Wyzwolenie” przyniosło Zgorzelskiemu... kolejne aż

trzy-nastomiesięczne uwięzienie – przez „wyzwoliciele”. Wreszcie w listopadzie 1945 r. ucieka (przemycany wódek) pak z majątkiem, przesiedlając zaprzyjaźnionych repatriantów na kordon – do nowej, zupełnie nieznaną Polskę. Rodziną od wielu miesięcy przebywała w Toruniu, uchodząc – jak tysiącletni wian – przed bożenickim rurem.

W Toruniu próbują Zgorzelscy odzyskać spalone majątki. Można wreszcie zamknąć rozpoczętą przed laty pracę doktorską. Tytuł doktora filozofii z zakresu literatury polskiej i rosyjskiej uzyskał Zgorzelski na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w lipcu 1947 r. na podstawie rozprawy *Pojęcie dumy w polskiej poezji przedromantycznej*.

Od grudnia 1945 r. do r. 1949 pracował jako starszy asystent na UMK w Toruniu, zwolniony represyjnie przez ministerstwo, przeniósł się do Wrocławia, gdzie pracował do września 1950 r. w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Najnowsze lata naszego kraju – luty dramatyczne i tytaniczne – ofiarowały nam klejnoty: wódr pracy i prawości. Od września 1950 r. do przejścia na emeryturę (w 1978) Zgorzelscy pracowali na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.



Sobociński i Ciesielski Zgorzelscy oraz Krystyna Brzozowska-Piet and Józefina Białoch, Włocławek, wiosna 1973 r. Fot. J. Piet

początkowo jako adiunkt, a następnie jako zastępca profesora historii literatury polskiej; w r. 1956 otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, w 1968 – profesora zwyczajnego. W 1950 – zostaje członkiem korespondentem Towarzystwa Naukowego KUL, od 1952 – członkiem czynnym tego Towarzystwa. Od 1967 r. był członkiem Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN, następnie członkiem Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN. Od 1973 – członkiem czynnym Lubelskiego Towarzystwa Naukowego. Przez wiele lat był prezesem Lubelskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Ważne Zgromadzenie odbyło się zaszczepieniem Członka Honorowego tego Towarzystwa.

W latach sześćdziesiątych dwukrotnie pełnił obowiązki dziekana Wydziału Nauk Humanistycznych, przez wiele lat kierował sekcją filologii polskiej. Dorobek naukowy i publicystyczny Zgorzelskiego obejmuje kilkanaście powieści, w tym kilkanaście tomów. Wyróżniony nagrodą Rektora KUL (1978), nagrodą edytorską PEN-Clubu (1979), nagrodą Fundacji Alfreda Jarzykowskiego (USA 1982), w 1973 Rada Państwa odznaczyła go za dwudziestoletnią pracę pedagogiczną Krzyżem Kawalerskim Orderu Odzyskania Polski. Doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego (1961–1938), Stanisław Pigon (1885–1908), Manfred Kridl (1882–1957), Konrad Górski (1895–1950), Wacław Borowy (1890–1950), Tadeusz Makowiecki (1900–1952), Karol Wiktor Zawodźński (1890–1949), Tadeusz Mikulski (1909–1958), Maria Dulska (1900–1992), Kazimierz Wyka (1910–1975). Sam stał mianem zastępcy polonistów w środowisku KUL i innych ośrodkach naukowych, m. in. Ireneusza Opackiego, Mariana Maciejewskiego, Andrzeja Pabianowskiego, Wiesława Orłowskiego, Wacława Tkaczuka, Tadeusza Kłosa, Piotr Kudwicz, Michała Głowickiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandra Okopień-Sławińskiego, Anny Opackiej i in.

Badania naukowe Zgorzelskiego skoncentrowane były na historii literatury okresu oświecenia i romantyzmu, a szczególnie na ewolucji statusu literackiego, opisywanej w kategoriach poetyki historycznej, „ciągów gatunkowych i struktury genologicznych”, tak m. in. powstawały monografie gatunków preromantycznych i romantycznych, zwłaszcza w książkach: *Duma poprzedniczką ballady*, Toruń 1949; oraz – wespół z Ireneuszem Opakiem – w antologiach: *Ballady polskie*, Wrocław 1962 i *Ballady*, Wrocław 1970. W przedmowie do swego zbioru studiów o lirykach Mickiewicza i Słowackiego wyznawał z niezwykłą skromnością i racjonalnością:

Krag autorstwa mojego zarysowany w tych ziskach nie jest ani zrodzół, ani wstecz-
stronie ródziny. Obserwacje ich nie dotyczą ani biograficznych, ani gene-
tycznych, ani ogólnohistorycznych aspektów zagadnienia. Uwaga główna skupia
się wyłącznie niemal na sprawach sztuki literackiej – z dążeniem do ujawnienia
najnowszych czynników jej kształtowania się i ewolucji. Główny problem roz-
ważań stanowi zatem nie tylko sam proces formowania się różnych tendencji ar-
tystycznych w ramach poszczególnych szkół literatury, ale także szerzej, his-
torycznoliterackie rezultaty tego wewnętrznego i zewnętrznego, aktualnego i postulat-
nego, którymi stała się nowa sztuka literacka i Słowackiego i Słowackiego.

Mistrzowski interpretacji ujawniają studia Zgorzelskiego nad lirykami Mickiewicza i Słowackiego w jego książkach: *O lirykach Mickiewicza i Słowackiego*, Lublin 1961; *O sztuce poetyckiej Mickiewicza*, Warszawa 1976; *Liryka w polu roman-
tycznym*. Studia i szkice literackie o wierszach Słowackiego, Warszawa 1981. Konrad Górski, uznając ostatnią z wymienionych wyżej książek (*Ujawnienie tajem-
niczemu literackiemu*, „Nowe Książki” 1962 nr 4) stwierdza, że spojrzenie Czesława Zgorzelskiego stało się badanie małych form literackich (duma, balla-
da, różne odmiany liryki) i w tym zakresie zdobył on wśród grona współczesnych
historyków literatury polskiej nie kwestionowane chyba przez nikogo pierwsze
miejsce.

Doświadczeniem historii literatury wiodą studiów teoretycznoliterackich oraz metodologicznych, to wymienienia domaga się szczególnie interpretacji literacko-
literackiej perspektywy genologii zamieszczonej w książce *Od oświecenia do roman-
tyzmu i współczesności*, Warszawa 1978. Notabene nie zaplanie wielkie dzieło
metodologiczne Profesora to jego uczniowie, wykształceni w ciągu ponad czterech
dziesięcioleci działalności naukowej – uczniowie uformowani bezpośrednio przez
Mistrza, jak też inni, inspirowani jego tekstami. Jeszcze innym instrumentem dzia-
łania Profesora była jego niezwykła osobowość: wzór szlachetnej humani-
styczności.

[...] co, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważała – mogła być w
najgłębszym epoce cywilizacji greckiej – albo to, co genialny artysta drwian-
tym wygrywał np. na klasycznej tragedii francuskiej, które lubo nie są to
starożytności świata, są ich historyczny ogólny niepodobieństwo, ponieważ wszelkie
takie np. Racheli umie je uwarunkować, niepodobieństwo i rzeczywiste szlachet-
ność. (Cyprian Norwid, *Czarne kwiaty*)

Specjalne miejsce w dorobku naukowym Zgorzeleckiego zajmuje jego sztuka edytorska. Był jednym z największych współczesnych edytorów w ogóle, a niezrównany wydawcą poezji Mickiewicza w szczególności. Opus magnum nauk edytorskich stanowią tu *Pierze* – cztery woluminy tomu pierwszego *Dziół wazytkich* Adama Mickiewicza, pierwszego w pełni krytycznego wydania dzieł poety. Niestety, pomnikowe to wydanie pozostało nie ukończone. Z innych prac edytorskich uczonemu wymiemy jeszcze wydanie *Poezji Kazimierza Brodzkiego* (Wrocław 1959) oraz dwutomową nową edycję *Wyboru poezji* Mickiewicza w ramach Biblioteki Narodowej.

Zusammenfassung

Alfred Fenn

MARCIN OLIFTROWICZ

ŚWIADECTWO GODNEGO ŻYCIA

[illegible]

Czesław Zgorzelski rozpoczyna swoją opowieść tak, jak w *Pani Tadeuszu*, od gospodarstwa. Urodził się w Boryczewie na Wileńszczyźnie w średnio zamożnej rodzinie ziemiańskiej, borykającej się z normalnymi jak na ówczesne czasy trudnościami ekonomicznymi, ale i z bezpośrednim doświadczeniem pracy fizycznej.

Dla autorów ważniejszą była atmosfera tego miejsca niż status finansowy borysewiczowskiej gospodarki, chociaż mógłby przynosić dochody wystarczające na skromne życie rodziny. Ale z woli ojca, Borysewicz miał w przyszłości odegrać rolę gruntownej modernizacji, by służąc przynajmniej pokoleniom. Niech dzieje się najwyżej według domowej tradycji. Niech wieść, że cokolwiek by się zdarzyło, zawsze mogło w Borysewiczu znaleźć oparcie i pomoc. Wierzenie, jak bieżące, przetrwało i tych ziem do dzisiaj ma o słabości tamtych lat. Wierzenie, że Borysewicz może być dla siebie i dla innych. W rodzinie Zogorskich. Wielkimi swobodami ojca, wyrzniętymi we wspomnieniach i pamięci rodziców. Wielkimi swobodami ojca, wyrzniętymi we wspomnieniach i pamięci rodziców. Wielkimi swobodami ojca, wyrzniętymi we wspomnieniach i pamięci rodziców.

[illegible]

wania polonistycznego, to jednak, wszystkie miały dopełnić dalsze studia doktorskie, uzupełniając bardzo przydatną pracę naukową.

Ale wszystkie plany i zamierzenia na przyszłość legły w gruzach po 1 września 1939 roku, który w tragiczny sposób dopełnił studia dramatyczną datą 17 września – i nagle znalazł się w warunkach odmiennych hierarchii wszelkich spraw państwowych porządku... Dla autora wspomnień oznaczało to jeszcze dodatkowy cios osobisty – wywołał w głębi Różę będących już w starszym wieku rodziców, a dla niego samego wieloletnie więzienie, „przymusowe” ślingowanie okartami. Ale w mrocznym czasie wojny, między szczytami a niespodziewanymi zawieszami uwolnienia, nadzieją przetrwała przynależność do wieloletniego okręgu AK – Nie tylko konieczność konspiracyjnego działania, ale i współodpowiedzialność, a także samo istnienie w obcizmie, w transporcie, w celi więziennej zmuszano do wzajemnego zbliżenia, przyczyniając się do głębszego poznania twórcy nie-doli. Wojna zabrała C. Zagorzelskiego najbliższych, ale też znacząco przedłużyła hart ducha, który pozostawił w nim świadomością o nieprzejawionej wartości takiej postawy człowieka, która do końca sama zachowała wierność wojennemu zawirowaniu. Nawet w warunkach decyzji heroicznej. Rzeczywistość wojenna mimo pozorów kończyła się dla Polski tragedia, której skutki, miał Czesław Zagorzelski szczególnie głęboko świadomością, choć naprawdę jeszcze się nie zakończyła.

Odmienne postawie życiowej powie zażar w końcowej sekwencji wspomnień: fiktor przyczyniło mi w życiu podjętowa niekiedy decyzji, zwłaszcza wtedy gdy w grę wchodziły konflikty między różnymi kategoriami zobowiązań moralnych, przy postępowaniu uwalniała mi zawsze pomysł o Ojcu i o naturalnej prostocie, z jaką zwykli był podobne wątpliwości w życiu swym rozwiązywać.

Przywołano z pamięci Czesława Zagorzelskiego to wyjątkowo ciekawe studium życia naukowego Wileńskiego, a jednocześnie bardzo szczerą i osobistą opowieść człowieka, który w sposób nie ująłowy wspomina swoje lata doświadczenia z świadomości intelektualnej, pojmowania zawilskości świata i przebiegłej natury ludzkiej.

Czesław Zagorzelski. Przywołano z pamięci, wgląd. Warszawa, 1996, ss. 248/28. B. Świąt, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. *Prace Komisji Historii Akademii Nauk i Literatury*

KAZIMIERZ PRZYBYŁKO

JUBILEUSZ CHÓRU AKADEMICKIEGO KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO (WSPOMNIENIE)

Chór Akademicki KUL powstał na przełomie lat 1921–1922. Siegnąć pamięcią do wczesnego okresu działalności chóru należy stwierdzić, że było to stowarzyszenie ogólnouniwersyteckie. Młodzież ze wszystkich kierunków studiów chętnie uczestniczyła w jego pracach i regularnych próbach. Nawigowano przyjaźnie, a w niektórych przypadkach kojarzyły się nawet małżeństwa.

Wielu kolegów było niewątpliwie obdarzonych uzdolnieniami artystycznymi, muzycznymi, wokalami (np. Świd, Marzalek, Marzalek). Wielu, oprócz studiów uniwersyteckich w wybranym kierunku, kontynuowało równocześnie naukę w średnich szkołach muzycznych (Andrzej Kładozcy, Edmund Marzalek, Michał Miecisko).

Chór brał udział we wszystkich uroczystościach uniwersyteckich. Okres pracy chóru do 1939 roku, jak i jego późniejsza działalność w latach 1945–1957 jest słabo udokumentowana. Moje wspomnienia dotyczą działalności chóru w latach 1951–1956.

7. Dotyczyła opublikowanych wspomnień i relacji (Czarniakowski 1953) wynika, że

¹ H. Czarniakowski. *Spomnienia, wspomnienia*, [w:] *Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach wojennych*, Lublin 1958.

chór już w roku 1947 dal m. n. dwa publiczne występy w Olsztynie i jeden w Dobrym Mieście. Występowało wielokrotnie z okazji uroczystości państwowych na terenie Lublina, w salach Państwowego Teatru czy Towarzystwa Muzycznego. Za całokształt działalności kulturalnej, a szczególnie za propagowanie muzyki uzyskał w 1948 roku Jednostkowe wyróżnienie Ministerstwa Kultury i Sztuki. W roku następnym zespół wykonywał koncert paryjski z udziałem obojczy Filharmonii Lubelskiej oraz solistów Opery Warszawskiej. W tym samym czasie Stowarzyszenie nawigowało kontakty kulturalne z ośrodkami studenckimi w kraju i za granicą – m. n. ze studentami Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Karola w Pradze.

Z innych opracowań i źródeł wynika (Stanowski, Chruszczewski 1969), że statut samodzielnego stowarzyszenia „Chór Akademicki” został zatwierdzony przez Senat Akademicki KUL w kwietniu 1948 roku¹. W tym samym roku Chór Akademicki został zarejestrowany w Polskim Związku Stowarzyszeń Śpiewaczy. Uczestnictwo w związku dawało prawo do organizowania publicznych koncertów. Senat KUL mianował wówczas kuratorem Chóru Akademickiego prof. dr. Zdzisława Papkowskiego, znanego prawnika i przyjaciela młodzieży.

Pierwszym w okresie powojennym dyrektorem i kierownikiem artystycznym Chóru Akademickiego (w latach 1946–1949) był Edmund Kozłowski. Po nim, na krótko, kierownictwo artystyczne chóru objął: pan Hempel i Jerzy Daszkiewicz. W tym okresie, tj. od roku 1947, Chór Akademicki organizował wakacyjne obory szkolniowo-wypoczynkowe w Smolensku, a później we Fromborku.

Rok akademicki 1951/52 nastąpił to dynamiczny rozwój działalności artystycznej chóru. Prowadził go wówczas młody, pełny inicjatywy i zapali dyrygent mgr Leszek Hoffman – absolwent Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych naszego uniwersytetu. Zrezygnował ze współpracy z chórem na aplikację sądowniczą. Współpracą przyszłego adwokata czy sędziego z KUL w okresie stalinowskim była niemalże widziana. Kolejnymi dyrygentami chóru w latach 1953–1957 byli: mgr Czesław Domański, ks. Wiktor Preizler, ks. dr Tadeusz Miąga i Marian Ochulski. Na jego repertuar składały się zarówno polskie dzieła (twórcy Moniuszki, Szymanowskiego, Karłowicza, Wiśniewskiego, Szopena) jak i utwory kompozytorów obcych (Händel, Haydn, Lehar, Strauss).

Z naszym chórem współpracowali m. n. artyści, wokaliści i dyrygenci. Wokaliści: tenor-baryton Ryszard Grabarczyński, sopran – Barbara Kostorzewska. Dyrygenci: Olgierd Staszewski, Robert Sztanowski. Tęte dyrygent i kierownik artystyczny Filharmonii Lubelskiej zaproszono chorować dwukrotnie udział w koncercie z orkiestrą Filharmonii, co było dla jego chorowców wielkim wyróżnieniem. Następnie dzięki maestro Staszowskiemu chór uczestniczył w nagrańach Polskiego Radia dla zagranicy (rok 1954/55).

W tym czasie chór brał udział we wszystkich wydarzeniach uniwersyteckich: inauguracja roku, „opiekę”, rozdanie doktoratów, koncerty okolicznościowe itp., a także częściej pojawiał się poza uczelnią. Koncertował wspólnie ze znanym chórem „Jęcho”. Osobny rozdanie działalności zespołu, to koncerty kolęd i koncerty paryjne w okresie wielkiego postu (m. n. *Sabat Mater Dolorosa*). Udział chóru w śpiewaniu kolęd i pieśni paryjnych był ogłaszany we wszystkich kościołach lubelskich, w których często sięgał z połączeniem chórami kościelnymi. Partie solowe zespołu wykonywali: Krystyna Marzalek, Edmund Marzalek, Helena Świd. Mógłby o współpracy z chórami kościelnymi należy wymienić szczególnie zaprzyjaźnionego z chórem organiste o. dominiaka, prof. Kozłowskiego.

W 1954 roku z chóru wyodrębnił się sekret męski w składzie: Gustaw Kania, Kazimierz Przybyłko, Henryk Górski, Walerian Osiecki, Stanisław Janeczko, Edmund Marzalek. Także w tym czasie chór wyjechał do Puław (koncert w Świątyni Sybilii i kościele garnizonowym) i do Kazimierza. W. Wiało (koncert w farze i kościele o. franciszkański).

W wyjazdach często uczestniczył dziesięć parzystych akademików zaprzyjaźnionych z chórem: ks. Stefan Mieczkowski, ks. Stefan Burek, późniejszy biskup częstochowski ks. Kazimierz Król.

¹ A. Stanowski, A. Chruszczewski. *Księga Pamiątkowa 50-lecia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*, Lublin 1969.

² Jankowski. *Brakłał wieloletni uniwersytecki wydział stowarzyszenia, to Senat Chóru Akademickiego*. Uniwersytecki Lubelskiego został zatwierdzony dnia 27.11.1921 roku i podpisany przez ks. A. Szczęśliwego.

W okresach wakacyjnych chór wyjeżdżał do Fromborka na obozy akademickie, gdzie oraz rekale odbywały się próby, ćwiczenia i występy w Katedrze Fromborskiej oraz koncertowały w Krynicy Monksiej u o. kapucynów. W sierpniu 1953 roku zorganizowano w Krynicy obóz dla *szkolnej* części chóru. Rektorem KUL wyznaczył mnie na jego kierownika. Był to obóz wysoce naukowo-artystyczny. Organizowaliśmy wyściski bliźniacze i dalsze w okolicach Krynicy; Pieniny i Gieście. Obóz mieścił się na posesji wili „Ostów” przy ul. Leśnej. Pozostali na bliżej nazywanym, profesorów i ich rodziny: prorektor prof. Jan Dobrzański i zięć Michał, prof. Zdzisław Papierkowski z żoną i córką Krystyną, znakomitą polonistką, prof. Andrzeja Wojtowickiego z żoną, córką i synem Julianem (obecnie biskup sufragan w Olsztynie), był też ks. doc. Henryk Strakowski (późniejszy sufragan lubelski), prof. (wówczas jeszcze magister) Adam Rodziński i sioła i syny. W Krynicy prawie niemal codziennie widywaliśmy Nikoifora; siedział na stołeczku lub stał oparty o murkę przy ulicy prowadzącej do „Patry” i naszej „Ostów”. Malował obrazki małego formatu, natury i portrety. Malował jakby w tłumie, nie zwracając uwagi na ludzi stojących wokół niego i nie nawiązując z nimi kontaktów. W owym czasie traktowaliśmy go bardziej jako dziwaka lub niezdolnego szaleńca niż malarza, choć przysławialiśmy przy jego „gracach”. W Krynicy, choć wycopany, odbywały się normalne próby i występy, m.in. w miejscowym kościele.

Chór w tym czasie zaprzastał znanych ludzi nauki i sztuki z odczytami, wykładami i prelekcjami. Można tu wymienić m.in. naukowca: Lutolskiego, Kisielskiego i Zawieskiego.

Ustał się równocześnie „stały” repertuar chóru. Najczęściej śpiewaliśmy *Gosno de Ave Maria*, walec Jan Straszka ze słynnym *Nad nieszę na pięknym Donjanie*, poza tym różne utwory Bacha, Nowodworskiego (*Wzrost gwiazdy*), oczywiście także *Gusle* Merka i *Podziwianie Ogryzka* Ogryzkiego (wykonywane popołudniu do perfekcji doprowadził chór pod kierunkiem Kazimierza Górskiego). Śpiewaliśmy również wiele innych, wczesniej wspomnianych już polskich i obcych autorów z repertuaru klasycznego i popularnego.

Działalnością organizacyjno-administracyjną zespołu kierował Zarząd chóru, który z wyboru reprezentowali w owym czasie: prezes Krystyna Marzec, wiceprezes Bolesław Banicki, Kazimierz Przybyło, sekretarz Dawid Wołczak. Prace zarządu przebiegały sprawnie. Byliśmy silni z brakiem środków finansowych, ale atmosfera była prawie rodzinna. Olres ten wspomnian jako jeden z piękniejszych w moim życiu. Odzwierciedlałam w nim zainteresowanie ze strony Rektora. Zarządno rektor, ks. prof. Kłof. Iwczuk był i prezydentem, ks. doc. Stanisław Płodzien i prof. Zdzisław Papierkowski często byli naszymi gośćmi podczas prób i spotkań.

Nasza uczelnia, szczególnie do 1953 roku, ale i później – w latach tzw. realnego socjalizmu – mimo różnych nacisków, szklan, inwigilacji ze strony władz – była jednak ośrodkiem wolnego myślenia i działania. Taki stan rzeczy sprzyjał wówczas niu w życiu młodych studentów, niezależnie od roku czy kierunku studiów. Naszym wyróżnikiem były białe czapki studenckie, które nosiliśmy przy każdej okazji. Studenci z innych uczelni, tzw. zraszeni ideowo w ZMP, patrzyli na nas z pewną wrogością, niechęcią, inni zaś, „oporni” i nie podlegający permanentnej indoktrynacji – ganiłi się do nas, na nasze spotkania, dyskusje, odczyty i wykłady uniwersyteckie. Doświadczenia cmentelny młodości, nastawiając je do oczekiwanej rzeczywistości nie wrogo, ale inaczej, niezależnie. Można powiedzieć, że żyliśmy i studiowaliśmy w czasach trudnych, ale na przykład dowożąc presem i naciskiem tworzyliśmy zwoją „ciepłą” kulową społeczność.

W tej chwili zdaje sobie sprawę, że chorze akademicki KUL, prowadzony od 25 lat przez prof. Kazimierza Górskiego, stanowił zespół profesjonalny o bardzo wysokim poziomie wykonawstwa. Świadczy o tym liczne zaproszenia na występy w kraju i za granicą, nagrania, koncerty, udział w festiwalach. Przypominamy, że właśnie w sierpniu br. pięćdziesięcioosobowy chór kulowski koncertował w wielu miastach australijskich. Brał udział m.in. w Międzynarodowym Sympozjum Muzyki Chórnej – Światowym Festiwalu Chórów w Sydney. Australijczycy tłumnie do kilkadziesiąt koncertów także dla miejscowej Polonii, to owoacje, gratulacje, bisy i próby o powrocie przedzi.

Z ośrodkiem prof. Kazimierza Górskiego związane są także największe dotychczasowe osiągnięcia zespołu: m.in. nagrania w BBC i Europejskiej Unii Radiowej (1981), udział w opłatkach dla Polaków z Ojcem Świętym Janem Pawłem II i w pastercie w

Bazylicy św. Piotra (1986), koncert kołed dla Ojca Świętego Jana Pawła II w Sali Konzytorowej w Watykanie (1987). Wiedza o działalności zespołu byłaby jednak niepełna, gdyby zabrakło informacji o koncertach w ramach współpracy z Towarzystwem Przyjaciół KUL – i jak wspominałem – o udziale we wszystkich niemal uroczystościach uniwersyteckich: inauguracji nowego roku akademickiego, promocje doktorskiej, święta patronackiej, uroczystości nadawania tytułu doktora honoris causa KUL, wręczenia medalu „Za Zasługi dla KUL”, jubileusze.

W tym miejscu warto jeszcze raz przypomnieć, że zespół ten powstał w 1953 roku.

Kazimierz Przybyło

TOMASZ MAJERAN

DERRIDMU TREMENS

Podczas pewnej swobodnej rozmowy (w zadowalająco się wyśmienitym gronie kół, ale nie powiem kto, określił się jako foldery. Uwarł miase setnie ta etykietka, ale gdybym zapytał do *Adamo skłoniła języka polskiego PWN*, zrobił mi się cokolwiek niezwykły, bo to, coem biał z doświadczeń i przypuszczeń, ironie, było w istocie bezwzględnie wystydem zawiśnym stydywatem. Jak można było nazwać *światłą* propagandową *albo reklamową* jedną z największych przedsięwzięć w dziejach polskości, nie było polskiej, krytyki literackiej – nie potrafiła odnieść, i szczerze mówiąc, nawet nie próbała. Spuściły więc *światości* brzoźnowa kuryntu młoczenia na ten smutny epizod z praktycytowanej, jak się okazało, swarzędzkiej kanapy i spróbujmy wypowiadzić bez żadnych uprzedzeń kilka uwag o jednej z twórców rodzaju i pod kątem względem zmienneli twórców krytycyzmoirerackiej Krzysztofa Karaka, bo o niej choć czas mowa – o twórczości ogłaszanej zadziwialną systematycznie jako integralną i niezbywalną część tomików Biblioteki Poetyckiej „Przeźwili”. Spójnijmy na refleksję z niejaką nieśmiałością, bo przecyżnia i przemysłowa, gesta od znaczeń krytyka Karaka jest dla uważnego czytelnika wybitnie wyśmienitym wyzwaniem. I jeśli się jednak na nie porwamy, to przecież nie z braku skromności i nadmiaru mowy pod ręką, ale po to, żeby raz na zawsze dać odpar zawiśtym komentatorom, które jako żywo przypominają młodzieżową tandemę w stylu Owiana.

Najważniejszą cechą tego piśmiarwa rzucając się w oczy jest pierwsiwka lektury. Precyżnia, bekompromisowości, erudycja i wyczerlowana lapidarność w każdym uważnym czytelniku musi wzbudzić uczucie podziwu i – co tu kryć – niekłąmnej złości. Spróbujmy przynajmniej się tym cechem dokłasknąć, a być może dowiemy się czegoś więcej o marnej kondycji polskiego życia uniwersyteckiego, którego – na potrzeby oddkładki, tej ocrzywistej konstatacji na półdług – Krzysztof Karaka jest konsekwentnym kontestatorem i krytykiem.

Bezkompromisowości. Możemy tu o niej mówić w wielu wariantach uzupełniających się znaczeniach. Jako o odwodzie i nonkonformizmie. Jako wierości pewnej wiary (wiata i poezji) oraz jako o umiejętności przyznania się do skrajnego zwątpienia. Przede wszystkim jednak jako o gotowości do podjęcia ryzyka badawczego, gotowości skierowania oia w kierunku tych problemów, których nie dostrzegają inni krytycy, zajęci zazwyczaj habiliśmym manifestowaniem własnej ignorancji. Bardzo dobrym przykładem może być tu następujący fragment wstępu do antologii „Poeci lat dwiędziesiątych”, wstępu – godajmy na marginesie – będącego, jak dotąd, jednym z najprzejrzystszych osiągnięć krytycznych Krzysztofa Karaka: *Los piśmiarwa, przynajmniej jego los, zaczyna się z chwila, gdy zostaje on sam (...). Kiedy zrykaje lub odryka *światowidom* własnej odrębności i zaczyna o nią walczyć *światowidom* ten wstąpił z *światowidom* (P.T. Zwrotny zwaga, to nie jakby przekleństwo, wtrącona w nawiasie diagnoza wypowiedziana przez te i takby mimochodem. Świadyto to w oczywisty sposób o nonkonformizmie jej autora, który nie chce się wtrącać do polubank na lamach pracy literackiej, zajętej od dłuższego czasu, jak wiadomo, tylko i wyłącznie roztrząsaniem wątków romantycznych w poezji *światowidom*. Dępowody, trzeba było niebywale odważyć, by zaowocować wypowiedzią, że gorzka prawda, że Marcin Światlicki *śle* się czuje wśród bliźnich i tragicz-*

będzie nam wszystko. Począwszy od konstatacji, że równoważ przestrzeni i formy
chybicie się, jak drzewo odbite w nurcie rzeki (III), skończywszy na tym, że Krzy-
żanek Karasek należy do poetów, których przejmuję się w cisłości lub odzica (VI).

Tomasz Majeran

* Cyfra rzymska w wydaniu oznaczającym tom II Biblioteki Poetyckiej Pradziwina, z którego powstawał ten wy-
stąpił, strona 27 - cyfra z powrotem do wiersza. „Piosenki i kłopotliwiejsze” (drukowane w „Lobos”
z 201996). Przypomnienie o tej książce nadawało oryginalną interpretację wiersza i wierszy, w tym
tom III - Jarosław Międzykorski, A i białobłonięty. Warszawa 1991.
tom V - Andrzej Janowski, Życie na Kręku. Warszawa 1992.
tom VI - Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Pogrzebany. Warszawa 1992.
tom VII - Tadeusz Półtor, Ognis. Warszawa 1993.
tom IX - Maciej Cicho, Białe jony. Kraków 1994.
tom XIV - Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Młodzieńcy i wiersze o wierszach. Warszawa 1994.
tom XVII - Andrzej Janowski, Słabość. Warszawa 1994.
tom XX - Maciej Malecki, Niebezpieczna kłoda. Warszawa 1996.
tom XXI - Karol Malinowski, Rozdział z historii literatury w języku polskim. Warszawa 1996.

W poprzednim numerze m.in.:

Poeci: Andrzej Sosnowski: *Wiersz dla J.S.* • Darek Foks: *Brazina*
• Witold Wierzyński: *Granica wytrzymałości* • Leszek Szaruga: *Wielka*
gra • Tadeusz Półtor: *Wigilia* • Kazimierz Brakoniecki: *Puski* •
Waldemar Michalski: *Zapiskane na krawędzi łóżka* • Andrzej
Słomianowski: *Warsztat liryczny - Auschwitz* •

Tadeusz Szkolut: *Świat według Kapuścińskiego* • Michał Jagiello:
Zima kołyska • Stanisław Dulski: „*Urodzony w trawie*”. O poezji
Bogdana Czajkowskiego • Jerzy Duraczak: *Jeszcze raz o Kościłku* •
Tomasz Patek: *Zabawa w widzenie* • Krzysztof Stępnik: *Fizjonomista*
monarchów i królów. Kraszewskiego technika portretu • Adam
Sumiński: *Efemeryda* • Agata Skala: *Dystans i polifonia. O powieściach*
Leopolda Buczkowskiego • Damian Białogłowski: *Dax Kapital* •
Zbigniew Chałko: *wiersze* •

Lechosław Lameński: *Sensybilizm Kazimierza Głaza* • Leszek Teusz:
Kompozycyjna otwartość „Lysiej śpiewaczki” Eugène Ionesco •
Magdalena Jankowska: *Dwie premiery lubelskich twórców* •
Recenzje • **Noty**.

Informujemy naszych Czytelników, że sprzedajemy bieżących i dawnych
numerów AKCENTU prowadząc m.in. następujące księgarnie:

Księgarnia ORPAN Plac M. Curie-Skłodowskiej 5 20-031 Lublin tel. 375-413	Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa ul. Krakowskie Przedmieście 7 00-068 Warszawa tel. 261-835, 266-449
Lubelskie Centrum Towarzystwa „Lobos” Krakowskie Przedmieście 13 20-076 Lublin tel. 254-41	Księgarnia „Odon” ul. Hłosa 19 00-521 Warszawa tel. 621-80-69
Księgarnia „Eneo” Krakowskie Przedmieście 62 20-076 Lublin tel. 256-15	Księgarnia „Cytelnik” ul. Wiejska 14 60-040 Warszawa tel. 621-36-55
Księgarnia Medyczna Krakowskie Przedmieście 29 20-002 Lublin tel. 261-53	Księgarnia IFSP Al. Wojska Polskiego 69 65-625 Zielona Góra tel. 263-520 w. 220
Księgarnia „Bibliopeda” ul. Narutowicza 27 20-004 Lublin tel. 220-32	Księgarnia Akademicka ul. Św. Anny 7 31-008 Kraków tel. 221-033 w. 167
Księgarnia Dawida Uzyzyska-Gacha ul. Królewska 11 20-109 Lublin tel. 260-48	Księgarnia Wydawnictwa Naukowych „Elifant” ul. Podwale 6 31-118 Kraków tel. 223-717
Księgarnia „Jedynka” Al. Marcinkowskiego 21 61-745 Poznań tel. 525-305	Księgarnia Naukowa „Book service” ul. Podgłotna 8 61-820 Poznań tel. 520-477
Księgarnia „Akcent” Rynek Kościuszki 17 15-421 Białystok tel. 219-33	Księgarnia ORPAN ul. Międzykorskiego 27/29 61-725 Poznań tel. 524-516

Tu do nabycia m.in. numery: 1/1992 z nieznanymi tekstami W. Gombrowicza oraz
Geografii i Bibliografii Baranickiego, 2-3/1992 pod hasłem „Na pograniczu narodów
i kultur” (Białostok, Litwin, Łuczyński, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Węgry,
Żydzi), 4/1992 z nowymi wierszami B. Kapościckiego, motywami amerykańskimi,
tekstem I.B. Singera o Brunonie Schreier, polskim, 5. Biełowa - Cz. Miłocze
1-2/1993 - m.in. sen w literaturze i sztuce, nieznanie opowiadania A. Luczackiego
i autobiografia Andrzeja Warhola, 3/1993 z pierwowzorem esejów M. Kuncewiczowej
o J. Lechoni, nową prozą J. Abramowa-Newerlego, wspomnieniami syna
I.B. Singera, 4/1993 z nieznanymi wierszami J. Czechowicza, trójkątem o twórczości
Danuty Mostwin i prezentacją kultury Roszczyka, 1/1994 z nowymi piosenkami
W. Miłanowskiego i kołanami mistrzów, 2/1994 z nieznaną prozą J. Czechowicza
i jego listami do Czechowicza Jankowskiego (Wilno), 3-4/1994 z pierwowzorem
A. Bursy, wspomnieniami o życiu kulturalnym Lwowa i szkicem o twórczości
W. Oszaży, 1/1995 z esejem Amosa Oz, krytycznym rozbiorem „Hartoguin”
i dokumentami węgierskiego Państwa 1956, 2/1995 ze wspomnieniami
o M. Hłase, 3-4/1995 poświęcony literaturze niemieckiej, 1/1996 z opowiadaniem
M. Głowackiego, szkicami o D. Schulzu i J. Cagie i oraz numer 2/1996 z artykułami
o T. Konwincim, prezentacją literatury „cyberpunkowej” i relacją R. Matczewskiego
z Nowogrodzkiego.

Księgarnia ORPAN w Lublinie realizuje wysyłkę zamówionych numerów
AKCENTU za pobraniem pocztowym. Zainteresowani mogą się zwracać także
do redakcji „Akcentu”.

Redakcja „Akcentu” serdecznie dziękuje czytelnikom, którzy w latach 1992-1995 dokonali wpłat na **Fundusz Wydawniczy Przyjaciół AKCENTU** (100 USD, 2 mln st. zł lub wielokrotność tych sum): Wacław Iwanuk, Toronto; Zbigniew Kaczorowski, Wiedeń; Marek Gacka, Lublin; Klub Towarzyski „Hades”, Lublin; Szezepean Sadurski, Lublin; Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin; Danuta Hacıski, Baltimore; F.H. Chicago; Kazimierz Zacharski, USA; Stanisław Bask-Mostwin, USA; Jacek Lech Mostwin, USA; Maria du Souich, Francja; Maryla Krajewska, Toronto; Mira Puacz, Chicago; Polska Księgarnia „Golden Bookstore”, Chicago; Adam Szyper, New Jersey.

Ponadto w latach 1992-1995 udzieliły redakcji wsparcia: **Fundacja Kultury, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto, Fundacja im. Stefana Batorego, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Rada Miejska Lublina, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Roztoczański Park Narodowy oraz Attaché Prasowy Ambasady Węgierskiej. Dziękujemy!**

Dziękujemy także wszystkim Autorom, którzy erygowali z honorarów za publikację w „Akcentie”.

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność: Stanisław Bask-Mostwin, Mira Puacz, Joanna Romaszewska, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Tadeusz Chabrowski, Jacek Lech Mostwin, Krystyna Rudzka-Przychoda, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Krystyna Frelik, Alina Nowicka, Małgorzata Kaczorowska, Wojciech Młynarski, Kancelaria Prawnicza KONSULT R.O.K., Bank Depozytowo-Kredytowy w Lublinie, Towarzystwo Miłośników Lublina.

Ponadto Fundacji udzielił pomocy w październiku 1995 r.: Teatr Dramatyczny im. J. Osterwy, Wydawnictwo „Norbertinum”, Klub Towarzyski „Hades” i Hurtownia „Gloria”.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisazach literackich AKCENTU”: Marian J. Kawalko, Stanisław Popek, Elżbieta Ciechła-Czarniawska, Eda Ostrowska, Monika Adamczyk-Garbowska, Józef Fert, Waldemar Michalski, Bogusław Wróblewski, Ewa Mazur, Bohdan Zadara, Tadeusz Chabrowski, Tadeusz Szkoluch, Danuta Mostwin, Alina Kochończyk, István Kovács, Regine Möbius, Ryszard Kapuściński, Leszek Długosz, Tadeusz Konwicki, Marek Danielkiewicz.

Fundatorzy proszą o deklarowanie współdziałania i wsparcia finansowego. Można to uczynić za pośrednictwem redakcji AKCENTU lub dokonać wpłaty na konto:

Bank PKO S.A. Oddział Lublin, Nr 543015-26934158-2701-3.

Kwartalnik „Akcent” jest od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany przez Lubelskie Zakłady Graficzne. Ta firma istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tych Zakładów. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

LUBELSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE S.A. W LUBLINIE

UL. UNICKA 4,

TEL. 77-14-37, 77-35-00,

FAX: 71-15-21

OFERUJĄ USŁUGI POLIGRAFICZNE w zakresie druku

- KSIĄŻEK
- KALENDARZY
- FOLDERÓW
- PLAKATÓW
- ETYKIET

(w tym na materiałach samoprzylepnych) oraz **inne** według życzeń zamawiającego

Na pierwszej stronie okładki:
Władysław Łuszczkiewicz, Stefan Matejko, Piotr Nizinski;
polichromia kaplicy Matki Boskiej Bolesnej
w kościele Franciszkańów w Krakowie, 1897 r.

Na czwartej stronie okładki:
Jan Matejko, polichromia prezbiterium Bazyliki Mariackiej w Krakowie, 1889 r.

Fotografie barwne:
Andrzej Borucki

Adres redakcji:
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7
tel./fax (081) 274-69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skróćów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela
urzędy pocztowe i „Ruch” S.A.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Pauline Fathers; National Shrine of Our Lady of Częstochowa; Bookstore;
P. P. Box 2049; Doleystown, RA 18901.

Swedee Slavic Books; 2233 El Camino Way; Palo Alto, CA 94306.

Mira Puczer, „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618.

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd. St. Germain, 75006 Paryż,
tel. (1) 43260442, télécopie (1) 40510882

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-601 Lublin, ul. T. Zana 38 C

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, Lublin, ul. Unicka 4
Druk ukończony w grudniu 1996 r.
Cena 3 zł 50 gr (35 000 zł)